

rek Przychodzeń Kazimierz Dadak Andrzej
ski Tadeusz Nyczek Stanisław Bieleń Hanr
ard Nowak Witold Gadowski Tadeusz Kensy
czyński Jerzy Vetulani Józef Baran Maciej M
chał Twardosz Krzysztof Budziakowski Jaro
ski Alosza Awdiejew Walery Pisarek Rysza
Wiesław Hods Krzysztof Bzyl Jerzy Targal
iech Stanisławski Stanisław Remuszko Tade
sław Dobrzański Marcin Niewalda Aleksand
a Dziedzicka – Wasylowska Wojciech Jędrze
Tomasz Cukiernik Krzysztof Mazur Bronista
oman Kochnowski Marcin Chycki Jerzy
der Liliana Sonik Stanisław Chyczyński Ma
an Skoczyński Janusz Majcherek Marcin Ma
ski Jan Woleński Jerzy Surdykowski Mikołaj
sław Piskor Elżbieta Isakiewicz Andrzej Ma
ko Roman Graczyk Łukasz Warzecha Andr
t Pasierbek Stanisław Michalkiewicz Stefan
nycz Ryszard Bocian Krzysztof Janicki Mar
eleń Hanna Kowalska – Stus Cezary Kaźmi
rn Stanisław Remuszko Jarosław Zadencki
zejewski Czesław Nowak Janus
iewalda Mikołaj Pisarski Wojci
ysztof Pawłowski Olaf Swolkień Artur Wroń

Po co nam Polska? i inne pytania


FUNDACJA im.
ZYGmunTA STAREGO

Po co nam Polska? i inne pytania

Pod redakcją
Krzysztofa Budziakowskiego

Zygmundus Rex
FUNDACJA im.

ZYGMUNTA STAREGO

Kraków 2023

© Copyright by KB Projekt, Kraków 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być publikowana czy powielana w żadnej formie bez pisemnej zgody KB Projekt.

Biogramy
Bartłomiej Grzegorz Sala

Konsultacje
Krzysztof Janicki

Opracowanie redakcyjne
Aneta Tkaczyk

Korekta
Marcin Grabski

Projekt graficzny
Barbara Budziakowska

Projekt okładki i opracowanie graficzne
Grzegorz Choroszy

Skład i łamanie
Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

ISBN: 978-83-7928-943-1

Wydanie I

Wydawca
KB Projekt we współpracy z Fundacją im. Zygmunta Starego
ul. Cystersów 7B
31-553 Kraków
kb@kbprojekt.pl

Druk: Patent Druk

Pytania konieczne

Walczymy na straconym posterunku, ponieważ wiemy, że nasza klęska może być prologiem do zwycięstwa naszych następców, choćby miało ono być tylko przejściowe; walczymy raczej o to, żeby coś utrzymać przy życiu, a nie w nadziei, że zatryumfujemy.

Thomas Stearns Eliot

Książka ta jest podsumowaniem czterech pisemnych debat/ankiet, które prowadziła Fundacja im. Zygmunta Starego między 2017 a 2022 rokiem. Ich celem było inicjowanie możliwie najbardziej racjonalnej i merytorycznej dyskusji o najważniejszych polskich problemach.

W Polsce, zwłaszcza po 2005 roku, dyskusja polityczna przestała być tym, czym powinna, a stała się wojną toczoną za pomocą języka używanego jako broń i narzędzie przemocy. Sposób prowadzenia sporu politycznego wyznaczają skaczące sobie do gardeł grupy, przepełnione nienawiścią i pogardą dla swoich przeciwników. Obie strony projektują konflikty tak, aby na pewno nie udało się ich rozwiązać w warunkach porozumienia. Nie konfrontacja argumentów logicznych jest metodą pozyskiwania i utrzymywania zwolenników, lecz budzenie najniższych uczuć. Nie szukanie rozwiązań, lecz zderzenia dialektyczne. Prowadzi do

tego skrajna zachłanność prawie wszystkich rywalizujących ze sobą polityków. Dzieje się tak na każdym poziomie życia publicznego: parlamentarnym, dziennikarsko-publicystycznym czy mediów społecznościowych. Dyskusje są oczywiście konieczne i nawet powinny być żarliwe i żywiołowe, skoro się różnimy, ale nie powinny stać za nimi ciemne uczucia.

Ten stan rzeczy, do którego, niestety, jako społeczeństwo jesteśmy już przyzwyczajeni, przekłada się w oczywisty sposób na relacje międzyludzkie i wspólnotowe.

Dezintegracja powodowana złymi i niskimi emocjami w dłuższej perspektywie służy wyłącznie przeciwnikom Polski. To oczywiście nienowa sytuacja w historii i oprócz naszej za nią odpowiedzialności — była i jest prowokowana przez inne państwa. Dzisiaj nie tylko Moskwa manipuluje polską klasą polityczną. Zdecydowanie większe sukcesy mają w tej dziedzinie Waszyngton czy Berlin.

Na szkodliwość takich podziałów zwracał uwagę już ponad sto lat temu Józef Piłsudski:

Jednym z przekleństw naszego życia, jednym z przekleństw naszego budownictwa państwowego jest to, żeśmy się podzielili na kilka rodzajów Polaków, że mówimy jednym polskim językiem, a inaczej nawet słowa polskie rozumiemy, żeśmy wychowali wśród siebie Polaków różnych gatunków, Polaków z trudnością się porozumiewających, Polaków tak przyzwyczajonych do życia według obcych szablonów, według obcych narzuconych sposobów życia i metod postępowania, żeśmy prawie za swoje je uznali, że wyrzec się ich z trudnością możemy*.

Co czeka nas na końcu tej drogi? Czy będziemy jeszcze w stanie zjednoczyć się jako społeczeństwo i jako naród? Czy zmiany, które w nas następują, będą możliwe do cofnięcia?

Smutek budzi myśl, jak mało cenimy potencjał, którym dysponuje Polska, i jak marnotrawimy go w wyniszczającym konflikcie.

Celem więc naszych debat była i jest dyskusja merytoryczna oraz konstruktywna, a jeśli nawet formułowane są w niej zdecydowane sądy, to bez skrajnej wrogości. Dyskusja nie przeciwko komuś, lecz w celu poszukiwania dobra wspólnego. Na rzecz budowy polskiej wspólnoty obywatelskiej i społecznej, w której zasady demokratyczne i wolność słowa umożliwiają ścieranie się poglądów, ale nie prowadzą do ścierania w pył współobywateli.

* Przemówienie na obiedzie w Lublinie, 11 stycznia 1920 roku (za: J. Gierowska-Kałużur, *Zarząd Cywilny Ziemi Wschodnich (19 lutego 1919 — 9 września 1920)*, Neriton, Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2003, s. 54.

Chodzi o tworzenie przestrzeni, w której przekonania i nawet ostre różnice są próbą zrozumienia otaczającego nas świata czy ludzi, a nie okazją do hodowania w sobie pychy przez poniżanie i niszczenie oponentów. Próbą poszukiwania form dialogu w imię wyższych wartości i myślenia zgodnie ze wskazaniem Marka Aureliusza: „Jeżeli postępowanie ludzi jest słuszne, nie powinno się czuć do nich gniewu. Jeżeli niesłuszne, to jasne, że tak postępują niechętnie i nieświadomie”^{*}.

Dyskusja może i powinna się toczyć, jeśli nie dochodzi do znieważania i upokarzania strony przeciwnej. Czy więc nasze debaty nikogo nie obrażają? Nie można być tego pewnym, gdyż degeneracja komunikacji publicznej w Polsce jest już tak głęboka, że wielu ludzi nie obrażają tylko poglądy w pełni zgodne z ich własnymi.

Oczywiście nie wszyscy zapraszani przeze mnie do kolejnych debat goście zechcieli się wypowiedzieć, czy to z powodu braku czasu, czy też uznając nadesłane pytanie jednak za niekonieczne. Lecz ci, którzy wzięli w nich udział, bez względu na przynależność ideową zmanifestowali w ten sposób swoją troskę o dobro naszej wspólnoty. A skoro tak, to czytając te opinie, mimo wszystkich różnic jesteśmy wśród swoich.

Niestety, na żadne z czterech pytań naszych pisemnych debat nie sposób sformułować prostych odpowiedzi. Ale jeśli się nie da zrobić tego, co by się chciało, to warto spróbować zrobić to, co się da.

Nie wiadomo, ile my, Polacy, będziemy potrzebowali jeszcze czasu, aby się nauczyć przede wszystkim umiejętności budzenia w sobie dobrej woli, wychodzenia naprzeciw adwersarzom, wzajemnego zaufania, ani ile nam zajmie zrozumienie zasady, że bardziej opłacalna jest współpraca niż walka na przewagi. Kiedy nauczymy się wreszcie nienawidzić swojej nienawiści. Kiedy nauczymy się pogardzać swoją pogardą.

I ile czasu jeszcze będziemy potrzebowali, żeby pojąć, co składa się na nasz wspólny interes Polski, jak szkodliwe jest potęgowanie w sobie uczuciowego reagowania w polityce — odchodzenie od tego, co konkretne i wyliczalne, na rzecz rojeń i abstrakcji podszytych pychą; świętowanie klęsk, a nie zwycięstw, co wytykał nam już Roman Dmowski.

Pytanie pierwszej prezentowanej debaty brzmi: „**Po co nam Polska?**”. Aby na nie odpowiedzieć, musimy najpierw uświadomić sobie, co oznacza słowo „Polska” i kim jesteśmy „my”. Trochę inaczej wybrzmiały tu odpowiedzi, których autorzy postrzegali Polskę tylko jako miejsce urodzenia oraz zakorzenienia językowego i kulturowego, czyli jako Ojczyznę, Macierz, kraj pochodzenia i obiekt emocjonalnej więzi. Stąd pewne problemy z udzieleniem odpowiedzi na pytanie debaty, bo nie pyta się przecież, po co komu matka.

^{*} Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, przeł. M. Reiter, Saga Egmont, 2022 (e-book).

Jednak uświadomienie sobie powodów tej emocjonalnej więzi jest poznaniem najgłębszych źródeł własnego patriotyzmu i być może wzmocnieniem tych uczuć. Choć więc pytanie o to, po co komu miejsce urodzenia, nie dla każdego ma sens, to pytanie: po co nam, Polakom, Polska, pojmowana jako państwo, jest jak najbardziej zasadne. Te różne sposoby interpretacji, co kryje się za słowem „Polska”, pojawiające się w kolejnych głosach, mogą być dla czytelników bardzo inspirujące i porządkujące myślenie o naszym miejscu w świecie.

Drugim problemem, który pojawia się w tej debacie, jest rozumienie zaimka osobowego „my”. My, Polacy, czyli kto? Czy umiemy sobie na to odpowiedzieć, zanim zaczniemy się zastanawiać, po co nam Polska? Jeśli odpowiemy z pozycji „my, obywatele wszechświata” czy też „my, obywatele Europy”, to oczywiście doprowadzi nas to wyłącznie do paradoksów.

Pytanie drugiej debaty brzmi: „**Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski?**”. Nie każdy przeciwnik Polski jest jej wrogiem, choć oczywiście każdy wróg jest przeciwnikiem. Każdy przeciwnik może wszakże stać się naszym sprzymierzeńcem. I jeszcze — co nie funkcjonuje w powszechnej świadomości Polaków — każdy nasz przyjaciel (polityczny) jest zarazem naszym rywalem, czyli przeciwnikiem. To oczywiste dla Amerykanina czy Niemca, ale dla Polaka niekoniecznie. Powtórzmy więc: każdy nasz przyjaciel polityczny jest naszym przeciwnikiem. Państwa i narody rywalizują ze sobą, nawet jeśli współpracują, i jest to rzecz naturalna.

To, jak jest kształtowana i uformowana polska świadomość historyczna, działa na naszą korzyść lub na naszą szkodę. Służy nam lub naszym przeciwnikom. Warto więc myśleć o niej i jej przydatności dla nas i innych.

To, czy istnieją dzisiaj wrogowie Polski i czy da się ich konkretnie wskazać, nie było przedmiotem naszej debaty. Przeciwnikiem, czyli podmiotem administracyjnym rywalizującym z nami w jednej lub wielu dziedzinach, jest praktycznie prawie każde państwo na świecie.

Pamiętać jednak trzeba, że istnieją tacy przeciwnicy czy wrogowie Polski, których reprezentanci doskonale posługują się językiem polskim i rozwijają swoją aktywność w naszym kraju. Jedynym, choć bardzo trudnym sposobem na to, by się w tych działaniach zorientować, jest pogłębiona świadomość, na czym polega interes Polski. Interes policzalny, a nie emocjonalny, „moralny” czy narcystyczny. Pożytek, który zawsze musi być analizowany w kontekście interesów innych państw.

Szaleństwem byłoby nazywanie wrogiem każdego, kto ma inne cele od naszych. I nawet jeśli pojawia się przekonanie, że ktoś jest przeciwnikiem czy nawet wrogiem Polski, w żadnym razie nie możemy pozwolić, aby zawładnęła nami nienawiść czy jakieś inne niskie uczucia. Myślenie emocjonalne w polityce zawsze

proceedzi do tragedii lub co najmniej na manowce. Skuteczną obroną jest tylko myślenie racjonalne, a nawet „kupieckie”.

W trzeciej debacie prezentowanej w tej książce zastanawialiśmy się nad tym: „Co my, polscy obywatele, możemy zrobić dla pojednania narodowego i zbudowania zgody społecznej?”.

W polskich sporach politycznych „myśleć” i „mieć rację” to zazwyczaj faktyczna, choć nieuświadomiona, alternatywa. Obowiązujący sposób ich prowadzenia powoduje wyłącznie ich zaostrzanie. Gnuśne umysły wielu naszych współobywateli są przestrzenią działania polityków manipulujących zbiorowymi emocjami. „Myślenie jest trudne, dlatego większość ludzi woli oceniać” — brzmi wciąż aktualna obserwacja Carla Gustava Junga. Na pewno potrzebujemy więc w każdym sporze świadomości, do czego chcemy dojść w jego wyniku — czy do „załatwienia sprawy”, czy do pokonania oponentów.

Ponadto daliśmy się złapać w pułapkę dwubiegowości i w znacznej mierze podporządkować żądaniu, aby każdy z nas opowiedział się po jednej ze stron, choć przecież stron i poglądów bywa zazwyczaj więcej. Świat nie jest czarno-biały. Polska nie jest czarno-biała.

Uczestnicy debaty nie mieli zbyt wielkich nadziei na znalezienie w tym zakresie łatwych recept. Lecz mimo z jednej strony pesymizmu, a z drugiej wręcz afirmacji dla istnienia silnych konfliktów, w debacie pojawiło się sporo wskazówek, za którymi warto podążać. I wiara, że deeskalacja konfliktu jest możliwa, choć do porozumienia w różnych sprawach nie wystarczy sama postawa koncyliacyjna i myślenie zorientowane na rozwiązania, a nie na zwycięstwa czy tryumfy. Potrzebne jest wcześniejsze zaprojektowanie architektury możliwych rozwiązań.

Pytanie czwartej debaty brzmi: „Jak się wzbogacić mogą Polska i Polacy?”. Punkt wyjścia był tutaj taki, że definiowanie i propagowanie zasad, długoterminowych rozwiązań organizacyjnych oraz pomysłów biznesowych, które umożliwią wzrost dobrobytu naszego państwa i naszych obywateli, prowadzić może do wartościowych decyzji klasy politycznej sprawującej władzę w kolejnych kadencjach. Bo może mieć rację Peter Furth, który stwierdził, że: „Współczesne państwo nie potrzebuje patriotów, ale współników”.

Z tym głównym pytaniem ogólnym wiąże się cała lista pytań szczegółowych, które ustrukturyzowały debatę. A zatem: jakie są mocne i słabe strony polskich przedsiębiorców i pracowników? Czego i jak należy uczyć Polaków, aby chcieli i umieli się bogacić? Jaka powinna być rola mediów w Polsce w kształtowaniu postaw dotyczących przedsiębiorczości, pracowitości i bogacenia się? Czy oferowana przez rząd polski pomoc w zakresie promocji i rozwoju polskiego biznesu w kraju i za granicą jest wystarczająca? Jak inne kraje wspierają swoich

przedsiębiorców? Co mogłoby zwiększyć dochody naszego państwa bez podniesienia podatków? Jakie mamy możliwości wynikające z położenia oraz posiadanych (ale i tych nieodkrytych) zasobów surowcowych i ludzkich? Czy nasze państwo chroni je w odpowiedni sposób? W czym tkwi tajemnica sukcesów gospodarczych takich krajów jak Niemcy, Stany Zjednoczone czy Japonia?

Po co te pytania? Dlaczego trzeba myśleć o tym, jak się mogą wzbogacić Polska i Polacy? Otóż nie tylko dlatego, że pieniądze są dobre, bo rosną na nich kultura i nauka, ale i z tego powodu, że — jak zauważył już król pruski Fryderyk II — „Bóg jest zawsze po stronie silniejszych batalionów”, a silniejsze bataliony mają ci, którzy są bogatsi i mogą skutecznie bronić swojego istnienia oraz swojej kultury.

Wszystkie opinie, diagnozy i analizy sformułowane w trakcie debat potwierdzają, że zadane w nich pytania to pytania konieczne.

Zapraszam więc do poszukiwania własnych odpowiedzi.

Krzysztof Budziakowski

I

Po co nam Polska?

Józef Baran

poeta

I

Nie chciałbym się upierać, że koń ma cztery nogi, bo i tak próba udowodnienia tego zakończy się przegraną, skoro ktoś widzi, że tych nóg koń ma trzy.

Podobnie z Polską.

Z tym że nie całkiem podobnie...

Poecie, komuś, kto operuje słowem polskim — kraj ojczysty, który jest wyłęgarnią i matecznikiem polskich słów, bardziej potrzebny jest, ba, nieodzowny, niż, dajmy na to, hydraulikowi czy architektowi, który wykonywać może swój zawód pod każdą prawie długością i szerokością geograficzną, i otrzymywać nawet gdzie indziej większą zapłatę niż w ojczystym kraju.

A więc najpierw w kwestii osobistej, szczegółowej, ale dla mnie ważnej — poezji, poety...

Nie znam poety polskiego, choćby nie wiem w jakim raju przebywał, który by zdobył uznanie, pisząc nie po polsku, lecz przykładowo w języku kraju emigracji. Nawet amerykański profesor Czesław Miłosz nigdy nie pisał wierszy (powtarzam: wierszy, nie esejów, prozy i innych tekstów publicystyczno-literaturoznawczych, bo te, jako bardziej zobiektywizowane i pochodzące od „ojca” — o czym za chwilę — da się uprawiać w innym języku). Lirykę można pisać tylko za pomocą najsubtelniejszych słów „macierzystych”, czyli pochodzących od Macierzy,

słów o szczególnej intymności. Tu dodam, że w języku niemieckim istnieją dwa pojęcia: *Vaterland* (Ojczyzna) i *Heimat* (Macierz)...

To jakby pierwszy człon odpowiedzi na pytanie, do czego potrzebna jest mi Polska, a właściwie język polski, co, gdyby się nad tym zastanowić, na jedno wychodzi.

A drugi człon mojej odpowiedzi na ankietę „Po co nam Polska?” będzie wypowiedzią–analogią. Powołam się na los Izraelitów, których uważam — podobnie jak oni siebie uważają — za naród wybrany. Jak wiadomo, ten mądry naród przez tysiące lat tułał się i żył — nie z własnej woli, lecz z konieczności — w diasporze.

Nie mieli własnego domu, własnej ojczyzny, własnego matecznika.

Jak to się skończyło i jak okropnie się to na nich zemściło Holocaustem, wszyscy wiemy doskonale z historii!

I wiemy też, jak dbają, jak bronią i chronią, jak pazurami się trzymają teraz swojego matecznika, i jakimi są patriotami (gdzie nam do nich!), bo nauczeni koszmarnym doświadczeniem, zdają sobie sprawę z wartości słowa „Ojczyzna”, choćby ta ojczyzna była pustynią, ugorem, skałą, choćby była ziemią jałową, którą trzeba użyźnić, choćby zagrożona była wieloma niebezpieczeństwami, choćby grozili jej sąsiedzi, że zrównają ją z ziemią... Ile poświęceń, ofiar, wyrzeczeń kosztuje trzymanie się jej „pazurami”, bronienie jej!

I to jest moja odpowiedź przez analogię — po co nam Polska? Po to... po co potrzebny jest Izraelitom, choć może nie wszystkim Żydom żyjącym w rozproszeniu (choć kto wie?), Izrael...

II POETYCKIE PS

JAK TO SIĘ STAŁO

jak to się stało
co to się stało
że niektóre „najświętsze wyrazy”
w przeciągu mojego życia
tak zmałyły
kiedyś wpuszczane na salony
przechadzały się w wysokich
wyglancowanych oficerkach
wśród ważnych nocnych rozmów
traktowane z uszanowaniem
opiewane poematami
(ja nie opiewałem
bo wielkie słowa zawsze podejrzewałem

podobnie jak Kasprowicz
o grubą przesadę)
a tu raptem
powtarzam w przeciągu jednego
mojego życia
utraciły reputację
okazało się że wychodzi im słoma z zabłoconych buciorów
nie są wpuszczane za progi salonów
zmieniły znaczenie
o 180 stopni
nabrały cech
prostactwa
ksenofobii
ustawiono je
w jednym szeregu
z takimi „szwarccharakterami”
jak „narodowiec”
„faszysta”
są poddawane musztrze
a kto wie
może już niedługo
gdy tak uparcie będą trwać przy swoim
w dobrym tonie będzie
reagować na nie wstydliwym milczeniem

Stanisław Bielań

politolog

Polska jest ważnym, a może nawet najważniejszym identyfikacyjnym punktem odniesienia dla jej obywateli. Jest organizacją polityczną społeczeństwa złożonego z różnych grup etnicznych, językowych, wyznaniowych, demograficznych, zawodowych i innych. Jest też kolebką i matczynikiem narodu jako „wspólnoty wyobrażonej”, którą wiąże przywiązanie do ziemi (*topos*), losów i dziedzictwa (*genos*), języka (*logos*), mitologii i kultury (*epos*), wartości i wzorów postępowania (*etos*). Dlatego patrzymy na Polskę jako na największe dobro narodowe, choć mało kto zdaje sobie sprawę, że „państwo narodowe” jest stosunkowo młodym zjawiskiem. Świadomość narodowa Polaków ukształtowała się bardzo późno, bo dopiero w okresie zaborów, a zatem dzieje państwa i dzieje narodu polskiego to dwie różne opowieści.

Doświadczenie uczy, że idea państwa narodowego nie jest jednak nieodzowna dla ludzkiego życia. Uwielbienie i poświęcanie się dla swojego państwa może stanowić poważne zagrożenie, związane zwłaszcza z negatywnymi skutkami nacjonalizmu i szowinizmu. Kiedy w państwie robi się ciasno dla innych, kiedy przedstawiciele narodu tytularnego wywyższają się nad mniejszościami narodowymi, a każdą „inność” oceniają jako zagrożenie, wtedy rolą państwa jest obrona podstawowych i powszechnych standardów ludzkich. Historia pokazuje, że często jest odwrotnie. Państwo pod wpływem różnych „obłądnych” ideologii staje się narzędziem opresji w ręku większości.

Pytanie „Po co nam Polska?” zawiera wiele pułapek semantycznych. Nie wiadomo bowiem, czy „my” to wszyscy razem wzięci „prawdziwi” Polacy, czy raczej wszyscy obywatele Rzeczypospolitej. Czy każdemu z nas Polska jest potrzebna w jednakowy sposób? „Polska” także nie jest pojęciem jednoznacznym. Może oznaczać państwo jako miejsce zamieszkania i maszynę biurokratyczną, ale także jako związek pokoleń, mityczną ojczyznę-ojcowiznę, coś, co ma niemal wymiar metafizyczny. Każdy z „nas” może inaczej wyobrażać sobie potrzebę państwa. Może też żyć w całkiem bezrefleksyjnym świecie i nie mieć żadnego na ten temat zdania. Sięgając do Gombrowicza, Polska to pewna „forma”, która w odbiorze każdego z nas może mieć inny sens. Jedni są szczęśliwi, bo jest wreszcie niepodległa, ale wielu dostrzega, że niepodległość to fikcja. Dziś można bowiem być formalnie niepodległym państwem, ale mieć ograniczoną suwerenność i okrojona autonomię decyzyjną ze względu na powiązania międzynarodowe, jakich nigdy wcześniej nie było. Nawet jeśli Polska jest niepodległa, to ciągle nie jest normalna. Jako organizacja polityczna społeczeństwa jest więc po to, aby wreszcie zmańdrzeć, wykorzystać wszystkie instrumenty w celu wybicia się na rozumne i roztropne rządzenie oraz na normalność zachowań publicznych.

Polska niczym „mądra głowa” niezbędna jest dla społeczeństwa i narodu, który ma stadny instynkt mobilizowania się w okresach zagrożenia, ale na co dzień potrzebuje profesjonalnych liderów politycznych, wewnątrzsterownych, wizjonerskich i asertywnych, aby wskazywali ludziom kierunki pozytywnego rozwoju. Potrzebne jest więc państwo „inteligentne”, zdolne zracjonalizować bogate doświadczenie historyczne, wykorzystać zasoby kulturowe, intelektualne i materialne, mające dobrą wolę pokojowego współżycia z wszystkimi sąsiadami.

Najwięcej zamieszania w pojmowaniu funkcji państwa wprowadziła globalizacja. Doświadczenie poznawcze pokazuje, że interpretacje procesów globalizacyjnych wywołują ogromne emocje, są przedmiotem ożywionych polemik między specjalistami, stają się argumentem w dyskursie politycznym oraz powodem sprzeciwu tych, którzy postrzegają globalizację jako zagrożenie dla swojej tożsamości czy suwerenności. Niejednoznaczność pojęcia globalizacji, jego empiryczna rozciągłość i brak precyzji są powodem dyskomfortu i zamętu poznawczego.

Dla przypomnienia, jednym z pierwszych określeń globalizacji było kojarzenie jej z internacjonalizacją i narastającymi współzależnościami. Pisano o procesach zagęszczania się oddziaływań w skali światowej, zarówno między państwami, jak i aktorami niepaństwowymi. Globalizację traktowano jako wynik liberalizacji, czyli usuwania przez państwa urzędowo ustanowionych barier i ograniczeń w swobodnym przemieszczaniu się zasobów między państwami. Intensyfikacji procesów globalizacyjnych sprzyja redukcja bądź likwidacja barier handlowych, ograniczeń w wymianie walutowej, kontroli przepływu kapitału, a także ludzi, dzięki otwartości granic i modyfikacjom reżimów wizowych.

Globalizację zrównywano też z uniwersalizacją, rozumianą jako planetarna synteza (synchronizacja, standaryzacja i homogenizacja) kultur, rozchodzenie się rozmaitych zjawisk, wzorców czy doświadczeń we wszystkich zakątkach świata. Zjawiska te prowadzą do ogólnoświatowej konwergencji bądź dyfuzji w kulturze, gospodarce, prawie i polityce. Nie brakowało oczywiście poglądów odwrotnych, że globalizacja może wręcz wspierać różnorodność, odrodzenie i innowacje w kulturze.

Z uniwersalizacją wiąże się traktowanie globalizacji jako westernizacji czy modernizacji na modłę amerykańską. Globalizacja pojmowana jako „hegemoniczny dyskurs” służy jedynie maskowaniu daleko idącego podporządkowania Zachodowi — w tym przede wszystkim Stanom Zjednoczonym — całej reszty świata (imperializm kulturowy).

Ostatecznie należy się zgodzić, że pojęcie globalizacji ma charakter polisemantyczny i będzie definiowane ciągle i od nowa tak długo, jak długo te procesy będą dynamizować życie społeczeństw tak w wymiarze wewnątrzpaństwowym, jak i międzynarodowym. Spośród krytyków warto przywołać Pierre’a Bourdieu, francuskiego socjologa, antropologa i filozofa, który wskazywał, że jest to praktyczne „opakowanie skutków działania imperializmu amerykańskiego w przywileje kulturowego ekumenizmu bądź fatalizmu ekonomicznego i sprawienie, by ponadnarodowe stosunki władzy gospodarczej jawiły się jako naturalna konieczność”^{*}.

Ten cytat pozwala przejść do krótkiego bilansu globalizacji i pogłębienia odpowiedzi na pytanie, po co nam Polska. Przez lata starano się — ulegając urokowi neoliberalizmu — pokazywać pozytywne skutki tych procesów. Zauroczona polonoliberalizacją (Rafał Woś) pod wpływem sukcesów transformacji, jakich rzekomo nie było w Polsce od czasów Mieszka I, większość komentatorów raczej legitymizowała istniejący ład społeczny, zamiast szukać przyczyn jego zawodności. Zapanowała aksjologia bezalternatywnego liberalnego kapitalizmu w gorszej regule z Waszyngtonu. Brakowało pytań, jaki kapitalizm i jaka demokracja służy racjonalności ogólnospołecznej i planetarnej, jak godzić efektywność gospodarki i bezpieczeństwo socjalne ludzi, wolność gospodarowania i trwałe rozwój, wolność wyboru konsumenta i funkcjonalne wymagania życia zbiorowego — na ograniczonej parametrach biologicznymi planecie. Wiele pytań odnieść można także do ładu międzynarodowego, problemów wojny i pokoju, wspólnego bezpieczeństwa, rozbrojenia, otwarcia na dialog itd.

Globalny kryzys ekonomiczny (po 2007 roku) obnażył wady i słabości wolnego rynku, a jednocześnie przywrócił wiarę w instytucje państwa, jego siłę korygującą względem gospodarki. Kapitalistyczna gospodarka-świat po trzech

^{*} P. Bourdieu, L.J.D. Wacquant, *Nowomowa neoliberalna. Uwagi na temat nowej globalnej wulgaty*, przeł. M. Starnawski, „Recycling Idei” 2007, nr 9, s. 8.

dekadach karnawału neoliberalnej globalizacji weszła w stadium stagnacji. Bilans neoliberalnej globalizacji okazał się negatywny. Obecnie bowiem mamy do czynienia z cofnięciem rozwojowym. Bo jak interpretować te dane: spadek udziału realnych płac w PKB, wzrost o 40 procent różnicy między 10 procentami najbogatszych i 10 procentami najbiedniejszych, rolnictwo zatrudnia w państwach centrum 5 procent ludzi, zaledwie 20 procent pracuje w przemyśle, trwa prekarizacja zatrudnienia (wzrost niepewności pracy), a dyplomy wyższej uczelni nie zapewniają już pracy. Globalizacja obejmuje tylko 20–25 procent ludności świata, pozostała część ulega dalszej marginalizacji. Co więcej, tylko około 2 miliardów ludności świata może sobie pozwolić na zakup towarów i usług na rynku światowym, czyli zasługuje na tytuł obywatela (Tadeusz Klementewicz).

Internacjonalizacja gospodarek pociągnęła za sobą umiędzynarodowienie czy też „uświatowienie” kryzysów finansowych. Ich katastrofalne skutki spowodowały podważenie ideologii neoliberalnej, której szermierze nie tylko usiłowali w ciągu kilku ostatnich dekad nadać jej absolutny i uniwersalny charakter (tak jak czyniono to z ideologią komunistyczną w wydaniu marksistowsko-leninowskim), ale przede wszystkim zainfekowali umysły wielu naiwnych ludzi na świecie, że oto nadchodzi era wiecznej szczęśliwości we wszystkich dziedzinach ludzkiej aktywności. To prawda, że globalny kapitalizm (turbokapitalizm) przekroczył granice państw, a nawet ugrupowań integracyjnych, ale to nie oznacza, że osławiona neoliberalna geoeconomia zlikwidowała problemy strukturalnego bezrobocia czy dysproporcji rozwojowych między regionami świata. Okazało się, że w neoliberalnych hasłach o prymacie wolnego rynku było nie tylko wiele uproszczeń i zwyczajnego chciejstwa, ale także błędów w pojmowaniu zjawisk społecznych i mechanizmów ekonomicznych. Pociągało to za sobą niezrozumienie dynamiki oraz roli i znaczenia współczesnej instytucji państwa. Typowe dla argumentacji neoliberalnej było uogólnianie korzystnych z punktu widzenia ideologii zdarzeń czy procesów i traktowanie ich jako uniwersalnych (Joachim Osiński). Wielu procesom przypisano „obiektywny” charakter (co przypomina dawne aksjomaty ideologiczne), wskazując na swoisty determinizm globalizacyjny (Grzegorz Kołodko). Do haseł o wolnym rynku dorzucano ideę praw i wolności człowieka, solidarności i demokracji. Mało kto się zastanawiał, że wartości te są stopniowalne (relatywne) i w wielu miejscach na świecie nieosiągalne (więcej państw na świecie praktykuje ustroje niedemokratyczne niż demokratyczne!). Ponadto wartości te nie są warunkowane wyłącznie ekonomią i pieniądzem. Opisowi rzeczywistości towarzyszyła neoliberalna nowomowa, posługująca się takimi hasłami, jak na przykład kapitał ludzki, pracodawca, pracobiorca, sieci, polityka rynku pracy, wykluczenie, zero tolerancji, wielokulturowość, wschodzące rynki... Znikły zaś takie kategorie jak klasy, wyzysk, grabież, dominacja, nierówność. Mamy do czynienia z iście orwellowskim odwracaniem znaczenia

terminów dotychczas stosowanych oraz zamazywaniem, zacieraniem czy relatywizowaniem ich sensu.

Pochwała dominacji wolnego rynku doprowadziła do ukrycia dwu istotnych zjawisk: (1) zmonopolizowania zarządzania olbrzymimi zasobami (kapitałem) przez zdecydowaną mniejszość oraz (2) centralizacji i koncentracji kapitału, powodującej obejmowanie większości gałęzi współczesnej gospodarki przez oligopole. W związku z tym wszelka apologetyzacja wolnego rynku opartego na konkurencji, dokonywana zarówno przez polityków, publicystów, jak i przez przedstawicieli środowiska akademickiego, może być traktowana współcześnie jedynie jako działanie wynikające z braku wiedzy lub ze świadomego cynizmu.

Neoliberalizm przy dużym udziale polityków, dziennikarzy i naukowców uczynił instytucję państwa wrogiem „wolnego rynku”. Zwolennicy poglądów neoliberalnych często atakowali państwo, przewidując jego zmierzch czy nawet pogrzeb (syndrom statofobii). W następstwie globalnego kryzysu ekonomicznego zaczęto jednak znowu dostrzegać zadania państwa w odniesieniu do pewnych obszarów: reform świadczeń społecznych (zabezpieczenia społecznego), rewitalizacji miast, polityki karnej czy polityki migracyjnej. Państwo okazało się „ostatnią deską ratunku” dla wielu korporacji, banków i innych prywatnych podmiotów gospodarczych, sięgających po pomoc ze środków budżetowych (programy ratunkowe). Polityka gospodarcza z udziałem państw obnażyła bezsilność fundamentalistów rynkowych, ale jednocześnie pokazała, jak doktryna może zapanować nad państwem i jego organami. Okazało się bowiem, że wszystkie te osławione deregulacje czy prywatyzacje zostały wdrożone przy udziale konkretnych państw i za ich zgodą. To jest właśnie jeden z paradoksów dzisiejszych czasów! Państwa nie należy ani osłabiać, ani ograniczać. Należy je po prostu przejąć i wykorzystać do swoich celów — to dzisiejsze credo neoliberalów. Przecież jakże skutecznie przy udziale państw przetransferowano publiczne pieniądze do prywatnych instytucji finansowych i korporacji. Państwa zostały zatem wykorzystane w sposób instrumentalny dla interesów wielkiego kapitału. Państwo nie jest niczyje, nie jest też własnością wszystkich obywateli. Jest jak za dawnych czasów — narzędziem w ręku klasy panującej ekonomicznie. Z powodu nieefektywności kontroli rządzących neoliberalny Lewiatan stał się znowu jedynie „komitetem zarządzającym” partykularnymi interesami korporacji, banków, ich właścicieli, menedżerów, rentierów, inwestorów itd. Skrajny przykład stanowią Stany Zjednoczone — synergia państwa amerykańskiego i świata biznesu/finansów pozwala na utrzymanie ich gospodarczej, politycznej i kulturowej dominacji w świecie. Doświadczenia ostatnich dekad pokazują, że dotychczasowi doktrynerzy globalizacji (bywalcy Davos) przypomnieli sobie o użyteczności państwa i jego dynamice. Po ponad dwu dekadach jego zwalczania, ograniczania, marginalizacji i deprecjacji przywrócono mu rolę instytucji ochraniającej własność, zapewniającej stabilność

monetarną oraz łagodzącej napięcia społeczne na tle rozwarstwienia. Nie ulega wątpliwości, że państwo pozostaje podstawową formą organizacji politycznej społeczeństw. Jest najważniejszym i najlepiej zorganizowanym podmiotem w poliarchii międzynarodowej, gwarantując pewien ład, oparty na normach prawa międzynarodowego, uznanych regułach gry (na przykład równoważenia sił) i wzorach zachowań (jak choćby *comitas gentium* — kurtuazja międzynarodowa).

Jakie jest więc jego współczesne znaczenie? Można na nie spojrzeć z kilku perspektyw: politologicznej, ekonomicznej, etycznej i antropologicznej. Nie chodzi przy tym ani o jego gloryfikację, ani deprecjację. Należy na państwo popatrzeć racjonalnie i obiektywnie.

Perspektywa politologiczna pokazuje, że państwo to dynamiczny organizm, instytucja zdolna do adaptacji wobec zmieniającego się otoczenia, dysponująca ogromnym potencjałem kreatywności i innowacyjności. Oczywiście zdarzają się konkretne przypadki zapaści i sklerozy politycznej, kiedy elity nie są w stanie wyjść z marazmu i regresu (Mancur Olson), ale to nie przeczy ogólnej prawidłowości historycznej. Perspektywa politologiczna nakazuje spojrzeć na państwo całościowo, holistycznie, w aspekcie zarówno genetycznym, strukturalnym, jak i funkcjonalnym, bez redukcji go do pojedynczych mechanizmów (władzy) czy zadań (rządzenia). Państwo pełni bowiem obok *stricte* politycznych i gospodarczych także funkcje kulturowe, społeczne (identyfikacyjne) czy moralne (wartościujące).

Odpierając zarzuty o degradacji państwa, trzeba spojrzeć na nie w kategoriach ponadczasowych, jako bytu trwałego, abstrakcyjnego czy typu idealnego, a nie tylko przez pryzmat konkretnych rodzajowych przypadków, które na zasadzie *pars pro toto* dostarczają podstaw uogólnień. Aż prosi się o przywołanie mądrości Fernanda Braudela — francuskiego historyka czasów nowożytnych, przedstawiciela szkoły „Annales” — aby nie myśleć tylko w kategoriach czasu krótkiego, nie sądzić, że najbardziej autentyczni są aktorzy czyniący wiele hałasu, bo są też inni aktorzy, skłonni do milczenia. Nie powinno się zatem ulegać wrażeniu, że konkretne współczesne państwa X, Y, Z i ich przypadłości przekreślają instytucję państwa jako organizacji osiadłej zbiorowości, spełniającej określone funkcje rozwojowe — zapewnienie bezpieczeństwa, postęp materialny i uspołecznienie zachowań. Taka instytucja trwa i ewoluuje, mimo że w ciągu tysięcy lat powstawało i upadało setki podobnych rodzajowych jej przykładów. Warto więc rozróżnić państwo w konkretnym ujęciu historycznym (organizacja terytorialna, przymusowa i suwerenna tu i teraz) i jako konstrukcję ontologiczną, byt, któremu przysługują pewne immanentne cechy (atrybuty czy przymioty).

Ze względu na ogromne zróżnicowanie państw bardzo trudno jest orzekać jednoznacznie o ich kondycji i wyciągać z tego spójne wnioski. Współczesna piramida państw obejmuje giganty, jakimi są niewątpliwie Stany Zjednoczone czy Chiny, ale także grupę wielkich potęg (Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Rosja,

Japonia, Indie), masę średniaków, wreszcie najliczniejszą drobnicę — „karłów” i „liliputów”. Jeśli do tego dodamy niby-państwa, tj. jednostki geopolityczne *de facto* kontrolujące swoje terytorium, mające ludność i efektywną władzę, lecz pozbawione uznania międzynarodowego (Tajwan, Cypr Północny, Kosowo, Nad-dniestrze, Somaliland), to okaże się, że większość spośród blisko 200 państw ma problemy z pełnoprawnym uczestnictwem w obrocie międzynarodowym. Blisko jedną trzecią całej liczby stanowią państwa dysfunkcyjne, co w ostatnich dekadach przybrało miano upadku państw (*failed states*). Taka jest jednak dynamika i dialektyka rozwoju społecznego. Jedne państwa ulegają destrukcji, na ich miejsce pojawiają się nowe i ten właśnie proces ciągłego odradzania się państw świadczy o sile instytucji państwa. Poza tym w kolejce do swojego państwa czekają ciągle liczne narody. „Posiadanie państwa” przez dany naród czy grupę narodów i narodowości jest elementem nobilitującym w środowisku międzynarodowym. Wbrew więc wszelkim tezom o zbędności czy przestarzałości państwa oraz dominacji wolnego rynku i jego instytucji wiele narodów i narodowości będzie w różny sposób dążyć (nie wykluczając działań zbrojnych) do powołania swojego państwa.

Państwo w perspektywie ekonomicznej jawi się jako gwarant i arbiter w nierównej konfrontacji między rynkiem (rynkami) a obywatelem (społeczeństwami), bez względu na to, jakie linie konfliktów będą kreślić fundamentalistyczni zwolennicy neoliberalizacji (na przykład: Dżihad kontra McŚwiat). Państwo — niezależnie od tego, jak dalece jest podporządkowane ekonomii — zawsze musi uwzględniać społeczne aspekty gospodarowania. Ład gospodarczy nie jest bowiem czystą pochodną stosunków zależności wynikających ze stosunków produkcji kapitalistycznej, której celem jest reprodukcja kapitału. Ład ten to także orientacja na logikę wyborów, zmierzającą do optymalnej alokacji dóbr i zasobów. Każda działalność gospodarcza odbywa się w ramach określonych systemów społecznych, a ramy polityczne (normatywne) państwa należą do najważniejszych. To ciągle państwo ma największą moc sprawczą w modyfikowaniu siły przetargowej stron kontraktów rynkowych (przetargi, koncesje, podatki, nadzór, planowanie rozwoju). Doświadczenie uczy, że żadna działalność gospodarcza współcześnie ani w dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie możliwa poza państwem i bez jego współudziału (Walter Block, Jerzy Wilkin).

Perspektywa etyczna państwa, tak jak w poprzednich wypadkach, jest pochodną przyjętych założeń doktrynalnych. Inaczej wygląda ona w państwach skandynawskich, zwłaszcza w Norwegii — najlepszym kraju na świecie (Nina Witoszek), a inaczej w Stanach Zjednoczonych, gdzie panuje dość powszechne przekonanie, że podmioty gospodarcze funkcjonujące na wolnym rynku nie mogą działać efektywnie i zarazem etycznie. Spór między zwolennikami „państwa nocnego stróża” i stronnikiem „państwa opiekuńczego” nie jest już dzisiaj tak jaskrawy, ale jego etyczne implikacje dla współczesnej doktryny nie są

przecież obojętne. Dążenie do szybkiego zysku, bez względu na koszty moralne i społeczne, oszustwo i kłamstwo oraz chciwość ujawniły prawdziwe oblicze neoliberalizmu podczas kryzysu, a zeznania to potwierdzające — byłego szefa FED (Systemu Rezerwy Federalnej) Alana Greenspana przed Komisją Izby Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych 23 października 2008 roku — dla wielu były szokujące.

Niezależnie od uwarunkowań doktrynalnych państwo pozostaje jedyną instytucją zdolną do tworzenia porządku prawnego sprzyjającego realizacji zasady sprawiedliwości społecznej (rozumianej najczęściej jako sprawiedliwość dystrybucyjna i sprawiedliwość kompensacyjna). Chodzi przede wszystkim o regulowanie stosunków między grupami społecznymi na tle podziału bogactwa społecznego, prowadzenie aktywnej polityki wobec rynku pracy, generowanie prawa chroniącego przed nieuczciwymi praktykami ze strony przedsiębiorców, banków czy korporacji międzynarodowych (kiedyś to się nazywało po prostu wyzyskiem). Walka z wykluczeniem czy łagodzenie negatywnych skutków nierówności społecznych pozostają, jak wiadomo, ważnymi postulatami aksjologicznymi w programach wielu sił politycznych sprawujących władzę i pretendujących do rządzenia w państwie. Nowoczesne państwo nie może pozostawać obojętne wobec obywateli, ale i osób bez tego statusu, które znalazły się na jego terytorium — nie może nie okazać pomocy, wsparcia czy nawet współczucia, gdy z niezawinionych przez siebie przyczyn są one w trudnej sytuacji życiowej (katastrofy humanitarne, kryzysy migracyjne, klęski żywiołowe). Mechanizm wolnego rynku jest w takich sytuacjach bezduszny, pozbawiony sentymentów i litości.

Patrząc z perspektywy antropologicznej na państwo, należy zauważyć, że ze względu na intensyfikację przepływów w skali globalnej we wszystkich dziedzinach życia społecznego ludzkość poddawana jest wpływowi kulturowym płynącym z tego samego źródła. Istotą „uniwersalnego kapitalizmu” (głównie o rodowodzie anglosaskim) jest promowanie i narzucanie neoliberalnych wzorców i wartości, niekoniecznie pasujących do miejscowych tradycji Ameryki Łacińskiej, Afryki czy Europy Środkowej i Wschodniej. Na tych obszarach wyraźnie przejawiają się towarzyszące globalizacji strategii postkolonialne i neokolonialne. W zderzeniu z neoliberalnym eksperymentem państwa nie są w stanie obronić się w warunkach globalizacji przed jego rujnującymi skutkami dla tradycyjnych struktur i wartości. Mogą jednak te skutki łagodzić bądź modyfikować. A rosnąca popularność ruchów na rzecz obrony własnej tożsamości świadczy o wyraźnym buncie wobec globalnego instruktażu i politycznej poprawności. Podstawowym celem państwa pozostaje więc dążenie do optymalizacji rozwoju cywilizacyjnego społeczeństw i poprawy jakości życia ludzi. Dlatego perspektywa antropologiczna obecnie — właśnie ze względu na dyfuzję wartości w skali globalnej — staje się tak istotna, wskazując na nieodzowne funkcje państwa w obronie człowieka przed tyranią wielkiego kapitału i globalnej finansjery.

Obróńcy neoliberalnych poglądów o konieczności ograniczania instytucji państwa w jego aktywności gospodarczej, społecznej czy kulturowej sięgają najczęściej do chwytliwego hasła o poszanowaniu i obronie wolności (Leszek Balcerowicz). W Polsce czyni to grupa beneficjentów przejścia metodą szokową wszystkich zasobów po poprzednim systemie, z naruszeniem prawa wartości i zwykłej przyzwoitości. Po kilku dekadach możemy z całą pewnością stwierdzić, że to „odkrywanie wolności” czy to w Ameryce Łacińskiej, czy w Europie Środkowej i Wschodniej, a także na Bliskim Wschodzie podczas „arabskiej wiosny”, przynosiło korzyści jedynie temu, kto takie hasło promował. Uzyskiwanie dostępu do nowych źródeł surowców, rynków zbytu i finansowe podporządkowanie czy wykreowanie fali zadłużeniowej następowało dzięki sprężeniu amerykańskiej siły politycznej i militarnej z możliwościami finansowymi korporacji transnarodowych, banków oraz organizacji — Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Z tego promowania wolności, czyli mitu słabego państwa, korzystają zatem Stany Zjednoczone. Działają przede wszystkim na osłabienie swoich przeciwników i konkurentów, obecnie w pierwszej kolejności Chin i Rosji, ale także, co ciekawe, „starych partnerów” w Unii Europejskiej. Wielu „misjonarzy i kapłanów wolności” tę imperialistyczną ekspansję usprawiedliwia rzekomo „obiektywnym procesem globalizacji”.

W najbliższych dekadach trwać będzie rywalizacja między mechanizmem globalnego rynku z jego największymi podmiotami (bankami, instytucjami ubezpieczeniowymi, korporacjami transnarodowymi, centrami wiedzy i innowacji) a państwami i ich organizacjami politycznymi, gospodarczymi i wojskowymi. Oligarchiczne instytucje o charakterze integracyjnym (jak Unia Europejska) czy największe korporacje (niczym dawne imperia) będą usilnie dążyć do wpływania na kreowanie organów i proces decyzyjny w państwach, które nawet gdy będą sięgać do legitymizacji demokratycznej, staną się posłusznymi narzędziami w ręku potentatów gospodarczych.

Na tym tle pojawia się oczywista odpowiedź na tytułowe pytanie: Polska potrzebna jest nam, Polakom, wszystkim obywatelom i rodakom, do obrony ich stanu posiadania, aby nie stali się ofiarą różnych szalbierzy i szubrawców, działających w imię mitycznej racji stanu na zamówienie i wedle instrukcji obcych mocodawców.

Krzysztof Bzdyl

działacz społeczny

Odpowiedź na to pytanie nie powinna stwarzać trudności. Już raz utraciliśmy niepodległość (z krótką przerwą) na 123 lata. Pisarze określali to sugestywnie, mówiąc, że „zatrzasnęło się wieko trumny”. Musiało to być odczuwane jako ogromna tragedia narodowa. Bo przecież do pewnego momentu, do 1795 roku, istniało, po dwu rozbiorach, okrojone, chore, ale wciąż formalnie niepodległe państwo, i nagle znika z mapy Europy.

Konsekwencje tego stanu rzeczy znamy doskonale: podzielona Polska między trzech zaborców, z których każdy starał się wynarodowić ludność polską, nieraz bardzo brutalnie i za pomocą barbarzyńskich metod. Polacy stawiali opór, wzniecane powstania krwawo tłumiono, a za tym szły wyroki śmierci, zsyłki, konfiskaty majątków, nasilona rusyfikacja etc.

Po prostu jako naród nie mogliśmy się rozwijać tak jak niepodległe państwo.

Niepodległość odzyskaliśmy w 1918 roku i potem obroniliśmy ogromnym wysiłkiem zbrojnym i wielkimi ofiarami w ludziach. Ale po tym, jak ją odzyskaliśmy, mogliśmy się w nieskrępowany sposób rozwijać przez 20 lat. I nikt nie może tego kwestionować, że były to dobre lata dla Polski zarówno rozwoju gospodarczego, jak i rozwoju kultury, nauki i literatury.

Druga wojna światowa i utrata niepodległości przyniosły ogromne ofiary ludzkie, a więc ludobójstwo popełniane na obywatelach państwa polskiego

przez obu okupantów — niemieckiego i sowieckiego/rosyjskiego, niemieckie obozy koncentracyjne oraz zsyłki na Sybir i do łagrów. Straty gospodarcze były ogromne, a kraj został zniszczony. Z wojny wyszliśmy jako kraj okupowany przez Sowietów, rządzony zaś przez komunistycznych zdrajców. I znów mordowano — tych, którzy nie chcieli się poddać dobrowolnie pod sowieckie jarzmo. A także tych, których podejrzewano, że mogą się buntować w przyszłości. Byliśmy okradani przez Sowietów i komunistów. Wyszliśmy z łap okupanta sowieckiego po 45 latach jako kraj zubożony i zniszczony ekonomicznie.

A więc państwo polskie pozwala nam się rządzić samodzielnie i rozwijać. Daje nam przede wszystkim wolność, i to dużo wolności. Jeżeli ktoś ma co do tego wątpliwości, to proszę pooglądać materiały telewizyjne choćby z Hiszpanii czy z Francji, pokazujące, jak tłumione były tam manifestacje. W Barcelonie widzieliśmy kobiety wleczone za włosy i policyjnymi kopniakami zrzucane ze schodów. Podobne sceny rozgrywały się na ulicach Paryża. A w Polsce — prawdziwy Wersal: manifestanci, czy to kobiety, czy mężczyźni, noszeni na rękach przez policjantów.

Mamy zatem wolność, i to dużo wolności, więcej niż w całej zachodniej Europie. I to nie tylko dla postaw konserwatywnych, ale również dla środowisk LGBTQ, które chcą zniszczyć system wartości większości społeczeństwa i fundamenty tradycyjnej rodziny. Państwo pozwala narodowi na najlepszy i najbardziej wszechstronny rozwój i jest jego najlepszym przedstawicielem.

Czy jest możliwa jakaś inna struktura niż państwo? Nie sądzę. Przykładem niech będą Stany Zjednoczone, gdzie bardzo dba się o wychowanie patriotyczne młodego pokolenia. Kiedy pyta się tam obcokrajowca, skąd pochodzi, a w odpowiedzi pada nazwa części świata, Amerykanie zawsze dopytują: „Ale z jakiego kraju?”.

Dzisiaj mamy do czynienia z partiami politycznymi, które walcząc z polskim rządem, występują przeciw podstawowym interesom państwa polskiego, a to oznacza, że przeciwko nam wszystkim. Należy się tylko dziwić, że tak mało ludzi to dostrzega i wchodzi na tę samobójczą drogę, bezrozumnie wspierając interesy lobby berlińsko-brukselskiego.

Marcin Chmielowski

politolog, filozof

Libertarianinowi, zwolennikowi wolności jednostki ograniczonej jedynie wolnością innych jednostek, trudniej niż kolektywiście odpowiada się na pytanie „Po co nam Polska?”. Na tym wszak polega fascynujący trud przystosowywania abstrakcyjnych myśli do twardej rzeczywistości — i warto się z nim mierzyć. Filozofię polityki, także libertariańską, powinno się uprawiać jako dyscyplinę uczestniczącą, a nie kontemplacyjną, rynek zaś widzieć jako ciekawsze miejsce niż wieża z kości słoniowej. W gwarnym miejscu łatwiej zresztą spotkać rodaków i wspólnie z nimi odpowiedzieć na zadane pytanie.

Ta odpowiedź zawsze powstanie ze zmieszania ze sobą różnych konkurencyjnych idei. W tej grze, bardzo dalekiej od modelu doskonałej konkurencji, a przez to jakże ciekawej, mogę dołożyć swoje rozumienie tego pojęcia. Jeszcze jedną kostkę domina. Siła, z jaką ja i podobni do mnie będziemy promowali swoje rozumienie Polski i polskości, ostatecznie złoży się na to, jaka Polska będzie w przyszłości — zresztą nie tylko jaka będzie, ale i po co.

Jako libertarianin, niekatolik, nieromantyk, nieobecny na Jasnej Górze, niezafascynowany powstańczą presją na krwawy moralny wynik, w dodatku niepozbierający 500+, pewnie nie jestem statystycznym Polakiem ani nawet cieniem wyobrażenia o takowym. Polska nie jest dla mnie wiązką tradycji, które mogę oglądać z mojego miejsca w tramwaju historii w oczekiwaniu na przystanek, gdzie wysiądę. A po mnie wsiądą kolejni.

Polska nie jest tylko widokiem za oknem, który zmienia się podczas jazdy, ale bez mojego udziału. Polska to dla mnie projekt, który należy rozwijać, kapitał, który — gdy już zrzędzeniem losu został przeze mnie odziedziczony — wstyd zmarnować, logotyp, który należy upowszechniać, rynek, który należy zagospodarować. Marka, którą trzeba sprzedać, a nabywców szukać nie tylko wśród tych, co mają polskich rodziców, ale także wśród tych, którzy wybiorą polskość jako swoją identyfikację, swoją metkę. A później będą jej, w przeciwieństwie do butów, samochodów czy napojów, wierni.

O ile ta marka, jaką jest Polska, im na to pozwoli. Bo może być i tak, że przez siły tych, którzy nie wierzą w twórczą destrukcję i jej gorzki, ale zbawienny wpływ, Polska stanie się garbem, obciążeniem, łatką, a nie metką, wyludniającą się zbankrutowaną umieralnią. Mogę spróbować to zmienić, łączyć, a nie dzielić, łączyć też siły z podobnymi do mnie.

Raczej liberałami, raczej pozytywistami, katalaktycznymi patriotami, którzy codziennie sprzątają swoje pokoje, bo wiedzą, że z bałaganem u siebie wręcz nie wypada udawać się na sprzątanie wspólnego podwórka.

Polska to dla mnie zaproszenie. Test z umiejętności rozwijania tego, co mamy, sprawnego operowania kapitałami, także symbolicznym czy społecznym, w celu osiągnięcia wspólnego zysku. Polska powinna być bowiem grą o sumie dodatniej — i jeśli teraz jest grą o sumie zerowej, a wiele na to wskazuje, to trzeba to zmienić. Trzeba tak przeprojektować zasady transpokoleniowej sztafety, aby korzystali na nich wszyscy szanujący reguły. Reguł zaś powinno być niewiele, kazuistyka bywa krępująca dla ludzkiego działania.

Jest w tym wszystkim bardzo dużo miejsca na tradycję, skarbnicę, z której można wiele się nauczyć, bardzo długą rozmowę z bardzo starym człowiekiem, któremu jednak nie można dać się zagadać na śmierć. Bo jeśli mu na to pozwolić, stanie się tyranem, mrozem, który z siłą meteorytu tunguskiego odbierze ciepło żyjącym, zatrzyma kreatywność, zmianę, postęp — a z niego akurat też trzeba mądrze korzystać, nie wsiadać do pędzącego pociągu, nawet wtedy, kiedy jest to modne i zachodnie TGV, bo z jego okien możemy nie zobaczyć tych wszystkich błędów, których jakoś możemy jeszcze uniknąć. Polska, jeżeli ma być historią sukcesu, musi balansować między wyobrażeniami przeszłości i przyszłości, brać z nich to, co najlepsze, z tego i z patrzenia na nasze dziś tworzyć jak najlepszą wersję siebie. Jako przestrzeń wymiany, wolności, szacunku, twórczości. Dla każdego, kto chce się w niej rozwijać i ją rozwijać w sobie.

Po co nam Polska? Po to, abyśmy mogli uczyć się być wolnymi i pomagać być wolnymi innym.

Kazimierz Dadak

ekonomista

Polska jest nam niezbędna!

Po co nam Polska? W całym rozwiniętym świecie pytanie o potrzebę istnienia kraju ojczystego należy do pytań retorycznych — niestety, Polska jest tu wyjątkiem.

Albowiem od posiadania własnego państwa nie ma ucieczki. Wystarczy spojrzeć na naszą przeszłość. W czasach, gdy Polska była potężnym państwem, umownie w okresie 1331–1648, czyli od chwili, gdy krzyżacko-czeski plan rozbioru odradzającej się Polski spalił na panewce, do powstania Chmielnickiego, nasz kraj liczył się w europejskiej polityce, a jego obywatele cieszyli się dobrobytem i wolnościami. Kwitły kultura i nauka, przedstawiciele stanu średniego byli w stanie pobierać nauki w najlepszych zagranicznych uniwersytetach, a i poziom życia chłopów, jak na owe czasy, był przyzwoity. Bywało, że nawet ludzie wywodzący się rodzin chłopskich notowali niezwykle osiągnięcia, jak choćby Klemens Janicki, który w 1540 roku od papieża Pawła III uzyskał tytuł *poeta laureatus* — ówczesny Nobel z literatury.

Okres wcześniejszy, czyli rozbięcie dzielnicowe, to czasy, kiedy nie byliśmy w stanie sobie poradzić z nie tak znowu potężnymi przeciwnikami (na przykład Pomorzanie, Jądzwingowie i Prusowie, a o Tatarach lepiej nie wspominać). Poszczególne dzielnice były grabione, bezpieczeństwo, dobrobyt i życie obywateli były zagrożone. Nie inaczej miały się sprawy w czasach po 1648 roku, gdy *de facto*

doszło do rozbicia na strefy wpływów rodów magnackich i nastąpiła „decentralizacja suwerenności”, jak to zwięźle określił Bogusław Leśnodorski. W XVIII wieku pozbawiona silnej władzy centralnej Rzeczpospolita Obojga Narodów była igraszką w rękach ościennych mocarstw, kraj był pustoszony przez obce armie i zdecydowana większość obywateli żyła w niedostatku. Rozbiory były tylko logiczną konsekwencją braku Polski mającej prężny aparat państwowy.

Argumenty na rzecz zbędności istnienia (silnego) państwa polskiego z jednej strony odzwierciedlają niechęć do ponoszenia wysiłku koniecznego do stworzenia i utrzymania takiego organizmu, a z drugiej są świadectwem iluzji, że inne rozwiązania (na przykład przekształcenie Unii Europejskiej w państwo federalne) są możliwe.

Już Jan Sobieski, gdy stanął wobec dużych kłopotów natury politycznej i finansowej w 1666 roku, wystąpił do Ludwika XIV i zgłosił chęć przeniesienia się do Francji. Oprócz wielkiego majątku oraz tytułów księcia i para Sobieski oczekiwał przywilejów dla żony i jej rodziny — i o to sprawa się rozbiła. W drugiej połowie XVII wieku większości polskiej elity już nie przyświecały ideały twardej, nieustępliwej walki o kraj, nawet za cenę własnego życia, które były czymś powszechnym jeszcze pokolenie czy dwa wcześniej.

Warto nadmienić, że w owym 1666 roku Jan Sobieski należał do grona czołowych magnatów w Rzeczypospolitej, państwie, które słynęło szlacheckimi swobodami, w którym polityczne motto sprowadzało się do walki z „absolutum dominium”. Tymczasem Sobieski chciał się przenieść właśnie do kraju — symbolu władzy absolutnej. Tak wyglądało to zderzenie wolnościowej retoryki z pokusami wygodnego doczesnego życia.

Później było już tylko gorzej. W obliczu rozbiorów elity kapitulowały bez walki, żaden wielki magnat nie naraził swej fortuny dla Ojczyzny. Potem powstania były organizowane nie przez elity, ale przez niedoświadczonych „gołowąsów”, i stąd te klęski. Natomiast elity przegapiły znakomite okazje do walki, jakimi były na przykład powstanie dekabrystów czy wojna krymska. Bez przesady można powiedzieć, że od ponad trzech i pół wieku większość elit zachowywała się tak, jak to w 1866 roku otwarcie obwieścił władcy zaborczego mocarstwa Sejm galicyjski: „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy”. W świetle takiej postawy Polska jest zupełnie zbędna.

Płonna jest nadzieja, że narodowe państwo zastąpi nam Europa. Dalsza integracja Unii Europejskiej nie nastąpi w przewidywalnej przyszłości. Można powiedzieć, że proces jednoczenia się kontynentu został zahamowany, jeśli wręcz nie odwrócony, dokładnie w rok po przystąpieniu przez Polskę do tego ugrupowania. Stało się tak nie dlatego, że hordy „moherów” tak zadecydowały, ale dokonali tego potomkowie encyklopedystów, odrzucając traktat ustanawiający konstytucję dla Europy. Z tego powodu niemiecki Trybunał Konstytucyjny uznaje Unię Europejską za organizacją międzynarodową, a nie za państwo.

Gwoli ścisłości dodajmy, że Parlament Europejski tylko z nazwy jest władzą ustawodawczą, bo takiej mocy nie posiada. Komisja Europejska nie jest demokratycznie wyłonioną władzą wykonawczą. Podobnie TSUE nie ma żadnego demokratycznego umocowania. Niemniej znaczna część elit — tak jak Sobieski trzy i pół wieku wcześniej — jest skłonna zamienić życie w demokratycznym, opartym na (jakkolwiek niedoskonałej) konstytucji systemie na życie wygodne, ale pozbawione podstawowych praw i swobód.

Od maja 2005 roku nie tylko pani Marine Le Pen i jej stronnictwo zwiększyły swoją popularność wśród francuskich wyborców, ale też podobne partie powstały i umacniają własne pozycje na przykład w Niemczech i we Włoszech.

Jeszcze przed wprowadzeniem euro ekonomiści przestrzegali przed potencjalnymi ujemnymi skutkami tej inicjatywy i doświadczenia ostatnich kilkunastu lat w pełni te obawy potwierdziły. Zatem euro, jedyny element, który Unia ma wspólny z niepodległym państwem, ma charakter dezintegracyjny, a nie scalający.

Z tych powodów dalsze jednoczenie się Europy będzie niesłychanie trudne, a moim zdaniem — wręcz niemożliwe. Nie postuluję polexitu, ale brexit dowodzi tego, że Unia nie spełnia pokładanych w niej nadziei.

Skoro w przewidywalnej przyszłości w sprawie głębszej integracji Unii Europejskiej nic się nie zmieni, to nie pozostaje nam nic innego poza umacnianiem potęgi i zwartości naszego kraju, bo tylko takie państwo jest w stanie zająć należne mu w świecie miejsce.

Żadna zewnętrzna siła nie załatwi za nas takich podstawowych spraw, jak obrona granic, ochrona mienia i życia obywateli, zapewnienie opieki zdrowotnej, emerytur dla osób starszych, wykształcenie młodych pokoleń czy stworzenie prężnych i nowoczesnych instytucji badawczo-rozwojowych. Ci, którzy hołdują nadziejom, że ktoś za nas załatwi te podstawowe kwestie, przypominają rodziną magnaterię ze schyłkowego okresu Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która to magnateria była bardzo zadowolona z tego, że podatki są niemal symboliczne, natomiast Imperatorowa nie tylko przysyła do naszego kraju wojska utrzymujące w ryzach niesfornych chłopów pańszczyźnianych, ale i wypłaca godziwe pensje. Jak to się skończyło, chyba nie trzeba przypominać.

Niestety, znaczna część polskich elit — czy to z lenistwa, czy to z jakichś pobudek ideologicznych — jest skłonna wyrzec się ciężaru ponoszenia odpowiedzialności za siebie, swoich bliskich i własny naród. Jest to postawa bez precedensu wśród innych narodów.

Doświadczenia wielu narodów, które w trakcie ostatnich stuleci dokonały wielkiego skoku cywilizacyjnego i osiągnęły dobrobyt, w sposób oczywisty, dowodzą, że bez własnego państwa jest to niemożliwe.

Stany Zjednoczone osiągnęły bogactwo i pozycję supermocarstwa tylko dzięki zrzuconiu brytyjskiego jarzma. Nie inaczej miały się sprawy w Kanadzie, a później w Australii. Dziś do takiego statusu powoli dochodzą Indie.

Dla polskiego czytelnika zapewne brzmi to niewiarygodnie, ale w 1948 roku PKB na mieszkańca był w Polsce wyższy niż w Japonii o jakieś 20 procent. Ogromny skok gospodarczy, jaki Japonia zanotowała po 1948 roku, to był wynik istnienia państwa japońskiego. Toyoty, Hondy czy Panasoniki zrodziły się w Kraju Kwitnącej Wiśni nie w wyniku zagranicznych inwestycji, ale za sprawą wielkiego wysiłku narodu, który to wysiłek był stymulowany i kierowany skuteczną polityką ekonomiczną państwa. Tym sposobem w 2018 roku PKB na mieszkańca był w Polsce niższy niż w Japonii o ponad 40 procent (Maddison Project Database, 2020).

Jeszcze większy sukces odnotowała Korea Południowa, która przed 1945 rokiem była w praktyce kolonią japońską. Z tego powodu w 1948 roku PKB na mieszkańca był w Polsce wyższy ponadtrzykrotnie od tego w Korei. Ale Koreańczycy, też dzięki posiadaniu własnego państwa, stworzyli światowe firmy w rodzaju Hyundai, Samsunga i LG i tym sposobem w 2018 roku PKB na mieszkańca był tam wyższy niż u nas o prawie 40 procent (Maddison Project Database, 2020).

Niestety, rodzime doświadczenia nie mają wiele wspólnego z historią tylu innych krajów. Od ponad trzech i pół wieku — w okresach, gdy byliśmy niepodległym bytem — nasze państwo nie odgrywało roli czynnika zapewniającego dobrobyt i bezpieczeństwo przytłaczającej większości obywateli. Co gorsza, niejednokrotnie wysiłki milionów były zawłaszczane przez stosunkowo nielicznych.

W latach 1918–1920 odzyskaliśmy niepodległość dzięki wysiłkowi milionów Polaków, lecz jej owoce przypadły drobnej garstce. W międzywojennej Polsce co czwarty obywatel doświadczał głodu, podczas gdy nieliczni bawili się w Monte Carlo i robili zakupy w Londynie, Paryżu i Berlinie. Podobnie w 1989 roku komunizm upadł między innymi dzięki poświęceniu i ofiarom milionów „szarych” ludzi, którzy stworzyli NSZZ „Solidarność” i po 13 grudnia 1981 roku nadal stawiali opór. Po okrągłym stole w wyniku transformacji gospodarczej przytłaczająca większość z nich wpadła w ciężkie kłopoty finansowe — w latach 2002–2004 co piąty Polak był bezrobotny. Nieliczni zaś zbili majątki — większość z nich wywodziła się z komunistycznej nomenklatury.

Dlatego pytanie „Po co nam Polska?” nie jest bezzasadne. Państwo, które traktuje większość mieszkańców jak obywateli drugiej kategorii, może być właśnie postrzegane jako zbędny balast. Niemniej wyboru nie mamy. Liczenie na to, że kiedyś zrodzi się zjednoczona Europa, jest mrzonką. Gdyby zapytać przeciętnego Niemca, Francuza, Hiszpana czy Włocha, czy on chce pozbyć się swojej historii, tradycji, zwyczajów i języka i stać się „Europejczykiem”, to ta osoba pomyślałaby, że pytający pochodzi z innej planety.

Większość amerykańskich uniwersytetów to „globalna wioska”. Gdy zostałem przyjęty do pracy, na moim wydziale pracowało dwoje Amerykanów, Maltańczyk, Niemiec i Polak (autor niniejszego tekstu). Maltańczyk po przejściu na

emeryturę wrócił do swojego kraju. Niemiec co prawda nie wrócił do rodzinnego Czarnego Lasu, ale tylko dlatego, że w Niemczech nie miałby zapewnionej darmowej opieki zdrowotnej, a miał już zawał. Niemniej po dziś dzień nie przyjął amerykańskiego obywatelstwa. Polak zaś spakował walizki i wrócił nad Wisłę. Amerykanie oczywiście zostali u siebie.

Pytanie „Po co nam Polska?” nie jest pytaniem retorycznym tylko w Polsce!

Jarosław Dobrzański

filozof, historyk idei

Biorąc pod uwagę ogólny stan państwa polskiego, jakość panującej w nim kultury politycznej, poziom jego warstwy kierowniczej, standard norm współżycia społecznego oraz wiele obiektywnych wskaźników ekonomicznych, demograficznych i społecznych, można by łatwo wyśmiać to pytanie, a nawet odpaść wprost, że większości z „nas” nie jest potrzebna do niczego. Gdyby nie jedna niebagatelna okoliczność, która każe nam powściągnąć nieco surowość tej opinii. A chodzi o to, że coraz częściej głębokiemu niezadowoleniu ze swoich państw dają wyraz obywatele wielu bogatych kiedyś krajów Europy Zachodniej, jak i mieszkańcy samej krynicy dobrobytu i demokracji — Stanów Zjednoczonych, coraz liczniej zamieszkujący w miasteczkach namiotowych rozsiadanych wzdłuż głównych arterii wielkich metropolii. Na naszych oczach świat się zmienił na gorsze i w coraz większej liczbie państw do niedawna uważanych za bogate i nowoczesne coraz większa część zamieszkujących je populacji nie czuje się tam gospodarzem i nie widzi dla siebie szans na dobre życie. Pod tym względem Polska nie jest więc, niestety, wyjątkiem, choć wciąż znajdują się w jej pobliżu miejsca w opinii wielu Polaków bardziej odpowiednie do życia.

Mimo to, a może z powodu niedostrzegania tej okoliczności, wciąż spora część obywateli, choć nie mówi tego wprost, swoimi wyborami — negatywnie — odpowiada na to pytanie.

Poziom emigracji rósł stale od momentu, w którym obywatele w „wolnej Polsce” mogli swobodnie wyjeżdżać za granicę. Nic bardziej nie przemawia do mojej wyobraźni niż masowy exodus, który rozpoczął się z chwilą przyłączenia Polski do Unii Europejskiej i który odczytuję jako wypowiedzenie obywatelstwa Polsce przez miliony migrantów. Zapewne gdyby nie rozmaite bariery wciąż stojące — mimo deklaracji unijnej zasady wolnego przepływu ludzi — na drodze do szczęśliwego osadnictwa „eks-Polaków” na obcych ziemiach, z kraju nad Wisłą wyjechałoby jeszcze więcej osób. Nie tylko nie spada, ale wciąż rośnie odsetek deklarujących chęć wyjazdu wśród najmłodszych kohort wiekowych. A przecież wyjeżdżają nie tylko bardzo młodzi, lecz także ludzie w sile wieku, którzy mają jeszcze przed sobą jakąś perspektywę na poprawę losu. Problem dotyczy zatem wszystkich grup wiekowych z wyjątkiem seniorów, bo stare drzewo trudno jest przesadzić w nowe miejsce. Mówię o nich jako eks-Polakach w sensie obywatelstwa. Wiem, że wielu z nich legitymuje się wciąż polskimi dokumentami podróży, ale nie wątpię również, że głównej przyczyny tego stanu rzeczy trzeba szukać w uciążliwych, niekiedy trudnych do spełnienia, wymogach formalnoprawnych i długotrwałych procedurach zmiany i pozyskania prawa pobytu stałego i obywatelstwa w innych krajach. Krótko mówiąc, większość z tych osób od ręki oddałaby polski paszport w zamian za analogiczny dokument z kraju, do którego próbuje się dostać, gdyby tylko miała taką możliwość. Z drugiej strony jedynymi korzyściami, jakie z tej sytuacji, którą należy postrzegać jako ciężką chorobę społeczną, może odnieść państwo polskie, jest ułatwienie mu przez migrantów utrzymywania na niskim poziomie wskaźników bezrobocia w kraju oraz zasilanie polskiego obiegu pieniężnego i gospodarczego, w tym szczególnie budownictwa mieszkaniowego, zastrzykami finansowymi z zagranicy od eks-Polaków, którzy — kupując w Polsce mieszkania — chcą zarobić spekulacyjnie na rozgrzanym rynku albo inwestują w spokojną przystań na starość „na wszelki wypadek”. Są to dla Polski korzyści krótkotrwałe i pozorne. Pod każdym innym względem emigracja w czasie pokoju musi być postrzegana jako rujnująca kraj plaga społeczna, której odroczone skutki dopadną kiedyś to lekkomyślne państwo, sprawiające wrażenie, jakby nie dostrzegało w tym żadnego problemu.

W Polsce od dawna mamy do czynienia z niewydolnością systemu (jeśli chaos i bałagan można tym słowem nazwać) opieki zdrowotnej. Przypomnę więc, że „służbę zdrowia” z czasów zbrodniczej ponoć komuny od 1989 roku zastępowano stopniowo różnymi wynalazkami, poczynając od kas chorych, przez „komercjalizację”, prywatyzację, rozmaite fundusze, a kończąc na „wycenach procedur medycznych” i notorycznie niedoinwestowanym i nieefektywnym molochu zwanym systemem „ochrony zdrowia”. Wspólnym celem wszystkich tych wysiłków deformatorskich było odchudzenie i okrojenie zbyt hojnej, zdaniem neoliberalnych dewastatorów, opieki medycznej odziedziczonej po socjalizmie oraz chęć przykrycia niewygodnej prawdy, że kraj w zasadzie został pozbawiony szans na

zbudowanie dobrze funkcjonującego, spójnego i zapewniającego równy dostęp systemu zabezpieczającego podstawowe potrzeby medyczne starzejącego się społeczeństwa, a ludzi zostawiono samym sobie z ich problemami zdrowotnymi. Kiedy pisałem te słowa, pandemia koronawirusa odsłoniła bezlitośnie wszystkie braki i patologie tego ledwie dyszącego mechanizmu. Nie chcę upolitycznić tego tematu i daleki jestem od twierdzenia, że winę za niedostateczne zabezpieczenie obywateli na wypadek epidemii oraz za niekompetentne jej zwalczanie ponosiła wyłącznie ówczesna ekipa władzy. Sprawa ta wiąże się jednak bezpośrednio z kwestią emigracji, o której mowa była wyżej. Otóż poczynając od lat dziewięćdziesiątych XX wieku, a więc na długo przed przyjęciem Polski do „wspólnoty” europejskiej, zaczął się exodus lekarzy z Polski, będący następstwem skandalicznego wręcz niedoinwestowania tego istotnego społecznie sektora. Oprócz indywidualnych wyjazdów trwał zorganizowany proceder okradania kraju z wysoko wykwalifikowanych kadr medycznych, których koszt edukacji i specjalizacji poniosło zniechęcone przez późniejsze władze i media państwo ludowe, PRL, to znaczy całe społeczeństwo. Po 1989 roku legalnie działały w Polsce firmy specjalizujące się w eksportowaniu do krajów bogatego Zachodu lekarzy, dentystów, pielęgniarek. By zwiększyć swoje dochody, firmy te wpadły na diabelski pomysł, by w przeciwną stronę, do Polski, kierować strumień bogatych pacjentów z krajów zachodnich, którzy płacąc za tanie dla nich „usługi i procedury” medyczne, wypychali z kolejek do sanatoriów schorowanych polskich seniorów, emerytów i rencistów, kierowanych tam na turnusy drugiej jakości, bo opłacane skąpo przez ZUS. Państwo polskie nie zrobiło nic, by te haniebne procedery — rabunkowego eksportu i importu medycznego — powstrzymać, a gangsterskie firmy zdelegalizować. Zamiast tego z zapalem szaleńca likwidowało, przez wpędzanie w zadłużenie i upadłość, szpitale państwowe, za bezcen przekazując ich latami gromadzony majątek społeczny rozmaitym szabrownikom w postaci łupu prywatyzacyjnego. Nie jest prawdą, że państwo nie mogło nic zrobić. Wmówiło to sobie i społeczeństwu, że nie ma do dyspozycji „żadnych guzików” polepszających jakość życia czy choćby jej niepogarszających, a proces wymuszonej odgórnie erozji budowanej przez dziesięciolecia tkanki szpitalnictwa i opieki ambulatoryjnej jest czymś naturalnym i stanowi początek odnowy systemu zbudowanego na gruzach starego, ale już na zdrowych, komercyjnych zasadach. Inne liberalne państwa nie były tak beczynne i potrafiły bronić swoich interesów, mimo że chodziło o ochronę interesu silniejszego w zderzeniu ze słabszym. Kiedy przyjmowano nas do Unii Europejskiej, państwa zachodnie wynegocjowały korzystne dla swoich gospodarek warunki odraczające o siedem lat przyznanie Polakom równych praw na ich własnych rynkach pracy, mimo szumnych uroczystych zapowiedzi i pustych deklaracji o Unii jako przestrzeni swobodnego przepływu ludzi i siły roboczej. Przepływ był — nie tylko swobodny, ale i mocno wspomagany — lecz tylko w jedną stronę. Był to drenaż mózgow i rąk do pracy w kluczowych dla sprawnego

funkcjonowania obszarach zatrudnienia państw zachodnich, na których występowały deficyty kadr. Pomógł pogrążającym się w kryzysie krajom, które w trudnym okresie zupełnie za darmo zyskały gotową do pracy armię dobrze wykształconych ludzi. Przyjmowanie Polaków do pracy na rynku brytyjskim nie było skutkiem wyjątkowej przychylności ani dobroczynności Brytyjczyków wobec Polaków, lecz zbiegu okoliczności. Wynikało z dobrze wykalkulowanego egoizmu i potrzeby chwili. Brytyjscy pracodawcy nie musieli zapłacić za wykształcenie i wyszkolenie emigrujących na Wyspy polskich pracowników ani inwestować w podniesienie wydajności pracy swojej rodzimej siły roboczej. Zyskali natychmiast na przejściu rzeszy ludzi, którym można było zapłacić znacznie mniej, niż wymagał tego lokalny rynek. Jeśli więc mówimy dziś o zapaści lecznictwa w Polsce, braku rąk do pracy, starzejącej się kadrze lekarzy i pielęgniarek, wielotysięcznym deficycie lekarzy, to musimy być świadomi, że nie stało się tak z dnia na dzień, za sprawą dopustu bożego, klęski naturalnej czy wojny, lecz w wyniku długotrwałej błędnej strategii lub braku strategii, bezczynności, ciągu złych decyzji i braku decyzji ze strony czynników odpowiedzialnych za państwo i jakość jego polityki.

Część z tych ludzi, których utraciliśmy za sprawą emigracji, spoza zawodów medycznych i innych poszukiwanych profesji wymagających specjalistycznej wiedzy, stanowiła armię nadliczbowej, zbędnej siły roboczej, której zdewastowany przez poronioną transformację polski rynek pracy nie był w stanie zaabsorbować. Może warto przypomnieć niewygodny i dawno zapomniany fakt, że jeszcze w 2004 roku bezrobocie w Polsce wśród osób młodych wynosiło 50 procent. Po akcesji unijnej Polaki wyjechali z kraju ludzie młodzi, mieszkający w miastach, stosunkowo dobrze wykształceni, kulturowo przygotowani do życia na emigracji. To nie byli sezonowi migranci wyjeżdżający ze wsi do pracy w rolnictwie niemieckim. Większość z nich zasiła na stałe tamtejsze rynki pracy, zasoby fiskusa i systemy emerytalne i nigdy do Polski nie wróci, a nieobecność tak znacznej populacji, sumująca się do rozmiarów luki międzypokoleniowej, z pewnością w przyszłości odcisnie swoje piętno na polskiej rzeczywistości w wielu miejscach. Podsumowując, Polsce ten proceder mocno zaszkodził, a odroczone skutki skandalicznej abdykacji państwa z jego roli regulującej i korygującej fluktuacje na rynku pracy dopiero zaczną dawać o sobie znać. Dziś niemal truizmem jest już mówienie, że kapitał jednak ma ojczyznę, a zagraniczne inwestycje nie są filantropią, ale kiedy mówiłem i pisałem o tym wiele lat temu, znajomi fanatycy liberalni pukali się w czoło i wysyłali mnie do Korei Północnej. Dobrze, że kropla drąży skałę i anachroniczne opinie *à la* Balcerowicz–Petru uznawane są dziś za historyczną osobliwość i skamienielinę, tyle że za trzydziestoletnią hegemonię fałszywej ideologii uznawanej wtedy za ostatnie słowo nauki płacimy do dziś i długo jeszcze będziemy płacić.

Czy więc taka Polska, bierna w obliczu patologii i katastrofy społecznej, była i jest komukolwiek do czegokolwiek potrzebna? Warto może dla odświeżenia

głów zacadzonych antykomunistyczną propagandą skonfrontować wskaźniki demograficzne „wolnej Polski” z odpowiednimi danymi historycznymi z okresu wyszydzanej i potępianej „zbrodniczej komuny”, kiedy to mieliśmy stały i realny (dodatni, gwarantujący zastępowalność pokoleń) przyrost ludności, imponujące wskaźniki urodzeń i wydłużającą się średnią długość życia. Tymczasem po „odzyskaniu niepodległości” tendencje się odwróciły (z wyjątkiem tego ostatniego wskaźnika, ale pod tym względem i tak wyróżniamy się na niekorzyść w porównaniu z Zachodem), a po wejściu Polski do Unii gremialnie wyjechała z niej młodzież z ostatniego w PRL wyżu demograficznego z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Kolejną wątpliwość budzi domniemany zbiorowy adresat tego pytania — po co „nam” Polska? Nam, to znaczy komu? Już wiemy, że kilku milionom mi-grantów raczej nie jest do niczego potrzebna, skoro ośrodkiem swojego życia uczynili inny kraj. Jeśli z kolei spojrzeć na zaangażowanie społeczne ludzi wciąż pozostających w kraju, to rzuca się w oczy olbrzymia apatia społeczna i anomia. Polska nie tylko nie jest dobrze urządzonym państwem. Nie jest też społeczeństwem, a już na pewno nie jest wspólnotą. Tym, co najbardziej uderza postronnego obserwatora, jest ten powszechny brak uszanowania dla celów wykraczających poza egoistyczne potrzeby zredukowane do kręgu najbliższej rodziny. W Polsce nie istnieje wspólnota na żadnym poziomie społecznym, poczynając od sąsiedzkiej, przez samorządową, po w szerszym sensie lokalną, terytorialną, a na końcu ogólną, państwową. Jesteśmy ludnością, populacją, ale nie społeczeństwem. Jeśli już się organizujemy, to w formie niemal trybalno-klanowej. Wyjątki stanowią bardzo świadome swoich interesów, dobrze umocowane politycznie, niewielkie grupy interesów skupione przede wszystkim w dużych ośrodkach miejskich i walczące nie o wspólne dobro, ale o szczególne przywileje dla siebie, więc jest to również uspołecznienie patologiczne, paradoksalnie antyspołeczne. Niski wskaźnik udziału Polaków w wyborach — jeśli mierzyć nim poziom akceptacji systemu politycznego, utożsamiania się ze wspólnotami społecznymi i zaangażowania w sprawy ponadjednostkowe i ponadpartykularne — prowadzi do podobnej konkluzji: nie jesteśmy wspólnotą. Na arenie polityki ujawniają się zresztą najbardziej destrukcyjne modele zachowań sekciarsko-plemiennych. Poczynając od selekcji negatywnej kadr, przez rugowanie z życia publicznego autentycznej debaty i partycypacji, a kończąc na traktowaniu najwyższych nawet stanowisk w państwie w sposób ostentacyjnie instrumentalny i cyniczny, bez liczenia się z tym, jak demoralizujący musi to mieć wpływ na rządzonych i jak dalece obraża to ich poczucie godności. Bo przecież czym innym jest bycie rządzonym przez nasłanych z zewnątrz kacyków z założenia reprezentujących obce interesy, a czymś zgoła odmiennym poczucie uzależnienia od władzy jawnie niekompetentnej, czasami skrajnie nieodpowiedzialnej i głupiej, ale nominalnie własnej. Siermiężna u swoich początków „demokracja” polska w ciągu minionych dekad

zdobyła przewagę nad społeczeństwem, opanowując niemal do perfekcji sztukę organizacji plebiscytów i głosowań bez realnych wyborów, pluralizmu i autentycznej reprezentacji. Nie dziwi, że w tej sytuacji poza wyjątkowymi okazjami ludność w przeważającej większości lekceważy wszelkiego rodzaju okresowe „obowiązki obywatelskie” i nie uczestniczy w wyborach, od lokalnych po centralne, na których wynik nie ma większego wpływu. Jeżeli, jak przekonywał na przykładzie dziewiętnastowiecznej Ameryki Tocqueville, demokracja sprawdza się przede wszystkim na poziomie lokalnym, to Polska XXI wieku jest zaprzeczeniem tej tezy: nigdzie bardziej niż na poziomie lokalnym, od zakopanych na głębokiej prowincji gmin i miasteczek po największe aglomeracje miejskie, nie mamy do czynienia z bardziej jaskrawym wypaczeniem idei pluralizmu i partycypacji. Na samym dole system uległ petryfikacji: w małych i wielkich miastach normą stały się trzydziestoletnie rządy burmistrzów i prezydentów okopanych niczym satrapowie na swoich włościach. Dobrze zorganizowane i zgrane grupy wpływu, skupione wokół pajęczyny powiązań magistratów, rozmnożonych wydziałów urzędów administracji lokalnej, spółek miejskich i ich kontrahentów, skutecznie sprywatyzowały całe miasta i podporządkowały je partykularnym interesom. Na te konglomeraty składają się, wliczając rozgałęzione rodziny, pokaźne armie ludzi połączonych wspólnotą prywatnych interesów. Jeśli dodać do tego bogate zasoby ekonomiczne, polityczne i *know-how*, które mają do swojej dyspozycji, ich przewaga nad apatyczną, bierną większością staje się czymś oczywistym, a wynik konfrontacji z góry przesądzony.

Mógłbym do tej listy wad i błędów konstrukcyjnych państwa polskiego dopisać jeszcze wiele pozycji, wśród których jedną z naczelnych byłaby patologiczna organizacja władzy sądowniczej, którą w swojej naiwności Monteskiusz uważał za żadną, bo pozbawioną sankcji. W Polsce po 1989 roku miała ona ogromny zasięg, wpływ i posłuch, a swoimi decyzjami spowodowała niepoliczalny ogrom zła, kierując się fałszywie pojętą ideą historycznej sprawiedliwości wyrównawczej. Jednocześnie mimo swojej demokratycznej rzekomo proweniencji nigdy nie potrafiła otrząsnąć się z trwającej przez wieki, ponadustrojowej pogardy dla zwykłego obywatela, podsądnego. Nie ma tu miejsca na dociekanie przyczyn tego stanu rzeczy. Jednakże jeżeli ktoś uważa, że problemy w tym obszarze zaczęły się dopiero w momencie próby przejęcia przez rządzącą po 2015 roku formację pełnej kontroli nad sądami, a przedtem mieliśmy jakoby do czynienia z dobrze noliwioną maszyną demokratycznego państwa prawa, to znaczy, że niczego nie zrozumiał z tego, co zaszło w kraju po 1989 roku. Podobnie jak nic nie zrozumieli liberałowie, wciąż zdumieni niegasnącym poparciem zdesperowanej większości aktywnego wyborczo społeczeństwa dla opcji rządzącej. O patologii systemu partyjnego pisać nie będę: koń jaki jest, każdy widzi.

Odpowiadając na pytanie o potrzebę zachowania polskości, nie mogę jednak nie wspomnieć o dwu kwestiach, których wagi z tej perspektywy nie da się

przecenić. Chodzi o obszary kultury i nauki. Myślę, że wystarczy samo zasygnalizowanie ogromu problemów, jakich po 1989 roku doświadczyliśmy jako zbiorowość narodowa na tym polu. Czy „wolna Polska” może się poszczycić poziomem kultury, poczynając od masowej, a kończąc na wyższej, który choćby w niewielkim stopniu dorównywałby osiągnięciom z okresu PRL? Wiem, że fanatyczni antykomuniści mają gotowe wyjaśnienie pod ręką i twierdzą, że dorobek kulturalny i naukowy doby PRL powstał jakoby pomimo, a nie za sprawą dawnego reżimu. Nawet gdyby przyjąć za dobrą monetę tę kuriozalną demagogię, to czym wytłumaczą degenerację kulturową obecnego społeczeństwa, czym wytłumaczą postępującą kolonizację i brutalizację kultury masowej, z której rugowany albo poddawany prymitywizacji jest język polski? W obszarze nauki nastąpiła eksplozja kierunków studiów na uczelniach państwowych i skokowy przyrost prywatnych szkół wyższych oraz kadry naukowej, za czym nie tylko nie poszły żadne obserwowalne osiągnięcia naukowe, ale w konsekwencji doszło do obniżenia poziomów nauczania, rangi nauki, statusu społecznego uczonego, szacunku i zaufania do przedstawicieli zawodów akademickich oraz — *last but not least* — bezwolnego poddania się środowisk naukowych politycznej kurateli w warunkach konkurencji o etaty i granty. Jedynymi widocznymi efektami nieustających i dewastujących naukę pseudoreform jest wybicie się Polski pod względem największej w świecie liczby kelnerów i kurierów z dyplomem ukończenia „studiów” oraz stale rosnąca liczba profesorów w uczelniach, które przeżera rak administracyjnego rozrostu i epidemia punktozy. Mówiąc bez ogródek, w nowym międzynarodowym podziale pracy Polska najwyraźniej nie ma żadnej roli do odegrania w szeroko pojętej nauce. Ale nauka to nie tylko międzynarodowa wymiana i konkurencja, lecz także istotne zadania wewnątrz kraju, na polu kultury narodowej. Pod tym względem jest równie źle — nauka przestała tu pełnić jakąkolwiek funkcję. Jeśli zaś chodzi o samą kulturę w węższym sensie, to sterująca nią władza postanowiła skupić się na dwu zadaniach — inwestowaniu gigantycznych pieniędzy w międzynarodowy PR polegający na domaganiu się powszechnego uznania domniemanych historycznych zasług polskiej kultury w świecie oraz na zapewnieniu w kraju igrzysk na takim poziomie, na jaki władza ocenia możliwości percepcyjne i wyronienie „ciemnego ludu”. Konsekwencją działań na tym drugim polu jest bezprecedensowe sprymitywizowanie gustów i tandetna komercjalizacja kultury masowej, która wśród ludzi wychowanych na przyzwoitych standardach budzić może tylko odrazę i pogardę. Jeśli uczestniczyły w tym do tej pory głównie podmioty prywatne, komercyjne stacje telewizyjne i radiowe, agencje „artystyczne” oraz gazety, to można było to tłumaczyć dobrodziejstwem inwentarza kapitalizmu. Jeśli jednak angażuje się w to bagno publiczne pieniądze i instytucje, i to na dużą skalę, to przekracza się granice racji stanu i sprzeniewierza się dobru ogólnemu.

Zbliżamy się więc do odpowiedzi na pytanie, komu najbardziej potrzebna jest Polska. W pierwszej kolejności jest ona potrzebna tzw. klasie politycznej, to

znaczy samowybierającym się elitom. Potrzebni im jesteśmy my wszyscy jako wyrobnicy i podatnicy utrzymujący materialnie podstawy tej chybotałej budowli, stanowiący bezwolną widownię kiepskiego teatru politycznego i zaplecze fasady tego słabego państwa, a w ostateczności jako rekruci, którzy będą bronić życia i stanu posiadania tej elity przed ewentualnym fizycznym zagrożeniem zewnętrznym do momentu, gdyby znowu, jak jej poprzedniczka z 1939 roku, na której się wzoruje, musiała opuścić kraj, udając się najkrótszą drogą na emigrację. W zamian opiekuńcze państwo wypłaci nam emeryturę — szczęśliwcom średnio jakieś 1,6 tysiąca złotych, a pechowcom 40 groszy, na otarcie łez dorzucając raz na dziesięć lat przed wyborami „czternastkę”. Pod tym względem zatem niewiele się zmieniło w historii Polski. Paradoksem tej historii jest to, że jedynym okresem w jej nowożytnych dziejach, w którym ta relacja nie była postawiona całkiem na głowie — to znaczy w którym państwo jednak służyło społeczeństwu, a nie na odwrót — był okres PRL, a więc ten, który dzisiejsi historycy gremialnie uznają za okres władzy nielegalnej i pozbawionej narodowej legitymizacji. O tym, że relacja ta była postawiona na głowie w gloryfikowanym dziś dwudziestolecium międzywojennym, fanatycznych miłośników tego nieudanego i efemerycznego tworu obcych sił nie zamierzam przekonywać. Ci, którzy mają otwarte umysły, sami rozumieją, czym i dla kogo była tam mityczna mocarstwowa Polska od morza do morza. Polska nie będzie nikomu potrzebna tak długo, jak długo będą w niej pokutować anachronizmy niechlubnej tradycji narodowej warcholstwa i anarchii, jak długo nie będzie w stanie przyswoić sobie najcenniejszych zdobyczy kultury europejskiej, w tym nigdy nieprzepracowanego dobrze dziedzictwa europejskiego oświecenia, jak długo nie będzie w stanie wypracować — pozostając mimo niechęci pewnych nowoczesnych środowisk przy tej terminologii — idei spójnego narodu obywatelskiego (nie mylić z etnicznym), w przeciwieństwie do powtarzanego od stuleci w postrzeganiu narodu błędu *pars pro toto*: narodem nie była nigdy większość, nawet nie szlachta *sensu largo*, która statusem majątkowym, stylem życia i kulturą często nie odbiegała od zwykłego chłopstwa, ale szlachta w najważszym rozumieniu: posesjonaci i magnateria. W przeciwieństwie do państw imperialnych, które ciemiężyły obce i daleko od centrali kolonializmu zamieszkujące ludy, Polska była przez stulecia ciemiężycielem własnej populacji, której nie chciała nawet podnieść do poziomu narodu. Nawet zniesienie pańszczyzny Polacy zawdzięczali obcym mocarstwom (jest bez znaczenia, jak bardzo decyzje te podszyte były kalkulacją polityczną z ich strony), a wraz z odzyskaniem niepodległości papierowe państwo polskie przywróciło niektóre jej formy, które przetrwały w nim aż do lat trzydziestych XX wieku. Po tak zwanym powtórnym odzyskaniu niepodległości, w 1989 roku, Polska stała się państwem elit kompradorskich, które swój los związały z interesami zagranicznych mocodawców. O ile Polacy gremialnie opowiedzieli się za przystąpieniem do Unii, to w tym wyborze dało się przede wszystkim odczytać ich chęć oddania się pod

władanie nie tej czy innej spersonalizowanej władzy krajowej, lecz racjonalnych zasad organizacji społeczeństwa i państwa oraz uczciwych norm współżycia społecznego. Polacy chcieli po prostu wyrwać się z matni rodzimych opresorów i dyktatorów, żyć jak Europejczycy, chcieli uzyskać instancję rozstrzygającą ich nieuniknione przysze spory z narodową władzą, której zasięg i wszechmoc chcieli w ten sposób ograniczyć. Niestety, tymczasem zaszły dwie ważne zmiany. Po pierwsze, Europa abdykowała z funkcji ponadnarodowego arbitra, uznając zadania urzędzenia życia w narodowych granicach nowo przyjętych członków „wspólnoty” za przekraczające jej możliwości. Jeśli ingeruje w sprawy krajowe, to nie czyni tego z wyżyn abstrakcyjnych norm prawa i ponadnarodowych europejskich standardów, lecz z pozycji partyjnych, preferując rządy lub opozycje sprzymierzone z dominującym establishmentem brukselskim i karząc te, które się przeciw niemu, słusznie lub niesłusznie, buntują. Nie zaprzestała też nigdy brutalnych ingerencji w obronie globalistycznej logiki neoliberalnej ortodoksji ekonomicznej, bez względu na szkody tym spowodowane w przeszłości lub zagrażające państwu w przyszłości. Mało kto pamięta już nieustępliwą komisarz Neelie Kroes i jej kruczającą przeciw polskim stoczniom, ale przecież nie brakuje dziś w Brukseli godnych jej następców reprezentujących ten sam poziom arogancji. Po drugie — i tu tkwi przyczyna problemu — sama idea wspólnej Europy i jej materialne wcielenie uległy w ciągu minionych dekad głębokiej ewolucji, od koncepcji opiekuńczego państwa dobrobytu ku zglobalizowanej utopii neoliberalnej i nierównej konkurencji centrum z peryferiami. W 2004 roku wstępowaliśmy już do innej Europy. Nie do tej, której najlepszy okres powojennej prosperity określa się dziś w literaturze słowami „wspaniałe trzydziestolecie”. Tymczasem polska elita polityczna długo nie podejmowała w ogóle tematu, jak ma wyglądać, jaka ma być ta wspólna Europa, poprzestając na aksjomacie, że racją stanu Polski jest przynależność do Unii, bez względu na to, co to w praktyce oznacza. W odpowiedzi na zaniedbania i zaniechania elity kompradorskiej pojawiła się narodowa burżuazja, która próbuje obudzić demony starego polskiego nacjonalizmu, szowinizmu, klerykalizmu, zmitologizowanej historii, mocarstwowości i fobii wobec najbliższych sąsiadów. Na wrogów kreuje kraje położone bardzo blisko własnych granic, często kraje potężniejsze, podczas gdy przyjaciół szuka wśród państw położonych daleko i niezainteresowanych Polską inaczej niż tylko instrumentalnie, doraźnie lub pozornie. O tym, że świat może obejść się bez Polski, nie trzeba nikogo przekonywać, bo twierdzenie to jest truizmem. Wystarczy wyszukać w sieci (mówię to do tych, których w szkole pozbawiono nauki historii) historyczne mapy Europy, na których Polski bardzo długo nie było, i zastanowić się nad powtarzalnością historycznych wydarzeń.

Tak długo, jak długo żyć i dobrze prosperować będą w niej pasożytnicze elity, a obywatelstwo nie dopracuje się autentycznej reprezentacji, Polska nie będzie potrzebna prawie nikomu.

Marta Dziędzicka- -Wasylewska

biochemik

Pytanie jest inspirujące, ale właściwie odpowiedź — przynajmniej mnie — nie nastręcza trudności. Polska to są korzenie, dom, rodzina, wspólnota — wszystkiego tego potrzebujemy, żeby określić swoją tożsamość. Jest to pierwotna potrzeba człowieka, który musi wiedzieć, skąd pochodzi.

Nawet jeśli człowiek neguje tę potrzebę w przyпыlywie buntu albo zachłyśnięcia się jakąś nowo przybraną tożsamością, to i tak nie da się tej pierwszej tożsamości wymazać ze swojej świadomości. To opoka, na której budujemy siebie. W mojej rodzinie od zawsze był obecny tekst, spisany z pamięci przez Mamę, która jako dziewczynka w okresie tużpowojennym znalazła go na ulotce w szkole i zapamiętała na zawsze:

kocham Polskę, bo matka moja jest Polką, bo krew, która płynie w mych żyłach, jest polska, bo polska jest ziemia, w której pogrzebani są ci, po których płakałem, których czczę, bo miejsce, gdzie się urodziłem, język, jakim mówię, książki, z których się uczę, brat mój, siostra moja, moi towarzysze, cały ten wielki naród, wśród którego żyję, cała ta piękna przyroda, jaka mnie otacza, wszystko, co widzę i kocham, jest polskie...

Tekst ten jest dłuższy, mówi o miłości ojczyzny, a „głęb takiego kochania poznasz najlepiej, gdy po długiej podróży wracać będziesz do kraju rodzinnego...”,

i którą to miłość „poznasz silniej jeszcze wtedy, gdy groźba obcego ludu ogniem i mieczem i niewolą błysnie nad twoją ojczyzną...”. Ogromne zdziwienie, a nawet rozczarowanie przeżyliśmy wszyscy, kiedy okazało się, że fragmenty te — wzruszające i jakże „polskie” — pochodzą z powieści dla dzieci *Serce* autorstwa Edmonda de Amicisa (tłum. Maria Konopnicka), a zamiast pytania „Dlaczego kocham Polskę?”, jest tam pytanie „Dlaczego kocham Włochy?”. Z drugiej jednak strony widać na tym przykładzie, że podobne uczucia są uniwersalne, właściwe po prostu ludziom utożsamiającym się ze swoją wspólnotą.

Dlaczego tak jest? Odpowiedzi można szukać w teorii psychologicznej Masłowa, który podał „wzór”, na podstawie którego daje się określić ludzkie motywacje: fizjologia, bezpieczeństwo, przynależność, miłość, szacunek, samorealizacja. Powstały potem „hierarchia potrzeb” i różne odmiany „piramidy Masłowa”, ale w zasadzie cały czas wśród psychologów i antropologów kulturowych trwa dyskusja na ten temat. Poglądy ewoluują, teorie indywidualistyczne również, i nie miejsce tutaj na szerszą tego analizę, ale nie da się abstrahować od faktu, że człowiek jest istotą społeczną i tylko w społeczeństwie może się realizować. Zresztą w pierwotnej wersji teorii Masłowa potrzeba przynależności zajmuje poczesne miejsce. Tę „przynależność” wysysamy — dosłownie — z mlekiem matki. Jako gatunek *homo sapiens* rodzimy się bezbronni, okres dzieciństwa, dojrzewania i rozwoju biologicznego jest stosunkowo długi, wymagamy opieki rodziców, krewnych — to nasze pierwsze kręgi, do których należymy, tworzą się pierwsze silne społeczne więzi. Dalej grupa się rozrasta o dalszych członków rodziny, grupy rówieśnicze itd., stajemy się częścią wspólnoty. Jest wiele dowodów na to, że więzi — silne relacje interpersonalne — mają mocną podstawę biologiczną, są fizjologicznie i psychologicznie uwarunkowaną potrzebą człowieka. A kiedy te więzi zawodzą, ludzie cierpią i często przejawiają zachowania patologiczne i destrukcyjne.

Natura tych więzi to też potrzeba akceptacji w ramach grupy społecznej, poczucie wspólnych celów, które wykraczają daleko poza teraźniejszość. Widać to bardzo dobrze w wypadku ludzi, którym przyszło żyć poza własną wspólnotą, a szerzej — poza ojczyzną, gdzie wyrosli. Często są oni spełnieni zawodowo i doświadczać nawet akceptacji i tolerancji, co pozwala na fizyczne przetrwanie, ale rzadko tworzą oni więzi potrzebne do satysfakcjonującej egzystencji. Co ważne, nie chodzi tu o znajomość nowego języka, a o wspólne cele, obyczaje, doświadczenia, zwyczaje, wartości, święte przedmioty, święte zakazy, wspólne dowcipy, lektury, wieszczów narodowych, muzykę, światopogląd, idee, społeczne niuanse, a nawet smaki — wszystko, co ma znaczenie „święte”, a bez tego życie jest samotne i puste. Bo nie ma wokół ludzi, którzy wzajemnie dzielą wspólny los, rozciągający się nie tylko na własne życie, ale i na całe pokolenia. Mary E. Clark w opracowaniu *Meaningful Social Bonding as a Universal Human Need* (opublikowanym w 1990 roku w tomie *Conflict: Human Needs Theory* pod redakcją Johna Burtona) zwraca uwagę

na to, że różne (zachodnie) wizje i teorie rozwoju społeczeństwa jako opartego na umowie świadomie zawartej przede wszystkim po to, by zapewnić harmonię, nie pozwalają wyjaśnić istnienia więzi rodzinnych, przyjaźni na całe życie czy poczucia przynależności kulturowej, którą dają wspólny język i wspólne doświadczenia życiowe.

Te różne teorie całkowicie pomijają najgłębszy wymóg, który charakteryzuje nasz gatunek — potrzebę tożsamości społecznej. Autorka podkreśla, że ludzie wyewoluowali z pragnienia przynależności, a nie rywalizacji. Clark pisze:

Biologicznie jesteśmy obowiązkowymi zwierzętami społecznymi, całkowicie zależnymi od wspierającej struktury społecznej, a to właśnie przy braku takiego systemu wsparcia pojawiają się destrukcyjne, „niehumanitarne” zachowania. [...] Separacja, wyobcowanie, ostracyzm, upokorzenie — są zaprzeczeniem więzi międzyludzkiej, akceptacji w kręgu, grupie, rodzinie, systemie wsparcia, współnocie, w której można znaleźć nie tylko towarzystwo, ale także poczucie, że życie naprawdę ma jakiś cel. Jeśli odmowa więzi wywołuje cierpienie, to wyraźne uzdrowienie dokonuje się dzięki wspierającej współnocie. Zanim nastała współczesna era środków farmaceutycznych na każdą dolegliwość, ludy plemienne, stosując swój repertuar (czasami bardzo skutecznych) środków pochodzenia naturalnego, oferowały również stałą uwagę i wsparcie dla chorego*.

Należy dodać, że z jednej strony dopiero od niedawna zaczęto naukowo udowadniać to, co było widoczne od zawsze: że istotne więzi społeczne są absolutną potrzebą człowieka i że zerwanie tych więzi prowadzi do tragedii na poziomie zarówno indywidualnym, jak i wspólnotowym.

Z drugiej zaś strony współczesne trendy nachalnie podkreślają „potęgę indywidualizmu” czy w wielu sytuacjach zawodowych wręcz obligują do „mobilności”, przenoszenia się z miejsca na miejsce. Często dotyczy to młodych ludzi, rozpoczynających swoją drogę zawodową (na przykład w środowisku naukowym), czyli będących w tym wieku, kiedy „zakłada się gniazdo” i potrzebne jest poczucie stabilizacji. Trendy te, prowadzące do atomizacji społeczeństwa, są silne na wielu płaszczyznach. Demontaż fundamentów, na których opiera się nasza kultura, jest aż nazbyt widoczny i zaskakująco gwałtowny. I bardzo szkoda, przecież więzi społeczne nie są tymczasowymi umowami, zawieranymi jedynie dla wygody, ale są absolutnym wymogiem ludzkiej egzystencji.

Można zaryzykować twierdzenie, jak zaznacza Mary E. Clark w swoim opracowaniu, że ludzkość, mając do dyspozycji instytucje charakteryzujące nowoczesną cywilizację, nigdy nie mogłaby się rozwinąć! I po to właśnie jest nam

* Tłum. własne.

potrzebna Polska — wspólnota, w której wyrośliśmy. Nasze „święte symbole” są cały czas obecne: podobnie jak w innych krajach czczona jest flaga narodowa, docenia się zdobywców medali olimpijskich, hymn narodowy zawsze napętnia piersi obywateli patriotycznym uczuciem, są patriotyczne hasła czy święta narodowe. W tych szczególnych momentach wzruszeniu ulegają nawet zatwardziali heroldzi „nowych czasów” i pewnie sami nawet nie wiedzą dlaczego... Podobnie w dzień Wszystkich Świętych pokonują nieraz wiele kilometrów, żeby odwiedzić groby bliskich albo być z bliskimi w tym dniu, bo ta pierwotna, biologicznie uwarunkowana potrzeba przynależności tkwi w nas wszystkich głęboko.

Witold Gadowski

dziennikarz, publicysta, pisarz

Lubimy myśleć o sobie, że jesteśmy patriotami, Polakami patriotami. Na tym zwykle zatrzymuje się pierwsza potrzeba definicji. Dalej pojawia się proste pytanie: „Po co nam Polska?”.

I tu sytuacja staje się bardziej skomplikowana. Polska jest nam potrzebna jako idea, konkretne miejsce, historyczny zapis doświadczeń mitycznych i własnych. Trudno zatem o odpowiedź uniwersalną, ogólną.

Czym dla mnie jest Polska? Odpowiedź na tak postawione pytanie muszę podzielić między warstwę emocjonalną i rozumową. Emocjonalnie Polska to moja kolebka, w której uczyłem się świata i doznawałem jego właściwości. Polska nauczyła mnie podstawowych pojęć, stworzyła język, którym wyrażam swoje emocje i w którym tworzę. Dźwięk tego języka sprawia, że w każdym oddaleniu od Wisły, gdy go słyszę, żywiej bije mi serce. Mogę rozmawiać w kilku językach, ale emocje zawsze pojawiają mi się po polsku. Tylko polska mowa daje mi je precyzyjnie nazwać, bo polskie słowa opisują dokładnie stany, które przeżywam, i żadna inna mowa nie będzie mi już tak wewnętrznie dana.

Polska zatem to kolebka, matka najgłębszych uczuć. Z tego też prostego powodu nie potrafię się inaczej określić jak tylko — Polak. Emocjonalnie nie jestem w stanie czuć w żadnej innej mowie. Racjonalnie potrafię się nakłonić do wyrażania myśli w innym języku, jednak zawsze będzie to ubogi przekład z polskiego — pełnego, jędrnego i wielowymiarowego — oryginału. Sprawa

emocjonalnego pojmowania świata jest zatem załatwiona. Emocjonalną ojczyzną jest dla mnie polszczyzna, polski zestaw symboli, kultura, w której pewne znaczenia odczuwane są intuicyjnie.

Mogę mieszkać w różnych miejscach, ale mentalnie i emocjonalnie pozostanę w Polsce. Polska zatem jest mi potrzebna jako mityczny kraj dzieciństwa, gdy świat dawał mi się poznawać jedynie po polsku. Człowiek nie może wywozić się znikąd — jeśli chce odcisnąć swoje piętno w materii otaczającej go rzeczywistości, musi pochodzić skądś, i to miejsce powinno go wyraźnie naznaczyć. Potrzeba posiadania początku, miejsca poczęcia, dyktuje zatem emocjonalną konieczność posiadania ojczyzny. Polska jest potrzebna każdemu, kto uczciwie i precyzyjnie chce opowiedzieć o tym, jakie są źródła jego sposobu myślenia i patrzenia na świat.

Polska to jednak także pewien ściśle określony byt, który determinuje — świadomie i nieświadomie — sposób funkcjonowania całej populacji. Część ludzi to spostrzega, część intuicyjnie wyczuwa, część wreszcie uważa, że ten fenomen nie ma w ogóle znaczenia. Tu dochodzimy do racjonalnych powodów uzasadniających potrzebę istnienia Polski. Z tego punktu widzenia Polska jest częścią wspólną życiorysów całych generacji. Gdyby nie istniała... te generacje nie miałyby ważnego sensu działania i etycznej perspektywy oceny. Tu nie chodzi tylko o patetyczne porywy, romantyczne deklamacje i mitologizowanie ambicji. Istnieje obiektywny fenomen polskości: można go streścić, opisując życiowe wybory najbardziej świadomych ludzi z danej generacji. Polska uosabia rodzimość i swojskość, często zdajemy sobie sprawę z tego, że nie są to najwyższe wykwyty ludzkiego umysłu, są one jednak nasze, własne. Polska potrzebna jest zatem do zakorzenienia się w rzeczywistości, do istnienia pozostawiającego margines na subiektywne przeżywanie. Bez Polski traci się grunt pod nogami, także ten grunt intelektualny. Jakże bowiem opowiedzieć komuś z innej strony świata o wartości bycia wolnym, o dumie z posiadania własnego państwa, w którym jest się u siebie. Znajomość tajemnego kodu, który nigdy nie będzie ujawniony komuś pochodzącemu z innego miejsca na globie, stanowi o istocie przywiązania do tego właśnie miejsca na mapie. Do tego dochodzi znajomość praw natury, które w Polsce jednak wyglądają bardziej zrozumiale niż gdzie indziej na świecie, czytanie krajobrazu, tak jakby dostawało się do rozszyfrowania zagadkę, której rozwiązanie zawczasu, emocjonalnie, przewidujemy, i to jeszcze zanim rozumowo jesteśmy w stanie wyrazić problem. Polska to pogoda, przyroda, krajobraz, niebo i ludzie, którzy mówią często takim kodem, którego nie pojmie nikt, kto nie jest stąd. Każdy człowiek nosi w sobie tajemnicę swojego pochodzenia. Polacy mają ją tak głęboko wsuniętą w duszę, że nie sposób jej wyrwać, nawet gdyby chciało się o wszystkim raz na zawsze zapomnieć. Polska to znajomy śpiew ptaków, muskanie policzków przez wiosenne podmychy wiatru, specyficzne wonności

wiejskich ścieżek, światło, przestrzeń. To także opowieści i fryzowane na historyczne prawdy legendy, które nas ulepiły.

Czy ktoś zrozumie Polaka bez przeczytania (z głębokim zrozumieniem) *Pana Tadeusza* i *Trylogii*? Nasz szeleszczący znajomo język zawiera w sobie niepowtarzalną logikę i prawdę o nas samych. Tego nie da się skopiować i przenieść w inne okoliczności. Nawet narodowa mitomania i tromtadracja mają w sobie tyle roztkliwiającej swojskości, że nie sposób poważnie się nad nimi zżymać. Polska to terytorium, Polska to ludzie, Polska to historia, Polska to język, Polska to pragnienia, Polska to cały świat zamknięty w odczuwaniu świadomych Polaków. To daje siłę, pragnienia, marzenia i skłonność do angażowania się w dzieła wspólne. Bez Polski wszyscy rozbiegniemy się po świecie jak zwolnione z jądra magnezu opyłki.

Po co zatem potrzebna jest Polska?

Po to, by Polacy mogli w pełni istnieć, wyrażać się i działać. To jądro i korzeń wszelkich przedsięwzięć nawet dla tych, którzy tej polskości nie znoszą i pumeksem światowych błyskotek chcieliby ją z siebie wytrzeć. Polskość bowiem to nie system polityczny i nie iluzoryczne mity... To rzeka znaczeń i zdarzeń, w której jesteśmy nieustannie zanurzeni i bez której czujemy się jak ryby wyrzucone na obcy brzeg.

Roman Graczyk

dziennikarz, publicysta

„Nie oddałabym Ci, Polsko, jednej kropli krwi” — śpiewała Maria Peszek. Nie mam pewności, co dokładnie artystka miała na myśli, ale nie ulega wątpliwości, że w tym utworze Polska nie jest dla niej jakkolwiek ważna. Obserwując zaś zjawiska społeczne ostatnich lat, wydaje się, że wyraża ta fraza stosunek do Polski także niemałej części średniego i młodszego pokolenia.

Obchodzona jest kolejna rocznica stanu wojennego, co ludziom mojego pokolenia przywołuje na myśl wspomnienia z tamtego czasu. Różne wspomnienia, niekoniecznie heroiczne, ale w każdym razie takie, w których Polska jest ważna, bardzo ważna. Nie ulega wątpliwości, że w 1981 roku, a i jeszcze kilka lat później, w innym przełomowym roku: 1989, przeważały wśród młodzieży, i to nawet wśród młodzieży kontrkulturowo-rockandrollowej, ciepłe uczucia w stosunku do Polski. Wystarczy przypomnieć sobie choćby festiwale w Jarocinie, żeby wiedzieć, że tamto młode pokolenie Polaków, niebogoojczyźnianych przecież, było nastawione do Polski nieobojętnie, a często wręcz patriotycznie. A cóż dopiero powiedzieć o młodzieży bardziej zaangażowanej w sprawę, którą wtedy symbolizowała „Solidarność” — wszystko jedno, zwycięska czy pokonana, ale ciągle będąca odbiciem polskich dążeń wolnościowych. Te marzenia zaś dotyczyły nie tylko elementarnej wolności „od” opresji, lecz także bardziej złożonej wolności „do” posiadania autentycznych instytucji, a gdzieś w perspektywie także własnego państwa.

Tak więc coś się w tej materii radykalnie zmieniło od czasów legalnej „Solidarności”, ale i od czasów stanu wojennego i od czasów wyborów kontraktowych, i nawet od okresu budowania nowego państwa w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Maria Peszek wykonała po raz pierwszy swój utwór-manifest w 2012 roku, a więc w okresie rządów Platformy Obywatelskiej. Jak pamiętam, część opinii publicznej była zniesmaczona, ale inna jej część w zaparte broniła dobrych racji patriotyzmu płacenia podatków i sprzątania po swoim psie, zamiast (czy wbrew) patriotyzmowi ofiary. Tak więc nihilizm patriotyczny Marii Peszek nie został wtedy bynajmniej gremialnie odrzucony. Myślę, że dziś jest jeszcze mniej odrzucany *versus* jeszcze bardziej akceptowany.

Można by zapytać, jaki był wpływ pisyzacji Polski na rozpowszechnienie się takich postaw. Moim zdaniem, decydujący jest tu wpływ ogólnych tendencji cywilizacyjnych idących do nas z Zachodu, zatem — PiS czy nie PiS, te procesy i tak by postępowały. Ale myślę, że postępowałyby wolniej bez PiS-u. Natomiast z PiS-em u władzy, z jego patriotyzmem nie tylko romantyczno-ofiarniczym, ale i nachalnie upolitycznionym (w którym się wybrane — duże — figury historyczne pomniejsza, a innym — mniejszym — przydaje się wagi, której w rzeczywistości nie miały), proces ten nabiera przyspieszenia. Bez PiS-u u władzy patriotyzm romantyczno-ofiarniczy byłby postrzegany przez jego krytyków tylko jako anachroniczny. Z PiS-em u władzy był postrzegany dodatkowo jako podlany fałszem.

Jeszcze we wczesnych latach pierwszej dekady XXI wieku, kiedy rósł autentyczny kult żołnierzy wyklętych, nurt tradycyjnego patriotyzmu miał się dobrze. Przed PiS-em ten kult był jakoś wspierany przez państwo (na przykład przez nowo powstały Instytut Pamięci Narodowej), ale nie był narzucany ani nachalny. Z PiS-em u władzy to się zmieniło. Za pierwszego PiS-u sprawy nie zaszły zbyt daleko, bo były to rządy krótkie i w dużym stopniu skupione na własnym przetrwaniu. Inaczej to wyglądało za drugiego PiS-u. Po 2015 roku nastąpiła szeroka i — nie obawiam się powiedzieć — brutalna ofensywa, przewartościowywanie historii, w pewnym stopniu pisanie jej nie tyle na nowo (bo to czasami, choćby w świetle nowych źródeł, jest uprawnione), ile na odwrót. Jeśli dochodzimy do tego, że Lech Wałęsa (ze wszystkimi jego wadami, których nie należy zatajać) jest traktowany jak pomniejszy działacz, i do tego wiecznie naznaczony piętnem zdrady (która nastąpiła w czasach, gdy daleko było do powstania „Solidarności”), a za prawdziwego bohatera uważa się Kornela Morawieckiego, to znaczy, że w oficjalnej państwowej narracji mamy do czynienia z całkowitym odwróceniem hierarchii. Jeśli Adam Michnik może być z ekranów publicznej telewizji łzony i redukowany do figury pomocnika Jaruzelskiego, to znaczy, że jesteśmy w krainie Agitpropu.

I teraz, na tym tle, spotykamy w naszej codzienności spółki Skarbu Państwa, które są siłą wciągane do nachalnej propagandy patriotycznej. Skutek tego może być tylko taki, jaki był w czasach, kiedy mojemu pokoleniu z uporem

tłumaczono, że największym przyjacielem wolności Polski był Włodzimierz Iljicz Lenin. Bo jeśli w placówkach Poczty Polskiej nic nie działa tak, jak powinno, paczki i listy nie dochodzą na czas, obsługa jest koszmarnie długa, ale za to ze-wsząd otacza nas tam oferta handlowa niezwiązana z misją poczty, a zawierająca, obok rajstop, czekoladek, poradników jak żyć, także literaturę religijno-patrio-tyczną z Janem Pawłem II i majorem Łupaszka na czele, to duża część klienteli, szczególnie młodszej, odrzuca ten przekaz. A jeśli pociągi nie przyjeżdżają na czas, a podróżni na dworcach Polskich Kolei Państwowych zamiast informacji o spóźnieniu pociągu dostają wizualny apel o czczenie pamięci żołnierzy wykłę-tych, to skutek będzie taki sam.

Kiedy marzyliśmy o wolnej Polsce, mówiliśmy niekiedy: „Możemy żyć o chlebie i wodzie, byle tylko wreszcie w wolnym kraju”. Niezależnie od tego, że-śmy (jako pokolenie) potem niekiedy zmieniali zdanie na temat tego „o chlebie i wodzie”, tamto nasze zarzekanie się pokazuje, że braliśmy tę Polskę niezwykle serio, żeśmy ją wynosili na piedestał, nieledwie na ołtarz. I było nas wtedy napraw-dę wielu. Z pewnością dziś jest nas, takich fanatyków Polski, nieporównanie mniej.

Jest nas nieporównanie mniej, bo jako społeczeństwo (już, obawiam się, nie jako naród) niezbyt wiemy, do czego by nam ta Polska była jeszcze potrzebna.

Żeby udało się Polaków na nowo przekonać, że Polska jest im do czegoś potrzebna, a więc żeby z Polaków na nowo uczynić naród, trzeba by zmienić bar-dzo dużo. Trudność jest podwójna. Po pierwsze, trendy cywilizacyjne płynące z Zachodu są niszczące dla poczucia narodowego i one, w dającej się wyobrazić perspektywie, takie pozostaną. Po drugie, nasze państwo jest bytem nieporad-nym, śmiesznym, napinającym mięskły, których nie ma. Jest to państwo, które podlega instytucjonalnemu samozniszczeniu, skłóciło się z zagranicznymi part-nerami i sojusznikami i idzie w kierunku miękkiego autorytaryzmu. Jest to za-razem państwo, które prowadzi swoją narrację o patriotyzmie opartą w dużym stopniu na kłamstwie i manipulacji, gorszej niekiedy (TVP) niż za rządów Gierka. Nic dziwnego, że tak wielu Polaków, a szczególnie tych młodszej daty, nie wie, po co nam Polska. No bo rzeczywiście taka Polska, jaką realnie znamy, nie jest nam potrzebna.

Ale potrzebna byłaby nam zupełnie inna Polska. Nie twierdzę, że to po-winna być prosta kopia Polski sprzed PiS-u, ale jednak Polska zupełnie inna niż ta, którą nam PiS urządził.

Można by powiedzieć przewrotnie, że Polska potrzebna jest nam przede wszystkim do tego, żebyśmy mieli się o co martwić. Jeśli dzisiaj tak wielu mło-dych Polaków podziela opinię pani Marii Peszek, to znaczy, że im Polska jest kompletnie obojętna, oni się o Polskę w ogóle nie martwią.

Gdyby przyjąć kryterium „martwienia się o”, wówczas realna Polska mogłaby pozostawiać bardzo dużo do życzenia, byleby Polacy żywili do Polski, do jej idei, ciepłe uczucia. Tak, z grubsza biorąc, było w latach siedemdziesiątych XX wieku i później. Polska realna to był PRL, który — delikatnie mówiąc — daleko odbiegał od wyobrażeń o dobrym państwie. Ale istniało wszakże, i było mocno wyrażane, niekiedy nie wprost, ale przecież niedwuznacznie, w całej autentycznej kulturze marzenie o prawdziwej, wywodzącej się z naszych tradycji, wolnej Polsce. Marzenie o lepszej Polsce było i w awangardowych przedstawieniach Hanuszkiewicza, i w bardziej klasycznych Wajdy, było u patetycznego Herberta i u ironicznego Kisielewskiego, było u muzyków rockowych i u polskich biskupów, a od 1978 roku u polskiego papieża — kardynała z Krakowa. Taki to był klimat. Klimat marzenia o Polsce, która w realu istniała w postaci spsiałej i śmiesznej.

Dziś w realu mamy Polskę zdegradowaną i poniżoną, ale — i to jest ta ważna i smutna różnica — nie podzielamy na powszechną skalę tego szlachetnego marzenia.

A jeśli nie tylko realna Polska jest spsiała, ale i w polskim społeczeństwie nie ma poważnych wpływów marzenie o pięknej Polsce, to jest już naprawdę źle. Trzeba najpierw pielęgnować marzenie, żeby potem w sprzyjających okolicznościach przyoblekać je w ciało. Realizacja marzenia zawsze wychodzi gorzej od wcześniejszych ambitnych planów i tak też było po 1918 roku. Mimo to potrafimy powiedzieć, jakie znaczenie dla Polaków miała II Rzeczpospolita: dała nam dumę z tego, że jesteśmy Polakami; dała nam wejście warstwy chłopskiej do narodu politycznego; dała nam dobre szkolnictwo powszechne i kilka dobrych uniwersytetów; dała nam powszechne postawy walki w obronie ojczyzny (o czym przekonał się w 1939 roku i w kilku następnych latach).

Nie inaczej chciałbym widzieć cele i dokonania obecnej Polski, narodzonej w 1989 roku. Nowoczesny patriotyzm nie może się redukować do zbierania w parku kup po swoim psie. Tak więc Polska byłaby nam potrzebna do tego, żeby rodzili się w niej ludzie, którzy następnie z wyboru stają się Polakami i są z tego dumni, a nie tylko dumni z tego, że zbierają kupy po swoim psie. Polska byłaby nam potrzebna do tego, żeby Polacy wiedzieli, że państwo ich obroni przed zewnętrzną agresją, ale też nie zostawi na pastwę korporacji, monopolistów i przestępców. Polska byłaby nam potrzebna do tego, żeby Polacy chcieli płodzić dzieci i widzieli dla nich przyszłość w Polsce właśnie, a nie w jakimś lepszym świecie za granicą.

Ale chyba mało kto postawiłby poważne pieniądze w obronie tezy, że taka rzeczywiście była Polska po 1989 roku, a już szczególnie, że taka jest Polska po 2015 roku. A także w obronie tezy, że mimo defektów naszego państwa przynajmniej powszechnie pielęgnowujemy marzenie o pięknej Polsce.

Elżbieta Isakiewicz

pisarka, reportażystka, eseistka, poetka

Obracamy się w sferze niewyraźnego. Relacje bowiem, które nawiązujemy z ojczyzną, nacechowane są intymnością, jaką tworzymy z członkami najbliższej rodziny. Równie dobrze można by zapytać: po co nam matka, ojciec, dziecko, żona, mąż? Podobne są też odruchy emocjonalne: utrata ojczyzny — na skutek wymuszonej emigracji, okupacji czy aneksji przez obce państwo — potrafi wywołać ból i tęsknotę porównywalne z cierpieniem po utracie kochanej osoby. Ten rodzaj dogłębnego, fundamentalnego smutku stawał się zarzewiem wielkich polskich powstań, od listopadowego w 1830 roku poczynając, przez styczniowe z 1863 roku, po warszawskie w 1944 roku. Krzywdy wyrządzone ojczyźnie — tak samo jak razy zadane matce — zdolne są wzbudzić sprzeciw i bunt tłumów, choć poczucie tej krzywdy opiera się na subiektywnym rozpoznaniu. (Na przykład zaaplikowany Polsce po II wojnie światowej ustrój totalitarny jednym odpowiadał, a innym nie). Zwykle to społeczna elita wznieca płomień gniewu zdolny uwolnić pełgające napięcie mas i w sprzyjających okolicznościach obalić krzywdzicieli.

Obracamy się w sferze niewyraźnego, ojczyzna bowiem jest jak gniazdo, w którym mościmy sobie dom. Nasiąkamy jego zapachem, oplatającymi je krajobrazami i językiem, na który przekładamy myśli i za pomocą którego komunikujemy się z otoczeniem. Gen gniazda przywiązuje nasze stopy do ziemi wytyczonej na jego uwicie, obdarowując nas błogosławieństwem bezpieczeństwa, przywiązuje nasz umysł do zaszyfrowanego, niepojętego poza terytorium gniazda

kodu historycznych i kulturowych symboli, nasze serce zaś do polskości — tego nieuchwytnego duchowego fenomenu, wznoszącego się ponad przekonania polityczne czy światopoglądowe, a mieszczącego w sobie między innymi takie zjawiska, jak czuły odbiór muzyki Chopina czy hymnu narodowego, nastroju i smaku Wigilii, widoku nadwiślańskich wierzb.

Obracamy się w sferze niewyraźnego, ponieważ Polska = matka = gniazdo = dom = polskość. Ten pełen subtelności związek odczuć, wrażeń, doznań, drgnień tka materię naszej tożsamości. Doskonale rozumiał to Witold Gombrowicz (którego książki pewien napuszony ideologicznie minister edukacji kazał swego czasu wykreślić z listy obowiązkowych lektur). Gombrowicz zalecał rodakom w *Dzienniku*: żeby zostać Europejczykiem, musisz przede wszystkim być Polakiem. Wskazywał zatem na tożsamość gniazda jako na wartość ubogacającą wspólnotę, na odrębność, swoistość gniazda zaś — jako na dary do niej wniesione. Wyposażeni w tę świadomość, nie traćmy z pola widzenia głównej tezy konstruującej niniejszą refleksję o relacji my (ja) — Polska i wyciągnijmy ten oczywisty wniosek: skoro mamy tu do czynienia ze zdarzeniem kordialnym, niewyraźnym, uznajmy, że prawdziwe uczucie NIE WIE do końca, dlaczego kocha. Racjonalizacja miłości, tromtadrackie, złotouste o niej rozprawianie zalatuje kalkulacją, taniością, fałszem. Tak samo jest z ojczyzną. Nie należy ufać kochankom ani politykom wielomównym.

Krzysztof Janicki

humorysta

Oto jedno z najważniejszych pytań, na które odpowiedź, niestety, gdzieś się zapodziała, bo jak twierdzą historycy, dotąd nie odnaleziono najbardziej istotnej części *Kroniki* Wincentego Kadłubka, w której jest o tym mowa. Z późniejszych źródeł wiadomo, że Kadłubek dysponował wiedzą o sugestiach doradców Mieszka I i jego decyzjach zawierających wyjaśnienie, czym dokładnie kierował się ten władca, kiedy tworzył państwo — co do dziś poniektórzy mają mu za złe. My bez tych informacji jesteśmy skazani jedynie na domysły lub całkiem bezradni, jak to ilustrują fragmenty naszych dziejów (zdrady przedrozbiorowe), szczególnie tych z ostatnich lat (zdrady przedrozbiorowe).

Odmiennie to wygląda w innych krajach. Niemcy na przykład z całą pewnością znają odpowiedź na takie pytanie dotyczące ich kraju — o czym świadczy to, że nikomu z nich nie przychodzi do głowy, aby je zadać — czemu, jak się zdaje, zawdzięczają również wiedzę dotyczącą tej samej kwestii w wypadku Polski. *Warum brauchen wir Polen?* Jeśli kiedykolwiek w tym języku zabrzmi to pytanie, można być niemal pewnym, że zostanie postawione raczej przez kogoś z Polski (i być może dlatego najpierw należałoby ustalić, kim jesteśmy MY).

Skąd się biorą te różnice między naszymi narodami w postrzeganiu własnej państwowości, trudno zawyrokować, ale można przyjąć, że z łatwością by się tartarły, gdyby w Polsce zapanował przynajmniej w połowie taki nacjonalizm, jaki jest w Niemczech. Niemcy wprawdzie kurtuazyjnie przekonują nas, że nie jest

u nas tak źle z tym nacjonalizmem, a nawet wyjątkowo dobrze, że właściwie to my przodujemy pod tym względem i nasz nacjonalizm jest, że ho, ho! Gdybyż to była prawda... Nie tylko nie musielibyśmy nerwowo szperać w Kadłubkowych kronikach, ale też moglibyśmy dzbanami spijać ambrozję dobrobytu w naszej arkadii, a Niemcom zarzucać nacjonalizm. Jak dotąd jest akurat odwrotnie.

Tymczasem z drugiej strony... „Po co nam Polska?” — czy to nie nazbyt emfaticzne pytanie? Nie można skromniej, małymi kroczkami? Stawiając na przykład pytania: po co nam LOT? Po co nam stocznie, kopalnie, wielkie lotnisko w sercu kraju czy produkcja naftaliny? Tak jest łatwiej. Przecież coraz częściej słychać, że po nic nam to wszystko, skoro znajdujemy takie rzeczy w Niemczech (aczkolwiek co do środków na mole, to nie ma całkowitej pewności). Do tego, „po co nam Polska”, dojdziemy stopniowo, kiedy już mało kto będzie miał wątpliwości, że do czegokolwiek jest nam potrzebna. Po drodze jeszcze tylko zmienimy złotówkę na markę, którą oczywiście, jak wszyscy, będziemy z przekonaniem nazywać euro, i już. Trzeba jeszcze trochę czasu, odrobiny cierpliwości i, wstyd powiedzieć, wiary.

Jednakże z drugiej strony... Może należy postawić pytanie trochę inne. Na przykład: „Po co nam wspólnota narodowa?”. W czasach zaborów nie było Polski, ale byli Polacy — rosną obawy, że obecnie grozi nam sytuacja, kiedy będzie można powiedzieć, że Polska jest, ale Polaków nie ma. Cóż zatem robić, przyjmując, że robić coś w ogóle należy, poza tylko zbożnym pisaniem tekstów na ten temat albo ich czytaniem?

Historia uczy, że nasz naród jest w stanie bronić swojego niepodległego bytu, przede wszystkim mocno opierając się na katolicyzmie. (Choć są osoby, które na sam dźwięk słowa „katolicki” dzwonią pod 112). Wiara i obyczaje katolickie są tym duchem narodu, bez którego Polska zanika, a polskość przestaje istnieć. Trafnie oddaje to myśl, że jako Polacy dobrze rozumiemy, że religia i wiara przynosi człowiekowi wolność i wiedzę, których pozbawieni są ludzie niewierzący*. I być może właśnie to powoduje, że wbrew tysiąckrotnie, nieomylnie i nieodwracalnie udowodnionym zapewnieniom, płynącym z głębi serca i za nie chwytającym świadectwom, porękom i rękojmjom, potwierdzonym przez liczne kosmiczne cywilizacje, należymy do najbardziej tolerancyjnych nacji. Przywiązanie do wartości chrześcijańskich, do naszej europejskiej cywilizacji, do jej kultury, do jej etyki i wreszcie prawa, wyrosłe na tym gruncie, jak i wszelkie tradycje z tym związane, to wszystko jest ostoją naszej tożsamości i naszej dumy wobec świata. O tym jednakże został już zawczasu poinformowany Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej — kto wie, czy nie przez wtyczkę 112 — który natychmiast wszczął odpowiednie procedury, aby temu zaradzić. Głębokim wyrazem tej

* Richard Boucetonick, *Why don't I savvy all this bloody Christianity* [Dlaczego nie mogę zrozumieć chrześcijańskiej aksjologii], Holter Dura Lex Press.

troski jest zakaz rozwoju energetyki atomowej w naszym kraju, a także wszelkiej energetyki, oraz dyrektywa zabraniająca przyozdabiania cekinami kurczaków. Panuje przekonanie, że Polska jest w stanie spełnić tylko te dwie pierwsze dyspozycje. Nawiasem mówiąc, Komisja Europejska w ramach polityki spójności (albo dowolnie innej) grozi nałożeniem wysokich kar dla każdego, kto na hasło „Unia” nie zacznie lewitować z okrzykiem „über alles!”, chyba że raz na zawsze wyrzeknie się wywrotowych idei i codziennie przeliteruje słowo *schnitzel**. Taka postawa będzie oznaką dochowania wierności „europejskim wartościom”, których porywająca apologia jest szczególnie natchnionym ucieleśnieniem największych dokonań światowej burleski.

Słowa wytrychy, prowadzące nas do tego europejskiego rajy, to: „postęp” i „nowoczesność”, jakkolwiek równie dobrze mogłyby tu się sprawdzić całkiem inne hasła, na przykład „melonik” i „sadzawka”, jeśli tylko dałoby się nakłonić obywateli, aby w nie uwierzyli, co jest równie łatwe, jak zrobienie ze Stalina „chorążego pokoju”, z Polski „socjalistycznej ojczyzny”, a z zająca „pasztetu” (pasztetu). (Na marginesie — ten, który pierwszy użył „socjalistycznej ojczyzny”, miał zadatki na całkiem niezłego poetę, a przynajmniej na I Sekretarza KC PZPR). Niemniej jednak to „postęp” i „nowoczesność” znalazły sobie uznanie wśród sfer pragnących ulepić nowego człowieka na swój obraz i swoje podobieństwo, co nie od razu oznacza, że musi on przyozdabiać swoje usta żarzącym się gurkha black dragonem czy popisywać się przed kolegami dopiero co kupionym pełnomorskim jachtem wraz z wyspą i dołączonym kompletem hawajskich koszul. Takie rzeczy są zarezerwowane tylko dla tych, którzy ulepili tych, co teraz lepią. Zatem niech to raczej będzie skromny człowiek, dla którego tramwaj jest zazwyczaj wystarczająco droгим środkiem transportu, aczkolwiek dopuszczalne są wersje zamożności pozwalające na zakup jakiegoś niekoniecznie najtańszego modelu bmw lub volkswagena, najchętniej za kredyt w Deutsche Banku.

Dosłownie te same słowa: „postęp” i „nowoczesność” prały mózgi w czasach PRL, co łatwo można sobie przypomnieć, oglądając filmy Polskiej Kroniki Filmowej z tamtych lat. Przy okazji takich masochistycznych seansów da się rozpoznać niektóre twarze ówczesnych pezetpeerowskich prominentów, przemianowanych dziś na wybitnych europosłów — powtarzających bez żenady, czyli w pełni profesjonalnie, ten sam numer (znów usiłują przekonywać, że jesteśmy ciemni i zacofani, i to nawet tym razem bardziej, czego po dekadach ich rządów wykluczyć nie można). Można za to być pewnym, że te same osoby, które tak dzielnie, do końca trwały w swoim przywiązaniu do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej u kremlowskich przywódców na ordynansach, po ustrojowych przemianach z jakże heroiczną odwagą zmieniając front w dążeniu do służby

* Manfred Wernitz, Heinrich Jaworek, *Aufgeklärter vorbild unsere hegemonie* [Światły przykład naszej hegemonii], Holter Dura Lex Press.

innemu panu, natychmiast znów przeorientowałyby poglądy, gdyby tylko zmieniły się okoliczności.

Z doświadczenia wiadomo, że ludziom zwykle da się wmówić wszystko i nigdy nie zabraknie dających wiarę na przykład w to, że na Marsie żyją pięcioosobowe trojaczki zajmujące się przewidywaniem notowań WIG20, a w wolnych chwilach także pogody na stylowej planecie wielkości kurczaka. Wszystkich, którzy w to nie wierzą, trojaczki nazywają zacofanymi antyglobalistami, bezrozumnymi fundamentalistami, fanatycznymi obskurantami o totalitarnych gębach wykrzywionych nienawiścią do wszystkiego, co nieznanne, odmienne, ładniejsze, mądrzejsze i urozmaicone płciowo — jednym słowem, są głupimi ćwokami. Ale chyba nie należy zanadto się dziwić, że mogą być przyjmowane za prawdę takie bezsensy, skoro znajdują się wierzący w to, że Ziemia jest płaska, albo że w Unii Europejskiej panuje demokracja — choć istnienie niewypukłej Ziemi w tym zestawieniu wydaje się jakby nieco bardziej prawdopodobne.

Znaczny udział w różnych przepełnionych swoistymi aktami wiary adoracjach mają media, najczęściej z wielką żarliwością zwane „niezależnymi”, a co do których już w XIX wieku zauważono, że nie istnieją. Wszystkie bowiem ówczesne gazety okazywały się zależne, co bez trudu stwierdzono, a czemu ze świętym oburzeniem natychmiast „niezależne gazety” zaprzeczyły. Od tego czasu, dzięki radiu, telewizji i Internetowi, „niezależność” bardzo się rozrosła, znacznie poszerzając grono medialnych wyznawców. Dlatego uruchamiając dziś jakiś odbiornik podający kolejną porcję agencji wierzeń, coraz trudniej jest nie przykleknąć na jedno kolano, co odnosi się tylko do nielicznych, bo większość leży plackiem. Pojawiły się już zakłady, czy papież rzeczywiście jest skłonny dać posłuch tym wszystkim nieborakom, którym doskwiera (utożsamiane głównie z telewizją) określenie „złoty cielec”, i zakazać wspomnienia tego przedmiotu w wydarzeniach z Księgi Wyjścia w trakcie liturgii, ewentualnie zastąpić go zwrotem „postęp i nowoczesność”. Tak zwany przekaz medialny, sądząc po liczbie wiernych, jest dziś największą religią świata, wraz z konsekwencją nieprzyjaznych postaw czcicieli jego różnych obrządków, zarzucających sobie wzajemnie bałwochwalstwo. Gdy wsłuchać się w wypowiedzi fanatyków medialnego kultu, trudno czasem oprzeć się wrażeniu, że większość z nich doznała licznych objawień. A gdyby przywołać stare sformułowanie „opium dla ludu”, nieuchronnie prowadziłoby to do spostrzeżenia, że przeważająca część z nich jest zdrowo naćpana.

Jednak to dzięki „niezależnym mediom” dowiadujemy się, że mniej więcej od paleolitu, przez Sumerów, starożytny Egipt, Grecję, Imperium Rzymskie, średniowiecze, renesans, aż po zindustrializowaną współczesność, ludzkość tkwiła w błogim, ale beznadziejnie błędnym i prymitywnym przekonaniu, że są dwie płcie. Dopiero ostatnimi czasy ktoś zauważył, że jest ich znacznie więcej. Odkrycie spowodowało pewne perturbacje w przyznaniu za nie Nagrody Nobla, ponieważ nie ustalono jeszcze płci odkrywcy (i nazwiska), co ma nastąpić dopiero po

zweryfikowaniu, jakimi płciami cieszyli się poprzedni laureaci. Przy tej okazji już wstępne analizy wskazują, że wśród noblistów było znacznie więcej mężczyzn niż dotąd sądzono. Sprawa nie ruszy jednak z miejsca, dopóki nie ustaną kłótnie w Komitecie Noblowskim o rozpoznanie płci jego członków.

Pomysłowość w tworzeniu, zmienianiu, deformowaniu pojęć — i nadawaniu im tak różnych sensów, że nie można być pewnym, czy przypadkiem „polityka” nie jest już jakąś odmianą ondulacji (albo odwrotnie), „cudzołóstwo” przewracaniem oczami, a „geszeft” pozostaje bez zmian — wydaje się nie mieć ograniczeń. (Nie zapadła jeszcze decyzja, czy określenie „praworządność” zastąpi parasolki do drinków, czy też będzie oznaczało masowe rozstrzeliwania). Ta inwencja przeważnie zaczyna się od mądrych dociekań najtęższych myślicieli albo przypadkowej wymiany zdań dwóch zdunów. Kończy się zaś — co najmniej podbiciem komuś oka. Do klasycznych objawów takich szykowych frazeologii zaliczyć trzeba, niepozbawione swoistego uroku, sformułowanie „demokracja socjalistyczna”. Do dziś nie wiadomo, co to właściwie oznaczało poza ogólnym zamordyzmem, szczególnie wobec ludu, czyli demosu. Innym przykładem, noszącym wręcz znamiona apoteozy, jest zwrot „demokracja liberalna”, który pojawia się zwykle, gdy pada nazwisko: John Locke, Leszek Balcerowicz, George W. Bush junior czy Jędruszczyński senior — paradoksalnie, mający więcej wspólnego z socjalizmem niż z liberalizmem, chociaż toczą się spory, czy socjalizm na pewno zaistniał, a jeśli tak, to jaką przybrał postać i czy nie był nią przypadkiem przebrany za pierwszomajowy pochod piechur testujący serum na żylaki. Swoją drogą, samo wyrażenie „liberalny” ma już teraz inne znaczenie i nie odnosi się do „liberalny”, tylko do *liberalny* lub LIBERALNY, albo „bogać tam!”.

* * *

Tymczasem dochodzą sensacyjne wieści — poszukiwany fragment pism Wincentego Kadłubka właśnie odnaleziono w Neubrandenburgu. W pewną rozterkę wprawia jednak to, że odkryta historiografia została zapisana w nieskazitelnym *Hochdeutsch* i jest w niej mowa o grzesznej postawie osób niewspierających „mniejszości seksualnych”, przeplatana licznymi wzmiankami o mechanizmach warunkowości. Rosnące wątpliwości dotyczące wiarygodności dokumentu spotęgowało pojawienie się w tekście słowa „Gazprom”.

To wydarzenie powinno nas, bez oglądania się na stare dzieje, spowodować do samodzielnego sformułowania własnej myśli. A zatem: po co nam Polska...? Po to, abyśmy mogli udzielić trafnej odpowiedzi na to pytanie.

Roman Kochnowski

politolog

Jeśli wierzyć badaniom opinii publicznej, to prawie jedna trzecia dorosłych Polaków państwa z predykatem „polskie” w ogóle nie potrzebuje. To grono tworzą nie tylko politycy z kręgów opozycji lewicowo-liberalnej, ale również obywatele, którzy na co dzień polityką się nie pasjonują. Są jednak przekonani, że federalizacja Unii Europejskiej i roztopienie się w organizmie „ojczyzny Europy” państw narodowych to rozwiązanie optymalne. Wierzą, że przyszłość Polaków to ponadnarodowy moloch europejski, w którym podmiotowość naszego narodu miałyby mniej więcej taki sam zakres jak w dobie galicyjskiej autonomii. Dlatego też — gdyby kwestia ta miała zostać rozstrzygnięta w referendum — pytanie o zgodę na udział w federalnej Europie powinno zostać uzupełnione o dopisek: „przy jednoczesnej likwidacji suwerennego państwa polskiego”. Pomysłodawcy europejskiego konceptu federacyjnego zupełnie abstrahują od doświadczeń z przeszłości. Wielonarodowa dualistyczna monarchia austro-węgierska przetrwała ledwie 51 lat, ZSRR — 69 lat, a federacyjna Jugosławia tylko 46 lat. Myślę, że nadal pamiętamy, czym rozpad ostatniego z tych państw federalnych się skończył. Pandemia COVID-19 wyraźnie przy tym pokazała słabość organów unijnych, wzmacniając tym samym państwa narodowe w Europie. Do tego dochodzi coraz mniej budujący obraz Unii Europejskiej, której czołowe organy zawłaszczane są przez międzynarodowe *lobbies*, a tak dbający o praworządność Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej jest podatny na manipulacje organów

wykonawczych Wspólnoty. Wreszcie — dla organów ustawodawczych i wykonawczych prawa człowieka stają się swego rodzaju nową religią, ważniejszą niż bezpieczeństwo, tak jak dało się to zaobserwować w trakcie kryzysu na granicy polsko-białoruskiej. Konkluzja dotycząca federalizacji Unii Europejskiej jest oczywista. To rozwiązanie — jak można się spodziewać — raczej przysporzyłoby problemów, niż rozwiązałoby obecne. Nie wspominając o nieuchronnym końcu polskiej państwowości.

Państwo polskie realnie istniejące dalekie jest od doskonałości. Przyczyny tego stanu rzeczy to temat sam w sobie bardzo obszerny, godny niejednej monografii czy wielogodzinnej dysputy akademickiej. Ale to państwo istnieje, stanowiąc samo w sobie istotne dobro narodowe. Warto w tym miejscu przypomnieć tragiczną postać ministra Józefa Becka i całej ówczesnej elity sanacyjnej, dla której honor był ważniejszy od egzystencji państwa i dobra jego obywateli.

Po pierwsze zatem: wszystkie odpowiedzialne siły polityczne powinny być zgodne co do tego, że — powtarzając za Cynceronem — „salus rei publicae suprema lex esto”. Tu nie ma miejsca na opinie podważające działania władz państwowych na rzecz ochrony nienaruszalności granicy państwowej. Zwłaszcza jeśli czynią to nie tylko osoby ubogie intelektualnie, ale też chcący uchodzić za odpowiedzialnych politycy opozycji. Kto nie szanuje własnej armii, będzie zmuszony szanować cudzą.

Po drugie: musimy uznać, że w takiej, a nie innej konstelacji politycznej w Europie i na świecie żaden sojusz (NATO) ani żadna organizacja międzynarodowa (UE) nie zapewnią nam w stu procentach bezpieczeństwa. Ani w militarnym, ani w ekonomicznym wymiarze. Czas „końca historii” minął bezpowrotnie.

W związku z tym Polacy potrzebują państwa sprawnego, które będzie w stanie samodzielnie odpowiedzieć na rysujące się coraz wyraźniej zagrożenia polityczno-militarne i ekonomiczne. Nikt za nas tej lekcji nie odrobi. Rzecz jasna wymaga to odpowiedzialnej postawy opozycji i sprawnego działania rządu. Tylko tyle i aż tyle. A stawiając kropkę nad „i” — Polacy potrzebują nade wszystko państwa wolnego od wojny polsko-polskiej. W przeciwnym bowiem razie przypomną nam się słowa poety: „Miałeś, chamie, złoty róg...”. Strach kończyć.

Janusz A. Majcherek

filozof, socjolog

Gdy pod koniec XVIII wieku Polska zniknęła z map, świat, a nawet Europa, nie doznały bynajmniej wstrząsu, ład światowy i europejski się nie załamał. Wstrząs taki i gwałtowny przewrót geopolityczny wywołała jednak w tym samym czasie rewolucja francuska, czyli nagłe zniknięcie jednej z najstarszych i najbardziej wpływowych europejskich monarchii — choć nie francuskiego państwa. Ustanowiony po upadku Napoleona na kongresie wiedeńskim porządek polityczny, z udziałem teź Francji, której rozbiór i zniknięcie sobie nie wyobrażano, zapewnił Europie jeden z najdłuższych okresów względnej stabilności i szybkiego rozwoju.

Dotyczy to także ziem polskich, pozostających wówczas pod panowaniem zaborczych mocarstw. W ostatnich trzech dekadach poprzedzających wybuch I wojny światowej przeżywały one dynamiczny rozwój. Bez własnego państwa.

Owszem, towarzyszyła temu presja germanizacyjna i rusyfikacyjna, ale obszary wchodzące w skład monarchii austro-węgierskiej otrzymały i zachowały szeroką autonomię — tamtejsi Polacy mogli swobodnie działać na wszystkich polach publicznej aktywności. Jeśli Galicja była zacofana ekonomicznie, to w znacznym stopniu obciąża to samych Polaków, trudno jest wskazać jakiegokolwiek przeszkody czy bariery czynione im przez władze habsburskiej monarchii, które mogłoby usunąć własne państwo. Pozostawanie w składzie wielkich monarchii umożliwiało Polakom swobodny handel i czerpanie korzyści z dostępu do

rozległych rynków. Zniesienie po 1864 roku granicy celnej Królestwa Polskiego z Rosją, będące elementem likwidacji resztek państwowej odrębności w ramach powstaniowych represji, otworzyło perspektywy ekspansji gospodarczej, która przyczyniła się do szybkiego rozwoju. Granice celne, uchodzące wówczas za jeden z atrybutów państwowości, okazały się barierą w rozwoju.

Polskie państwo nie było potrzebne polskim chłopom co najmniej do czasu uwolnienia ich od feudalnego poddaństwa, czego dokonali zaborcy. Toczy się obecnie w polskiej historiografii spór, czy poddaństwo to można zrównywać z niewolnictwem, ale to kwestia drugorzędna. Wolność osobistą chłopów, uwolnienie od poddaństwa wobec polskich feudałów, przynieśli im obcy władcy. Jak pisze w *Ludowej historii Polski** Adam Leszczyński: „administracja państwowa jako czynnik realnie ograniczający samowolę właścicieli pojawia się naprawdę dopiero wraz z zaborami”. W nominalnie własnym państwie chłopska dola była gorsza niż w formalnie własnym państwie. Polska nie była chłopom potrzebna, co zresztą potwierdzają świadectwa epoki, w tym pamiętniki Wincentego Witosa. A nowela Stefana Żeromskiego *Rozdzióbią nas kruki, wrony* wyraża to w formie literacko-metaforycznej i w ponurym tonie.

Można argumentować, że ci obcy — wyłączając wszak Habsburgów po 1864 roku — jednak gnębili Polaków pod względem kulturowym, narodowościowym, religijnym (Kulturkampf w Wielkim Księstwie Poznańskim, forsowanie prawosławia i cyrylicy w Kongresówce). Ale gdy po upadku, w wyniku I wojny światowej, rozbiorowych mocarstw pojawiła się perspektywa utworzenia polskiego państwa, Polacy bynajmniej nie garnęli się do tego ochoczo. Miliony ich walczyły w zmagających się ze sobą armiach trzech cesarzy, strzelały do rodaków po przeciwnej stronie frontu, nie było głośnych przykładów odmowy służby czy dezercji. To Jaroslav Hašek przedstawił świadectwo graniczącego z abnegacją dystansu Czechów wobec służby w armii cesarskiej.

Jak wiadomo, gdy legioniści Piłsudskiego na początku wojny wkroczyli do Kongresówki z zamiarem wywołania antyrosyjskiego powstania, spotkali się z obojętnością i żadnej antycarskiej rebelii nie udało się wznieść. O odrodzeniu Polski zaczęli głośno mówić dopiero dwaj cesarze niemieccy, zamierzając stworzyć sprzymierzone z nimi, a właściwie podporządkowane im, państwo polskie jako buforowe na ziemiach polskich odbitych spod panowania Rosji.

Gdy po wojnie przeprowadzono plebiscyty mające przesądzić o przynależności państwowej terenów zamieszkałych przez znaczny odsetek ludności polskojęzycznej, opcja propolska przegrała. Szczególnie było to wymowne na Warmii i Mazurach, czyli w Prusach Wschodnich, gdzie spis powszechny z 1910 roku oraz opracowania samych niemieckich etnografów i demografów wykazywały

* W.A.B., Warszawa 2020.

znaczny, na niektórych obszarach dominujący, udział ludności polskojęzycznej. Gdy przyszło opowiedzieć się za przynależnością do powstającego państwa polskiego lub pokonanego, upadłego państwa prusko-niemieckiego, wybrali tę drugą opcję. Nie potrzebowali polskiego państwa.

Po II wojnie światowej, gdy tereny te przyłączono do Polski, prawie wszyscy wyjechali do Niemiec, kiedy tylko taka możliwość się pojawiła, podobnie jak w wypadku wielu Ślązaków, którzy w plebiscycie znacznie liczniej — choć też w mniejszości — optowali za przynależnością do Polski.

Szczególnie smutny jest przykład zachodnich Kaszubów, tych luterańskich (podobnie jak Mazurzy). Po wojnie prawie wszyscy wyjechali do Niemiec, skansen w Klukach to przygnębiający relikw społeczności, która zniknęła, bo nie chciała pozostać w Polsce.

Emigracja zresztą trwała i w okresie braku własnej państwowości, i po odzyskaniu niepodległości. Zarówno tej w 1918 roku, jak i tej w 1989 roku.

Zwłaszcza ten drugi przykład daje do myślenia. Gdy Polska uwolniła się wreszcie od komunizmu i odzyskała niepodległość, miliony Polaków z niej uciekli, opuścili ją, porzucili. Część z nich kreuje się teraz na obrońców polskości operujących z obczyzny. Nie wahali się jednak porzucić Polski, gdy taka okazja się nadarzyła.

Najbardziej narzucająca się na pytanie „Komu potrzebna jest Polska?” odpowiedź, że Polakom, z pewnością nie dotyczy ich wszystkich. A poza nimi już bodaj niko. W 1918 roku prawie wszyscy nie-Polacy, którzy mieli się znaleźć w granicach państwa polskiego, sprzeciwiali się temu — zarówno gdańszczanie, jak i Ukraińcy, Litwini czy Czesi ze Śląska Cieszyńskiego.

Przez sto lat XIX wieku (1815–1914) Europa obywatela się zupełnie dobrze bez Polski, choć w tym czasie powstały Belgia, Rumunia, Serbia, zjednoczone Włochy. Świat może istnieć bez Polski, nie jest mu ona potrzebna, tak jak potrzebne są Stany Zjednoczone, Francja czy Niemcy.

Ale chodzi nie tylko o wielkość, jak w wypadku tych państw, lecz także o rolę w konstrukcji europejskiego i światowego ładu. Austria czy Szwajcaria są dlań ważniejsze, bodaj także Ukraina stała się dla tego ładu istotniejsza niż Polska. W 1989 roku szanowana i doceniana jako inicjatorka przemian, przez wiele późniejszych lat uważana za wyznaczającą kierunek rozwoju Europy Wschodniej i jej integracji z Europą Zachodnią, Polska staje się coraz bardziej uciążliwym sąsiadem, niepewnym partnerem, wątpliwym sojusznikiem.

Unia Europejska i NATO istniały bez Polski i bez Polski istnieć mogą. Dla obu tych kluczowych w utrzymaniu stabilnej Europy struktur Polska ma mniejsze znaczenie niż wielokrotnie od niej mniejsze republiki bałtyckie. Ich pozycję wyznacza nie tylko graniczenie z Rosją, lecz także przyjęcie europejskiej waluty i wejście w strefę jej obowiązywania, co przez polskich „patriotów” jest

odrzuć jako zrzeczenie się monetarnej suwerenności — jednego z atrybutów państwa.

Obecna Polska raczej przeszkadza, utrudnia i szkodzi, niż pomaga, wspiera czy ułatwia. Jest dla Europy i świata kolejnym problemem, a nie wsparciem w rozwiązywaniu któregośkolwiek.

A doprowadzili do tego ci, którzy swoim oponentom zarzucają brak troski o Polskę, oskarżając ich o kosmopolityzm, eurocentryzm i germanofilię.

Andrzej Mazur

poeta, redaktor

1. PODSTAWOWE DEFINICJE.

MONTESKIUSZ I BOBRZYŃSKI, XVIII I XIX WIEK

Współczesne państwa demokracji parlamentarnej oparte są na zasadzie trójpodziału władzy Charles'a de Montesquieu, zawartej w traktacie z 1748 roku *O duchu praw*. Władza w państwie jest podzielona na trzy segmenty: (1) ustawodawczą — parlament, (2) wykonawczą — rząd i (3) sądowniczą — sądy. Pozostają one we wzajemnej równowadze — *checks and balances*. Samą demokrację trafnie określił Alexis de Tocqueville w *O demokracji w Ameryce*, dwutomowym dziele wydanym w latach 1835 i 1840, jako władzę większości dla dobrobytu większości.

Rzadko się jednak zwraca uwagę na fakt, że już w XIX wieku doszła władza czwarta — gospodarcza (4). Pisał o niej w swojej znakomitej historii Polski Michał Bobrzyński, wprowadzając ten czwórpodział do metodologii rozważań.

1.1. Międzynarodowe uwarunkowania, XX i XXI wiek

W XX wieku doszły do tych czterech segmentów kolejne — o globalnym charakterze — mające wpływ na politykę państwa i jego prawodawstwo: wspólnota międzynarodowa ONZ (5), społeczność międzynarodowa — opinia publiczna zorganizowana w organizacje niepaństwowe (6) oraz media klasyczne (7) i Internet (8). Można je określić jako złożoną strukturę uwarunkowań planistycznych i prognostycznych. Uwarunkowań — gdyż funkcjonują one w sieci umów

międzynarodowych, między państwowych (unie, federacje) i, co ważne, takich samych umów dotyczących podstawowych badań naukowych prowadzonych przez gremia międzynarodowe (wymienić tu należy na przykład CERN w Genewie — badania nad cząstkami elementarnymi i badania nad energią termojądrową w Marsylii). Lata 2020 i 2021 przyniosły jeszcze inne wstępujące trendy — badania kosmiczne i rozwój turystyki kosmicznej (9) oraz rozwój epidemiologii i badań nad szczepionkami (10).

1.2. Monteskiusz: mapa. Geografia

Wróćmy jednak do Monteskiusza, którego cytuje się niemal automatycznie jako współczesne abecadło filozofii państwa i prawa oraz niezbędne uzupełnienie „umowy społecznej” Johna Locke’a (którą można określić jako konstytucję). To mechaniczne włączanie *a priori* trójpodziału do rozmaitych publikacji powoduje, że najczęściej nie czyta się całości *O duchu praw*. A rozpoczyna je Monteskiusz ciężkimi rozważaniami ontologicznymi oraz mapą geograficzną. Tak, rozważania Monteskiusza rozpoczynają się od mapy i geografii świata. Można zatem powiedzieć, że wracając do źródeł współczesnej filozofii państwa i istoty jego praw, widzimy najpierw mapę i geografii obszaru, w jakim żyjemy. Inaczej poprowadzimy badania abstrakcyjne, inaczej — czysto semantyczne.

2. OCHRONA EKOSYSTEMÓW I POPULACJI

Skoncentruję się na tych zagadnieniach, gdyż od 2019 roku byłem zaangażowany w rozmaite projekty ekopolityki lub ochrony dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego, takie jak na przykład „Ekopolityka Przemysła w horyzoncie planistycznym 2160–2170 r.”, proponująca ochronę miasta wraz z jego otuliną przyrodniczą aż do granic Bieszczadzkiego Parku Narodowego, wpisanie miasta Przemysła na listę światowego dziedzictwa UNESCO, międzynarodowe konferencje „Europa Karpat” dotyczące własnego projektu „Karmazynowego Szlaku” turystycznego od Kłajpedy do Salonik (3500 km), wpisanie całych Karpat na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Wszystkie te projekty opierały się na studiach nad mapami geograficznymi omawianych obszarów i na lokalizacji obiektów chronionych ustawami, takich jak parki narodowe, parki krajobrazowe, rezerваты przyrody, pomniki historii oraz obiekty z listy światowego dziedzictwa UNESCO.

Na tej podstawie, a także na podstawie kilkudziesięcioletniego doświadczenia turystycznego, mogę stwierdzić, że wszystkie te pomysły i idee, mające w założeniu ochronę dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego, promocję turystyki i zdrowia, bez skutecznej ekopolityki nigdy nie zostaną w pełni zrealizowane ani nie przyniosą oczekiwanych skutków.

Pojęcie jakości życia jest kluczowe dla ekologii. Słabe państwo, zdeintegrowane społeczeństwo, brak polityki społecznej, niski poziom edukacji, problematyczna

gospodarka, słaby pieniądz — wszystko to również nie sprzyja ekologii. Ale najbardziej — brak elementarnego myślenia kategoriami ochrony.

Obecnie rozwój nie może być nomadyczny i odbywać się wedle zasady: „skończyły się pastwiska, idziemy na nowe tereny”, gdyż nowych terenów już brak.

Polska jest niewielkim krajem, a o tożsamości narodowej decyduje nie tylko kultura, ale też krajobraz. Przyrodniczy i kulturowy. Zniszczenie krajobrazu jest zniszczeniem kultury. Zniszczeniem cywilizacji. I zniszczeniem świata, w którym żyjemy.

Konieczna jest tutaj nowa równowaga, nowy kulturowo-przyrodniczy *checks and balances* sformułowany w równaniu zawartym w „Ekopolityce Przemysłu w horyzoncie planistycznym 2160–2170 r.”:

Pada miasto — pada otulina

Pada otulina — pada miasto

Końcowa odpowiedź na pytanie „Po co nam Polska?” jest więc taka: po to, żeby o nią dbać.

3. VARIA: CHCĘ ODDYCHAĆ, CHCĘ ŻYĆ. CZYSTE HABITATY. RZĄD, BUDŻET PAŃSTWA

Trudno mieć dobry humor, idąc przez miasto w smugach benzopirenu i wdychając ten szkodliwy aerozol. To jest też kwestia zdrowia publicznego — umiejętność dostrzegania związków przyczynowo-skutkowych między zanieczyszczeniem powietrza a chorobami układu oddechowego, krążenia, metabolizmu, niedotlenieniem organizmu i obniżonym komfortem życia. Brakiem dobrostanu.

Stanisław Michalkiewicz

publicysta, prawnik, wykładowca

CHCEMY BYĆ SOBĄ

Polska nie jest nikomu potrzebna, świat bez Polski może istnieć — o czym mogliśmy się przekonać podczas rozbiorów. Polski nie było, a świat istniał, jakby nigdy nic — tylko Polacy co jedno pokolenie urządzali powstania, których celem było odrodzenie Polski. Najwyraźniej im Polska była do czegoś potrzebna, skoro zdobywali się na takie wysiłki i poświęcenia. Podobnie było podczas wojny bolszewickiej, kiedy to szajka, która przejęła w Rosji władzę i zalała ją krwią, próbowała zlikwidować dopiero co odrodzoną Polskę, żeby zalać krwią całą Europę. Wtedy do wojska zgłosiło się mnóstwo ochotników, z których wielu poległo, a wielu zostało okrutnie przez bolszewików zamordowanych. Widocznie oni też uważali, że Polska jest im potrzebna, skoro dla niej puszczali się na takie hazardy. Z kolei podczas II wojny światowej bardzo wielu Polaków wojowało z Niemcami na różnych frontach, a co najmniej 300 tysięcy tworzyło Armię Krajową, chociaż udział w tej organizacji groził śmiercią. Nawet po wojnie, kiedy to z łaski Józefa Stalina Rosjanie stworzyli namiastkę Polski, wielu Polaków, mając nadzieję na wybuch III wojny światowej, próbowało walczyć z wielkoryządcami tej namiastki, a potem, kiedy nadzieje na odrodzenie Polski wskutek konfliktu zbrojnego upadły, bardzo wielu Polaków nie porzuciło marzenia o zastąpieniu sowieckiej namiastki Polską autentyczną. Im też autentyczna Polska była do czegoś potrzebna — a skoro to

pragnienie utrzymywało się i utrzymuje w kolejnych pokoleniach, to warto postawić pytanie, do czego właściwie ta cała Polska jest im potrzebna.

Na początek trzeba zwrócić uwagę, że mówiąc o Polsce, mamy na myśli państwo, które w rozwoju dziejowym przybierało różne formy ustrojowe, zachowując przy tym tożsamość. Rzut oka na tę historię pokazuje współczesnemu pokoleniu, że to nie ono Polskę stworzyło, że ono, dzięki poprzednim generacjom, ją zastało i może z tym depozytem zrobić dwie rzeczy — albo go roztrwonić, albo go wzbogacić i przekazać generacjom następnym. Jeśli obecne pokolenie zdecydowałoby się ten depozyt roztrwonić, to pokazałoby tym samym, że uważa, że Polska nie jest mu do niczego potrzebna. Jeśli zdecydowałoby się go wzbogacić, to znaczy, że uważa, że Polska jest potrzebna nie tylko jemu, ale może też być potrzebna pokoleniom następnym. Tym bardziej intrygujące staje się pytanie — a do czego właściwie?

Na tożsamość każdego człowieka składa się wiele czynników, wśród których na plan pierwszy wysuwają się wspomnienia. Dzieciństwo, czyli dom rodzinny, najwcześniejsze przeżycia — psychologia dziecięca twierdzi, że to właśnie ono wywiera wielki wpływ na późniejszy okres życia człowieka. Z tego okresu czerpie pierwsze wzorce zachowań, w tym okresie buduje zręby systemu wartości, który potem rozbudowuje dzięki edukacji i pracy intelektualnej, i z tego okresu zachowuje wspomnienia, do których wraca, zwłaszcza pod koniec życia. To wszystko składa się na osobniczą tożsamość każdego człowieka. Ale tożsamość osobnicza nie wyczerpuje całego zakresu tożsamości. Jest ona bowiem uzupełniana o rozmaite doświadczenia życiowe, rozbudowywana o uczucia, zarówno pozytywne, jak i negatywne. Wszystkie one ubogacają tożsamość osobniczą, sprawiając, że wykształca się w niej poczucie przynależności do większej zbiorowości, do której człowiek — jak śpiewamy z piosence — „przylega sercem”. Tak właśnie tworzy się wspólnota narodowa.

Ale serce musi mieć do czego przylgnąć — więc ta wspólnota musi istnieć i przetrwać następujące po sobie kolejno generacje. Nie tylko istnieć i przetrwać, ale również wytwarzać własną tożsamość, z którą poszczególni ludzie będą mogli się identyfikować. Elementem tej tożsamości jest historia narodu, jego wzloty i upadki; jej elementami są też język, kultura, obyczaje, religia, bohaterowie, łajdacy, a nawet kuchnia i smaki. Nasza tożsamość składa się z tego mnóstwa czynników, które w większości już zastaliśmy i do których „sercem przylegamy”. I wyobraźmy sobie, że z tego wszystkiego ktoś nas wyczyścił, że nie mamy ani żadnych wspomnień z dzieciństwa, ani żadnej świadomości historycznej i kulturowej, że nie wiemy, co właściwie myślą ludzie zoperowani podobnie jak my — o ile oczywiście w ogóle możemy się z nimi porozumieć, przecież ważnym elementem tożsamości zbiorowej jest język mówiony. Kim byśmy byli, co moglibyśmy powiedzieć o sobie samych? Nic. Bylibyśmy ludźmi bez właściwości, tak zwanym nawozem historii.

Wielu ludziom bycie „nawozem historii” specjalnie by się nie podobało, bo wiadomo, że bycie nawozem nie jest żadnym atrybutem zaszczytnym. To też jeśli nawet odrzucają te elementy zbiorowej tożsamości i ostentacyjnie nimi pogardzają, to z reguły stwarzają pozory uczytnictwa w zbiorowości szerszej. Na przykład — uważają się za europejsów. To jest snobizm raczej nadwiślański, bo z czasu pobytów we Francji nie przypominam sobie, bym spotkał kogoś, kto przedstawiałby się jako „Europejczyk”. Zdecydowana większość moich rozmówców, z różnych zresztą środowisk społecznych, uważała się za Francuzów. Spotkałem też jednego, który wprawdzie nie znał żadnego innego poza francuskim językiem, ale nie uważał się za Francuza, tylko — za Bretończyka. Nie spotkałem jednak żadnego „Europejczyka”. Najwyraźniej wszyscy ci moi rozmówcy musieli uważać, że są Europejczykami dlatego, że są Francuzami, więc nie widzieli najmniejszej potrzeby afiszowania się swoją „europejskością”. Słowo „snobizm” jest zbitką dwóch łacińskich słów: *sine nobilitate*, co znaczy — ‘bez szlachetności’. Zwróćmy uwagę, że ci, którzy pragną, by ich we własnym kraju uważano za cudzoziemców, to właśnie snobi. „O pierwszej, gdy najgwarniej,/ Wszedł dureń do kawiarni/ [...] Zamówił <<hisky-ssoda>>,/ Sepleniać spleenowato,/ I westchnął sobie: <<Szkoda!>>/ (Bo tęsknił za herbatą)”* — opisuje takiego osobnika poeta.

W Polsce sytuacja komplikuje się dodatkowo. Od 1944 roku historyczny naród polski musi dzielić terytorium państwowe z polskojęzyczną wspólnotą rozbójniczą, której najtwardszym jądrem w pierwszym pokoleniu byli kryminaliści wypuszczeni z więzień we wrześniu 1939 roku. Prawie natychmiast oddali się swoim ulubionym zajęciom, tzn. bandytyzmowi. Jednak od 1942 roku, kiedy w Moskwie powstał Sztab Partyzancki, do tych band zaczęli docierać skoczkiem z Rosji, którzy przedstawiali bandytom propozycję nie do odrzucenia: albo podporządkują się sowieckim dowódcom i politrukcom, albo zostaną zlikwidowani. Bandy te propozycje przyjmowały tym chętniej, że wcale nie musiały porzucić dotychczasowego trybu życia, o czym świadczą choćby wytworzone przez nie same dzienniki bojowe. Czytamy w nich między innymi, że w akcji bojowej zdobyto „bieliznę damską i pościelową”. Tę bieliznę damską to oczywiście na SS-manach... Po wojnie ci „partyzanci” stanowili trzon niższego aparatu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w którym nie tylko „utrwalali władzę ludową”, ale i rozmnożyli się w kolejnych generacjach tych ubeckich dynastii. Tak wytworzyła się polskojęzyczna wspólnota rozbójnicza, która wprawdzie posługuje się językiem polskim, bo innego nie zna, ale z historycznym narodem polskim się nie identyfikuje. Przeciwnie — w 1981 roku wystąpiła ona zbrojnie przeciwko niepodległościowym aspiracjom historycznego narodu polskiego i była gotowa wysługiwać się każdemu, kto jej obieca możliwość dalszego pasożytnictwa na tym historycznym narodzie.

* Julian Tuwim, *Męczennik*.

Naród może rozwijać się normalnie w zasadzie w warunkach wolności. Wprawdzie okres rozbiorowy charakteryzuje się bezprzykładnym rozkwitem narodowej kultury, ale — po pierwsze — większość ówczesnych wybitnych dzieł powstała na obczyźnie, a po drugie — w tamtym okresie kultura polska zdominowana została przez rys cierpiętniczy, którego nie spotykamy w okresie Polski mocarstwowej, za Jagiellonów czy nawet Wazów. Ale Wolność musi być zabezpieczona Mocą, bo w przeciwnym razie albo w ogóle zanika, albo staje się własną parodią. Stąd wypływa potrzeba posiadania państwa suwerennego, to znaczy takiego, które jest zdolne do samodzielnego ustanawiania własnych praw. Kiedy w 1977 roku przystępowałem do konspiracji, początkowo wydawało mi się, że najważniejsze jest odzyskanie niepodległości i wszystko będzie załatwione. Któregoś dnia przyszła jednak refleksja, że przecież ZSRR za Stalina czy Chiny za Mao Zedonga były państwami niewątpliwie niepodległymi — ale za żadne skarby nie chciałbym tam mieszkać. „Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,/ Nie słysząc i na dziesięć kroków, co szepczemy”* — pisał Osip Mandelsztam, który za ten właśnie wiersz został zesłany na Kołymę, gdzie zresztą nie dotarł, bo umarł z wycieńczenia po drodze. Doszedłem wtedy do wniosku, że niepodległość nie jest celem, że jest ona tylko środkiem gwarantującym — jak to zauważył kanclerz Jan Zamoyski — „byśmy wolności naszych zażywali”.

Niepodległość ani suwerenność nie gwarantują, że ułożymy sobie życie publiczne w sposób pod każdym względem właściwy. Gwarantują one tylko, że ułożymy je sobie po swojemu, a nie według cudzych, może nawet skądinąd słusznych, rozkazów. Ale z tego wynika obowiązek, by możliwości, jakie daje niepodległość i suwerenność, odpowiednio wykorzystać, byśmy czy to wskutek głupoty, czy to wskutek lekkomyślności ani nie utracili państwa, ani nie dopuścili do tego, by stało się ono naszym ciemieżcą. Dlatego dopóki mamy państwo, dopóki mamy Polskę, trzeba o nią dbać, nawet jeśli z tych czy innych względów aktualna sytuacja nam się nie podoba. Dopóki bowiem mamy Polskę, zawsze można ją poprawić, a jeśli jej nie będzie, to już niczego nie poprawimy. A przecież — jak śpiewa Perfect — „chcemy być sobą”!

* W przekładzie Stanisława Barańczaka.

Maciej Miezan

historyk sztuki, publicysta

Po co nam Polska, tego oczywiście nie wiadomo, ale wiadomo, po co jest Europie. Już Karol Marks — bożyszczce współczesnej lewicującej Europy — zwrócił uwagę na to, że:

Istnieje jedna tylko alternatywa dla Europy: albo azjatyckie barbarzyństwo pod przywództwem moskiewskim zaleje ją jak lawina, albo Europa musi odbudować Polskę, stawiając między sobą a Azją 20 milionów bohaterów, by zyskać na czasie dla dokonania swego społecznego odrodzenia*.

Pisząc te słowa, Marks miał na myśli nie tylko nasz narodowy charakter, ale przede wszystkim geografię. Tak się złożyło, że podczas tzw. fałdowań alpejskich nasz kontynent został przecięty na pół wysokimi górami. Ciągną się one od Peloponezu na południu po Zakopane na północy. Jedyne lądowe przejście z zachodu Europy na jej wschód musi się odbywać przez nizinę, na której w dziewięćdziesięciu paru procentach leży nasz kraj. Innej drogi po prostu nie ma.

* Przemówienie wygłoszone na posiedzeniu Rady Międzynarodówki i Towarzystwa Robotniczego w Londynie, „Commonwealth”, 22 stycznia 1866 roku, https://pl.wikiquote.org/wiki/Karol_Marks [dostęp: 1.08.2022].

Zatem nieszczęścia, które spadają na Polskę, nie są dopustem bożym, lecz ceną, jaką płacimy za — wymuszone przez los — kontrolowanie szlaków handlowych idących z Europy do Rosji i Chin. Jak dużo towarów i surowców przemierza w obie strony tę trasę, uświadamia liczba tirów na naszych autostradach. Także rurociągi Nord Streamu leżą blisko naszego wybrzeża, a więc i naszych baterii rakietowych, które tam się znajdują. To poniekąd tłumaczy, dlaczego wszyscy, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, starają się, żebyśmy nie mieli zbyt silnej armii i nie byli nadmiernie niezależni.

W przytoczonym wyżej cytacie Marks nie mówi nawet o naszej armii, tylko o masie „20 milionów bohaterów”. Dobrze zna historię. Ta cecha naszego narodu ukształtowała się już na początku XVI wieku, gdy w preambule sejmowej konstytucji zapisano słowa: „Nihil novi sine communi consensu”, co najprościej można przetłumaczyć: „Nic o nas bez nas”. Żaden naród na świecie nie zyskał w tych czasach takich przywilejów, ale też żadnego nie obciążano tak dużymi oczekiwaniami i kosztami, szczególnie gdy przyszło prowadzić wojny.

Ponieważ utrzymywanie regularnej i dobrze wyszkolonej armii było niezwykle drogie, a przy sąsiadach, których mieliśmy, armia ta musiałaby być ogromna, w Polsce obowiązek obrony państwa został przerzucony na obywateli. W dodatku nikt im za to nie płacił. Wręcz przeciwnie — to oni musieli ponieść koszty kampanii, a w razie przegranej — także jej konsekwencje. By jednak uzyskać zgodę na takie rozwiązanie, władza musiała dać obywatelom coś w zamian — coś, czego w innych krajach by nie dostali. Były to: wolność osobista i przekonanie, że właściwie to oni tu rządzą. Reszta Europejczyków mogła zaznać takich dobrodziejstw dopiero w XIX wieku.

Ukształtowany w Polsce ustrój demokracji szlacheckiej był wartością, dla której warto było się poświęcać. Tu nie tylko „szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie”, ale nawet mógł kandydować na króla! Tak właśnie było już podczas pierwszej wolnej elekcji w 1573 roku, gdy Henryk Walezy, Iwan Groźny i Ernest Habsburg musieli konkurować o tron z niejakim Wawrzyńcem Słupskim — właścicielem małej wioski pod Inowrocławiem. Podobnych przywilejów i wolności próżno by szukać na całym globie. Na Zachodzie dopiero Wielka Rewolucja Francuska zaczęła głosić hasła bliskie naszej idei „wolni z wolnymi, równi z równymi”, zapisanej w jednym z szesnastowiecznych aktów prawa.

W XIX wieku tę formułę rozszerzono o hasło walki „o wolność naszą i waszą”, przy czym początkowo dotyczyła ona chłopów i mieszczan. Konstytucja 3 maja, insurekcja kościuszkowska i wszystkie następne powstania, choć inicjowane przez szlachtę, miały na sztandarach hasła równości i sprawiedliwości społecznej dla wszystkich. Dzięki temu osiągnięto dość niezwykły i unikalny efekt — polskie społeczeństwo utworzyło się nie przez jakąś walkę klas czy antagonizmy społeczne, ale przez zbiorowe przyjęcie w szeregi szlachty całego narodu.

Widać to dobrze, gdy prześledzi się choćby polskie hymny. Liczba mnoga nie jest tu przypadkowa, bo do zaszczytnego miana hymnu pretendowały trzy pieśni: *Mazurek Dąbrowskiego*, *Rota* i *Marsz Pierwszej Brygady*. Którejkolwiek z nich by nie analizować, w każdej odnajdzie się swoisty katalog powinności polskiego szlachcica. Hymny innych narodów mówią o wielkości i trwaniu, są opisem krajobrazu, pochwałą siły mężczyzn i urody kobiet. U nas — inaczej. Polak ma być jak Czarniecki, wzorować się na cesarzu Bonapartem, wzruszać się, gdy nasi biją w tarabany, i odbierać szablą to, co nam zabrano. *Rota* przypomina o obowiązach „królewskiego szczepu Piastowego” („pójdziem, gdy zabrzmie złoty róg”), a *Marsz Pierwszej Brygady* każe rzucać „swoją los na stos”. Polacy nie boją się walczyć. Historia i położenie geograficzne uczyniły z nas naród bohaterów.

Czy taki model społeczny jest odpowiednio „nowoczesny” dla współczesnej Europy? Teoretycznie nie, ale w praktyce — no cóż... W czasach, gdy Ameryka traci swój prestiż, Chiny wyrastają na globalną potęgę, w Turcji odradza się sułtanat, a Rosja ściąga czołgi na zewnętrzną granicę Unii i blokuje dostawy gazu, myśl, że na tym świecie istnieją Polacy, jest krzepiąca. Dziś już nie 20 milionów, ale 38 milionów bohaterów może dać w razie czego zinfantyliлизованej Europie czas na „społeczne odrodzenie”.

Aż się prosi, żeby tym wszystkim, którzy chcą odrzucić polskość i marzą o roztopieniu się w europejskim amalgamacie, przytoczyć kolejną refleksję ich duchowego mistrza, Karola Marksa. A brzmi ona tak (cytat dokładny):

Nie brak ludzi naiwnych, którzy sądzą, że dziś wszystko się zmieniło, że Polska przestała być „potrzebnym narodem”, jak napisał pewien Francuz, i pozostała tylko sentymentalnym wspomnieniem, a sentymenty i wspomnienia nie są notowane na giełdzie. Ale cóż się właściwie zmieniło? Czy zmniejszyło się niebezpieczeństwo? Nie. Tylko ślepotą intelektualną klas rządzących w Europie doszła do swego zenitu. Polityka Rosji jest niezmienna, co przyznał oficjalny historyk moskiewski Karamzin. Jej metody, jej taktyka czy manewrowanie mogą się zmieniać, ale gwiazda polarna tej polityki — opanowanie świata — jest gwiazdą stałą*.

Zadziwiający? A jednak!

Znając zatem odpowiedź na pytanie, po co Polska Europie, spróbujmy jeszcze pochylić się nad problemem: po co ona nam? Odpowiedź, wcale przecież nie-trudna, wręcz oczywista, nie jest bynajmniej prosta do zwerbalizowania. Nie jest, bo kryje się bardziej w sercu niż w intelekcie, lepszy byłby tu język poezji.

* Ibidem.

Po co nam Polska? Po to samo, po co dom — to jedyne miejsce w kosmosie, w którym człowiek ma poczucie, że jest u siebie, bezpieczny i swobodny, wśród swoich i dla swoich. Miejsce, którego reguły, znane od pokoleń, uznaje za swoje, a więc wie, jak postępować, żeby życie przeżyć godnie i szczęśliwie. Zapewne da się egzystować bez korzeni i tożsamości, ale potrzeba wspólnotowości jest silna w każdym z nas, a naród to wspólnota naturalna, rozpoznana i sprawdzona w bojach. Opoka w świecie chaosu (zwłaszcza teraz, w dobie zmierzchu cywilizacji łacińskiej, gdy rozpadają się dawne systemy wartości i moralny ład).

Poza tym — to dom wielkiej urody i szczodrości natury. Jest tu wszystko: od wysokich gór, przez lasy, równiny, jeziora, po morskie wybrzeże. Polska ma pod dostatkiem żyznych pól, słodkiej wody w rzekach i złóż mineralnych. Przez dużą część swojej historii była krajem dobrobytu, spichlerzem Europy, zapewniającym swoim obywatelom dostatek i możliwości rozwoju.

Jest to też dom niezwykle ciekawy i barwny kulturowo. Przez wieki na naszych ziemiach współistniały różne religie oraz mieszały się wpływy kultury niemieckiej i niderlandzkiej z wpływami włoskimi, francuskimi, a przede wszystkim z ruskimi czy orientalnymi. Najmniej oczywiste są te ostatnie, ale w dobie oskarżania nas o islamofobię warto przypomnieć, że polska szlachta całymi garściami czerpała z kultury tureckiej. Widać to nie tylko w sarmackich strojach, w kształcie polskiej szabli, ale zwłaszcza w języku (takie słowa jak „baran”, „baca”, „torba”, „kiecka”, „filiżanka”, „ułan”, a nawet „papucie”, są pochodzenia tureckiego; słownik zapożyczeń z języka arabskiego liczy sobie 560 stron!).

Zarzucanie polskim patriotom ksenofobii, przekonywanie ich, że powinni „ubogacać się” obcymi ideami i kulturami, jest pozbawione sensu. Bo myśmy to robili od wieków. I robimy ciągle — to nasze kulturowe DNA, jeden z komponentów naszej polskości. Zawdzięczamy to naszemu położeniu na Ziemi, które powoduje, że dla Wschodu jesteśmy Zachodem, a dla Zachodu Wschodem. Warto być Polakiem i mieszkać tu, gdzie mieszkamy. Przez nasz kraj przemierzają się idee i rozmaite dobra w jedną i drugą stronę kontynentu. Jeśli porównać te dwie części Europy z płucami, Polska jest czymś w rodzaju tchawicy, która dostarcza tlenu. Tchawicę można ścisnąć. Można ją też obejść jakąś igelitową rurką. Ale zawsze lepiej jest oddychać naturalnie. Właśnie po to potrzebna jest Polska — nam i Europie.

Tadeusz Nyczek

krytyk literacki

POLSKA I CO?

Nie mam pojęcia, po co nam Polska. To znaczy nie wiem, po co Polska pozostałym Polakom minus piszący te słowa; znaczy to tyle, że mogę mówić wyłącznie za siebie. Miłosz w *Sześciu wykładach wierszem* (Kroniki, 1987) stwierdził: „największym wrogiem człowieka jest uogólnienie”. Więc nie wiem, po co nam Polska, skoro nawet do końca nie wiem, po co mnie ona jest.

Dobrze by też zadać to pytanie Polakom, którzy na przykład wybrali taką czy inną emigrację. Bo Polska albo nie jest im rzeczywiście do niczego potrzebna, albo mają do niej jakiś inny stosunek, nieznaną nam, którzy pozostaliśmy na miejscu. A co powiedzieć o Polakach z rodowodem niemieckim, szwedzkim, białoruskim, ukraińskim, żydowskim, holenderskim i jakim tam jeszcze? Po co im Polska? To dopiero dobre pytanie. Z pewnością po coś, skoro tu zamieszkali.

Prawdopodobnie jedynymi, którzy we własnym mniemaniu wiedzą, po co im Polska, są „prawdziwi Polacy”. Otóż jest im po to, żeby poza nimi nie było w niej nikogo innego. Ta wizja jest, niestety, utopijna, przez co prawdziwi Polacy zawsze będą z tej nie-do-końca-swojej Polski niezadowoleni. Owszem, mogą próbować wysłać na mityczny Madagaskar wszystkich pozostałych Polaków. Jeśli jednak ci prawdziwi (nawet jeżeli ta „prawdziwość” jest genetycznym absurdem, wszyscy jesteśmy mieszańcami) zostaną sami, przypuszczalnie prędzej czy później i tak się powyrzynają. Jezus Chrystus także nie byłby

idealnym Polakiem, choć wielu chętnie by go w takiej roli widziało — za dużo w nim Żyda na przykład.

Nie ma rady, trzeba to wyraźnie powiedzieć: sądząc po tonie, piszący te słowa wykazuje się klasycznym antypolactwem. Nie lubi na przykład pojęcia narodu. Im bardziej widzi, jak nacjonalizm (w rozumieniu narodowej megalomanii) zaczyna się plenić w języku dotyczącym sfery publicznej (wszystko, co „słusznie nasze”, jest narodowe), zaczyna tęsknić za renesansową Rzeczpospolitą, Unią Litewską, a jako urodzony krakus — za monarchią austro-węgierską. Z zazdrością czyta o czasach, w których w domach mieszczańskich, nie mówiąc o dworach czy dworach, dzieci przyswajały kilka języków. Lata temu zachwyił się esejem znakomitego publicyście Aleksandra Małachowskiego, marszałka seniora sejmiku wolnej Polski po 1989 roku. Małachowski, wspominając przedwojenne lata galicyjskiego dzieciństwa i młodości, pisał o naturalnej wielokulturowości, w której się wychowywał; odwołał się przy tym do zbiorowej fotografii poetów „Skamandra”. Tworzyli ją na poły Ukrainiec (Iwaszkiewicz), na poły Niemiec (Wierzyński), dwóch Żydów (Słonimski i Tuwim) i jeden Polak krwi tatarskiej (Lechoń). Oczywiście wszyscy byli Polakami; co jednak na to prawdziwi Polacy? Powinni zacisnąć zęby i mimo wszystko nadal kochać poezję?

Ironią historii jest, że dzisiejsi wszechpolacy i im podobni, wywrzaskujący na swoich faszystowskich marszach hasła „Precz z komuną” czy „Śmierć komunistom”, zapominają (nie wiedzą?), że „Polskę dla Polaków” załatwili im przede wszystkim komuniści. Pierwszy krok zrobił Hitler, urządzając Holocaust, a resztę zrobili towarzysze, zarządzając czystką wśród Łemków, Mazurów, Niemców sudeckich, Ukraińców, nie mówiąc o resztkach Żydów. Ta Polska czyściuszka, odarta z wszystkich (prawie) naleciałości, chropowatości, niepewności i etnicznych niejasności, wprawdzie nieźle brudna moralnie po tych rozmaitych kąpielach, ale we własnych wreszcie oczach gładka i różowiotka, została sama ze sobą, by móc otwarcie przyklejać szumne przymiotniki „narodowy” i „narodowa” wszystkiemu co popadnie. Na wiele się to jej nie zdało, bo teraz Polacy muszą sami sobie skakać do oczu, wyżywać się na nieistniejących komunistach, nieistniejących Żydach i, niestety, wciąż istniejących po lewej stronie granicy Niemcach, po prawej na Rosjanach, a choćby i na uchodźcach z granicy białoruskiej.

Mnie, który piszę te słowa, taka czyściutka i golotka Polska do niczego nie jest potrzebna, tak pojętego megalomańskiego patriotyzmu nie potrzebuję ani do szczęścia, ani do lepszego samopoczucia. Może to rodzinne, bo część mojej rodziny pochodzi ze wschodniej Galicji od Kołomyi po Drohobycz i Lwów; jedna z babek była Austriaczką; niektóre nazwiska niedalekich przodków mają brzmienie iście niemieckie — Bruch i Bajer; mój brat mieszka w Australii, córka we Włoszech, paru moich kuzynów z dawien dawna zasila Stany i Kanadę. Nikt z nich bynajmniej nie wypiera się polskości, ale Polski jako takiej do niczego nie potrzebują, poza sentymentami rodzinno-towarzyskimi i okazjonalnie polskimi książkami

bądź filmami. Odwiedzają kraj, jak najbardziej, ale o ile mi wiadomo, nikt nie nosi w sobie genu Sienkiewiczowskiego latarnika.

Czasem im zazdroszczę, bo myślę, że spokojnie mógłbym mieszkać w innym kraju i innym języku, a to, że urodziłem się akurat w tym miejscu i w tym czasie, mam za zwykły przypadek losu. Bliski mi duchem biolog genetyk Richard Dawkins napisał w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku fenomenalną książkę o zaskakującym tytule *Ślepy zegarmistrz**. Ten ślepy zegarmistrz to nic innego, jak ślepe siły natury, czyli ewolucja — „bezrozumny i automatyczny proces, który [...] działa bez żadnego zamysłu. Nie ma ani rozumu, ani wyobraźni. Nie planuje na przyszłość. Nie tworzy wizji, nie przewiduje, nie widzi”. Mogłem się urodzić 312 lat temu na Nowej Gwinei albo 98 lat temu w Niżnym Tagile. Determiniści — na czele z Panglossem, sławnym filozofem, uczniem Leibniza, mentorem Kandyda — złożyliby zapewne w tym miejscu gwałtowny protest. Wszystko bowiem jest, ich zdaniem, jakoby zapisane w niebie. Cóż, zależy, czy ktoś wierzy w boskie plany.

Urodziłem się w Polsce i pewnie w niej już umrę. Miałem możliwość opuszczenia jej na zawsze, ale było, minęło. Nie dlatego, że nagle na antypodach odkryłem w sobie przemożną miłość do wierzb płaczących, fortepianu Szopena i Giewontu. Nawet nie dlatego, że zostawiłbym zbyt wielu zbyt mi bliskich. Geografia tak się skurczyła, że i z tym dałbym sobie radę. Po prostu za daleko i za głęboko zabrnąłem w polszczyznę jako źródło napędzające mi umysł i pieniądze. Może gdybym miał talent i odwagę Conrada, a choćby i pychę Gombrowicza, który się poza polszczyznę nie wychylił, to kto wie. Jak łatwo się domyślić, nie miałem. Po wielu miesiącach pobytu poza ojczyzną, kiedy testowałem swoją podatność na inne drogi życia, uznałem swoją porażkę i wróciłem.

Zatem wyobrażam sobie — i to dosyć często — że podobałoby mi się mieszkać wśród innych nacji, w innych krajach, które lepiej czy gorzej poznałem. To poznanie było oczywiście powierzchowne, bez przesady. A jednak znam piękniejsze pejzaże niż rodzime, choć i te są nie do pogardzenia. Niewątpliwie niektóre fragmenty Tatr czy Pojezierza Mazurskiego dałoby się zamieścić w albumie „Świat wart zachwyty”. Gorzej z ludźmi. Szczególnie tak zwane polskie cechy narodowe (no właśnie) przeszkadzają mi w akceptowaniu rodaków jako naturalnego środowiska. Zapewne polski nacjonalizm w wydaniu hurapatriotycznym nie różni się specjalnie od nacjonalizmu francuskiego, japońskiego czy amerykańskiego. Słyszę, że serbski czy chorwacki są jeszcze gorsze. Ten nasz, który trochę lepiej znam, ma tę cechę, że potrafi być jednocześnie łzawo sentymentalny i kibolsko brutalny. Z nierzadką nutą prostackiego antysemityzmu.

Każdy nacjonalizm ma jakiś punkt zapalny, od którego wszystko się zaczyna; w naszym wypadku, jak wiemy, były to zabory i formalna utrata państwowości.

* *Ślepy zegarmistrz czyli Jak ewolucja dowodzi, że świat nie został zaplanowany*, przeł. i wstępem opatrzył A. Hoffman, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997.

To spowodowało, że polski romantyzm stał się manifestem tyle duchowo-egzystencjalnym, co politycznym, tym drugim może nawet bardziej. To sprzężenie uniwersalnej idei jednostkowej wolności z wymiernym materialnie zniewoleniem całego narodu dało naszemu romantyzmowi siłę niespotykaną w innych krajach. Porównywanie *Cierpień młodego Wertera* z *Dziadami* nie ma za wielkiego sensu, ale jest faktem, że to właśnie w *Dziadach* skupiły się wszystkie najważniejsze wątki i motywy europejskiego romantyzmu. Cóż, kiedy ten sam Mickiewicz stworzył pełen dziwactw historycznych hymn prozą do naszej urojonej boskości, jakim są *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*. Na fali fraz tego hymnu (co z tego, że nikt go dziś nie czyta) płyniemy od dwustu bez mała lat, przekonani, że Polakom należy się zawsze więcej.

I to się za nami ciągnie, wlecze, spać nie daje. Dlaczego nieustannie musimy szukać Polaka w Polaku, jakby ten Polak był jakąś świętą walutą z zasady niewymienialną na inne waluty, bo te niewątpliwie gorsze? Ejże. Jakoś nie mam przekonania, że polski stosunek do pracy jest solenniejszy niż niemiecki, holenderski czy szwedzki. Że polski stosunek do zwierząt i ogólnie przyrody zasługuje na specjalny szacunek. Szczycimy się pełnymi kościołami, ale prawdziwą wspólnotę wiernych widywałem w Australii i Ameryce.

Dlaczego, na Boga, PiS tak się czepia tromtadracji narodowej? Wciąż wzbudza duchy przeszłości, choćby to już były tylko upiory i zombie, szczękające spróchniałymi zębami? W imię upragnionej „jedności narodowej”? Toż to czysta fikcja! I te idiotyczne hasła głosi partia, która robi wszystko, żeby żadnej jedności nie było. Zaiste, nieboska hipokryzja... Frazesami o wspólnocie żadnej wspólnoty się nie zbuduje, zwłaszcza jeśli się wywołało, przecież celowo, wojnę polsko-polską. Wspomniałem wyżej, że na dobrą sprawę jedyną epoką, w której władzy udało się stworzyć sztuczną, bo sztuczną, ale na swój sposób rzeczywistą wspólnotę Polaków, był PRL. Wiadomo, nic tak nie łączy, jak wspólny wróg — wtedy był nim system sowiecki i jego adherenci. Dzisiaj śmiertelnym wrogiem dla, powiedzmy, Macierewicza jest Michnik, choć kiedyś łączyły ich KOR i ta sama walka o wolną Polskę. Trudno o większy chichot historii.

To są komunały, oczywiście. Ale co najmniej od czasu objęcia rządów przez PiS nie da się prosto zadawać pytania: „Po co nam Polska?”. Następne powinno przecież natychmiast brzmieć: czyja?

Jakiś czas temu, w drugim czy trzecim roku rządów PiS-u, napisałem w pewnym tekście, że PiS to nie tyle partia, ile charakter. I wszystko jedno, czy nazywa się właśnie PiS, czy jakkolwiek inaczej. Duch PiS-u jest wszędzie, od Hiszpanii po Rumunię, pod różnymi postaciami i o różnym zakresie wpływów, i już wiadomo, że trzeba będzie z nim żyć znacznie dłużej niż przez kadencje wyborcze. Nawet jeśli zniknie jako partia pod tą nazwą, będzie żył dalej w innej postaci. Będzie miał te same skłonności do naprawiania świata na swoją modłę i nieuznawania innych racji poza własną.

Jeśli więc nie da się tego czegoś, co przejściowo nazywa się PiS, zamknąć w bezpiecznej izolatce, bo przecież się nie da, co trzeba sobie jasno i bez złudzeń powiedzieć, pozostaje kwestia powstrzymania zakusów tej ośmiornicy, by nie wgrzyła się tak dalece w tkankę życia społecznego, że spowoduje trwałe zniszczenia.

Krótko mówiąc, jeśli nie wyrwiemy Polski z zaborczych łap tej ośmiornicy, pytanie „Po co nam Polska?” zawsze będzie mieć tylko jedną odpowiedź, prostą jak cep: żeby dało się w niej normalnie żyć. A żyć normalnie to znaczy na przykład nie widzieć w rodaku potencjalnego wroga, bo nic skuteczniej nie dewastuje tkanki społecznej. Od dawna wiadomo, że Polacy są społeczeństwem o szczególnie niskim stopniu wzajemnego zaufania. Jeśli dołoży się do tego PiS-owską bajkę o czyhaniu z każdej strony na naszą suwerenność, to rzeczywiście, jak mówi stary dowcip, pozostanie przykryć się prześcieradłem i poczołgać na najbliższy cmentarz.

Im bardziej byśmy się zamykali na świat wedle recepty PiS-u, tym mniej mielibyśmy szans na spokojny kraj z dobrymi dla siebie i innych ludźmi. Zwłaszcza że na nieszczęście mamy w sobie jakiś przeklęty gen niszczenia tego, cośmy ledwie co zbudowali. Od odzyskania niepodległości w 1918 roku do zamordowania Narutowicza upłynęły cztery lata. Po ośmiu Piłsudski zarządził przewrót majowy. Po dalszych czterech mieliśmy sprawę brzeską, a po kolejnych czterech Berezę Kartuską. Potem było już tylko z górki. Mogliśmy się wtedy usprawiedliwiać rosnącymi wpływami faszystwu europejskiego deprawującego młode i nieodporne państwo. Ale co nas podkuśiło, żeby po ćwierćwieczu normalnego funkcjonowania w środku niespotykanej spokojnej Europy uznać, że trzeba wszystko powywracać do góry nogami?

Zamiast podpatrywać Niemców, Czechów, Włochów, Holendrów, Francuzów czy Portugalczyków, jak sobie ze sobą radzą w najzwyczajszym codziennym życiu, nie niszcząc tego, co dotąd zbudowali, przeciwstawiamy im absurdalną wizję „dumnego narodu” jak wańka-wstańka wstającego z kolan. Przy tym własną nieumiejętność współistnienia z kimkolwiek do unudzenia usprawiedliwiając dziedzictwem przeklętej historii. I oczywiście wiatrem zawsze wiejącym nam w oczy. Mnie przynajmniej taka Polska rzeczywiście nie jest do niczego potrzebna.

Andrzej Pilipiuk

pisarz i publicysta

Europa Środkowo-Wschodnia była dla mocarstw wielkim poligonem doświadczalnym. W wyniku trudnych procesów historycznych, politycznych i demograficznych na terenie tym mamy egzystujące obok siebie narody, które w XX wieku odzyskały własną państwowość (na przykład Polska, Czechy, Węgry), zbudowały ją, opierając się na pamięci niegdysiejszej państwowości lub autonomii (na przykład Estonia, Łotwa, Mołdawia), stworzyły państwowość od zera (Białoruś, Ukraina) lub podjęły nieudane próby zdobycia własnego państwa (Łucyze, Łatgalia, Ruś Zakarpacka). Jaki był wpływ utraty i odzyskania państwa na Polaków?

1. SZKOLNICTWO

Zaborcy prowadzili intensywną akcję niszczenia polskiej kultury oraz wynaradawiania Polaków. W XIX wieku programowo pozbawiano nas własnego szkolnictwa wyższego, młodsze dzieci objęto szkolnictwem państwowym — budowanym wedle wzorców obcych i forsownie wtłaczającym młodym pokoleniom Polaków obcy program, obcy język i obcą kulturę. Przez cały okres zaborów toczyła się walka o zachowanie sieci szkół przyklasztornych i przykościelnych, o funkcjonowanie szkół i pensji prywatnych. W tamtym czasie traciliśmy głównie elity, ponieważ aby zrobić karierę, należało przejść proces autorusyfikacji albo autogermanizacji. Wedle obliczeń demografów w trakcie zaborów liczba Polaków

zmałała o 25–33 procent. Dla uzyskania pełniejszego obrazu strat warto dokonać w przyszłości szczegółowej analizy, jak wielu wybitnych twórców i uczonych rosyjskich, a później sowieckich, miało polskie korzenie lub było wprost zruszczonymi Polakami.

Odrodzenie szkolnictwa w II Rzeczypospolitej, mimo rozpaczliwych braków kadrowych i lokalowych, pozwoliło wychować zupełnie inne, nowe pokolenie. Wielkim sprawdzianem jego formacji duchowo–intelektualnej była II wojna światowa.

Okres PRL-u, mimo fatalnego doboru kadr i sformatowania programów pod ideologię socjalistyczną, pozwolił ostatecznie zachować polską szkołę. Dla porównania: w tym okresie na terenie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej ukraiński był teoretycznie pełnoprawnym językiem wykładowym, ale nauczyciel deklarujący, że będzie prowadził lekcje tylko po rosyjsku, otrzymywał niemal dwukrotnie wyższe uposażenie. Skutki całych dekad polityki forsownej rusyfikacji widoczne są na Ukrainie do dziś. Słabiej zjawiska te zachodziły w Pribałtyce — narody Litwy, Łotwy i Estonii miały jednak za sobą pamięć dwudziestoletniej niepodległości w okresie międzywojennym.

Jeszcze gorzej było na terenie Niemiec. U progu XIX wieku Serbołużyczanie nadal stanowili na terenach Łużyc (landy Brandenburgia i Saksonia) większość ludności. Ostry kurs germanizacyjny z czasów Bismarcka kontynuowali zarówno hitlerowcy, jak i niemieccy komuniści. Bezpośrednio po wojnie na ziemie zamieszkałe przez Słowian trafili Niemcy wysiedlani z tzw. Ziem Odzyskanych. Autochtoni stali się mniejszością na tych terenach. Do tego przez kolejne pół wieku bezskutecznie zabiegali o zgodę na stworzenie własnego słowiańskiego szkolnictwa wyższego... Dziś ulegli praktycznie całkowitemu wynarodowieniu.

2. KULTURA

Polska kultura w okresie zaborów rozwijała się nadal, lecz był to rozwój mocno kaleki. Na terenie wszystkich trzech zaborów szalała cenzura. Liczne dzieła literackie, dziś kanoniczne, powstały na emigracji, ale do krajowego odbiorcy docierały z opóźnieniem i na niewielką skalę. Dzieła publikowane w kraju siłą rzeczy nie podejmowały wielu zabronionych tematów. Sztuki plastyczne, które korzystały głównie z mecenatu prywatnego, rozwijały się w sposób mniej skrępowany. Analizując ten okres, widzimy znaczne różnice między dorobkiem kulturowym na przykład zaboru pruskiego i Galicji.

W okresie II Rzeczypospolitej mimo licznych ograniczeń ekonomicznych kultura odżyła i co więcej — rozwój stał się bardziej harmonijny. Warto pamiętać, że w tym czasie Polacy szybko przyswajali sobie nowinki techniczne — emitowano programy kulturalne w radio (do dziś wspomina się legendarną „Wesołą Lwowską Falę”), w gazetach zamieszczano komiksy, kręcono też wiele filmów

(co ciekawe, część tej produkcji eksportowano do krajów Ameryki Łacińskiej). Napisane wtedy książki nadal są wznawiane i czytane.

W okresie PRL-u widzimy ponowny regres, choć nie tak głęboki jak w trakcie zaborów. Na pewno duży wpływ na kulturę miało totalne zubożenie społeczeństwa, zdziesiątkowanie populacji podczas wojny i wypchnięcie na emigrację części elit. Nie bez znaczenia była utrata ważnych ośrodków polskiej kultury, jakimi były przed wojną Wilno i Lwów.

Za PRL-u nastąpił drastyczny uwiąd sztuk plastycznych. Odejście od mecenatu prywatnego na rzecz finansowania przez państwo nie wyszło nam tu na dobre. Ideologizacja kina i telewizji sprawiła, że wielu filmów z tego czasu nie da się dziś oglądać bez bólu zębów.

Okres ten, mimo bardzo dużej emigracji, nie zaowocował też wybitnymi dziełami powstałymi na obczyźnie. Po upadku komuny nie było ani triumfalnych powrotów twórców emigracyjnych znanych z drugiego obiegu, ani oficjalnych wznowień nieprawomyślnych dzieł powstałych w kraju, ani publikacji arcydzieł tworzonych „do szuflady”.

Co gorsza, okres PRL-u nadal rzuca długi cień na obecną kulturę. Widoczny jest także brak spójnej polityki kulturowej państwa. Z jednej strony wydatkuje się ogromne kwoty, między innymi dotując wątpliwej jakości produkcje filmowe czy czasopisma literackie, z drugiej brak podstawowej ochrony dziedzictwa narodowego, z trzeciej zaś działalność kulturowa dławiona jest podatkami. Najlepszym przykładem jest tu wprowadzenie podatku VAT na książki, które pociągnęło za sobą drastyczny spadek liczby sprzedawanych egzemplarzy i wydawanych tytułów, a w ciągu kilku lat doprowadziło do upadku około połowy wszystkich księgarni. Pomysł wprowadzenia zerowej stawki VAT na książki, rozważany w 2021 roku jako forma pomocy dla branży poważnie poszkodowanej podczas epidemii, został utracony przez Unię Europejską.

3. SFERA RELIGII

Zaborcy byli często wyznawcami innych religii. Skutkiem ich rządów było programowe niszczenie katolicyzmu — zwłaszcza w zaborach pruskim i rosyjskim. Nastąpiła kasata ogromnej liczby klasztorów. Oznaczało to zarazem zniszczenie, zaginięcie lub rozproszenie ich archiwów, bibliotek, zbiorów dzieł sztuki sakralnej. Dochodziło do konfiskowania kościołów i przekształcania ich w cerkwie prawosławne, co wiązało się z usunięciem pierwotnego wyposażenia, a często przebudową przynajmniej fasad w stylu bizantyjsko-ruskim. Na terenie zaboru rosyjskiego zdelegalizowano Cerkiew unicką, a w ślad za tym poszły przesładowania ludności i fala ikonoklazmu — znaczną część obiektów kultu zniszczono. Na ogromną skalę utrudniano praktyki religijne — na przykład w guberni chełmskiej przez całe dekady uniemożliwiano wizytacje biskupie w parafiach.

Podobne ograniczenia pojawiły się w okresie PRL-u, choć w Polsce zdołało w szczątkowej formie przetrwać katolickie szkolnictwo różnych stopni oraz jedyny w krajach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej katolicki uniwersytet. Nie było też likwidacji zgromadzeń zakonnych, która na masową skalę została przeprowadzona w krajach sąsiednich. O tym, jaki zasięg miały wszystkie te dławiące katolicyzm działania, najlepiej świadczy reakcja narodu już w wolnej Polsce — budowa setek nowych kościołów po 1989 roku.

Obecna walka z religią prowadzona jest przez trzecie-czwarte pokolenie ateistów — ludzi będących często potomkami komunistycznych kolaborantów.

Warto poruszyć jeszcze problem demografii. W okresie PRL-u zalegalizowano aborcję, osiągając szybko liczbę „zabiegów” rzędu 40–60 tysięcy rocznie. Ciężka praca u podstaw prowadzona przez Kościół katolicki pozwoliła stopniowo ograniczyć to zjawisko, ale w latach osiemdziesiątych XX wieku nadal abortowano około 10 procent ciąż. Konsekwencją jest wyrwa demograficzna porównywana ze skutkami krwawej wojny. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że komuna zamordowała więcej polskich dzieci niż Hitler.

Powyższe przykłady dowodzą, że przy braku własnego szkolnictwa i słabości własnej kultury proces wynarodowienia zachodzić może burzliwie — i liczne początkowo narody, lecz nieposiadające chroniącego je państwa, w ciągu kilku pokoleń mogą zejść z areny dziejów. Tylko posiadanie własnego państwa, prowadzącego spójną politykę kulturalno-oświatową oraz zapewniającego przestrzeń do budowania kultury narodowej, jest w obecnych czasach jedyną gwarancją istnienia i przetrwania narodu.

Stefan Płazek

adwokat, wykładowca

Już samo publiczne postawienie tego pytania świadczy o tym, że czasy bardzo się zmieniły — jeszcze nawet w okresie PRL-u byłoby to raczej nie do pomyślenia. A obecnie — idę przez miasto i na wielu płotach widzę plakat „Gazety Wyborczej” „Mieszkam w Krakowie — żyję w Europie”. Czyli słowa „Polska” czy „w Polsce” stają się zbyteczne. Ludziom stawiającym sprawę w ten sposób Polska jest po nic. Dziś za niewłaściwe uchodziłyby pytania inne (i nic to, że logicznie uzasadnione), na przykład: „Dlaczego Trybunał Stanu jest w naszym kraju trupem?”.

Skoro zaś już może się to tytułowe pytanie pomieścić Polakom w głowie, można i należy podjąć próbę odpowiedzi.

Najpierw należałoby je rozłożyć na trzy składowe. Po pierwsze — jaka Polska? Jako pojęcie o określonych cechach? A jeśli tak — to jakich? Czy może jako byt realny? A jeśli tak — to czy jako suwerenny organizm państwowy, czy też podmiot bez pełni tych właściwości, byle tylko semantycznie tak określony? To pytanie zadał Juliusz Słowacki w znanym wierszu i również pozostawił je bez odpowiedzi, jednak uczulając nas na jego wagę.

Ale gdy już pada w niniejszej dyskusji pytanie o potrzebność („po co?”), to chyba nie zrobimy błędu, przyjąwszy założenie, że chodzi o byt realny, o cechach w pełni suwerennego podmiotu państwowego. Raczej bowiem nie debatuje się o celowości istnienia pojęć jedynie idealnych.

Kolejne pytanie — jakim „nam”? Ogółowi obywateli? Czy może częściom tego ogółu, mającym określone poglądy polityczne? Albo może szerzej — nam, mieszkańcom naszego kontynentu?

Co wiąże się z następnym aspektem pytania — czy aby po to samo? Jak bowiem zauważył Stanisław Jerzy Lec: „Koniom i zakochanym inaczej pachnie siano”. Jeśli chodzi o ten wymiar pytania, trudno już stosować jakieś wstępne ograniczniki, skoro realnie istnieją różne zbiorowości o kompetencjach w jakimś stopniu sprawczych wobec naszego bytu państwowego, a o różnych w tym względzie interesach.

A więc najpierw — po co Polska ogółowi jej obywateli? Odpowiedź na to pytanie udzielona przez Jana Zamoyskiego (cytat za Stanisławem Michalkiewiczem) pozostaje niezmiennie trafna: „iżbyśmy praw naszych zażywać mogli”. Wyłącznym gwarantem pełni praw obywateli jest posiadanie własnego państwa, niczego innego nie wymyślono. Obecnie śnione przez wielu euroentuzjastów scedowanie kompetencji suwerennego państwa na instytucje unijne w krótkim czasie rozpoczęłyby degradację tych praw, których obecnie zażywamy, z wielu niezależnych od siebie powodów. Po pierwsze dlatego, że nie istnieje powszechna, a przy tym szczerza wola innych państw unijnych w tym zakresie. Po drugie dlatego, że nie został wypracowany (i nie wiadomo, czy jest w ogóle możliwy do wypracowania) idealny model koegzystencji hipotetycznych zdeetatyzowanych społeczeństw niczym w raju, gdzie jagnię spoczywałoby bezpiecznie z lwem pospołu. Po trzecie, nie istnieje struktura organizacyjna, która gwarantowałaby udźwignięcie realizacji i utrzymania tego modelu, gdyby nawet on zaistniał. Przeciwnie, zasób osobowy obecnych struktur unijnych wydaje się zbiorowiskiem jeszcze gorszych łapserdaków i dyletantów niż ci krajowi. A wielu z nich ma w swoich społeczeństwach status osób o wyczerpanym potencjale, nieudaczników czy nawet wyrzutków. Osobom tym wręcz nie wolno niczyich losów powierzać. I wreszcie najważniejsze — nie istnieje żadne aksjologiczne spoiwo pozwalające samoistnie trzymać w kupie zróżnicowane grupy społeczne i narodowe. To w dotychczasowej historii udawało się jedynie na poziomie państwowym, jak w wypadku Szwajcarii, Belgii czy choćby Stanów Zjednoczonych, albowiem te społeczności zdołały wykształcić dostateczną pulę wspólnych wartości, którym wierność umożliwia im pomyślną egzystencję. I bynajmniej nie były to wartości tego rodzaju, jak obecnie deifikowany promiskuityzm czy konsumpcjonizm.

Jednostronne rozbrojenie się z własnego państwa lub z jego suwerenności pozwalającej na skuteczną dbałość o kondycję społeczeństwa zgotowałyby nam w krótkim czasie los Serbołużyczan, których ostatki właśnie wymierają przy wszystkich prawnych państwowych i międzynarodowych gwarancjach ich istnienia. Dlatego w interesie Polaków i wszystkich innych nacji leży posiadanie własnych, dostatecznie suwerennych organizmów państwowych. W interesie rozumianym jako utrzymanie własnej narodowości, kultury i wszelkich ich

atrybutów. Jak to bowiem ujął Paweł Jasienica w dziele *Rzeczpospolita Obojga Narodów*, to nie naród tworzy państwo. To państwo tworzy naród.

Przy czym ta obiektywna i bezdyskusyjna korzyść wynikająca z istnienia własnego państwa jako jedynego instrumentu broniącego przed zepchnięciem obywateli do roli helotów na swoim terytorium nie stanowi bynajmniej pewnej gwarancji, że państwo to będzie miało w swoich obywatelach dostatecznego sprzymierzeńca. Ludzie i społeczeństwa nieczęsto działają racjonalnie, nie mówiąc już nawet o tym, że nie wszyscy działają w dobrej wierze. Wspieranie swojej państwowości oznacza konieczność dokonywania czynów, a przynajmniej pielęgnowania postaw, indywidualnego altruizmu. Tymczasem samo istnienie państwa stwarza pokusę postaw odwrotnych, pasożytniczych wobec niego. Oczywiście każdy organizm państwowy dźwiga pulę pasożytów tak indywidualnych, jak i zinstytucjonalizowanych, niekoniecznie nawet życzących mu źle, a jedynie tłumiących w sobie refleksję, że ciężar ten może stać się w którymś momencie niebezpieczny. Jednym z groźnych przejawów takiego pasożytnictwa jest brak działań (poza deklaracjami w okresach kampanii wyborczych) w kierunku powściągnięcia rozrostu wydatków budżetowych na obsługę coraz to pokaźniejszego aparatu publicznego. To zaniechanie jest widowym przejawem tego, że dla znacznej części obywateli państwowość polska istnieje wyłącznie jako rezerwuuar profitów materialnych. Nie skończy się to dobrze, o czym uczą przykłady Grecji czy Portoryko, którego budżet zbankrutował w momencie, gdy wskaźnik zatrudnienia w administracji publicznej osiągnął 20 procent pracujących. A to tylko jedno z terminalnych zagrożeń, przeciwko którym nie opracowuje się remediów. Miałem przed laty zaszczyt przyjaźnić się ze śp. Andrzejem Bączkowskim, zmarłym na posterunku ministra pracy. Andrzej do końca powtarzał wszystkim naokoło politykom z prawa i z lewa (a był to czas najintensywniejszej prywatyzacji majątku narodowego), by nie rozgrabiali wszystkiego do dna, należy bowiem utworzyć choćby skromny odpis na odbudowanie ukradzionego przez komunistów funduszu rezerwy ZUS, bo innego majątku już nie mamy, a idzie kryzys demograficzny i nie będzie można bez końca finansować wypłat świadczeń wyłącznie z bezpośrednich wpłat składek. Nikt go nie posłuchał, środki z prywatyzacji roztrwoniono do cna, a ZUS jest w rezultacie (bez swojej winy, ale to żadna pociecha) piramidą finansową o nieznanym jedynie dacie krachu. Jest to, niestety, jeden z wielu przykładów na to, że państwo polskie nie posiada dostatecznych sprzymierzeńców dla swojej pomyślności ani we własnych strukturach, ani wśród poczesnej części obywateli, dla których zatem istnieje tylko jako koryto. Innym terminalnym zagrożeniem jest postępująca degradacja systemu oświaty: jako nauczyciel akademicki nie mogę nie widzieć, że studiująca młodzież ma z rocznika na rocznik coraz mniejszą wiedzę ogólną. Wiąże się z tym ogromna zapaść czytelnictwa, które od początku wieku zmniejszyło się dziesięciokrotnie i nadal maleje (w sąsiednich Czechach czy Niemczech jest czterokrotnie wyższe), co jest

zagrożeniem dla przyszłości bytu narodu i państwa gorszym niż na przykład COVID-19. Co piąty dorosły Polak nie posiada przy tym umiejętności czytania ze zrozumieniem, czyli — innymi słowy — mamy z powrotem dwudziestoprocen-towy analfabetyzm. To wszystko są oficjalne dane. A reakcje praktycznie żadne.

Nie mamy zatem pewności ani co do horyzontu czasowego bytu naszego państwa, ani co do tego, czy nie przekształci się ono w coś na kształt Królestwa Galicji i Lodomerii (które, tak na marginesie, ma zadziwiająco pozytywne ko-notacje u części społeczeństwa, zwłaszcza jeśli pradziadzius był na ck posadzie albo na arendzie). Że nie są to zagrożenia nierealne, uczą mnie wizyty na Ukrainie. Choć formalnie suwerenna, staje się ona sukcesywnie kolonią czy kondomi-nium stu kilkudziesięciu udziałowców, których często łączy z nią jedynie nazwi-sko wywodzące się od nazwy któregoś z lokalnych miast (na przykład Kołomyi). Mogli zaś Ukraińcy tego losu cudzych wyrobników we własnym kraju uniknąć przez powściągnięcie zawleczonej przez Sowietów korupcji i pogardy dla prawa. Jest to dla nas ważna przestroga.

Jak zatem zawsze dotąd w naszej historii, nadzieja leży w tej części naszego społeczeństwa, której Polska potrzebna jest po prostu jako obiekt miłości, jako wartość droga niczym rodzina. W tych obywatelach, którzy obowiązek dbałości o nią wywodzą nie z materialnej kalkulacji, lecz z pamięci o tym, że — używa-jąc słów św. Pawła — „Za wielką cenę zostaliśmy nabyci”. Jest to dość trywial-ne stwierdzenie. Niemniej prawdziwe. Kryzys na białoruskiej granicy ujawnił tę pocieszającą okoliczność, że w trwającym konflikcie światopoglądowym mię-dzy zwolennikami kultu przodków a zwolennikami kultu zadków ciągle jeszcze znacznie przeważają ci pierwsi.

Czy Polska jest potrzebna społeczności międzynarodowej? Oczywiście nie brak jest przykładów państw, które czy to w związku z niepomysłną koleją lo-sów, czy z winy własnych rządzących zniknęły z kart historii i nie zostało po nich dymu ani popiołu. Lecz rzadko kiedy takie upadki dzieją się bez reperkusji szerszych. Dowodzą tego choćby napięcia na Bliskim Wschodzie, w Afryce czy na Bałkanach po katastrofie — ponad sto lat temu — sułtanatu tureckiego lub ponad pół wieku temu imperium brytyjskiego. Polska jest organizmem zbyt dużym, by została połknięta w pojedynek przez kogokolwiek z potencjalnych biesiadników. Oczywiście zawsze może dojść do ich zмовy, jak ostatnio w 1939 roku, ale też i możliwości połykania maleją, w sensie gotowości do aneksji terytorialnych, si-łowych. Co stwarza nam jakieś tam perspektywy mimo tradycyjnie beznadziej-nej polityki zagranicznej i tradycyjnej lichoci techniczno-militarnej. A co nie mniej istotne, katastrofa którejś z państwowości kontynentu byłaby zbyt dobit-nym przejawem bankructwa zasadności istnienia Unii Europejskiej i zbyt dużym ryzykiem dalszego ciągu tego rodzaju zdarzeń. Dlatego bez obaw funkcjonują na-wet takie dziwotwory jak Kosowo czy Naddniestrze.

I dlatego sądzę, że w jakimś sensie Polska jako byt jako tako funkcjonują-cy jest potrzebna także komu innemu niż Polacy.

Marek Przychodzeń

sojolog, filozof

Trudno dziś pisać tekst, zwłaszcza w okresie konfliktu — wojny na Ukrainie, odpowiadający na pytanie „Po co nam Polska?”. Poczucie smutku, bezradności, niemocy kontrastuje z pozytywnymi odczuciami, jakie mam, kiedy przychodzi mi myśleć o naszej wspólnotce narodowej. Być może jednak — idąc za przykładem ukraińskich obywateli, którzy wracali na Ukrainę walczyć za ojczyznę — należy patrzeć na swój kraj również z punktu widzenia wydarzeń dramatycznych, które przez negację pokazują nam wartość kraju, w jakim każdemu z nas przyszło żyć.

Po co Polakowi Polska? Ogólnie rozumiem, że wiele osób miałoby trudności z odpowiedzią na tak zadane pytanie. Ukraińcy, którzy wracali do domu, by walczyć za ojczyznę, pytani o motywy swoich wyborów odpowiadali prostymi słowami: ponieważ to „ziemia, na której [każdy z nich] się urodził, jego ziemia, jego dom”. Ktoś inny mówił, że wraca, gdyż na Ukrainie została cała jego rodzina, i choć boi się wrócić, to jeszcze bardziej boi się tego, że jak nie wróci, to już być może „nie zobaczy swoich bliskich”. Wydaje mi się, że słowa te przynoszą trafną intuicję. Ukraina, a *per analogiam* Polska, to dom, to coś bliskiego, najbliższego, co pozwala nam rosnąć i dojrzewać, a czemu jesteśmy winni wdzięczność i odwzajemnioną troskę w czasach zagrożenia, ale także pokoju — co często analizuje się w kategoriach patriotyzmu czasów pokoju.

Czy coś wynika z tej prostej obserwacji, że Polska to dom, to miejsce, w którym żyję, to ta konkretna okolica, ludzie, których znam osobiście, sprawy,

które z nimi załatwiam, dobro i zło, które czynię i które inni mi czynią, pokrótce: lokalność? Jak dla mnie — dość dużo. Wynika z tego postawa zaufania do tego, co bliskie, co znane i rozumiane, oraz nieufności wobec tego, co dalekie, abstrakcyjne, a co rości sobie pretensje do przebudowania tego, co moje, co znane i dobre. Wynika z tego przekonanie, że pozytywne zmiany zaczynać należy od siebie, w nadziei, że wraz ze mną zmienią się też inni. Przekonanie, że zmiana świata na lepsze zaczyna się od zmiany mojego świata — tego najbliższego wewnątrz i na zewnątrz. Zgodnie z dewizą Jordana Petersona zmianę świata trzeba zacząć od posprzątania swojego pokoju. Dopiero wtedy, kiedy osiągnie się jakiś widoczny sukces, można myśleć o bardziej dalekosiężnych planach. Z drugiej strony odczuwam nieufność wobec ludzi i ideologii, których nie znam, o których nie mogę powiedzieć niczego dobrego, którzy przyszli znikąd i w każdej chwili mogą donikąd się udać, nie ponosząc odpowiedzialności za to, co jest mi bliskie i kochane. Umrzeć, oddać życie, mogę jedynie za to, co bliskie, za to, co kocham. Dlatego filozof Alasdair MacIntyre pisze, że umrzeć za współczesne państwo, to jak umrzeć za korporację telekomunikacyjną.

Uważam, że świat, także świat polityczny, świat wspólnoty politycznej, w której żyję, nie jest chaotyczny, dostrzegam w nim pewien porządek, prawo. Prawo, które można najkrócej opisać słowami: „zbierasz to, co siejesz”. Uważam, że Polska, czyli kraj, w jakim żyję, to miejsce, w którym kształtuje się mój charakter, to miejsce będące odbiorcą, niczym morze, fal, które generuję jako człowiek, mąż, ojciec, na końcu obywatel. Fal, które wzmacniają lub osłabiają mnie i innych — ludzi, z którymi żyję, w których mogę przeglądać się jak w zwierciadle. Podobnie jak dzieci, które umierają, jeśli nie będą miały okazji nauczyć się mowy, języka, tak i ja bez wspólnoty, bez innych, którzy mnie współtworzą w skomplikowanych relacjach moralnego powstawania i upadania, nie będę mógł być sobą, czyli w jakimś metaforycznym, ale jednak namacalnym sensie — umrę. W tym sensie Polska jest mi potrzebna jak powietrze.

W procesie kształtowania charakteru, wzrastania do bycia w pełni człowiekiem — obywatelem polis, ważne są prawidłowe warunki wzrostu. Wspólnota, która jest dobra, zapewnia obywatelom, zapewnia mi, możliwości brania odpowiedzialności za swoje życie i wybory, szanuje naturalne związki obywateli i instytucje, rodziny, szkoły, szpitale, Kościoły. Szanuje potrzebę obywateli obrony własnej wspólnoty. Nie wtrąca się w ich życie, dopóki sobie radzą i realizują swój potencjał. Wspólnota wyższego rzędu, na przykład na poziomie gminy, województwa czy państwa, pomaga czy wyręcza dopiero wtedy, gdy jest to jednoznacznie oczywiste lub gdy zostanie o to poproszona. Klarownym przykładem jest stan klęski żywiołowej, stan wojny, stan kryzysu ekonomicznego.

Ogólnie jednak ludzie potrafią wraz z innymi im bliskimi ludźmi dbać skutecznie o własne życie i wspólnota polityczna, dając im tę możliwość, robi to, co do niej należy — asystuje przy ich rozwoju. Regułę tę wyraża tzw. zasada

pomocniczości, której wielu ludzi, w tym intelektualistów, nie rozumie bądź rozumie ją opacznie, widząc wszędzie pole do legitymizacji działania władz centralnych. Dziecko używa telefonu w szkole? Należy tego zakazać na mocy ustawy. To logika działania sprzeczna z logiką ludzkiego rozwoju. Pamiętajmy, że dobre działanie ma walor moralny tylko wtedy, gdy jest ono uwewnętrznione przez człowieka, a nie narzucone. Taki jest cel prawa: ułatwić człowiekowi dojrzewanie, a nie zamianę obywatela w marionetkę.

Dobra wspólnota polityczna zatem posiada prawo, które pomaga człowiekowi się rozwinąć w samodzielną, sprawczą osobę, w obywatela zdolnego do moralnego samodoskonalenia. Prawo takie nieuchronnie dawać będzie dużą dawkę wolności i samodzielności swoim członkom w granicach ustalonego porządku.

Wracając do pytania, po co nam Polska — gdy widziałem w Krakowie uciekinierów z Ukrainy, którzy jako cały dobytek mieli często tylko kurtkę oraz plecak, zrozumiałem, co będzie oznaczać brak Polski, nawet jeśli nie udało mi się opisać kompletnego zestawu pożytków płynących z posiadania własnej ojczyzny.

Liliana Sonik

publicystka

Europa się zmienia. W kilku państwach imigranci żądają prawa do zachowania odrębności, czemu sprzyja silny trend *woke* (kultury przebudzenia). Nikt nie wie, co z tym zrobić. Wypichcone w Brukseli naiwne scenariusze przypominają próbę skierowania pędzącego pociągu na bezpieczny tor za pomocą dłutka. Ale nie ma tu żadnego fatalizmu i jeśli Europejczycy sami nie przywołają katastrofy, czas może być sprzymierzeńcem łagodzenia napięć.

Zresztą Europa była już świadkiem podobnych zjawisk. Ambitny wódz Franków Chłodwik pokonał Wizygotów i Alemanów, około 496 roku przyjął chrzest i podporządkował sobie terytorium bliskie obszarem dzisiejszej Francji. Od dawna zlatynizowani i od dawna chrześcijańscy Galowie mogli być tylko biernymi obserwatorami jego poczynań. Ich kultura przekonała jednak do siebie wojowniczych Franków i dzisiejszy język francuski wywodzi się z łaciny podbitych Galów. Do 803 roku Frankowie podbili pół Europy. Karol Wielki stworzył imperium niewiele mniejsze od Unii i będące dla obecnej wspólnej Europy wciąż żywym odniesieniem. Tamto imperium jednak nie przetrwało. Cesarska administracja i wspólna religia mogły temperować różnice i konflikty, ale nie potrafiły ich unieważnić: zamieszkujące ogromne terytorium ludy mówiły różnymi językami, następcy Karola mieli własne ambicje, a mieszkańcy — regionalne interesy. W Europie zaczęły stopniowo wykuwać się państwa.

Dzisiaj, kiedy większość naszych praw powstaje w Brukseli, państwo polskie może nie jest konieczne? Po co nam ono?

Odpowiem, pytając przewrotnie: po co 5 milionom Finów państwo, skoro od XIII wieku byli tylko gorszą prowincją Szwecji, a po 1809 roku przez cały wiek księstwem w państwie rosyjskich carów? Po co tak się starają? Po co Irlandczykom Irlandia? Podbici przez Anglików, przez siedemset lat nie przestali się wszak buntować. Choć obecnie w Stanach Zjednoczonych żyje dziewięć razy więcej ludzi irlandzkiego pochodzenia niż Irlandczyków w Irlandii, to jednak ci, którzy nie emigrowali, uparli się, by mieć własne państwo. A po co Żydom Izrael?

Bo państwo jest czymś wykraczającym poza prawo i podatki. Jest wyrazem — i nośnikiem — wspólnego losu, wspólnych ambicji, wspólnej potrzeby bezpieczeństwa, wizji przyszłości i postrzegania zagrożeń. Jak sobie z tym radzi państwo polskie? Różnie: raz lepiej, raz gorzej. Wszystkie państwa mają dziś rosnące kłopoty same ze sobą. Na jakości życia Europejczyków kładzie się cieniem rozdęta biurokracja, a sprawy drugorzędne zajmują uwagę potrzebną zupełnie gdzie indziej. W konsekwencji o przyszłości naszej i naszych sąsiadów Rosjanie rozmawiają z Amerykanami, a przedstawiciele Europy czasem są do stołu dopraszani, a czasem całkiem pomijani. Jeśli jeszcze uzmysłowimy sobie, że na rosyjskich pensjach są byli kanclerz Niemiec i były premier Francji, to chyba Europa ma problem.

W niespokojnych czasach znaczenie granic i przynależności państwowych rośnie. Czasy spokojne służą mądrym przywódcom do poprawy działania instytucji państwa i poprawy komfortu życia mieszkańców.

Jeśli z tej dyskusji ma coś wynikać, trzeba odłożyć na bok reakcje naskórkowe, wzmoczenia patriotyczne i ugruntowane schematy, bo niczego ożywczego nie wniosą.

Dlaczego mamy uporczywie pozostawać Polakami? Bycie Polakiem w żaden sposób nie warunkuje bycia lepszym (albo gorszym) człowiekiem czy lepszym (albo gorszym) chrześcijaninem. Gdzie zatem szukać uzasadnienia dla tego przywiązania? Przecież tendencja do szerszej identyfikacji — europejskiej lub wręcz globalnej — rozlewa się i wydaje się wielu ludziom propozycją atrakcyjną. Zakładając, że byłby możliwy, to czy ujednolicony, jednorodny świat byłby lepszy? Nie sędzę.

To nie geny, tylko kultura sprawia, że jesteśmy Polakami, Francuzami, Hiszpanami. Kultura kształtuje nas i uczyłowiecza. Nie chodzi o przykładowe bywanie w teatrze, tylko o dziedziczną i nieustannie przetwarzaną całość składającą się z kształtowanych przez stulecia modeli języka, obyczaju, kategorii moralnych, wrażliwości na pewien rodzaj muzyki, poczucia, co trzeba, a czego robić się nie godzi, hierarchii wartości, pamięci, kodów kulturowych czytelnych tylko w obrębie danej wspólnoty. Tu nie ma globalnej jedności ani globalnej jakości. Ba, nie ma nawet europejskiej jedności. I być nie może.

Nawet gdyby jakaś komisarz Dalli do spraw równości nie wiem jak zakała rękawy, nawet gdyby jej posłuchano i zaprzestano dziewczynkom dawać na

imię Maria na rzecz podobnie brzmiącego arabskiego Malika, nawet gdyby Europa wypełniła się Malikami, nie ujednocimy kultury na siłę, w szlachetnym celu inkluzji imigrantów. Coś, co powstawało setki lat, nie da się modelować wedle zapotrzebowań. To tak nie działa.

Mamy w Europie różne tożsamości kulturowo-narodowe o różnej intensywności. Zmienić to może tylko jakaś eksterminacja albo... konsekwentna rezygnacja wspólnoty ze swojego istnienia. Wyniszczenie wydaje się niemożliwe, bo zbyt wiele „pieczęci” po II wojnie światowej w Europie nałożono, nawet jeśli los Serbów z Kosowa pokazuje, że mniejszości mogą być zagrożone i w pewnych okolicznościach nikt palcem nie kiwnie w ich obronie. (A Serbowie mieli swoje za uszami). A samoanihilacja? Brzmi dramatycznie, ale przecież o tym właśnie rozmawiamy w tej debacie.

Przypomnę, że słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy” zawierają wiedzę o niepewności istnienia. I o determinacji niezbędnej do przetrwania. Doświadczenie egzystencji zagrożonej, niepewnej, wydaje się dziś niezmiernie cenne. Piszę to najpoważniej w świecie. Jeden z „Nieśmiertelnych” — czyli członek Akademii Francuskiej Alain Finkielkraut — mówił w audycji radiowej, że Francja zawsze wydawała się wieczna, a teraz — wzorem Polaków — powinna myśleć o sobie w kategoriach: „Jeszcze Francja nie zginęła...”. Bo anonsowany z przytupem „koniec historii” nie nastąpił. Przeciwnie, ostatnie lata pokazują, że historia ruszyła z kopyta i nikt nie wie, w którą zmierza stronę.

Kochamy Italię, bo jest włoska, Hiszpanię, bo jest hiszpańska... Różnice wzbogacają całość. Polacy są sami sobie — i całej Europie — potrzebni, dopóki zachowują oryginalną tożsamość. Naszego języka nie jest w stanie zastąpić żaden inny, bo odzwierciedla on i kształtuje specyficzną pamięć. Wiedzieli o tym zaborcy i wiedziały dzieci z Wrześni, strajkujące przeciw zakazowi używania języka polskiego i... przeciw biciu w szkole. Tak, tak, Polacy wystąpili przeciw biciu dzieci w szkołach. W naszym języku dysponujemy trzema rodzajami — męskim, żeńskim i nijakim, lecz ponad wyznacznikami płci i wieku stoi określenie pojemniejsze: „człowiek”. To wyklucza konfuzję między mężczyzną i człowiekiem. Kto myśli, że to ciekawostka bez znaczenia, ten się myli: język kształtuje myślenie. Zawsze mnie frapuje, że w czasie, gdy Jan Kochanowski rozpaczał po stracie dziecka (w dodatku córeczki!), jego rówieśnik, znakomity pisarz i filozof Michel de Montaigne, nawet nie pamiętał, ile dzieci mu umarło: może dwoje, może troje („J'ai perdu deux ou trois enfants en nourrice...”).

Abstrahując od takich wyznaczników jak język, mamy inną jeszcze specyfikę. W odróżnieniu od starych krajów Zachodu Polska pozostaje projektem do zagospodarowania, marzeniem, materią jeszcze niezastygłą, nieskrzepłą, dającą się formować. Tu bez porównania więcej od nas zależy niż w działających bezszmerowo państwach starego Zachodu, gdzie wymiana jednego człowieka na innego nie zakłóca funkcjonowania czegokolwiek.

Polska jest młoda, niepewna siebie, wojownicza i załęknioma, stale testująca siebie samą w oczach innych. Ale przy tym wszystkim (dopóki się tego nie zrzucuje) jeszcze mocno „jest”. Jest w dobrych ludziach, w cudnych nazwach miesięcy czy dni tygodnia, w słodkich kolędach, w mądrych obyczajach, w świętach, które jeszcze pozostały czymś więcej niż monstrialnym ruchem robaczkowym, jest w akceptacji starości i śmierci, w sentymentalnej wierze w odpowiedzialność i w zadziwiającej cierpliwości na poniewieranie, jakie się jej aplikuje. Bo stale słyszę jojczenie, skomlenie i trucie: Polska niedoperfumowana, niewypindrżona, nieseksowna. Ten stopień somatycznej niechęci podsumować można tylko słowami: „Polsko, idź do klasztoru!” — znaczy utop się po prostu, przepadnij. Bo gdzieś indziej, w tak zwanym świecie, byłoby nam dobrze i żylibyśmy naprawdę! Obsypani Oscarami i Noblami moglibyśmy szampana zagryzać kawiozem.

To jest myślenie toksyczne. Usprawiedliwia niemoc i prowokuje do agresji. A przecież nie będziemy „skądinąd” — bo jesteśmy stąd. Polska nas określa i buduje. Jak nie da się wybrać sobie rodziców, tak nie wybieramy świata, który nas współtworzy. Polska w nas mieszka. Można dziedziczną przynależność interpretować i reinterpretować, ale lepiej jej nie zaprzeczać. Jak każda amputacja, zabieg taki niesie ze sobą ogołocenie, umniejszenie, kalectwo. Miraż swobodnego wyboru siebie jest największym oszustwem minionego wieku.

Wszystko wskazuje, że niska samoocena Polaków — narodu, który w ostatnich dekadach ogromnie dużo osiągnął — wynika z nieprzepracowanej postkolonialnej traumy. Zniewolenie terytorium i ludności, eksploatacja polityczna i ekonomiczna, spowolnienie rozwoju wpraw przez zaborców, a potem przez ZSRR, odcisnęło ślad, który trzeba rozpoznać, żeby się go pozbyć. W przeciwnym razie jeszcze długo będzie stanowił blokadę. Autorka tej tezy, Ewa Thompson, przedstawia solidne argumenty, z którymi warto się zapoznać.

Od innych nacji odróżnia nas cała paleta zjawisk nie zawsze wartych przechowania, ale wiele zasługuje na troskliwą kontynuację. Tworzą środowisko, w którym czujemy się u siebie. Czyli symboliczny dom, bez którego — co wie każdy pedagog — trudno wzrastać w poczuciu bezpieczeństwa i własnej wartości. A wspornikiem całego tego niematerialnego dziedzictwa jest dziedzictwo materialne. Nie tylko stare mury, zabytki i księgi, ale nawet krajobraz. Czyli to wszystko, czego dotknięcie wywołuje wzruszenie i zobowiązuje.

Jerzy Surdykowski

publicysta

Po co nam Polska? Głupie pytanie. Nie wybiera się miejsca urodzenia, nie wybiera się ojczyzny, nie wybiera się matki. To jest dane z góry jak brzemie przeznaczenia, może mocą przypadku, a może Boską, w zależności od tego, w co wierzysz. Nie ma w tym twojej winy, że urodziłeś się w Afganistanie, a nie w Ameryce, choć przez samo piętno urodzenia drzwi szeroko otwarte przed Amerykaninem będą zamknięte dla Afgańczyka i jeszcze na odchodnym zostanie pobity, a choćby tylko opluty. W tej perspektywie los Polaka nie jest jeszcze tak zły, ale daleki od najlepszego.

Musimy to swoje piętno przyjąć, ucieczka jest niemożliwa, choć niejednemu się wydaje, że przez wybór miejsca zamieszkania, zanurzenie w obcym języku i kulturze, uda mu się je zmazać. Niestety, choćbyś nie wiem jak się starał, zawsze będziesz „stamtąd”, z tego nieszczęsnego skrzyżowania dróg przemarszu zaborczych armii, które Norwid (za wcześniejszym jeszcze poetą) nazwał „Bożym igrzyskiem”.

W Europie Wschodniej zawsze jest źle.

W Europie Wschodniej *odbywa się*.

W Europie Wschodniej zawsze jest niemile.

Był człowiek i już nie ma człowieka za chwilę.

Więc, kochana córko, stroń jak możesz od niej
I nie mów, że pochodzisz z Europy Wschodniej.

— pisał Czesław Miłosz (*Notatnik: Pennsylvania*). Matki się nie wybiera, ona po prostu jest — jak fatum albo szczęśliwy los. Każde dziecko instynktownie kocha swoją matkę, nawet ubogą, nawet nieporadną. Matki przecież nie wystawia się w konkursach piękności ani w teleturniejach domowych sprawności bądź jakichkolwiek innych walorów. Matkę po prostu się ma, tak jak ojczyznę. Są przecież ojczyzny piękniejsze, zasobniejsze, zdatniejsze do życia, tak jak są kultury bogatsze od naszej, są języki, którymi posługuje się pół świata i dlatego łatwiej i bardziej zrozumiale można w nich wyrazić to, co mozolnie usiłujemy zapisać lub wyśpiewać w naszej nieporęcznej polszczyźnie.

Mały bachor jeszcze tego nie wie i nie pojmuje, ale dorosłość — zawsze w prawdziwym życiu gorzka — oznacza pogodzenie się z losem i miejscem urodzenia, rezygnację z daremnych rojeń o odrzuceniu kultury i pochodzenia na rzecz dojrzałej miłości, a przynajmniej sentymentu do matki-ojczyzny. Jest ona daleka od ideału, ale jest nieunikniona i w tym przekonaniu trwamy przez te kilkadziesiąt lat danych człowiekowi między dorosłością a śmiercią. Z tym przekonaniem pracujemy i dokładamy wysiłków, aby uczynić tę ojczyznę trochę lepszą, trochę bogatszą i zdatniejszą do życia. Mamy prawo nazywać to patriotyzmem i nie dowierzać krzykaczom, którzy za cały patriotyzm mają obwieszanie się narodowymi błyskotkami i skandowanie sloganów podpowiadanych przez wystrojonych patriotycznie szalbierzy. Ale na tej drodze do dorosłości czekają jeszcze straszniejsze wyzwania; dorastające dziecko wcześniej czy później oczywiście pojmie, że matka jest uboga i nieurodziwa, ale zawsze pozostanie moja i najbliższa, lecz może też z przerażeniem dostrzec, że matka jest zła. Jak pogodzić się z tym, że moja ukochana matka włóczy się pijana albo traci czas i pieniądze w marnym towarzystwie? A przecież nieraz to się zdarza.

Jak kochać złą, coraz niżej staczającą się matkę? Rozpacz jest także nieuniknionym składnikiem ludzkiego losu.

Nie inaczej z ojczyzną. Jak nadal kochać ojczyznę, która mówi ci, że jesteś „gorszym sortem” Polaka tylko dlatego, że głosowałaś na inną niż rządząca partię albo nie wyznajesz ideologii, jaką władza podaje ci do wierzenia? Jak kochać ojczyznę, która ci wmawia, że jesteś nic niewart, bo należysz do źle widzianej mniejszości? Jak kochać ojczyznę, która kłamie, że sędziowie politycznie uzależnieni są lepsi od niezawisłych i dopiero oni wydadzą sprawiedliwe wyroki? Jak kochać ojczyznę, która zakłamuje historię ostatnich dziesięcioleci, bo kształtowali ją akurat ludzie źle widziani w czasach dzisiejszych? Jak kochać ojczyznę, która ma w świecie coraz mniej przyjaciół, bo zaprzecza swoim najlepszym dokonaniom? I tak dalej, i tak dalej...

To się przecież zdarza, także naszym matkom. Także twoja matka może wpaść w sidła złych ludzi, ulegać ich namowom, ale nie przestanie być twoją matką. Jeśli kochasz, musisz dołożyć wszelkich starań, aby z tych wpływów ukochaną osobę wyzwolić, powstrzymać jej upadek. Ale nie ominie cię rozpacz i zniechęcenie. Ratowanie ojczyzny jest możliwe przez wybory, o ile te rosnące wpływy łajdaków nie doprowadzą do ich sfałszowania. Bo o innych możliwościach aż strach pomyśleć. Dlatego jestem bliski rozpacz.

Tak, Polska jest nam potrzebna. Nie sposób żyć bez matki, nie da się wykreślić jej z życiorysu. Ale matkę tak wyprowadzoną na manowce trzeba ratować mimo rozpacz i zniechęcenia. Polska jest potrzebna wszystkim Polakom, nie tylko tym z „lepszego sortu”.

Olaf Swolkiń

sojolog, historyk

Bolszewicy, co tam o nich mówią, to głupstwo. Ale ja ich przejrzałem. Oni chcą od ciebie, ciebie samego zabrać. Żeby nie było ciebie, a na to miejsce taka maź, taki wspólny rozczyn pod ciasto. To co oni tam krzyczą: „Grab nagrabione”, to tylko takie zachęty z jednej, a straszaki dla staruszków z drugiej strony. A naprawdę, to oni chcą zagrabić nie to co było przez kogoś nagrabione, tylko to z czym każdy człowiek rodzi się do życia. To oni chcą zabrać. O. I dlatego trzeba ich zniszczyć. Nie: „W Imię Ojca i Syna...” a w imię ratowania samego siebie.

Józef Mackiewicz, *Lewa wolna**

Pytanie zadane w ankiecie w dzisiejszym momencie dziejowym wydaje się strzałem w dziesiątkę. Z jednej strony wskazuje na chyba najważniejszą formę wspólnoty organicznej innej niż rodzina, z drugiej zmusza do refleksji właśnie nad sensem identyfikowania się z jakąkolwiek wspólnotą, z czymkolwiek poza nami samymi. To dla mnie jedno z kluczowych pytań naszych czasów.

Po co nam wspólnota? Przecież znajduje się w niej zawsze dużo osobników, z którymi wolelibyśmy nie mieć nic wspólnego, a oni z nami, i odczuwamy ten przymus, że jednak ktoś, gdzieś, coś nam narzucił, że wypada, że coś nam

* Kontra, Londyn 1994.

mówi, że trzeba, choć często się szarpiemy, by rzucić to wszystko w cholere. Dla mnie to nie jest jednak tylko przymus społeczny, ta freudowska kultura jako źródło cierpienia, ale coś, co wynika z samej istoty naszego człowieczeństwa, także w jakimś sensie biologicznym, zwierzęcym, antropologicznym. Potrzebujemy wspólnoty tak jak wilk watahy. I myślę, że Polska jako taki siedzący w sercach i trzewiach mit też należy do tej kategorii, choć w innych czasach być może byłaby to wierność królowi, księciu, plemieniu, rodowi. Możemy roić o narzucanej niczym w reklamowych klipach wygodnej roli wiecznego turysty fruwającego po świecie z idealnie dobraną partnerką, ze sprawnym ciałem i umysłem, które nigdy się nie psują, i razem pochłaniają najpiękniejsze widoki. Ale to rojenie jest jak plastikowa atrapa, sterylna, pusta, przezroczyta jak zimne oczy telewizyjnej gwiazdki o idealnie wymodelowanym ciele.

Życie, prawda, człowieczeństwo są trudne, pomarszczone, spocone, czasem denerwujące, durne — i trzeba ciągle w pocie czoła starać się je poprawiać. I taka jest też Polska. Roman Dmowski piszący o polskich obowiązkach spadających na nas wraz z byciem Polakiem, Witold Gombrowicz piszący o świni, co kwiczy i zdechnąć nie może — rozumie tę prawdę i po swojemu jako myśliciel polityczny i artysta pokazywali, że choćbyśmy nie wiem jak się szamotali czy buntowali, to tego nie da się wyrzucić i zapomnieć, tak samo jak nie da się pozbyć bez psychicznych i moralnych konsekwencji nieudanego dziecka, babci z demencją, ciotki dziwaczki i małżonka, który się okazał inny, niż myśleliśmy, ale także brzydkiego krajobrazu, źle zaprojektowanego domu — nie da się tego ot tak opuścić, zniwelować i zacząć od nowa, żeby było równiutko, czystiutko i żeby już żaden chwast nie wyrzął spod kostki bauma.

Dzisiaj duch dziejów czy etap stechnologizowania człowieka jest przeciw jakiegokolwiek wspólnocie. Nie miejsce w tym tekście na rozważania, czy to idee, jak uważał cytowany w nagłówku Mackiewiczowski ułan Zybienko, czy etap rozwoju technologii sprawiają, że jakiegokolwiek zakorzenienie, jakakolwiek niespełniona *ad hoc* zachcianka, jakikolwiek odczuwany w sercu i sumieniu obowiązek bądź tożsamość są przeszkodą w dopasowaniu ludzkich trybików do systemu, który wymaga elastyczności, racjonalności, równości, standaryzacji.

Dziki w powieści Aldousa Huxleya *Nowy wspaniały świat* chciał cierpieć, chciał mieć obowiązki męskie, Polak dzisiaj chce mieć obowiązki polskie. Obie te dziwności idą pod prąd dziejów, trochę dlatego, że nowoczesny naród polski dopiero dzisiaj próbuje się tworzyć w socjologicznym, ekonomicznym, ale i kulturowym sensie, nigdy wcześniej nie było mu to dane w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Chcemy mieć swoje plemię, grillujące, przeklinające, leniwe umysłowo czy — jak pisał Żyd Philip Roth o Polakach — gamoniowate (przywołuję go, bo napisał także ważne w tym kontekście zdanie, że można przestać być Żydem, ale nie uniknie się w ten sposób losu Żyda), lecz takie, gdy w chwili próby jesteśmy razem, gdy rozumiemy się bez słów, razem płaczemy, tańczymy, rozpaczamy,

klniemy, walczymy, giniemy, kłócimy się. Osobiście chciałbym, by było to miejsce, gdzie się dobrze czujemy, gdzie wygodnie nam się żyje i nie mamy ochoty z niego emigrować — pozytywnym przykładem są tu dla mnie Czesi, a mniej deklarujący swoją dumę z bycia Polakiem błąkający się po świecie Polacy. Posiadanie dobrze urządzonej, wygodnej Polski mogłoby nam się po prostu opłacać, tak jak opłaca się mieć w życiu dobrze urządzoną siedzibę, dom, do którego się wraca i gdzie wiemy, że znajdziemy pomoc w chorobie czy innym nieszczęściu, a tej pomocy udzieli nam ktoś, z kim mamy wspólny język, a nie anonimowy przybysz z drugiego końca świata podłączony do sztucznej inteligencji.

Bo bojowaniem jest życie nasze, a okazując pokorę wobec swoich przynależności, nie tylko poddajemy się narzuconemu przymusowi, kontroli społecznej, przecież wspólnota, co bywa bolesne, osądza i pilnuje, ale także stajemy przed swoim powołaniem, przed swoim warszatem, przed swoim zadaniem, jakie ktoś, gdzieś, kiedyś nie wiedząc czemu nam wszczepił. Ucieczka przed tym w świat pływającego w oceanie lub przestworzach kogokolwiek, bez obowiązków, kłopotów, bólu, łez, byłaby *à rebours* ucieczką nie tylko przed śmiechem, wzruszeniem, smakiem zwycięstwa, ale też przed własnym losem, a przecież zadaniem, jakie tu na ziemi dostajemy, jest jego złapanie i wczepienie się weń pazurami „choćby nie wiem co”. I Polska jest takim cielskiem, w które musimy się wczepić, i jednym z zadań, nad jakimi musimy pracować, razem, żeby zbawić ją i siebie samych, uratować swoje człowieczeństwo. Huxley doskonale uchwycił ten narastający problem, tę szatańską pokusę, i dlatego powtarzamy za nim:

Świat nie stawia już dzisiaj przed człowiekiem niemal żadnych przeszkód, nie buduje ich religia, prawo, konwenanse. Człowiek współczesny musi szukać przeszkód we własnej jaźni, dobywać je stamtąd i stawiać na swej drodze. Musi tak czynić, bo to właśnie pokonywane przeszkody stanowią o godności człowieka. Musi tak czynić dlatego, że zawracanie przed przeszkodami postawionymi przez samego siebie jest w wielu przypadkach najszlachetniejszą czynnością, na jaką może się zdobyć ludzkie stworzenie.



II

*Jakiej świadomości
historycznej Polaków
potrzebują przeciwnicy Polski?*

Aleksy Awdiejew

piosenkarz, aktor, językoznawca

Samo pytanie „Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski?” sugeruje istnienie domniemyanych „przeciwników Polski”, czyli jakichś tajemniczych osób (krajów, grup społecznych), których celem życiowym jest unicestwienie tego wspaniałego kraju. Na szczęście w naszych czasach założenie takiej „teorii spisku” nie jest zasadne, w przeszłości takie cele formułowali Władimir Iłjicz Lenin i Adolf Hitler, jak to się skończyło, wszyscy wiemy. Moim zdaniem, jedyną siłą społeczną i polityczną, która może w jakiś sposób zaszkodzić Polsce i jej rozwojowi, są sami Polacy, a ściślej mówiąc, ta część obywateli polskich, która, nie nadążając za tendencjami rozwoju cywilizacji europejskiej, nieco się spóźniła i odbiera współczesną Europę jako coś nieznanego, obcego, do czego nie da się rady przyzwyczaić, a nawet jako coś, co zakłóca spokojny i miły sercu świat tradycyjnych wartości narodowych. Sytuacja ta wydaje się łatwa do wytłumaczenia. Jak widzimy z historii, rozwój różnych krajów europejskich w ciągu pięciuset lat dochodzących do świadomości liberalno-demokratycznej był bolesny i nierównomierny, część wschodnia tego kontynentu najdłużej zachowywała świadomość postfeudalną, znajdując się pod wpływem istniejących tam układów politycznych. Dużym niepowodzeniem historycznym było dla Polski włączenie jej po wojnie do obozu tzw. socjalistycznego, bo ten, mimo doniosłych haseł, był w istocie produktem postfeudalnym, dla którego są typowe scentralizowana władza i zależność od niej, kontrolowanej przez służby

państwowe, ludności. W wyniku wojny i rządów PRL dalszy rozwój demokracji został brutalnie zatrzymany.

Świadomość społeczna (imaginarium w nomenklaturze Andrzeja Ledera) jest zjawiskiem niezmiernie zachowawczym, adaptuje się do konkretnych sytuacji i odrzuca wszystko, co nowe i wcześniej niewidziane. W znanej powieści Cervantesa obłądny rycerz Don Kichot otwiera klatkę z lwem, żeby stoczyć z nim walkę, ale lew nie ma ochoty wychodzić z klatki, ponieważ tam się urodził i nie wie, co to jest, i boi się wolności. Jest to dobra metafora obrazująca istotę imaginariów społecznych — wyobrażenie bezpieczeństwa łączy się ze stałością (niezmiennością) warunków życia nawet nieznośnego, ponieważ nie ma wyobrażenia o czymś lepszym, bardziej wartościowym. Pierwszą klatką, z której wyszła Polska, było wywalczenie niepodległości (po I wojnie światowej i końcu rządów PRL). I tu również widzimy bolesne przyzwyczajanie się Polaków i innych narodów do nowych, nieznanych warunków życia (można na to podać wiele przykładów). W tym wypadku jednak sprawa była prostsza, bo chodziło o wyzwolenie etniczne, z całym bagażem języka, kultury i historii narodu, więc każdy Polak to dobrze rozumiał, chociaż znów z bolesnymi zastrzeżeniami. Gorzej ma się sprawa z wyjściem z następnej klatki, klatki zapóźnienia cywilizacyjnego. Klatkę tę można podzielić na trzy odrębne pola, takie jak: świadomość polityczna, świadomość narodowa i świadomość religijna. Moim zdaniem, obecność tych klatek w imaginariu polskiego społeczeństwa stanowi podstawową przeszkodę w rozwoju polskiej inicjatywy społecznej, a jej specyfika jest wykorzystywana przez tych, których można nazwać „przeciwnikami Polski”, w celu manipulowania preferencjami Polaków dla własnych korzyści politycznych i ekonomicznych.

Zapóźnienie na polu świadomości politycznej Polaków jest dobrze udokumentowane w pracach profesor Krystyny Skarżyńskiej, która w wyniku badań przeprowadzonych w latach dziewięćdziesiątych XX wieku ustaliła, że około 30 procent Polaków, szczególnie starszego pokolenia, ma tzw. osobowość autorytarną. Główne cechy tej orientacji politycznej to przekonania o wyższości zasad „kolektywizmu” i „hierarchizmu”. Kolektywizm zakłada tutaj, że człowiek jako jednostka nie ma żadnej wartości bez przynależności do jakiejś grupy, partii, zbioru religijnego itd. Hierarchizm zaś sprowadza się do przeświadczenia, że w społeczeństwie nie wszyscy powinni mieć równe prawa i obowiązki, że władza powinna być silna i scentralizowana, bo inaczej powstaje chaos i anarchia. Jak łatwo zrozumieć, te przekonania społeczne akceptują zależność obywatela od hierarchii społecznej i zbiorowości (kolektywu), której jest częścią. W ten sposób deklaruje się ograniczenie wolności indywidualnej zarówno tych, którzy są w hierarchii społecznej od kogoś/czegoś zależni, jak i tych, którzy w tej hierarchii rządzą, ponieważ ich błogostan jest uwarunkowany stopniem uległości podporządkowanych. W ciągu pięćuset lat swojego rozwoju Europa doszła do wniosku, że tego rodzaju zależności znacznie hamują rozwój społeczny, i wprowadziła

do życia zbiorowego dwie nowe wartości: indywidualizm i egalitaryzm, które w dużej mierze uwolniły obywatela od istniejących od wieków ograniczeń, bo zagwarantowały obywatelowi niezależność od miejsca w hierarchii i równość wobec prawa. Nie będę przypominać, że przelało się przy tym morze krwi, ponieważ rządzący, mając w ręku siłę i konserwatywną ideologię, robili wszystko, żeby zniszczyć tę liberalną zarazę. Tam, gdzie im się to nie udało, mamy społeczeństwa i państwa, w których demokracja stała się realnością, a poziom dobrobytu osiągnął poziom niebywały w historii ludzkości. Tam, gdzie im się to udało (Rosja, Białoruś, Kazachstan, Uzbekistan i inne), nadal mamy do czynienia ze społeczeństwami postfeudalnymi, które mimo fasadowego naśladowania demokracji trzymają swoich obywateli w ryzach zależności politycznych i ekonomicznych. W krajach tych społeczeństwo jest podzielone na „wyższych” i „niższych” w hierarchii, a celem życiowym tych drugich jest przetrwanie. Nietolerancja wobec mniejszości i wywyższenie warstwy rządzącej jest naturalnym skutkiem takich układów politycznych. Według mnie elementy kolektywizmu i hierarchizmu są również widoczne w Polsce, gdzie rozwój świadomości politycznej nie jest zakończony.

Świadomość polityczna jest, moim zdaniem, najważniejszym komponentem polskiego imaginarium i oddziałuje też na pozostałe jego pola: świadomość narodową i religijną. Jeśli chodzi o świadomość narodową, to może ona oscylować od dobrze rozumianego patriotyzmu do nieco archaicznego już szowinizmu. Dobrze się to komponuje z przekonaniem o wyjątkowości narodu polskiego — albo jako twórcy wspaniałej kultury, albo narodu niedocenionego, poniżanego, który ma prawo do zadośćuczynienia ze strony ciemieżców. Powstaje problem, bo wszystkie niewątpliwe krzywdy mają już charakter historyczny, przedawniony, a ich dochodzenie staje się mrzonką niemożliwą do realizacji. Ani Niemcy, ani Rosja są nie do ruszenia w kierunku wynagrodzenia krzywd historycznych, pozostają tylko gorycz i niechęć do tych krajów i narodów. Rujnuje to możliwości owocnej współpracy ekonomicznej i kulturowej, bez której w naszych czasach dość trudno osiągnąć dobre tempo rozwoju gospodarczego. Przeszkadza również w polityce międzynarodowej, ponieważ zwiększa nieufność i niechęć do współdziałania.

Wreszcie, jeśli przyjrzymy się świadomości religijnej Polaków, to znów widzimy wpływ imaginarium postfeudalnego. Najcenniejszą wartością płynącą z religii jest poczucie bliskości, integracja wierzących wokół niezaprzeczalnych prawd moralnych. Obecnie, jak nieraz w dziejach ludzkości, mamy do czynienia z coraz wyraźniejszym podziałem na „naszych” i „nie naszych”. Kościół nie ma prawa dzielić ludzi na tych, którzy mogą stać „pod Chrystusem”, i tych, którzy tego prawa nie mają. Znowu mamy do czynienia z ciemną stroną religii, która rodzi nienawiść do tych, którzy formalnie nie należą do wspólnoty, i często bez większych podstaw gloryfikuje wszystkie działania hierarchii kościelnej. Mieliśmy już

w historii krwawe wojny religijne, pora się ocknąć i wrócić do samej istoty wiary — zaufania i miłości do bliźniego. Jeśli ktoś tego nie rozumie, zamiast wiary pozostaje mu tylko zbiór rytuałów i zewnętrzny blichtr kościelny, który niewiele ma wspólnego z ratowaniem duszy.

Jestem głęboko przekonany, że Polacy są w stanie zostać prawdziwym narodem europejskim, broniącym prawa każdego człowieka, budującym nowoczesną gospodarkę i własną wspólną kulturę, z której osiągnąć może skorzystać każdy Europejczyk. Muszą tylko naprawdę się zastanowić, co obecnie temu przeszkadza, i iść do przodu.

Krzysztof Budziakowski

publicysta, działacz społeczny

Najprostsza odpowiedź na tytułowe pytanie brzmi: takiej świadomości, która ułatwia realizowanie narodowych interesów narodom z nami rywalizującym.

Światowa polityka to pole gier politycznych i walk o wpływy. Jedne narody i państwa radzą sobie w tych konfrontacjach i rywalizacjach lepiej, a inne gorzej. W znacznym stopniu ich efektywność zależy od świadomości zbiorowej kształtowanej w toku historii oraz w wyniku nauczania tej historii. Tak powstają modele postępowania we wszystkich sferach aktywności: gospodarczej, kulturowej, państwowej i społecznej. Nie chodzi tu tylko o samą pamięć, lecz także o ogólną świadomość, dla której wydarzenia i procesy historyczne stanowią ważne punkty odniesienia. To one formują modele zbiorowych zachowań.

Ta właśnie świadomość i wyuczone modele prowadzą albo do sukcesów, albo do klęsk. Decydują o tym, co nazywamy tożsamością narodową.

Amerykański ekonomista Paul Samuelson stwierdził, że „nadal właściwie nie wiadomo, dlaczego ubogie kraje są biedne, a zamożne bogate”. Wyjaśnienie tego problemu jest możliwe dzięki zrozumieniu, że gospodarka stanowi część kultury. Powstaje bowiem w wyniku historycznego, społecznego procesu konfigurowania się świadomości zbiorowej i systemu aksjologicznego każdej zbiorowości. Działalność gospodarczą — jako działalność kulturową — określają więc wartości tej kultury i wzorce przez nią tworzone. W kulturze formują się modele,

które decydują o efektywności gospodarowania. Narody wymierają, jeśli tracą taką kulturową umiejętność instytucjonalnego organizowania swojej gospodarki. Dokonać się to może w wyniku zniewolenia.

Rywalizujące ze sobą państwa zawsze próbowały wpływać na motywacje i hierarchie wartości społeczeństw swoich przeciwników. Przy czym niektóre społeczności, choć często inspirowane, same kształtowały i kształtują swoją świadomość w sposób dla siebie niekorzystny. Dzieje się tak także we współczesnym świecie i dotyczy również Polski i Polaków. Bardzo pomocna w poszukiwaniu odpowiedzi na tytułowe pytanie może być próba zastanowienia się nad tym, jakiej świadomości historycznej naszych przeciwników potrzebujemy my — Polacy.

Tożsamość narodowa to nie tylko poczucie przynależności geograficznej i językowej, ale też wszystko to, co składa się na kulturę materialną i kulturę duchową wspólnoty. Z jednej więc strony legendy, literatura, historia i sztuka, a z drugiej — religia, moralność, obyczajowość i ich symbole. O podtrzymaniu tożsamości decyduje świadomość własnego, wyodrębnionego, narodowego interesu ekonomicznego. Nie da się ochronić interesów ekonomicznych wspólnoty, jeśli jej członkowie przestają czuć do niej przynależność. Zaczynają wtedy tracić zasoby żywotne dla istnienia wspólnoty: dobra materialne, strukturę organizacyjną, dostęp do źródeł energii, rzeczywisty respekt i wpływy w świecie czy wreszcie terytorium.

Zjawisko masowego zniewalania oraz wykorzystywania innych społeczności jest bardzo mocno osadzone biologicznie i często spotykamy je w przyrodzie. Przykład mogą stanowić mrówki gatunku *Temnothorax pilagens*. Potrafią one tak zmienić „świadomość” mrówek robotnic z innych mrowisk, że te stają się ich niewolnicami. Mrówki tego gatunku porywają z atakowanych przez siebie mrowisk zarówno dorosłe robotnice, jak i larwy. Później, oddziałując zapachami, adaptują porwane osobniki do pracy w swoim mrowisku. Mrówki niewolnicze zaczynają czuć się członkami wspólnoty tych, które je porwały, i wykonywać narzucone niewolnicze funkcje jak swoją naturalną pracę. Niestety, ludziom do zwierząt wcale nie jest daleko.

Jednym z najbardziej drastycznych przykładów zmiany świadomości w świecie ludzi jest wywiezienie przez Niemców do Rzeszy dziesiątków tysięcy polskich dzieci. Stało się to podczas II wojny światowej, a celem było zniemczenie młodych Polaków. Z tych tysięcy po wojnie udało się odzyskać i przywieźć z powrotem do Polski tylko osiemset dzieci.

Zamojszczyzna to tylko jeden, choć najbardziej znany, obszar, gdzie realizowana była ta niemiecka *Heuaktion* — akcja rabunku dzieci, ale także ich mordowania. Przeprowadzona szybciej niż na innych terenach, objęła kilkanaście tysięcy dziewczynek i chłopców. Rabunek tych, u których stwierdzono „cechy nordyckie”, odbywał się w sposób rozproszony i bardzo intensywny na terenach wcielonych do Rzeszy — na Śląsku, Pomorzu, Warmii i Mazurach, a mniej

intensywny na terenie tzw. Generalnej Guberni, przez cały okres okupacji. Dokładnej liczby dzieci porwanych z terenu całej Polski i bezpowrotnie zniemczonych nie da się oszacować. Z pewnością wiele z nich wciąż jeszcze żyje, i to w przeświadczeniu o swojej niemieckiej tożsamości.

Bardziej powszechnym zjawiskiem w ludzkiej historii zniewalania są jednak różne formy kolonializmu oraz ubezwłasnowolniania podporządkowanych społeczeństw i narodów. Porwania dzieci w sensie fizycznym już nam raczej nie grożą. Grożą jednak polskim dzieciom ideologiczne działania indoktrynujące, które mogą mieć taki właśnie „porywający” skutek. Porywający ze świata wartości kultury łacińskiej i polskości do obcego świata szkodliwych przekonań.

Warto podkreślić, że dzisiaj przeważająca liczba zagrożeń dotyczących niekorzystnych zmian polskiej świadomości nie wynika z jakiejś agresywnej wrogości innych w stosunku do nas, lecz jest przejawem zwykłego współzawodnictwa. Być może jest to zazwyczaj tylko taka prawie sportowa rywalizacja, bez chęci całkowitego zniewolenia, ale i tak nasza świadomość ma rozstrzygające znaczenie. Czy może bowiem wygrać drużyna, której zawodnicy, wychodząc na boisko, myślą: „jesteśmy gorsi”, „nie potrafimy współpracować”, „potrafimy tylko faulować” i „nasi przodkowie byli tacy sami”? Zawstydzeni i poniżeni zawodnicy nie wygrywają. Pedagogika wstydu prowadzi do utraty zdolności odnajdywania, rozumienia i rozwijania tego, co w naszej kulturze jest uniwersalne.

Tak więc nasi przeciwnicy potrzebują przede wszystkim, abyśmy nie odczuwali dumy z własnej historii, lecz mieli silną świadomość win naszych przodków i poczucie odpowiedzialności za te winy. Całkowicie pozbawić wszystkich nas pamięci i świadomości historycznej nie można. Choć odsetek ludzi mieszkających w Polsce i będących Polakami tylko w znaczeniu geograficznym, „tutejszych”, jest z pewnością znaczny. Przykładem może być pewien malarz, który w wywiadzie dla jednego z tygodników stwierdził, że woli słowo „kraj” niż „naród” czy „Polska”, bo „kraj to kraina, pojęcie przyrodniczo-geograficzne”, z którym się identyfikuje...

Możliwe jest jednak kreowanie i podtrzymywanie naszego kompleksu niższości. Przekonania, że jesteśmy gorsi. Umacnianie braku świadomości tego, co jest naszym polskim interesem narodowym. Utrudnianie zrozumienia, że taki istnieje i że każdy naród ma prawo zabiegać o jego realizację.

Ostatecznym celem rywalizacji między państwami jest co najmniej uzyskanie dominacji imperialno-kolonialnej. Polska w swojej historii również wielokrotnie podobne działania podejmowała i czasem osiągała w takiej realizacji interesu narodowego sukcesy. Dla Jagiellonów interesem narodowym było podporządkowanie sobie Litwy i Białorusi.

Dzisiaj ten interes jest rozumiany inaczej. Chociaż pierwsze rozumienie miało charakter imperialny, to nie ma tutaj powodu do wstydu, bo było to rozumienie zgodne z zasadami obowiązującymi w świecie.

Dzisiaj to my jesteśmy przedmiotem dominacji imperialno-kolonialnej, za-wstydzania i samozawstydzania. Kolonializm, choć często przybiera nowe formy, wciąż istnieje we współczesnym świecie. Poczucie niższości powoduje poszukiwanie opinii i potwierdzenia u zagranicznych autorytetów. Teksty w prasie zachodniej stają się wyrocznią dla polskich dziennikarzy i polityków. Istnieje zgubne przekonanie, że ważniejsze jest to, co napisze się o nas w Berlinie, Nowym Jorku, Brukseli czy Moskwie, niż to, co jest podstawowym interesem ludzi mieszkających w Krakowie czy Lipnicy Murowanej. Jak napisał w książce *Fantomowe ciało króla** Jan Sowa:

Dominacja imperialno-kolonialna oznacza narzucanie nie tylko reguł handlu, ale również sposobów autopercepcji. Mogą być one przez skolonizowanych rozpoznawane jako fałszywe, mimo to odgrywają istotną rolę w konstruowaniu przez podporządkowanych wyobrażenia o samych sobie. Prowadzi to do powstania szeregu kompleksów, resentymentów oraz — co może najważniejsze — fatalnej niezdolności do autonomicznego wydawania sądów i tworzenia wartości, czyli do normatywnego formowania rzeczywistości społecznej. Podporządkowany zawsze czeka, aż jego władca powie mu, kto i co — nawet w jego własnym kraju — jest wartościowe i godne szacunku.

Dla Polaków jedynym punktem odniesienia powinien być nasz interes ekonomiczny i tożsamościowy, a nie opinie ludzi, którzy pilnują interesów swoich narodów. Poczucie bycia gorszym i brak wiary we własne siły to cechy świadomości korzystne dla naszych przeciwników.

Kolejną taką cechą jest przekonanie, że państwo polskie jest dla obywateli polskich, że wyłącznie ono ma obowiązki w stosunku do obywateli, a oni nie mają żadnych wobec ojczyzny. Polska dla Polaków, ale nie Polacy dla Polski. Tak jak pewna piosenkarka, która powiedziała, że gdyby wybuchła wojna, „wsiadłaby na jakiś statek i uciekła, żeby żyć”. Według tego założenia Polacy powinni być przekonani, że mają działać wyłącznie dla siebie i swoich rodzin, mogą też uczestniczyć w akcjach poprawnych politycznie, na przykład walczyć ze zmianami klimatycznymi, wspierać Unię Europejską czy politykę amerykańską. Wolno im robić to, co wolno. Działać, nie analizując wciąż na nowo, jaki jest polski interes, i zapominając, że jesteśmy jednym z największych narodów Europy. Że jesteśmy narodem o niezwyklej historii tworzonej przez zwykłych i niezwyklej ludzi.

Według diagnozy Juliena Bandy do końca XIX wieku pisarze, naukowcy, artyści i inni przedstawiciele inteligencji raczej nie angażowali się w działalność polityczną. Skupiali się na tym, co w ich dziedzinach było wartościami

* Pełny tytuł: *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą autorstwa*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2012.

najwyższymi, kierując się rozumem i działając zgodnie ze swoim pojmowaniem takich wartości, jak prawda, sztuka, moralność czy sprawiedliwość. Dwudziesty wiek przyniósł zmianę nazwaną zdradą klerków, polegającą na masowym uleganiu przedstawicieli inteligencji emocjom politycznym i podporządkowywaniu tym emocjom rozumienia klasycznych wartości.

Jarosław Zadencki w książce *Ragnarök. W obliczu anarcho-tyranii i chaosu ludów** napisał:

W XX wieku intelektualiści byli komunistami i nazistami, socjalistami z ludzką i nieludzką twarzą, faszystami z powybijanymi zębami i ich pełnym garniturem, demokratami i monarchistami, syndykalistami i anarchistami, liberałami i konserwatystami, rewolucjonistami i tradycjonalistami, nacjonalistami i internacjonalistami, ateistami i religiantami. I, oczywiście każdy z nich głosił to, co było zgodne z jego głębokimi przemyśleniami i z jego głębszym poczuciem obowiązku poszukiwania i przekazywania prawdy.

Najbardziej zagrożone operacjami na świadomości są osoby należące do inteligencji: naukowcy, nauczyciele, literaci, lekarze, a także aktorzy, piosenkarze, malarze i inni artyści. Cała ta klasa tworzy zbiorową tożsamość społeczną i narodową. Jest to grupa niezwykle istotna społecznie i szczególnie „chłonna” intelektualnie, a więc najbardziej podatna na nowe idee, ale i na manipulacje.

Największym niebezpieczeństwem dla współczesnego świata, ale i dla polskiej świadomości zbiorowej, jest „porywanie” elity intelektualnej nowinkami światopoglądowymi i politycznymi namiętnościami. Elita myli wtedy mody ideowe z rzeczywistym interesem wspólnoty, do której należy. Często z histerią i pełnym przekonaniem propaguje zbrodnicze lub tylko zgubne ideologie. Porzucenie rozsądku na rzecz emocji, rozumu na rzecz nowoczesnych wierzeń, to zdrada, która wciąż trwa. Jednocześnie jest to postawa łatwo poddająca się sterowaniu i manipulacji. Emocjonalne porwanie polskiej elity na rzecz idei sprzecznych z naszym interesem narodowym jest dla nas największym zagrożeniem. Takie porwanie sprzyja bowiem przekształcaniu się polskiej świadomości zbiorowej w świadomość korzystną dla naszych przeciwników. Stadami inteligentkimi rządzą — niestety — te same prawa, co innymi stadami.

Nie ma jednak narodu bez elity intelektualnej. Spory ideowe muszą się toczyć. Muszą być kontrowersje i różnice zdań. W dyskusji lub raczej dwóch monologach trwających dzisiaj w Polsce obie te narracje są dla Polski i naszej świadomości narracjami niekorzystnymi.

Pierwsza z nich pokazuje historię Polski jako ciąg wstydliwych wydarzeń i „krwawych plam”. Uderza w wartości konstytutywne dla naszej wspólnoty,

* Agencja Wydawniczo-Reklamowa ARTE, Kraków 2019.

w rodzinę, religię i symbole narodowe, widząc w nich przyczynę tych krytykowanych zjawisk. Jest antymartyrologiczna, próbuje zmusić nas do ciągłego bicia się w piersi za „zawinione” i „niezawinione” winy. Jest rodzajem pedagogiki wstydu i uderza w zbiorowe, narodowe poczucie własnej wartości.

Szewach Weiss w prywatnej rozmowie dotyczącej relacji polsko-żydowskich udzielił mi kiedyś ważnej nauki. Wskazałem mu między innymi przykłady udziału Żydów — funkcjonariuszy UB i innych formacji komunistycznych — w mordowaniu polskich patriotów przeciwstawiających się okupacji sowieckiej. Szewach Weiss, zapytany o jego stosunek do tych wydarzeń, odpowiedział: „Ci ludzie, robiąc takie rzeczy, przestali być Żydami, wykluczyli się z naszego narodu”. Te niezwykle mądre słowa niech będą i dla nas wskazówką, jak powinniśmy reagować na atakowanie naszej historii. Wszystko to, co zarzuca się Polakom w ramach pedagogiki wstydu, jest sprzeczne z systemem wartości naszego narodu. Jeśli ktoś dopuścił się czynów bandyckich, to nie może być traktowany jako Polak. Nie realizował bowiem tego, co jest elementem aksjologii polskiej. Mówiąc dosadnie, Polak może zabijać jako żołnierz na wojnie, ale nie może zabijać z powodów religijnych, ekonomicznych czy narodowościowych. Tak jak nie ma powodu, abyśmy przepaszali za zbrodnie seryjnego mordercy Karola Kota, tak też nie ma powodu, abyśmy przepaszali za bandytów, którzy zamordowali ojca Henryka Grynberga. Choć płaczemy nad tymi wszystkimi zamordowanymi. Ktoś, kto się dopuszcza takich czynów, wyklucza się z naszej wspólnoty polskich wartości. Wartości, które czasem próbuje się także wykorzystywać przeciwko nam. Przykładem może być pojęcie tolerancji, która jest wartością bardzo ważną dla Polaków, a którą próbuje się wykorzystać, wymagając, abyśmy interesy różnych mniejszości traktowali jako ważniejsze niż interes naszego narodu.

Druga narracja, częściowo będąca odpowiedzią na pierwszą, naiwnie idealizuje polską historię, tworząc obraz heroiczno-martyrologiczny. Pokazuje Polskę jako ofiarę knoń innych, a Polaków jako ginących wyłącznie z powodów moralnych. Jest podszyta lękiem i obawami przed światem i utrudnia budowanie naszej pozycji w Europie. Sposób, w jaki jest formułowana, decyduje o jej bardzo ograniczonej przydatności. Może stanowić dla naszej świadomości zagrożenie, jeśli napełni nas przyjemną, oszałamiającą fikcją, która uniemożliwia prawidłową i pełną ocenę otaczającej nas rzeczywistości politycznej.

Każde poważne państwo postępuje moralnie tylko wtedy, gdy ma w tym konkretny interes. Jeśli da się Polakom zamydląć oczy moralnością czy przyjaźnią w polityce, to można ich sprowokować, aby postępowali niezgodnie ze swoim interesem narodowym. Warto tu przypomnieć uroczą, choć trochę dwuznaczną, wypowiedź ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Georgette Mosbacher w związku z jej obserwacjami polskiej polityki: „My w Waszyngtonie mamy stare powiedzenie: jeżeli chcesz mieć przyjaciela, kup sobie psa”.

Ani jedna, ani druga z narracji nie przekonuje większości Polaków. Nie przekonuje, kim jesteśmy rzeczywiście, a co nam się wmawia albo co sami sobie wmawiamy. Obie wszakże w jakimś zakresie są potrzebne. Bez nich dyskusje i debata, do których prowadzenia jest zobowiązana polska inteligencja, obniżyłyby poziom intelektualny i ograniczyłyby naszą świadomość. Żadna z nich nie powinna jednak dominować tak, jak to się dzieje w różnych środowiskach ideowych, bo każda z nich w czystej postaci tworzy świadomość historyczną korzystną dla naszych przeciwników.

Model kultury szlacheckiej wciąż funkcjonuje w Polsce po obu stronach współczesnej barykady. Wystarczy wsłuchać się w hasła polityczne, a okaże się, że i jedni, i drudzy powtarzają za Zygmuntem Krasińskim: „My jedni stanowimy Polskę”. Ponadto jedni i drudzy chcą tych drugich „skolonizować” tak, jak polska szlachta kolonizowała kiedyś chłopów i tzw. Kresy. Taka świadomość prowadzi do głębokiego pęknięcia społecznego, osłabiającego nasze możliwości rywalizacji w świecie.

Dominująca powinna być więc narracja ukazująca historię Polski jako historię interesu narodowego. Tylko to kryterium — analizowany na zimno rzeczywisty interes narodowy — powinno być najważniejszym punktem ocen i odniesień. Powinien on być rozumiany jako maksymalizacja możliwości, bogactwa i siły naszej wspólnoty obywatelskiej, a także obrona posiadanych wartości, obrona przed zniewoleniem. Ma on dwa aspekty aksjologiczne: tożsamościowo-moralny i pragmatyczny. Zawiera wiele różnych interesów cząstkowych dotyczących wszystkich dziedzin życia społecznego i państwowego. Jego sens należy definiować przez analizę możliwych zysków oraz strat w realizacji ochrony i wzbogacania wartości. Oczywiście z uwzględnieniem ograniczeń, jakie wynikają z norm prawnych i obyczajów w relacjach międzynarodowych. Myśląc o polskim interesie narodowym, trzeba jednocześnie ciągle pamiętać, że to chrześcijanie stworzyli najpotężniejszą cywilizację świata. W żadnej innej wolność i walka ze zniewoleniem nie mają tak fundamentalnego znaczenia.

Przewycięzeniem dylematu dwóch narracji — historia win i uchybień czy historia heroiczno-martyrologiczna — jest historia aksjologiczno-pragmatyczna.

Stanisław Chyczyński

poeta, krytyk literacki

Pytanie jest lekko przewrotne, ale proste i klarowne, dlatego można na nie odpowiedzieć łatwo i jednoznacznie. Nie będę więc dzielił włosa na czworo, nie będę teoretyzował ani udawał politologa czy historykowie. Postaram się odpowiedzieć jak najprościej i najkrócej (nie lubię zabierać innym cennego czasu), tak aby moi potencjalni zarówno adherenci, jak i adwersarze mogli mnie dobrze zrozumieć. Otóż uważam, że TO, jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują nasi przeciwnicy, wynika *implicite* z tego, o czym mówią ich przywódcy do swoich zwolenników, o czym zapewniają ich politycy swój elektorat, o czym przebąkują ich dyplomaci do wścibskich dziennikarzy. Spróbuję to wykazać, odwołując się tylko do dwóch wybranych i wymownych przykładów — mniemam, że to w zupełności wystarczy. Trzeci *casus* będzie należał do innej kategorii.

Na wstępie otwarcie uprzedzam, że wychodzę z prostego i oczywistego (choć nie dla wszystkich, niestety!) założenia, że Rzeczpospolita Polska (jako niewygodny byt państwowy na arenie międzynarodowej) ma nadal — co najmniej — kilku przeciwników. Od wieków decydują o tym nasze niekorzystne położenie geopolityczne, nasza chybotliwa polityka zagraniczna, ale też autodestrukcyjne skłonności tkwiące w narodzie. Wbrew pozorom (*sic!*) nie zmieniła się niejawną polityką zewnętrzną naszych sąsiadów (byłych zaborców), nie zmieniły się sympatie i złudzenia polityczne niektórych naszych przywódców, nie zmieniły się również odśrodkowe tendencje, jakie od wieków ogłupiały i osłabiały naród

polski. Dziesiątki lat germanizacji i rusyfikacji, Kulturkampf, działalność Komisji Kolonizacyjnej, rugi pruskie i różne noce paskiewiczowskie czy apuchtinowskie, wreszcie skuteczne zniewolenie Polaków po 1945 roku, wszystko to właściwie chyba niewiele nauczyło dalekich potomków koroniarzy. Jak zauważył Jean Raspail: „ludzie rzadko się uczą od przeszłości”. Obawiam się zatem, że i poniżej zaprezentowane przykłady nie zrobią należytego wrażenia na moich ziomkach.

1. Zacznijmy od niezwykle znamiennej opinii, jaką ujawnił Jarosław M. Rymkiewicz, a określił ją nawet „czymś w rodzaju prorocstwa, [...] które sprawdza się na naszych oczach”. Zgadnijcie, kto i kiedy TO wyartykułował głośno i oficjalnie: „Zasadniczo Polacy są — kiedy się ich grzecznie i delikatnie traktuje — najbardziej godnymi zaufania siłami roboczymi w Europie, i to szczególnie do stałej, prostej roboty”. To słowa... generalnego gubernatora Hansa Franka, wypowiedziane w marcu 1944 roku. A na dodatek coś mocniejszego: „Dla Polaków istnieje tylko jedna możliwość: oddanie swych sił na usługi Europy pod niemieckim przewodem dla własnego dobra, swego dobrze chronionego sposobu życia i odrębności kulturalnych” — ten sam autor, tyle że pół roku wcześniej. W 2008 roku przytoczone zdania przeszły bez żadnego publicystycznego echa, ponieważ są jaskrawo niewygodne (!), ale czy z niczym nam się nie kojarzą? Czy niczego dzisiejszego nam nie przypominają? Czy nic istotnego i ważnego z nich nie wynika? Moim zdaniem, wyziera z nich TO, jakiej świadomości historycznej Polaków nasi przeciwnicy potrzebują. Zatem powinna być to świadomość zminimalizowana, zredukowana do zera, bo mentalnie skolonizowanym narodem, który nie zna dziejów powszechnych ani swojej historii, łatwo się rządzi, łatwo się manipuluje, łatwo się go wykorzystuje do własnych celów i planów.

Ktoś może powiedzieć, że uparcie wskrzeszam „upiory przeszłości”, że teraz jest inaczej, bo nasi odwieczni wrogowie stali się naszymi sprzymierzeńcami i nowymi przyjaciółmi, że interesy międzypaństwowe i konfiguracje sił politycznych się zmieniły, że razem budujemy wielką i wspaniałą strukturę geopolityczną — Europę ojczyzn. Powiedzmy, że na początku TAK było, że tak miało być, ale stosunkowo rychło wyszło na jaw, że w orkiestrze europejskiej pierwsze skrzypce grają Niemcy i Francja, może jeszcze przy dorywczym akompaniamencie Włoch. Następnie okazało się, że to Niemcy sprawują hegemonię w sporej grupie państw, które sukcesywnie przestają być państwami *stricte* suwerennymi, zadowolając się (mniejszą lub większą) autonomią. Odważni złośliwcy zaczęli głośnić, że oto narodziła się Unia Europejska Narodu Niemieckiego, czego dowodem była cwana polityka anielskiej kanclerz. Zabrzmi to prowokacyjnie, ale ja obecną Unię Europejską, zmierzającą w stronę megapaństwa federacyjnego, bezceremonialnie nazywam Euro-Rzeszą. Jest to aluzja do koncepcji sympatycznego cesarza Ottona III, któremu już w X stuleciu roiło się powołanie ogólnoeuropejskiej wspólnoty pod jego berłem. (Stara Rzesza, dla wielu ludów i narodów, była wielką strukturą ze wszech miar pozytywną: zapewniała ucywilizowanie i bezpieczeństwo). Etap

wstępny mamy więc za sobą, skoro Euro-Rzesza ucieleśnia stare pangermańskie marzenie, aby po swojemu dzielić i rządzić (w tak czy siak) zjednoczonej Europie. Niemcom udało się to zrealizować dopiero w XXI wieku, ale za to w białych rękawiczkach i bez jednego wystrzału.

2. Gdyby ktoś wybrzydzał, że przywołuję tu dawno przebrzmiałe echa (*vide*: Hans Frank), teraz posadzę symptomatyczny wyimek z przemowy kanclerza Gerharda Schrödera do ziomkostw niemieckich: „Bądźcie cierpliwi, ja wam zwrócę wschodnie landy. Zaufajcie mojej metodzie”. Waldemar Łysiak, za którym cytuję kanclerza, dopowiada: „Polscy eurosceptycy boją się zwłaszcza o nasze Ziemie Odzyskane, traktując unifikację Europy jako niemiecki spisek, który umożliwi «Szwabom» pokojową restytucję dawnych niemieckich terenów metodą gier prawnych, gdy metoda wojenna jest obecnie niemodna i niewykonalna”. Ponoć ten cytat został spreparowany, ale nawet jeśli tak, to mimo wszystko obnaża on ukryte interesy naszych sąsiadów także w zakresie polityki historycznej. Otóż potrzebują oni zafałszowanej i zafiksowanej świadomości historycznej Polaków. A zatem trzeba nam wmówić, że tak naprawdę to Polacy są (współ)winni rozpoczęcia II wojny światowej, bo gdyby spełnili niemieckie ultimatum, to Hitler by się tym zadowolił. Trzeba wmówić młodym Polakom, że ich matki i ojcowie (głównie ci z AK) mają więcej Żydów na sumieniu niż niechlubne formacje nazistowskie. O właśnie! Że zbrodnie wojenne były dziełem tajemniczych nazistów, którzy już dawno bezpowrotnie przepadli w mrokach dziejów! Trzeba skutecznie wmówić młodym pokoleniom, że Auschwitz, Kulmhof czy Stutthof to były przecież „polskie obozy koncentracyjne”. Ba, trzeba logicznie udowodnić (za przykładem niektórych zachodnich historyków), że właściwie żadnych obozów masowej zagłady nigdy nie było, bo gdyby rzeczywiście TAKIE były, to nikt by nie przeżył! Trzeba uświadomić „tymczasowym administratorom” Ziemi Zachodnich, że siłą wypędzeni stamtąd Niemcy byli prawowitymi ich właścicielami, a później stali się pokrzywdzonymi (przez aliantów) wysiedleńcami, więc biednymi ofiarami. Dywanowe naloty alianckich bombowców doszczętnie zrujnowały Berlin czy Hamburg, zrównały z ziemią Drezno, zatem to raczej naród niemiecki jest prawdziwą ofiarą II wojny światowej.

Na tego typu „subtelny” retusz panoramy dziejów, czyli świadomą i celową zmianę narracji historycznej, szczególnie narażone są wstępujące generacje, które nie znają przeszłości ani z ustnego przekazu naocznych świadków, ani ze świadectw utrwalonych w dokumentach, pamiętnikach czy opracowaniach naukowych. Młodzi niechętnie uczą się historii, nudzą ich opowieści weteranów bądź kombatantów, nie chcą czytać książek o odległym wczoraj, nawet w wypadku atrakcyjnej beletrystyki. Jeśli do tego nieporadne państwo zaniedbuje rozwijanie długofalowej polityki historycznej, to jaką egzemplaryczną świadomość otrzymają w spadku młodzi obywatele? Niewątpliwie taka śladowa, szczątkowa, rachityczna znajomość własnej tożsamości narodowej jest bardzo na rękę

przeciwnikom suwerennej RP, którzy swoje prawdziwe oblicza ukryli za wdzięcznymi maskami koniunkturalnej przyjaźni i życzliwości.

3. Trzecia wypowiedź, którą zamierzam się tu podeprzeć, jest najkrótsza i pochodzi od polityka, jednego z ojców naszej niepodległości, którego dziś deprecjonuje się w oczach nowoczesnych Polaków przy każdej okazji i każdym dostępnym sposobem. Otóż Roman Dmowski powiedział kiedyś: „Jestem Polakiem — a więc mam obowiązki polskie”. Interpretacja *à rebours* tej lakonicznej enuncjacji pozwala ustalić, jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują, wręcz pożądają (!), dzisiejsi przeciwnicy Polski. Dla pewnych środowisk artystycznych, intelektualnych, opiniotwórczych krótka lokucja Dmowskiego zawiera trzy wielce niepostępowe i niepopularne pojęcia: *primo* — bycie Polakiem, *secundo* — obciążenie obowiązkiem, *tertio* — jakieś obskuranckie i nonsensowne obowiązki narodowe. Trzeba zatem młodym mieszkańcom Polski uświadomić, że „narody jako takie to morderczy absurd”. Właśnie, dla wszelkiej maści pacyfistów, anarchistów i awangardystów, lewaków i rewolucjonistów, humanistów i kosmopolitów doby obecnej lansowanie patriotyzmu to postawa nie tylko archaiczna (przeżytek!) i regresywna, ale przede wszystkim — jako przejaw faszyzmu — antyspołeczna i antyliberalna. Oni wielbią „ideał człowieka ponadnarodowego, ponad systemami ekonomicznymi, ponad religiami i rasami...” (J.R.). Trzeba wmówić polskim dzieciom, że bycie człowiekiem (modny humanizm!), że bycie Europejczykiem jest o wiele ważniejsze i szlachetniejsze niż bycie jakimś tam Polakiem, Czechem czy Słowakiem. Trzeba zafiksować świadomość historyczną młodzieży na punkcie areligijnych, uniwersalnych, międzynarodowych wartości.

Konieczne trzeba wpoić naszym uczniom, że konfederacja barska była wstecznictwem, że najwybitniejszym polskim politykiem XIX wieku był margrabia A. Wielopolski, że powstania narodowowyzwoleńcze były niepotrzebne, że powstanie warszawskie było zbrodnią przeciwko warszawiakom, że żołnierze wyklęci byli zwykłymi bandytami *et cetera!* Trzeba ośmieszyć maksymę Norwida, że: „Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek”, twierdząc, że autentyczny humanista ma obowiązki tylko wobec siebie (ewentualnie wobec zwierząt). Zgodnie z pedagogiką wstydu należy obciążyć młode pokolenia kompleksem chorej narodowości, bo przecież Polacy gnębili Kozaków i Ukraińców, burzyli cerkwie na Kresach, mordowali Żydów (szmalcownicy, Jedwabne, pogrom kielecki), zatruli umysły i wyobraźnię progenitury toksyczną martyrologią i nacjonalistycznymi mrzonkami. Trzeba odpowiednio zreorganizować system oświaty, zmodernizować programy nauczania, wyszkolić nowe kadry nauczycielskie — i proszę bardzo: rezultaty gotowe! Jeden przykład: dawniej, kiedy pytałem swoich uczniów za pomocą klasycznego hasła: „Kto ty jesteś?”, słyszałem odzew: „Polak mały”, teraz moi uczniowie odpowiadają z dumą: „Jestem Europejczykiem”. Wystarczy...?

Nasz poeta napisał: „I znowu są dwie Polski — są jej dwa oblicza [...]/ Dwie Polski — jedna chce się podobać na świecie/ I ta druga — ta którą wiozą na lawecie”.

Czy autor *Wieszania* dzieli, konfliktuje, polaryzuje nasze społeczeństwo? Przecież zawsze jedni chcieli „do Sasa, a drudzy do Lasa”, jedni uchwalali Konstytucję 3 maja, a inni ją obalali, jedni należeli do Czerwonych, a inni do Białych (przed powstaniem styczniowym), jedni Wielopolskiego wychwalali, a drudzy mieli za zdrajcę *et cetera*. I dalej poeta pisze wprost: „To co nas podzieliło — to się już nie skleji/ Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei/ Którzy chcą ją nam ukraść i odsprzedać światu [...]”. Tak, i wielokrotnie (przy różnych okazjach) snuje refleksje nad rozbieżnymi postawami, bo są „Polacy, którzy kochają Polskę i są jej wierni — i jeszcze jacyś inni Polacy, którym Polska nie jest potrzebna”. Mocne słowa! Ale i mnie się wydaje, że wśród moich kolegów, znajomych i powinowatych jedni czują się Polakami i są gotowi poświęcić swoje egoistyczne interesy dla Ojczyzny, drudzy pozują na rodzimych Europejczyków i utrzymują, że do ich tutejszej egzystencji wystarczy im europejskość. Ważniejsze dla nich jest to, żeby ich dzieci studiowały na zagranicznych uniwersytetach, niż żeby dobrze mówiły po polsku czy zachowywały nasze tradycje (na przykład w zakresie wyboru imion dla potomków). I tu przypomina się lekcja, jakiej udzieliła naszym rodzicom Zofia Kossak-Szczucka: „Prawdziwego patriotyzmu trzeba się dopiero uczyć tam, gdzie ludzie z narażeniem bytu i nieraz życia, pracują na swoją niekorzyść materialną, a na dobro przyszłych pokoleń”. Nie jest to jednak pisarka darzona szczególną estymą przez *gros* moich powinowatych, znajomych i kolegów po piórze. A jest to autorka, której dzieła z pewnością trafiłyby na najnowszy *Index librorum prohibitorum*, gdyby taki został sporządzony przez światłych eurokratów z Brukseli. Albowiem idee propagowane przez Kossak-Szczucką w opasłych powieściach historycznych stoją w rażącej sprzeczności z kosmopolityczną ideologią zjednoczonej Europy. Zatem chyba nie muszę powtarzać, czyje interesy (sprytnie ukryte pod czapką niewidką!) dominują w Unii Europejskiej i nad jaką to świadomością historyczną młodych Polaków gorliwie pracują tam specjaliści od geopolityki i socjotechniki.

Kazimierz Dadak

ekonomista

Tylko prawda o naszej historii może zapewnić Polsce niepodległość. Prawdziwy przekaz naszej historii jest kluczem do utrzymania przez Polskę niezależności, a jej fałszywy opis to marzenie przeciwników polskiej racji stanu. Fałszywe ujęcie historii Polski — w celu uproszczenia analizy używamy tu skrajnych i przejawionych sytuacji — prowadzi do przyjęcia jednej z dwu postaw:

1. Nasza tradycja i kultura dowodzą, że Polacy stanowią naród niezdolny do samodzielnego i suwerennego bytu i z tego powodu muszą być podlegli jakiemuś większemu, sprawnie zarządzanemu organizmowi państwowemu (na przykład dla konserwatystów krakowskich takim organizmem było cesarstwo austro-węgierskie, a dziś dla części elity jest nim Unia Europejska).

2. Jesteśmy wielkim narodem, którego działalność ma decydujący wpływ na losy Europy, jeśli nie świata (postawa przyjęta przez niektórych przedstawicieli skrajnych nacjonalistów, spotykana zresztą nie tylko u nich, na przykład i na łamach czołowego tygodnika znany publicysta snuł kiedyś rozważania o przyszłej Polsce od „morza do morza”).

Podkreślmy jeszcze raz, są to przykłady skrajne, w praktyce zaś, jak zawsze w wypadku posługiwania się ogólnymi, uproszczonymi modelami, mamy do czynienia z różnymi odcieniami powyższych postaw, aczkolwiek bywało, że niektórzy wysoko postawieni politycy znakomicie wpasowywali się w te skrajne narracje. Zaprezentowane sposoby widzenia Polski i Polaków są utrwalane nie

tylko przez rodzimych autorów, ale także przez zagranicę i właśnie tą ostatnią kwestią tutaj się zajmujemy.

Pierwszy pogląd, w skrajnej formie, aczkolwiek w żadnym razie nie ma tu mowy o przejawieniu, był promowany przez zaliczenie Polaków do kategorii *Untermensch* i z tego powodu naszym przeznaczeniem miało być słuzenie osobom zaliczonym do *Herrenvolk*. Tak oczywiste kłamstwo nie może być skuteczne we wpajaniu Polakom potrzeby pożegnania się z własną kulturą, a może nawet i językiem, a zatem z koniecznością wtopienia się w bliżej nieokreśloną „europejskość” i dlatego nikt już się do tego argumentu nie odwołuje, choć mniej kłujące w oczy przejawy tego poglądu, na przykład *Polnische Wirtschaft*, nadal funkcjonują w świadomości niektórych ludzi, i to nawet za oceanem. Na przykład ten pogląd miał odbicie w powszechnie opowiadanych onegdaj *Polish jokes*, ma też odzwierciedlenie w często wyrażanych zachwytach na temat polskich robotników przy jednoczesnym pomijaniu wkładu licznych wykształconych w Polsce, a pracujących na Zachodzie, naukowców, inżynierów czy lekarzy.

Wpędzanie Polaków w kompleksy jest właśnie doskonałym sposobem utrwalania postawy całkowitej uległości w stosunku do Zachodu, wpajanej w przeszłości także przez własne elity (np. wspomniani stańczycy), a później szeroko promowanej w mediach tak zwanego głównego nurtu. Niemniej najbardziej skuteczną formą utrwalania poczucia niższości jest po prostu przemilczanie polskiego wkładu w światowe osiągnięcia. Klasycznym tego przykładem jest pomijanie wkładu polskich łamaczy szyfrów w rozszyfrowanie niemieckiej Enigmy. W sierpniu 1939 roku kod i model samej maszyny szyfrującej zostały przekazane wywiadowi brytyjskiemu, ale brytyjskie oficjalne źródła co najwyżej mimochodem wspominają o tym wydarzeniu. Przyjrzyjmy się zatem kilku zdarzeniom, w których rozszyfrowane tajne niemieckie wiadomości odegrały ogromną rolę.

Bitwa pod Kurskiem przypieczętowała niemiecką klęskę na froncie wschodnim, w jej wyniku Niemcy ponieśli kolejne wielkie straty i trwale utracili inicjatywę. To zwycięstwo było możliwe przede wszystkim dzięki temu, że wywiad brytyjski przekazywał Rosjanom informacje na temat przygotowań do tej ofensywy. Ta szczegółowa wiedza — łącznie z kierunkami głównego natarcia — pochodziła z rozszyfrowanych depesz przesyłanych przez niemieckie dowództwo radiowo za pomocą Enigmy. Rosjanie nie całkiem ufali sojusznikom, ale podwójny agent John Cairncross, który pracował w siedzibie wywiadu radiowego (GC&CS — Rządowa Szkoła Kodów i Szyfrów) w Bletchley Park, dostarczał Sowiecom oryginały niemieckich depesz i tym samym potwierdził informacje uzyskiwane od angielskich czynników rządowych. Na linii spodziewanego ataku Rosjanie zdołali wtedy zbudować linię obrony na głębokość dochodzącą do 300 kilometrów. Co więcej, w obliczu pierwszych oznak natarcia Rosjanie powitali będące już na wysuniętych pozycjach dywizje pancerne Wehrmachtu nawalą ogniwą. Natarcie niemieckie załamało się już po dziesięciu dniach. Dzięki

informacjom uzyskanym przez złamanie szyfrów Enigmy Niemcy przegrali tę bitwę, zanim się ona zaczęła.

Rok 1943 był także przełomowy w bitwie o kontrolę nad północnym Atlantykiem, niesłuchanie ważną drogą morską, którą płynęły wojska i dostawy sprzętu ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii. Niemcy paraliżowali ten szlak za pomocą łodzi podwodnych, ale w 1943 roku liczba zatopionych U-Bootów wzrosła lawinowo. W całym 1942 roku Kriegsmarine straciła 87 okrętów podwodnych, a w 1943 roku — 244, z czego w samym maju 41. Ponownie było to możliwe w związku z szybkim rozszyfrowywaniem depeesz radiowych. W maju 1941 roku Brytyjczykom udało się przejąć z uszkodzonego U-Bootu nienaruszony egzemplarz Enigmy, przez co szybko zaczęli odnosić na tym odcinku ogromne sukcesy, ponieważ Niemcy używali różnych wersji Enigmy na różnych frontach i w poszczególnych rodzajach broni.

Dowództwo niemieckiej floty, zarówno admirał Erich Raeder, jak i admirał Karl Dönitz, przejawiało biurokratyczne zamięłowania, skutkiem czego dowódcy U-Bootów mieli obowiązek meldowania codziennie swoich pozycji przez radio. Brytyjczycy rozszyfrowywali te depesze w ciągu 24 godzin i dokładne namiary U-Bootów przesyłali Amerykanom, którzy już wówczas mieli zminiaturyzowane radary montowane w samolotach. Dzięki bieżącym informacjom amerykańskie lotnictwo nie musiało przeczesywać bezmiarów Atlantyku, tylko stosunkowo ograniczone akweny. Co więcej, ich zadanie było ułatwione, gdyż do końca 1943 roku U-Booty nie były wyposażone w chrapy, urządzenie przypominające ruchomy komin, za pomocą którego można doprowadzać powietrze do silnika spalinowego, podczas gdy okręt płynie zanurzony na głębokości peryskopowej. Bez chrap U-Boot musiał płynąć albo na powierzchni, albo pod wodą, posługując się silnikiem elektrycznym. To drugie jednak bardzo ograniczało prędkość i zasięg. A że U-Booty nie miały chrap, niezwykle dużo czasu spędzały, płynąc na powierzchni, i bez problemu można je było namierzyć za pomocą radaru.

O znaczeniu Enigmy daje pojęcie także niemiecka kontrofensywa podjęta w Ardenach (grudzień 1944 i styczeń 1945 roku). Dogorywające Niemcy zdołali zupełnie zaskoczyć aliantów, ponieważ podczas przygotowań do tej operacji nie posługiwały się depeeszami radiowymi szyfrowanymi za pomocą Enigmy. W trakcie tej bitwy, w końcu przegranej przez Niemcy, Amerykanie ponieśli nadzwyczaj ciężkie straty w ludziach i sprzęcie, porównywalne tylko z tymi zanotowanymi podczas lądowania w Normandii.

Poświęcamy Enigmie tyle miejsca, bo z jednej strony można bez przesady powiedzieć, że zdolność aliantów do rozszyfrowywania niemieckich depeesz wydatnie skróciła czas trwania wojny i tym samym oszczędziła setki tysięcy sojusznicznych ofiar, a z drugiej ukazuje to, że nasz wkład był tutaj cząstkowy choćby z tego powodu, że Niemcy nieustannie doskonalili Enigmę, więc maszyna przekazana Wielkiej Brytanii w 1939 roku nie była tą samą, której używano

do czytania niemieckich depeš w 1943 roku. Ogólnie rzecz biorąc, na ostateczny sukces złożyło się wiele różnych czynników, łącznie na przykład z niemieckim zamiłowaniem do dokładnej sprawozdawczości. Mówiąc inaczej, jesteśmy w stanie wnieść istotny wkład, w tym wypadku w zwycięstwo wojskowe, co nie oznacza, że w pojedynkę decydujemy o losach świata, a to przybliży nas do drugiej strony interesującego nas medalu.

„Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata” — tak Edgar Vincent, pierwszy wicehrabia D’Abernon, określił Bitwę Warszawską z 1920 roku. Bez wątpienia było to wielkie zwycięstwo, tryumf, który przypuszczalnie procentuje po dziś dzień, ponieważ gdyby nie on, to najprawdopodobniej nasze obecne granice byłyby szersze, co jednak nie oznacza, że bitwa ta decydowała o losach świata czy nawet tylko Europy. Ona zadecydowała o naszych losach, gdyż już w 1920 roku slogan „Na Zachód po trupie Polski” nie był aktualny — w Niemczech zapał rewolucyjny zupełnie wygasł, a dokładniej — został całkowicie zduszony już ponad rok wcześniej i Republika Weimarska sprawnie działała. Licząca około miliona żołnierzy armia marszałka Tuchaczewskiego nie mogła się równać zaprawionej w czteroletnich bojach armii niemieckiej. Owszem, armia ta była demobilizowana, ale w 1920 roku wielu byłych oficerów i żołnierzy nadal pozostawało w strukturach Freikorpsu. Nawet jeśli jakimś cudem bolszewikom udało się podbić Niemcy, to dalej była Francja z największą armią lądową świata.

Lenin mógł marzyć o podboju Europy wiosną 1919 roku, ale już nie latem 1920 roku. Doskonale o tym świadczy to, że w sierpniu 1920 roku, gdy bolszewicy podchodzili pod Warszawę i gdy rozpoczynały się polsko-sowieckie rokowania pokojowe, propozycje rosyjskie zakładały istnienie państwa polskiego, tyle że z linią Curzona jako granicą wschodnią i słabiutką, symboliczną armią. Powtórzmy, Bitwa Warszawska i potem operacja niemeńska miały decydujący wpływ na polskie granice wschodnie (a także pośrednio zachodnie, ponieważ bez tych sukcesów najprawdopodobniej nie byłoby trzeciego powstania śląskiego i tym samym Katowice pozostałyby w granicach Niemiec), ale nie uratowały Europy przed zalewem bolszewickim. Rodzący się dopiero ZSRR nie mógł pokusić się o uczynienie z Polski kolejnej republiki radzieckiej — nawet zwycięski Stalin nie odważył się tego zrobić w 1945 roku, a tym bardziej nie mógł myśleć o podboju Zachodu. Dodajmy, że latem 1920 roku jeszcze działały duże siły białych na Krymie i przyległych terytoriach, a bolszewicy wciąż nie opanowali wschodniej Syberii z Czitą i Władywostokiem.

Zwycięska wojna z bolszewikami i pozytywna reakcja międzynarodowa na to wydarzenie, na czele z przytoczoną już pracą D’Abernona, dały Polakom poczucie wielkiej siły, nabraliśmy przekonania, że jesteśmy potęgą, podczas gdy podstawy naszego niepodległego bytu były bardzo kruche i należało cały wysiłek skupić na ich wzmacnianiu, szczególnie unowocześnieniu gospodarki. Tymczasem marzyło się nam mocarstwo, mieliśmy nawet ambicje posiadania kolonii.

Cały ten piękny obraz runął jak domek z kart we wrześniu 1939 roku. Nie czas tu i miejsce na spekulacje, czy mogło być inaczej, ani na porównania z tym, jak wypadli inni, znacznie od nas mocniejsi, ponieważ w polityce odnosi się sukcesy, równając nie w dół, ale w górę, niemniej niezaprzeczalnym faktem jest to, że nasza linia obrony została rozerwana po trzech dniach walk, niemieckie czołgi stanęły na przedpolach Warszawy w ósmym dniu zmagania, a następnego doszły aż do placu Narutowicza. Za ułudę mocarstwowości zapłaciliśmy niewolą liczącą dokładnie pół wieku, najpierw nazistowską, potem komunistyczną. Dobrze jest mieć to w pamięci, gdy rozmawiamy o przyszłości i polityce.

Lord D'Abernon nie był i nie jest odosobniony w budowaniu mitu o naszej wielkości. Także przywódca wolnego świata stwierdził:

Dla Amerykanów Polska zawsze była symbolem nadziei — od zarania dziejów naszego narodu. Polscy bohaterowie i amerykańscy patrioci walczyli ramię w ramię w trakcie naszej wojny o niepodległość oraz w wielu późniejszych wojnach. Nasi żołnierze nadal dziś służą w Afganistanie i Iraku, zwalczając wrogów wszelkiej cywilizacji.

Ameryka nigdy nie zrezygnowała z wolności i niepodległości jako prawa i przeznaczenia polskiego narodu — i nigdy nie zrezygnuje. Oba nasze kraje łączy szczególna więź, u podstaw której leżą wyjątkowe dzieje i charakter narodu. Tego rodzaju wspólnota występuje tylko między ludźmi, którzy walczyli, przelewali krew i umierali za wolność.

Dalej ciągnął:

Jestem tu więc dzisiaj nie tylko po to, by odwiedzić starego sojusznika, ale by wskazać go jako przykład dla innych, którzy zabiegają o wolność i którzy pragną znaleźć odwagę i wolę do obrony naszej cywilizacji.

W końcu padły poniższe słowa:

Pod podwójną okupacją naród polski przeżył nieopisaną gehennę: zbrodnię katyńską, Holokaust, warszawskie Getto i powstanie w Getcie, zniszczenie pięknej stolicy i zagładę prawie jednej piątej ludności.

Kwitnąca żydowska społeczność — najliczniejsza w Europie — została zredukowana niemal do zera w wyniku systematycznych nazistowskich mordów na żydowskich obywatelach Polski, a brutalna okupacja pochłonęła niezliczone ofiary.

Część elity, słuchając tych słów, wpadła w zachwyt, nie bacząc na to, że co innego okolicznościowe przemówienia, a co innego wykute w długich i uciążliwych negocjacjach umowy międzynarodowe, najlepiej podtrzymywane własną siłą.

Entuzjazm ten był o tyle dziwny, że z tym braterstwem broni, sojuszem i wspólnymi więziami w przeszłości, różnie bywało. O ile takie zjawiska jak Jałta i Poczdam można próbować tłumaczyć tym, że cała Polska była opanowana przez Armię Czerwoną i tylko wojna amerykańsko-sowiecka mogła ten stan rzeczy zmienić — aczkolwiek, na przykład, w tym samym czasie bez jednego wystrzału Stalin wycofał swoje wojska z Czechosłowacji — o tyle mało znanym faktem jest to, że 3 września 1939 roku Stany Zjednoczone ogłosiły neutralność. Kilka godzin wcześniej Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom hitlerowskim i reakcją Stanów Zjednoczonych na to było ogłoszenie neutralności. W Londynie i Paryżu na pewno pamiętano, że ententa wyszła zwycięska z I wojny światowej dzięki amerykańskiej pomocy, a 3 września 1939 roku przywódcy Francji i Anglii usłyszeli, że tym razem na tę pomoc liczyć nie mogą. W tamtej chwili toczyliśmy nierówny bój na śmierć i życie. Bój ten zdeterminował los Polski na kolejne pięćdziesiąt lat i dla Warszawy bardziej pomocne byłoby milczenie niż ogłoszenie neutralności.

Trudno powiedzieć, byśmy byli specjalnym pupilem Ameryki w innych istotnych dla nas chwilach. W styczniu 1918 roku prezydent Wilson ogłosił słynne Czternaście Punktów, z których trzynasty postulował stworzenie państwa polskiego na obszarach zamieszkałych przez ludność „bezsprzecznie” polską i z wolnym dostępem do morza, niemniej nie ma śladu, żeby podczas konferencji pokojowej w Wersalu Stany Zjednoczone stanowczo domagały się przyznania Polsce Gdańska czy aktywnie wspierały nas w innych kluczowych sprawach. Warto podkreślić, że Polska jako kraj, który uzyskał (Polacy by powiedzieli: odzyskał) terytoria od Niemiec, została obciążona odszkodowaniami nałożonymi na Niemcy w 1919 roku.

Podobnie w ostatnich czasach dokonaliśmy ogromnego wysiłku w celu obalenia komunizmu. Nieustannie byliśmy cierniem w sowieckim boku, powstanie NSZZ „Solidarność” zaś zadało komunizmowi śmiertelny ideologiczny cios, ujawniło fałsz najważniejszego filaru, na którym opierała się komunistyczna władza: że „partia jest przewodnią siłą klasy robotniczej” — ogólnie rzecz biorąc, trudno przecenić polski wkład w upadek ZSRR — ale po 1989 roku nie uzyskaliśmy od Stanów Zjednoczonych żadnej wydatnej pomocy gospodarczej. Po II wojnie światowej pokonanym Niemcom przyznano ogromne kredyty w ramach planu Marshalla, Polskę nic takiego nie spotkało po 1989 roku. A trzeba nadmienić, że w wyniku rozpadu ZSRR Stany Zjednoczone uzyskały, jak to się za oceanem mówiło, „dywidendę” w postaci idącego w setki miliardów dolarów zmniejszenia wydatków na zbrojenia. W Ameryce często używa się zwrotu „There ain’t no such thing as a free lunch”, co znaczy: „Nic nie ma za darmo”, i trudno byłoby dopatrzeć się w stosunkach amerykańsko-polskich zaprzeczenia tej maksymy.

Niemniej podbudowane na duchu tym przemówieniem władze w Warszawie ochoczo zabrały się do — jak to wówczas często określano — „wstawania z kolan”.

Skoro przywódca wolnego świata tak nas chwali i docenia, to cóż nam może grozić? Bardzo szybko się okazało, że okolicznościowe przemówienia i twarda polityczna rzeczywistość to dwie różne sprawy. Skutkiem tej pomyłki doszło do takich zdumiewających wydarzeń, jak ogłoszenie za oceanem tego, że Polska organizuje konferencję na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie, powszechnie uznawaną za antyirańskie przedsięwzięcie, podczas którego zresztą doszło do incydentu polsko-izraelskiego w żadnym razie niepoprawiającego wizerunku Polski na arenie międzynarodowej, albo włączenie do listy leków refundowanych bardzo drogiego lekarstwa produkowanego w Stanach Zjednoczonych czy też planowane spotkanie przywódców Grupy Wyszehradzkiej w Jerozolimie. Zamiast poszerzonej suwerenności mamy do czynienia ze stanem rzeczy, w którym szczegóły naszej polityki zarówno międzynarodowej, jak i wewnętrznej są ustalane daleko poza Warszawą.

Do tego — mimo że winą za wymordowanie prawie wszystkich obywateli Rzeczypospolitej Polskiej pochodzenia żydowskiego obarczono niemieckiego okupanta — nagle okazało się, że to Polska może być obciążona odszkodowaniami z tytułu tego ludobójstwa. W tym ostatnim wypadku nie mówimy o wiecowych sloganach, ale o uchwalonej ustawie podpisanej przez tego samego prezydenta, którego miłe dla Polski słowa cytujemy powyżej.

Te niepowodzenia są oczywistym skutkiem błędnego widzenia naszych dziejów, jak i nadzwyczaj istotnej dla polskiej niepodległości historii stosunków polsko-amerykańskich. Zamiast postrzegania zewnętrznego świata takim, jakim on jest, czyli uświadomienia sobie tego, że mamy do czynienia z państwami bezwzględnie kierującymi się interesem narodowym (naszym skromnym zdaniem, w porównaniu z francuskim *raison d'État*, racja stanu, angielski zwrot *national interest* dużo lepiej oddaje istotę rzeczy), hołdujemy romantycznym mrzonkom podbudowanym wizją mocarstwowej Polski „od morza do morza”.

Właśnie ta wizja, Polski od morza do morza, leży u podstawy naszych porażek i błędnej polityki. Trzeba podkreślić, że okres wielkości Polski to były czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jak sama nazwa wskazuje, była to unia dwu równorzędnych członów: Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Litwa, nawet po unii lubelskiej, miała własne wojsko, skarb i sądownictwo, wspólne były władze ustawodawcze i w pewnym stopniu wykonawcze (król tak, ale już na przykład nie dowództwo wojskowe). Wypada dodać, że Korona Polska to nie było jednolite państwo tak jak dziś tę sprawę rozumiemy. Na przykład w wyniku unii lubelskiej województwa ruskie cieszyły się daleko posuniętą autonomią, wcześniej taką autonomię otrzymały Prusy Królewskie (Pomorze Gdańskie). Przedrozbiorowa Korona bardziej przypominała federację niż jednolite państwo.

Szczególnie godne uwypuklenia jest to, że wszystkie wielkie zwycięstwa, od bitwy pod Grunwaldem po Monte Cassino, były osiągnięte wspólnym wysiłkiem nie tylko polsko-litewskim, ale, jak byśmy to dziś powiedzieli: polsko-litewsko-ukraińsko-białoruskim, z dodatkiem elementu żydowskiego,

a nawet tatarskiego. Wystarczy złożyć hołd poległym pod Monte Cassino, by dostrzec nie tylko krzyże katolickie i prawosławne, ale także półksiężycy i gwiazdy Dawida. Jedyne znaki, których tam brak, to krzyże grekokatolickie, bo podczas II wojny światowej Ukraińcy nie walczyli z nami ramię w ramię, ale nas mordowali. Niemniej w czasach świetności „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej” Kozacy mieli walny udział w wielu zmaganiach, takich jak wiekopomne „wiktorie” pod Kłuszynem (1610) czy Smoleńskiem (1633/1634), ale nade wszystko pod Chocimiem (1621). Wtedy to Zaporozcy walczyli pod własnym dowództwem i bronili odrębnego warownego obozu, a według niektórych szacunków liczba Kozaków przewyższała liczbę żołnierzy armii koronnej.

Skoro dotknęliśmy sprawy „decydującej bitwy w dziejach świata”, to naszym skromnym zdaniem, właśnie bitwa pod Chocimiem miała decydujące znaczenie dla losów Europy Środkowej. Neutralizacja Rzeczypospolitej Obojga Narodów, nie mówiąc o jej zwasalizowaniu, otworzyłaby imperium otomańskiemu możliwość ekspansji na obszarach mających dla niego pierwszoplanowe znaczenie — w basenie naddunajskim. Europa właśnie wchodziła w okres wojny trzydziestoletniej (1618–1648) i jest mało prawdopodobne, by Święte Cesarstwo Rzymskie (od 1804 roku znane jako Cesarstwo Austrii) zdołało wytrzymać walkę na dwa fronty, od północy z protestantami pod wodzą najpierw Danii, a potem Szwecji (wspieranej przez Francję), i od południa i wschodu z Turcją. Podbicie Austrii dałoby Turcji możliwość wzięcia Półwyspu Apenińskiego w kleszcze i spełnienia muzułmańskiego marzenia o podboju Rzymu i zmienieniu Bazyliki św. Piotra w stajnię. Drugą kluczową bitwą w dziejach Europy, w której Polska brała udział, była odsiecz wiedeńska (1683). Po tej klęsce imperium otomańskie na dobre straciło inicjatywę i już nie było w stanie zagrozić Europie.

Wracając do stosunków polsko-ukraińskich i polsko-białoruskich, byłibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy pominęli to, że w kampanii przeciwko bolszewikom w 1920 roku po polskiej stronie walczyły także odrębne jednostki ukraińskie pod wodzą atamana Semena Petlury i białoruskie (ściślej: białorusko-rosyjskie) pod wodzą generała Stanisława Bułak-Bałachowicza.

Ogólnie, mówiąc ogólnie, niedokładne postrzeganie naszej przeszłości, wypuklanie naszego wkładu i pomniejszanie, czy też wręcz pomijanie, wkładu Białorusinów, Litwinów, Ukraińców, jak również mniejszych narodów — członków Rzeczypospolitej, takich jak Żydzi, Niemcy i Tatarzy, w tworzeniu wielkiego i potężnego państwa, jakim była Rzeczpospolita Obojga Narodów, prowadzi do niewłaściwej oceny naszej pozycji w Europie i świecie.

Pozwolimy sobie ponownie przypomnieć sprawę Enigmy. Wnieśliśmy walny wkład w rozwiązanie tej zagadki, dokonaliśmy przełomu, który miał absolutnie podstawowe znaczenie w pokonaniu Niemiec hitlerowskich, niemniej rozwinięcie i wykorzystanie tego osiągnięcia było zasługą innych. Tak samo polski wkład w obalenie komunizmu był ogromny, szczególnie przez założenie

i działalność NSZZ „Solidarność”, ale nasz jednostkowy wysiłek byłby niewystarczający do unicestwienia ZSRR i jego zbrodniczej ideologii. Podobnie w ramach Rzeczypospolitej Obojga Narodów odgrywaliśmy pierwszoplanową rolę, lecz bez udziału innych narodów nie odnieśliśmy sukcesów. W istocie rzeczy niedocenienie czynnika kozackiego, jak byśmy dziś powiedzieli — ukraińskiego, miało nadzwyczaj istotny, jeśli nie kluczowy, wpływ na upadek wspólnoty polsko-litewskiej.

Polska i Polacy nie są krajem i narodem nic nieznaczącym, niemniej nie jesteśmy europejską potęgą, w istocie rzeczy nigdy nią nie byliśmy, ponieważ udział w wielkości Rzeczypospolitej Obojga Narodów miały także inne narody, które wchodziły w jej skład. Polska osiągnęła wielkość w ramach unii, formalnie polsko-litewskiej, a w istocie polsko-litewsko-ruskiej, w porządku alfabetycznym zaś i wedle obecnej nomenklatury białorusko-litewsko-polsko-ukraińskiej. Póki ten fakt nie wryje się w świadomość przeciętnego Polaka, Polska będzie nadal ponosić porażki, ponieważ będziemy nieustannie odbijać się od jednej skrajności w drugą, od poczucia zupełnej bezsilności do poczucia mocarstwowości.

W tym miejscu wypada zrobić dłuższą dygresję. Przemilczanie przez zachodnie media i środowiska naukowe polskiego wkładu na przykład w złamanie kodu Enigmy i pokonanie komunistycznego ZSRR jest możliwe, ponieważ polskie czynniki rządowe czy — szerzej mówiąc — polskie elity, nie przywiązują większej wagi do kształtowania korzystnego wizerunku swojej ojczyzny na Zachodzie. To nie tylko nieprzyjazne nam siły są odpowiedzialne za to, że za symbol obalenia komunizmu uchodzą młodzi Niemcy siedzący na murze berlińskim, a nie młodzi polscy robotnicy siedzący na murze Stoczni Gdańskiej — wina leży także po stronie polskiej. Świat może milczeć o naszych osiągnięciach tak długo, jak długo my sami o tym milczymy, szczególnie gdy nie propagujemy w językach obcych polskiego wkładu na przykład w zwycięstwa nad nazizmem, komunizmem i w ratowanie Żydów od zagłady.

Można przypuszczać, że nie mały wpływ na występowanie tego zjawiska mają wspomniane na początku dwie skrajne postawy. Z jednej strony, jeśli ktoś uważa Polskę i Polaków za nic nieznaczący kraj i „narodek” i chce się wtopić w „europejskość”, to jest oczywiste, że taka osoba nie będzie burzyć swojego przeświadczenia, wychwalając polskie osiągnięcia, a z drugiej strony ktoś przeświadczony o wielkości, by nie powiedzieć — doskonałości Polski i Polaków, łatwo popada w samouwielbienie i uważa, że żaden wysiłek w zakresie kształtowania polskiego wizerunku za granicą nie jest potrzebny.

Doskonałym przykładem tego ostatniego zachowania była reakcja polskiego ministra na skandaliczną wypowiedź czołowej amerykańskiej dziennikarki wielkiej amerykańskiej stacji telewizyjnej, że w 1943 roku w warszawskim getcie Żydzi „walczyli przeciwko polskiemu i nazistowskiemu reżimowi”. Minister ten całą sprawę zbagatelizował i podsumował stwierdzeniem, że „my mamy rację,

jeśli chodzi o interpretację tej historii”. Owszem, my mamy rację, ale do tej racji trzeba przekonać świat, ponieważ dzisiejszy świat nie podziela polskiego punktu widzenia, o czym najlepiej świadczy to, że do niedawna hitlerowskie obozy zagłady powszechnie określano mianem polskich.

O ile w okresie przed 1989 rokiem tę zgubną w skutkach opieszałość w zwalczaniu kłamstw o Polsce i Polakach można było przypisywać nieudolności rządzących czy też wręcz ich agenturalnej roli, o tyle taki argument nie może być stosowany do oceny późniejszych działań podejmowanych przez polskie czynniki rządowe. To samo odnosi się na przykład do polskiego świata naukowego — nic nie stoi na przeszkodzie prowadzeniu prac badawczych i publikacji ich wyników za granicą.

Jednym z naczelných zarzutów kierowanych pod adresem chrześcijan jest to, że wielowiekowe obciążanie Żydów za śmierć Chrystusa stanowiło ideologiczną podstawę Zagłady. Ale też wiadomo, że w Polsce katolickie instytucje kościelne na dużą skalę pomagały Żydom w ciągu okupacji hitlerowskiej. Niemniej kłopot w tym, że nie sposób bliżej określić zakresu tego wysiłku, ponieważ nie przeprowadzono całościowych badań na ten temat. Hierarchia polskiego Kościoła nie przejawia tym zagadnieniem najmniejszego zainteresowania, mimo że w najlepszym interesie Kościoła leży uwypuklenie pomocy udzielonej Żydom podczas II wojny światowej. Dlaczego?

Ogólnie w ciągu ostatnich dziesięcioleci polskie elity nie reagowały na kłamstwa dotyczące naszego kraju, a o kształtowaniu naszego dobrego wizerunku w świecie w ogóle nie można mówić. Fakt ten ma ogromny wpływ nie tylko na postrzeganie Polski i Polaków za granicą, ale także na to, jak nad Wisłą ocenia się polski wkład w rozwój cywilizacyjny świata. Tym sposobem łatwo jest wpaść albo w skrajny pesymizm — nic nie znaczymy, albo w samouwielbienie — jesteśmy mocarstwem.

Przyszłość naszego kraju rysuje się podobnie do tego, co zdarzyło się w przeszłości — ze względu na położenie geopolityczne, a nie dlatego, że tak dyktują nasza kultura i tradycja, samotna Polska może mieć trudności z utrzymaniem samodzielnego bytu. Dowiódł tego nie tylko okres 1918–1939, ale i Polska epoki Piastów. Kryzys, jaki dotknął Polskę w okresie panowania Mieszka II i zaraz po jego śmierci, zagroził samym podstawom istnienia naszego państwa. Okres rozbitcia dzielnicowego przetrwaliśmy wyłącznie dlatego, że nasi sąsiedzi na wschodzie i zachodzie przeżywali podobne procesy, a to, co Władysław Łokietek zdołał zjednoczyć, to była tylko mała część tego, czym władał Mieszko I.

Wielkość Rzeczypospolitej Obojga Narodów wykuwała się w długotrwałym procesie. Po znakomitym zwycięstwie w bitwie pod Grunwaldem — nawet wielu historyków w Stanach Zjednoczonych zalicza ją do największych bitew średniowiecza — Polska i Litwa poszły odrębnymi drogami. Po śmierci Władysława Jagiełły oba państwa obrały sobie różnych jego synów za władców i dopiero po

śmierci Władysława Warneńczyka ponownie doszło od wznowienia unii personalnej. Ponieważ wspólna była tylko osoba władcy, Litwa nie brała udziału w wojnie z Krzyżakami (1454–1466) i samotna Korona potrzebowała aż trzynastu lat, żeby pokonać zakon, w którym zresztą toczyła się wojna domowa. Po śmierci Kazimierza Jagiellończyka unia ponownie się rozpadła i w pojedynkę Polska poniosła sromotną klęskę podczas wyprawy na Mołdawię, a o tym, jak w tym samym okresie samotna Litwa radziła sobie z parciem Moskwy na zachód, lepiej nie wspominać, aby nie zaognić i tak trudnych stosunków polsko-litewskich. Narody zamieszkujące obszar między Wartą a Dnieprem stały się mocarstwem na skalę europejską dopiero po zawarciu unii realnej w Lublinie w 1569 roku.

Tak jak w latach 1385–1795 czy — ściślej — 1569–1795, nasza niepodległość, a może nawet wielkość, może zostać osiągnięta tylko w ramach jakiejś większej instytucji o charakterze państwowym łączącym Polskę z jej sąsiadami. Co wcale nie znaczy, że Unia Europejska była jedyną odpowiedzią na to dręczące pytanie.

Jakkolwiek potoczą się losy Polski w przyszłości, jakiej „unii” byśmy nie byli członkami, to nasze znaczenie w tym organizmie będzie zależeć od naszej spójności politycznej, poczucia jedności i solidarności, potencjału demograficznego, a także od naszej siły gospodarczej i wojskowej. Dopóki nie rozwiążemy podstawowych problemów związanych z tymi kluczowymi wyzwaniami, dopóty dyskusje o naszym miejscu w Europie i świecie będą bezprzedmiotowe.

Marta Dziedzicka- -Wasylewska

biochemik

Pytanie rzeczywiście przewrotne i odpowiedź jest przecież oczywista — nie chce się nawet pisać albo raczej przykro jest pisać...

Przeciwnicy Polski potrzebują utrwalac wizerunek skłóconego narodu, nieświadomego swoich dokonań, nieświadomego swojej wielkiej historii czy nawet tożsamości, a w zasadzie trwającego w poczuciu winy za całe zło tego świata, narodu trwającego w poczuciu niższości i w pozycji petenta.

Pytanie inne jest — dlaczego oni tego potrzebują?

Dlaczego właściwie są w ogóle jacyś przeciwnicy Polski i czy nie ma ważniejszych problemów na tym świecie?

Żyjemy w naszym wolnym kraju dość dynamicznie, krzątamy się jak kto umie najlepiej, poprawiamy swój byt, nikomu nic nie zabieramy, a ciągle ktoś od nas czegoś chce i każe się tłumaczyć za nie swoje winy...

Wiadomo, że II wojna światowa wyrządziła ogromne szkody i jej skutki trwają do dziś, szczególnie w naszej części Europy, ale przecież to nie my byliśmy sprawcą tego kataklizmu. A sprawców jakoś się wytyka palcami, wręcz przeciwnie — z tych głównych sprawców nawet ogół czerpie wzorce do naśladowania we współczesnym świecie, gdyż zbudowali potęgę gospodarczą i to się naprawdę liczy. My zaś dopiero od kilku dekad budujemy w miarę nieskrepowanie naszą skromną potęgę, przedzierając się przez ustalone porządki w wielu najróżniejszych dziedzinach, pozbawieni elit w świecie bardzo trudnym na

budowanie nowych. To jak z tą trawą w przydomowych ogródkach — nauczyliśmy się ją kosić, i świetnie, ale Anglicy koszą swoją od jakichś czterystu lat i na tym polega ta różnica...

Z drugiej strony, wydaje się, że „stara Europa” już jest poza apogeum swojego rozwoju, raczej degeneruje, chociaż naturalnie trwa, ale jakby „siłą bezwładną”, my zaś jesteśmy jeszcze na „wznoszącej”, jeszcze jesteśmy „normalni”, niepoddani „politycznej poprawności”, która dewastuje, jeszcze nam się chce, gonimy... i wszystko wskazuje na to, że mamy szansę stworzyć fajny kraj, i to się niezbyt podoba...

Trudno mówić o wszystkich dziedzinach — każdy jest jakoś związany ze swoją, na niej się lepiej zna. Moją „dziedziną” jest środowisko akademickie, nauczanie w szkole wyższej i praca naukowa w zakresie nauk przyrodniczych — widzę ogromny postęp, kompatybilność ze światem, jaka nigdy wcześniej nie była naszym udziałem; mamy studentów zagranicznych nie tylko z krajów ościennych czy całkiem egzotycznych, ale też z Anglii, Francji, Niemiec i ze Stanów Zjednoczonych — wszyscy oni są zachwyceni naszym poważnym podejściem do nauczania, możliwością robienia własnych zaawansowanych projektów, zdobywania kompetencji, które będą przydatne i docenione wszędzie na świecie.

Jeździmy w dalekie kraje nie tylko przecież do fantastycznych ośrodków turystycznych, ale zwiedzamy również te kraje w ich „codzienności” i coraz bardziej jasne się staje, jakie ogromne problemy są na świecie, jak ludziom się ciężko żyje w tych dalekich, ale i bliższych stronach, jakie jest ogromne rozwarstwienie — i w Afryce Północnej i tej dalszej, i w Ameryce Południowej, nie mówiąc o Azji. A i Stany Zjednoczone przestały się jawić jako raj na Ziemi...

Popatrzmy z czułością na Europę, a szczególnie na Polskę, i przestańmy się ciągle pastwić nad różnymi uchybieniami i niedogodnościami, bo naprawdę jest nieźle. A ci, którzy nam życzą źle, niech się zajmą swoją historią i swoimi postawami wobec wyzwań współczesności, a też mogliby od czasu do czasu przypomnieć sobie, co wyprawiali na tym świecie wcześniej...

Andrzej Lech Koszmider

elektronik

Chciałbym tu napisać kilkanaście zdań na dwa tematy, które być może są tematami drugoplanowymi, a jednak tak jak ta kropla wody mogą wydrążyć, i już drążą, wiele złego. Nie piszę, co miałyby czynić przeciwnik Polski, tylko zwracam uwagę na wspomniane dwie sprawy, które, moim zdaniem, dają szansę na skuteczne nas atakowanie, a które być może są do uniknięcia.

Te dwa tematy to: Armia Czerwona a patriotyzm polski oraz PZPR i jej członkowie.

ARMIA CZERWONA A PATRIOTYZM POLSKI

Poniżej przedstawiam mój punkt widzenia na sposób określenia i utrwalania pamięci o roli Armii Czerwonej w czasie II wojny światowej.

Rola Armii Czerwonej w czasie zmagania w latach 1919–1920 jest oczywista: agresor dążący do zniszczenia państwa polskiego. Choć nie należy zapominać, a nawet trzeba zdecydowanie bardziej niż dotychczas przypominać, że byli tacy obywatele polscy, którzy wówczas traktowali Armię Czerwoną jako wyzwolicielkę z „ucisku klasowego”, organizowali wręcz oddziały wojskowe (Polska Armia Czerwona) mające wspierać Armię Czerwoną idącą ze wschodu (Tymczasowy Komitet Rewolucyjny w Białymstoku) i stworzyć Polską Republikę Radziecką.

Sprawa się jednak komplikuje w odniesieniu do roli Armii Czerwonej w czasie II wojny światowej. I choć rzecz nie jest prosta, jestem pewien, że dążyć trzeba do utrwalania i propagowania wiedzy oddającej jak najpełniejszą prawdę.

Rok 1939 — kontynuacja roli z 1920 roku. Armia Czerwona to napastnik, wróg Polski, a nade wszystko narodu polskiego. O tym świadczy fakt, że Polacy byli deportowani na wschód niepytani o poglądy, wykształcenie czy pochodzenie. Oczywiście poza tymi, którzy z radością witali wojska radzieckie i zmieniali obywatelstwo na radzieckie. Nie zapominajmy o kontynuacji tej roli w Katyniu.

Lata 1944–1945. W tym okresie działało już Ludowe Wojsko Polskie utworzone przez Stalina z jasnym, choć nieformułowanym oficjalnie, celem pokazania światu, że Polacy chcą mieć ustrój sowiecki, podporządkowany ZSRR. Taka koncepcja wymagała zniszczenia do końca tych sił w kraju nad Wisłą, które trwały przy wierności Polsce z lat 1920–1939.

Czyli Armia Czerwona wkraczająca na tereny należące przed 1939 rokiem do Polski miała dwa jasno postawione zadania do wykonania: walkę i zgniecenie ostateczne sił niemieckich oraz likwidację pozostałości Polski przedwojennej, a zwłaszcza tych elementów, które mogłyby stać się zalążkiem działań dążących do powrotu do sytuacji przedwojennej.

Jak zatem z punktu widzenia Polaka patrioty ocenić działanie Armii Czerwonej? Czy byli to wyzwolicieli, czy okupanci?

Niestety, jedno i drugie!

Czerwonarmista, który wówczas zginął na naszych terenach, w połowie zginął, wyzwalając nas od Niemców, a w połowie — zniewalając Polskę i poddając ją władzy ZSRR na 45 lat.

Tych dwóch działań nie da się rozdzielić. Nie było jednostek Armii Czerwonej, które tylko nas wyzwalały (a wyzwolenie było bardzo potrzebne), ani takich, które tylko nas podbijały (no może w pewnym sensie NKWD, które zresztą bez armii nie mogłoby działać).

Likwidacja grobów czy pomników Armii Czerwonej to także likwidacja pamięci o tych wyzwolicielskich działaniach, co nie wydaje się czymś właściwym. Pozostawienie ich zaś tak jak jest obecnie, to puszczanie w niepamięć zniewalania, tak jak to w swoim interesie robiła wyrosła na tym zniewoleniu PZPR. To też nie jest w porządku.

Być może w tej sprawie da się wypracować jakiś zbliżony do prawdy prawie kompromis.

Otóż można by pozostawić zarówno cmentarze, jak i pomniki związane z Armią Czerwoną, oddając hołd wyzwolicielskiej roli Armii Czerwonej, która rzeczywiście walczyła bohatersko z Niemcami. Szkoda, że z równie wielką determinacją wspierała także wszelkie działania wymierzone przeciwko patriotom polskim. Pomniki te i cmentarze należałoby wyposażyć w trwałe tablice informujące o zniewalaniu Polski, o więzieniu i zabijaniu patriotów. Tam, gdzie to

możliwe, z konkretnymi danymi (data aresztowania patriotów, miejsce mordu lub miejsce potyczki z oddziałem AK itp.), a tam, gdzie takich informacji brak, z ogólnym opisem warunków i skutków przemarszu i pozostania w Polsce Armii Czerwonej. Usuwanie pomników, nie mówiąc o cmentarzach, brzmi bardzo nie- miło i może być przez przeciwników wykorzystywane. Lepiej więc pozostawić je i dodać komentarz na temat drugiej strony skutków (na przykład powstanie PZPR przez ponad 40 lat utrzymującej w Polsce dyktaturę pod nadzorem i według po- leceń Moskwy) pojawienia się u nas Armii Czerwonej, a także wyjaśniający oko- liczności powstania danego pomnika czy cmentarza (na przykład pomnik autor- stwa Iksińskiego powstał z inicjatywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w roku...).

To byłoby sprawiedliwe, oczywiście informacje muszą być oparte na prawdzie.

Na marginesie poruszanych powyżej spraw chciałbym jeszcze dodać, że zbyt mało, moim zdaniem, mówi się zarówno o tzw. folksdojczach i ich współ- pracy z Niemcami oraz procesach powojennych, jak i o kompromitującej, zdra- dzieckiej roli polskich komunistów w 1920 roku.

PZPR I JEJ CZŁONKOWIE — ZNACZENIE SŁÓW

Znaczenie słów w pamięci historycznej zrozumieliśmy i doceniliśmy w związku z niemieckimi obozami koncentracyjnymi i obozami śmierci działają- cymi na polskich terenach okupowanych. Wiemy, że nie można ominąć przymiot- nika „niemiecki”, bo niezależnie od nawet obszernego opisu niby wyjaśniającego sprawę, na przykład że hitlerowski, nazistowski, dla wielu będzie to obóz pol- ski, bo został ulokowany na terenach polskich! Dla młodych ludzi takie słowa jak „nazizm” czy nawet „hitleryzm” nie mają pierwiastka narodowego, więc jedyna wskazówka, o jaki naród chodzi, jest zawarta w słowach „na terenach polskich” albo jeszcze gorzej: „w Polsce”. Rozumiemy to, ale nadal w wielu audycjach nawet historycznych różnych stacji telewizji polskich używane bywają terminy „obozy hitlerowskie” bez słowa „niemieckie”. Być może dla autora sprawa jest oczywi- sta, bo wie, o co chodzi, ale dla współczesnego czytelnika czy słuchacza — nie...

Co ma z tym wspólnego PZPR?

Według mnie dokonano tu podobnego zabiegu, powiedzmy, lingwistycz- nego, o poważnych skutkach merytorycznych.

Mówimy wszyscy o systemie komunistycznym i o komunistach w okresie od 1945 do 1990 roku.

Gdzie był ten system komunistyczny? W Polsce?

Przecież sami towarzysze z PZPR mówili o tym systemie: „realny socja- lizm”. Więc dlaczego wymyślono, że to był komunizm? Komunizm ma pewne cechy ludzkie: postulat równości, sprawiedliwości itd., a tego w czasach PZPR nie było. Była to bezwzględna dyktatura w każdej dziedzinie, podporządkowana obcemu państwu, a PZPR stała na jej straży. Jak zatem taki system powinien się nazywać? Chyba zgodnie z rzeczywistością: ustrój czy system pezetpeerowski.

Z określonymi i wypunktowanymi cechami dyktatury pezetpeerowskiej (jedno-partyjność, cenzura, więźniowie polityczni, torturowanie i zabijanie przeciwników politycznych itd.).

Podobnie jeśli chodzi o członków PZPR — jacy to komuniści bogacący się dopuszczalnymi i zakazanymi sposobami? To byli i są pezetpeerowcy. Jeśli szukamy sprawców i wykonawców tej ponad czterdziestoletniej dyktatury wśród komunistów, to ich nie ma, bo ktoś się przyznaje do tego, że jest komunistą. Natomiast że byli ci ludzie członkami PZPR, wszyscy dookoła wiedzą. Zaraz po zmianie 1989 roku pytałem moich znajomych, którzy nawet doszli do „zaszczytnych” stanowisk w Komitecie Centralnym, czy byli komunistami. Zaprzeczali z pełnym przekonaniem. A wszystko, co złe, robili jacyś komuniści, których nie ma. Teraz nieliczni komuniści zaczynają się pojawiać, to znaczy zaczynają przyznawać, że są komuchami, jak sądzę, w wyniku coraz szerszej wiedzy o tym, że we Francji, Włoszech czy w Grecji istnieją partie komunistyczne, zatem bycie komunistą to nie najgorsza europejsko sprawa. Różnica polega tylko na tym, że żadna z partii komunistycznych państw zachodnich nie współpracowała z wrogiem atakującym ich kraj z zamiarem zniszczenia go ani żadna nie sprawowała krwawej dyktatury przez ponad 40 lat na polecenia obcego państwa. To wszystko — przez zamianę nazwy PZPR na „komunizm” i pezetpeerowców na komuchów — udaje się ukrywać. A jak było? Coraz mniej ludzi to pamięta.

Czyli wnioskiem z przedstawionego rozumowania jest potrzeba używania nazw: „system pezetpeerowski” i „członkowie PZPR — pezetpeerowcy” oraz wykazywania różnic między pezetpeerowcami i komunistami. Wśród tych różnic najważniejsze jest, jak sądzę, podporządkowanie przez PZPR narodu polskiego ZSRR, chyba że zawsze przy komunizmie w Polsce dodawać będziemy: „komunizm zdradziecki”, ot, taki polski rodzaj komunizmu.

Bronisław Łagowski

filozof, historyk idei

Przewrotnie sformułowane pytanie stawia ważny realny problem i warto na nie odpowiedzieć. Na czym powinna opierać się odpowiedź? Z pewnością nie na teoretycznej spekulacji, lecz na faktach historycznych. Zróbmy krótki przegląd odpowiednich faktów i zastanówmy się, jaka jest ich wymowa. Nie sięgajmy daleko w przeszłość, zaczynamy od powstania listopadowego. Po wojnach napoleońskich na mocy postanowienia kongresu wiedeńskiego zostało utworzone Królestwo Polskie, związane unią personalną z Rosją. Nie zadowalało ono Polaków, ale pamiętali oni, że po trzecim rozbiorze żadnego państwa polskiego nie było, a nadzieje związane z Napoleonem rozwiały się wraz z jego upadkiem. Królestwo Polskie miało dobrą, liberalną konstytucję, sejm był wyłaniany w wyborach, polskie były wojsko, szkolnictwo i administracja. Rządy sprawowała autentyczna elita, składająca się z ludzi mających za sobą doświadczenie Sejmu Czteroletniego, wojen napoleońskich i reform oświatowych. Pomijając wyjątki, Polska nigdy nie miała rządów złożonych z ludzi na tak wysokim poziomie. Przyszłość zależała od wykorzystania szerokich możliwości, jakie dawała autonomia. Młode pokolenie uległo jednak nastrojom romantycznym, zapragnęło przeżyć bohaterską przygodę i uwierzyło, że wywołując powstanie, doprowadzi do pełnej niepodległości. Rezultat był następujący: liberalna konstytucja została zniesiona, sejm zlikwidowany, pozostałość po wojsku polskim w liczbie kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy wcielona została do armii rosyjskiej. Władze zaborcze zlikwidowały

uniwersytety w Warszawie i Wilnie oraz Liceum Krzemienieckie. Do tego trzeba dodać konfiskatę wielu majątków ziemskich i liczne prześladowania. Powstanie ułatwiło Rosji przejście pełni władzy nad Polską. Takie były skutki romantycznej wiary w heroiczne wartości i stawianie sobie celów nieosiągalnych w wyniku zbrojnego buntu.

Po trzydziestu mniej więcej latach w Rosji nastąpiła odwilż. Cesarz Aleksander II rozpoczął liberalne reformy. Margrabia Aleksander Wielopolski, jeden z najwybitniejszych wówczas Polaków, uznał, że w tej sytuacji Polacy mogą odzyskać przynajmniej część z tego, co stracili wskutek powstania listopadowego, i rzeczywiście zaczął odnosić sukcesy. Jednakże w kraju trwała tak zwana rewolucja moralna, polegająca na emocjonalnym i religijnie zabarwionym patriotyzmie, stawiająca sobie maksymalne cele odzyskania niepodległości. Powstała imponująca siatka konspiracyjna, wyraźnie zmierzająca do powstania. Klęska powstania była totalna. Kilkadziesiąt tysięcy powstańców zginęło w bitwach, następne kilkadziesiąt tysięcy wywieziono na Sybir. Kilkaset osób powieszono, w Polsce i na Litwie skonfiskowano trzy i pół tysiąca majątków ziemskich, na pozostałe nałożono rujnującą kontrybucję. Trzeba tu dodać, że mimo rosyjskiego panowania na obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego, a także na Rusi, postępował proces polonizacji. Otóż wskutek klęski powstania ten proces kończy się nieodwołalnie, następuje upragniony przez Rosję regres polskości. Okres przygotowań do powstania styczniowego i samego powstania był największą erupcją ideologii romantyczno-heroistycznej i co się z tym wiąże — oderwania od rzeczywistości.

Następnym faktem, który trzeba wziąć pod uwagę, było powstanie warszawskie. Na wiadomość o jego wybuchu Hitler bardzo się ucieszył, bo dawało mu ono okazję do zburzenia Warszawy i zgniecenia centralnego ośrodka polskiej konspiracji. Nie zmartwił się też Stalin, wprost przeciwnie, było mu na rękę, że Armia Krajowa, główny pretendent do władzy w Polsce i główna przeszkoda dla rządów komunistycznych, otrzyma śmiertelny cios od Niemców.

Odpowiadając na tytułowe pytanie, należy ostrożnie mówić o przyszłości, bo nie wiadomo, jaka wizja historii Polski stanie się kiedyś czynnikiem katastrofy narodowej. Może nie będzie już żadnych katastrof. Jeżeli chodzi o ostatnie przemiany ustrojowe, jakie nastąpiły po powstaniu „Solidarności”, warto przypomnieć i mocno podkreślić, że ruch solidarnościowy nie zaczął się ani się nie skończył pod hasłami ideologii romantyczno-heroistycznej, wprost przeciwnie, od tego się odżegnywano. Ruch ten przybierał formy jak najbardziej ostrożne, rewolucja solidarnościowa sama się ograniczała, a upadek komunizmu nie nastąpił wskutek powstania, lecz pokojowo i można sobie wyobrazić, że gdyby „Solidarność” powstanie wywołała, to ono skończyłoby się tak jak poprzednie powstania. Heroistyczna interpretacja ruchu solidarnościowego jest czymś wtórnym,

nastąpiła wtedy, gdy zwycięstwo „Solidarności” już się dokonało. Ludzie, którzy żadnych heroiczych czynów nie dokonali i powstania nie wywołali, teraz przybierają taką pozę, twierdząc, że byli kontynuatorami powstańców warszawskich, styczniowych czy jeszcze wcześniejszych.

Sądzę, że z powyższego wywodu nasuwa się następująca odpowiedź na pytanie, jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski: takiej, jaką kultywuje Muzeum Powstania Warszawskiego.

Marcin Masny

publicysta

Najpierw zajmę się postnowoczesną dekonstrukcją czy też po prostu staroświecką destrukcją pytania. W tym celu zadaję pytania dodatkowe. Czy Polacy mają świadomość historyczną? Czy Polska ma przeciwników?

Na pierwsze odpowiedź jest prosta. Podobnie jak gdzie indziej w świecie, w Polsce wiedza historyczna stoi na niskim poziomie mimo zabiegów nowocześniejszej szkoły, która stara się oderwać wiedzę źródłową od propagandy, ale tej pierwszej wcale nie szerzy, a rozmaite propagandy i tak pokutują, pohukując. Były okresy w dziejach III Rzeczypospolitej, kiedy uczniowie prawie w ogóle nie uczyli się historii (zwłaszcza w liceum), a mimo to niektórzy są dziś dyplomowanymi prawnikami. Dało się. Niestety.

Na drugie pytanie odpowiadam przecząco. Nikt poważny w świecie nie przyznaje się do chęci unicestwienia Polski, a zatem jej istnienie wydaje się na razie zapewnione. W wielobiegunowym świecie zaś każdy jest przeciwnikiem każdego, ale też każdy jest sojusznikiem każdego. Każdy, kto czytał o dziejach Europy przed powstaniem wielkich bloków po II wojnie światowej, rozumie obecny układ globalny. I tu połączę dwa pytania dodatkowe. Świadomość wielu wykształconych Polaków jest tak niska, że wciąż rozumują w kategoriach bloków. Skoro mamy jakieś — mówiąc językiem mojego dzieciństwa — „wąty” wobec Amerykanów, to musimy się spiknąć z Rosją albo Chinami. Gra ze wszystkimi na wielu szachownicach (a nawet równoczesna gra w szachy, pokera i berka kucanego)

jest czymś niezrozumiałym dla polskiej apolitycznej mentalności. Trudno, żeby wyrosłe z niej elity polityczne mogły się wznieść na poziom polityki uprawianej przez Rosjan, Chińczyków, Amerykanów, Brytyjczyków, Turków, Irańczyków czy Izraelczyków. Turek chętnie wesprze pana X w Libii, ale w pierw porozumiewa się z Rosjaninem, który wspiera pana Y. Rosjanin — w zamian za jakieś cesje — nie oponuje. I tak oto dwa mocarstwa wspierają dwie strony krwawego konfliktu, jednocześnie grając razem w innych sprawach.

Gdyby ktoś chciał obecnie zniszczyć Polskę lub zniewolić ją do cna, wystarczy mu obecna niewiedza Polaków o czasach, gdy polityka była grą, a nie heroicznym warowaniem u nogi patrona.

Marcin Niewalda

genealog, dziennikarz, fotograf

Bez zbędnych wstępów odpowiedź brzmi: „antypolskiej”.

Przeciwnicy Polski potrzebują antypolskiej świadomości historycznej.

W przeciwieństwie do wielu, którzy się tutaj wypowiedzieli, nie sądzę, że to pytanie przewrotne. To podstawowe pytanie o „uzbrojenie wojsk” przeciwnych. Celowo używam terminologii wojskowej, choć uważam, że dzisiaj wojny w Europie nie prowadzi się militarnie — a jeśli już, to jest to albo jedno z narzędzi, albo etap ostateczny prowadzonej kampanii.

Chociaż z naszymi „przeciwnikami” prowadzimy współpracę gospodarczą, wymianę kulturową czy dyskurs religijny, to jednak można wskazać zarazem pola i obszary konkurencji i ataku.

Można się więc spierać, twierdząc, że nie jest to *stricte* wojna, lecz jest całkowicie nierozsądne twierdzenie, jakoby mówienie o przeciwnikach kogokolwiek antagonizowało. Takie stawianie sprawy, jakkolwiek uzasadnione cytatami z literatury, to mylenie przyczyny i skutku. To nie opisywanie zjawisk generuje te zjawiska, lecz na odwrót — to zjawiska wymagają ich opisanie.

Pamiętając zatem o pewnym symbolicznym, uproszczonym ujęciu wojskowym, i o tym, że przeciwnicy często są również współpracownikami, łatwo będzie przedstawić wszelkie formy „broni” potrzebnej tym, dla których polska polityka historyczna jest utrudnieniem w ich działaniach. Kto jest przeciwnikiem Polski? Będą to wszelkie grupy, w których interesie leży osłabienie Polski,

na przykład gospodarcze, religijne, kulturowe. (Te grupy mogą współpracować na innym polu — na przykład przeciwnik religijny może współpracować z nami gospodarczo). Mowa więc o przeciwniku w ujęciu symbolicznym, w ujęciu „zjawiska”, a nie konkretnie zdefiniowanej jednostki.

Wszystkim tym przeciwnym Polsce grupom zależy na osłabieniu wszystkiego tego, co wynika z prawdziwej świadomości historycznej. Toteż kwestią, od której należy wyjść, jest rola historii w świadomości narodowej.

Historia jest spoiwem społecznym, daje poczucie integralności państwowej i narodowej. Jednak polska historia ma jeszcze inne, unikalne cechy. Opierając się na naszych dziejach, możemy przede wszystkim być dumni z dokonań militarnych, naukowych i obyczajowych. Historia naszego kraju jest także źródłem naszego poczucia moralności i etyki. Na tej podstawie uczymy się przymiotów takich jak szlachetność, odpowiedzialność za słabszych, umiejętność budowania wspólnoty, kontrola własnych emocji. Cechy te są często unikalne w dziejach świata. Cechy te służą budowie silnego państwa, utrudniają działanie korupcji, blokują powstawanie procesów niewolniczych, przyczyniają się do wzmocnienia konkurencyjności na arenie międzynarodowej, przekładając się na silniejszy wpływ na kierunek działań całego świata.

Większość z tych cech jest utrudnieniem na drodze do stworzenia państw czy korporacji niewolniczych, bezmyślnych, ulegających emocjom i nałogom (na przykład afektom seksualnym). Cechy wynikające z naszej historii utrudniają tworzenie społeczeństwa łatwo sterowalnego. Nasza historia odgrywa więc rolę tarczy i magicznego „napoju siły” dla „wojsk” stojących po stronie wewnętrznej wolności człowieka, jego godności i moralności. Historia, wzmacniając gospodarczo i tożsamościowo, daje silniejszą pozycję w dyskusjach obyczajowych na świecie — czyli sama w sobie jest osłabieniem roli historii tych państw, które przez własne cechy kontrolują i zniewalają całe narody.

Wśród strategii, jakich używają nasi przeciwnicy do zniszczenia lub osłabienia naszej świadomości historycznej, można wyróżnić cztery ich typy:

1. Strategie uderzenia wprost — to działania, które podejmował na przykład Władimir Putin, otwarcie kłamiąc o udziale Polski w II wojnie światowej. Są one mało skuteczne, gdyż powodują natychmiastowe wzmocnienie obrony. To działania głównie pozorne (patrz typ 3), mające uspić czujność na innych polach, a łatwo je obalić, podając fakty, co zapewnia poczucie złudnej wygranej.

2. Strategie uderzenia od tyłu — to strategie, które można porównać z krytyką historii za rzekomo zbyt słabe, zbyt głupie działania historyczne. Takim mechanizmem będzie na przykład opisywanie powstania styczniowego jako wywołanego przez grupy niemieckie, jako niepotrzebnego wykrwawienia narodu, jako konsekwencji porywczosci młodzików itp. Charakterystyczne są tu hasła silnie narodowe, hałaśliwie patriotyczne, ultrakatolickie itp. Można to porównać

z krytyką proboszcza budującego „za małą” wieżę kościelną albo nie dość pokornie klęczącego w czasie liturgii.

3. Strategie zmylenia — to zwłaszcza działania typu „związanie walką”. W terminologii wojskowej jest to stworzenie małego hałaśliwego oddziału skupiającego na sobie główne siły przeciwnika. Przejaskrawianie drugorzędneho celu powoduje osłabienie obrony przed właściwym przeciwnikiem. Przykładowo skoncentrowanie się na teoriach spiskowych („tajny rząd masoński”, „rządzący światem Żydzi”...) może być formą odwrócenia uwagi od działań bezpośrednich przeciwników gospodarczych lub obyczajowych. Podkreślam, że chodzi tutaj o wykorzystanie zjawisk istniejących, lecz zarazem przecenianie ich roli i wpływu (na przykład masoneria, choć istnieje, choć jej członkowie wywierają czasem ogromny wpływ polityczny, to sama w sobie nie stanowi tajnego rządu światowego, a mistrz loży nie jest „tajnym prezydentem świata”, dlatego poświęcanie wszystkich sił na wyszukiwanie symboli masońskich w historii Polski odciąga badaczy od innych zjawisk i zaburza ich właściwą ocenę).

4. Strategie zatrucia — to zbiór wszelkich manipulacji, które mają osłabić „tarczę historyczną” i „magiczny napój”. Są to działania długofalowe, najsilniej niszczące siłę „obrony”, pozostające na długo w świadomości, a jednocześnie najtrudniejsze do wypunktowania czy nawet dostrzeżenia.

Definiując powyżej unikalne cechy polskiej historii, wskazano jednocześnie cele działań manipulacyjnych. To właśnie uderzanie w nie będzie zadaniem czwartego typu strategii.

4a. Szlachetność — działania te podejmowane były już świadomie przez zaborców i kontynuowane w czasach PRL-u. Jednym z nich jest upowszechnianie mitu „sarmaty” — polskiego szlachcica, wyzyskiwacza, pijaka, warchoła, modlącego się pod figurą, a zarazem prymitywnie gnębiącego chłopów pańszczyźnianych. Nagłaśnianie wad, stawianie w złym świetle cech zarządczych, ośmieszanie i prymitywizowanie obrazu szlachcica miało na celu zniszczenie poczucia szlachetności. Można tu wspomnieć też na przykład o wyolbrzymianiu zjawiska szmalcownictwa w czasie II wojny światowej i deprecjonowaniu ukrywania Żydów.

4b. Odpowiedzialność za słabszych — manipulacja tego typu to na przykład przypisywanie cech magnaterii polskiej całej warstwie zarządczej (szlachta, urzędnicy, duchowieństwo). Prywata, myślenie tylko o własnych przyjemnościach, zabawach. Narzędziem tej polityki były w czasach PRL-u choćby publikowane pamiętniki magnaterii, pełne opisów zabaw i międzynarodowej polityki, albo sposób oprowadzania przez przewodników po zamku w Łańcucie, gdzie podkreślano tylko olbrzymie bogactwo rodziny właścicieli, a pomijano jakąkolwiek aktywność na polu mecenatu czy wszelkich prac społecznych.

4c. Umiejętność budowania wspólnoty — działanie to bezpośrednio przyczynia się do osłabienia możliwości współpracy gospodarczej. Bardzo dobrym

przykładem jest tu wykorzystywanie trudnych kart historii do antagonizowania narodów i grup. W myśl zasady *divide et impera* podkreśla się choćby morderstwa dokonywane przez UPA i generalizuje taką postawę na cały naród. Ta manipulacja historyczna (nie chodzi tu o zaprzeczenie zbrodni!) ma na celu wzmocnienie przekazu o niemożliwości współpracy Polaków i Rusinów. Podobne działania można odszukać w uwypuklaniu antagonizmu chłopsko-szlacheckiego w czasie rzezi w 1846 roku albo antagonizmu katolicko-prawosławnego podczas rzezi w 1863 roku w rejonie Dyneburga.

4d. Kontrola własnych emocji — mity szerzone tutaj dotyczą tak warstwy rycerskiej (na przykład brak kontroli w wyzywaniu na pojedynek), jak i włościańskiej (na przykład brak oporów przed upijaniem się chłopów w karczmie). To w szczególności sfera fałszowania historii obyczajowości.

4e. Inne. Powyższe cztery punkty to jedynie przykłady całego zakresu działań tego typu w obszarze fałszowania historii, służącego osłabieniu pozycji międzynarodowej oraz integralności państwowej Polski. Bardzo dobrym przykładem jest tu demonizowanie pańszczyzny jako wyzysku i niewolnictwa.

Jak bronić się przed atakami historycznymi? Najlepszą formą obrony historycznej jest prawda. Należy dołożyć wszelkich starań, aby rzetelny obraz był publikowany, dostępny i atrakcyjny. Niestety, nie widać niemal żadnych kroków przeciwdziałających „strategiom” z punktu 4. Prawie wszystkie działania „historyczne”, szczególnie akademickie i ministerialne, podejmowane z zamiarem prostowania przeinaczeń, dotyczą „strategii” 1–3. Należy tu wspomnieć wyolbrzymianą rolę pomników, które nie pełnią żadnej realnej funkcji w przeciwstawianiu się manipulacjom wymienionym w punkcie 4, a czasem wręcz działają na szkodę (na przykład przez antagonizowanie narodów). Dobrym narzędziem jest na przykład serial Telewizji Polskiej *Korona królów*. Brakuje filmów historycznych wspomagających edukację szkolną, gier opartych na polskiej kulturze, książeczek dla najmłodszych, atrakcji turystycznych podobnych do wiosek słowiańskich itp. W obszarze edukacji kompletnie pomijana jest historia obyczajowości — która mogłaby być wręcz osobnym przedmiotem, dostępnym już na pierwszym etapie kształcenia szkolnego, z elementami podawanymi na etapie przedszkolnym. Na arenie międzynarodowej brak jest konkursów związanych z polską kulturą, tradycją (choć nie do przecenienia jest na przykład Konkurs Chopinowski). Powinny jednak być prowadzone przez polskie placówki dyplomatyczne czy towarzystwa polskie lokalne konkursy kultury i historii Polski otwarte dla wszystkich.

Należy tu dodać, że ten szczególnie trudny obszar, jakim są „strategie” z punktu 4, jest pomijany przez środowiska akademickie, nie jest bowiem *stricte* nauką historii. Historycy na postawione w tytule pytanie odpowiedzą, ograniczając się jedynie do działań naukowych — co może prowadzić do wniosku, że

w ogóle nie istnieje działalność historyczna skierowana przeciwko Polsce lub też że są to działania z obszaru „strategii” 1. „Strategia” 4 to także obszar praktycznie niedofinansowany w kwestii przedsięwzięć pozaakademickich, a organizacje społeczne mają tu wybitnie utrudnione działanie.

Podsumowując, wypada stwierdzić, że ci, którzy korzystają na osłabieniu pozycji Polski w świecie, nie muszą się zbytnio wysilać. Wystarczy nasza bierność i brak umiejętności prowadzenia odpowiednich działań przez państwo polskie, w tym brak współpracy z organizacjami pozarządowymi działającymi w obszarze humanistyki.

Andrzej Pilipiuk

pisarz i publicysta

Przed wszystkim nasi przeciwnicy i wrogowie (a nawet... sojusznicy!) będą dążyli do narzucenia nam swoich wizji oraz — szerzej — swojego punktu widzenia.

Rozumiem „inną” optykę. Byłem kiedyś w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego na spotkaniu z Henrykiem Grynbergiem. Ten skądinąd przemiły człowiek powiedział wówczas, że Holocaust był najważniejszym wydarzeniem, jakie rozegrało się na polskiej ziemi. Rozumiem jego stanowisko — dla Żydów faktycznie Holocaust był najważniejszy. Ale dla Polaków już niekoniecznie. Dla Żydów bracia Bielscy mogą być bohaterami — uratowali przeszło tysiąc swoich ziomków. Dla Polaków to przywódca bandy, która — by wyżywić leśne osady — bezwzględnie rabowała okoliczne polskie, białoruskie i litewskie wioski, dokonała krwawych pogromów w Koniuchach i Ejszyszkach, a dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa kolaborowała z sowiecką partyzantką i NKWD. Obie strony mają swoje racje. Bielscy ratowanie swoich ziomków uznali za priorytet. W imię jego realizacji rabowali, mordowali i wysługiwali się Sowietom. Ale uznając nawet te racje za słuszne z ich punktu widzenia, nie możemy zapominać, że jesteśmy Polakami i dla nas słuszne jest to, co wynika z naszego osądu sytuacji. Roman Dmowski napisał: „Jestem Polakiem i mam obowiązki polskie”*.

* R. Dmowski, *Wstęp*, [do:] *idem, Myśli nowoczesnego Polaka*, Towarzystwo Wydawnicze, Lwów 1904.

Ukraińska Powstańcza Armia mordowała Polaków na Wołyniu, bo z punktu widzenia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów jedynie jednolitość etniczna tego terytorium dawała szanse jego utrzymania. Z ich perspektywy wymordowanie Polaków, odcięcie AK od bazy zaopatrzeniowej i zaplecza cywilnego etc. było słuszne. Armia Krajowa stanowiła agendę Rzeczypospolitej Polskiej, element władzy państwowej na terenie, który uważali za swój. Obecność tam polskich mieszkańców legitymizowała obecność naszej administracji i zarazem dawała nam prawo władania tą ziemią. Dlatego postanowili Polaków wymordować i wygnać. Możemy to zrozumieć na zimno, jednak nie możemy w imię stosunków dobrosąsiedzkich z Ukrainą uznać słuszności tych mordów! Nie możemy pozwolić, by narzucono nam poglądy zbieżne z obcą racją stanu, a wrogie naszej racji stanu.

Niemcy podnoszą problem wypędzeń ludności niemieckiej, śląskiej i mazurskiej z terenu Ziem Odzyskanych. Wiadomo — była to tragedia. Zatopienie „Steubena”, „Goi” i „Wilhelma Gustloffa” było ohydną zbrodnią wojenną — jednak nie możemy pozwolić, by Niemcy narzucili nam wizję siebie jako ofiar. Uchodźcy, którzy zginęli lub zostali wygnani, to przedstawiciele narodu, który w demokratycznych wyborach wybrał „partię wojny” i niemal do ostatka wierzył w słuszność wizji Hitlera! Oraz wspierał tę wizję, dobrowolnie wykręcając w domach klamki, byle tylko nie zabrakło mosiądzu na zapalniki pocisków. Niemcy byli sprawcami tej wojny. Tak samo winni są ci, którzy na ochotnika wstępowali do Wehrmachtu, jak i kobiety dziergające swetry dla żołnierzy służących na froncie wschodnim. W Niemczech nie było praktycznie poważniejszej opozycji. „Sprzysiężenie Białej Róży”, o którym nakręcono piękny film, liczyło kilkoro członków, a jego działalność ograniczała się do rzucania ulotek. Za ofiary wyjątkowo możemy uznać co najwyżej niemieckie dzieci do lat dwunastu (pobór do Hitlerjugend był przymusowy).

Musimy pamiętać, kim byli sprawcy, kim byli kaci, kim były ofiary. Nie możemy mieszać jednych z drugimi. Optymalny dla przeciwników Polski jest stan braku jakiegokolwiek świadomości historycznej Polaków. Brak świadomości jest dla nich nawet cenniejszy niż sytuacja, w której przyjmujemy ich wizje historii. Znajomość faktów może pobudzić zainteresowanie, skłonić do samodzielnych poszukiwań. Zatem — precz z faktami. Oczywiście całkowicie nie da się tego wyrugować. Można jednak perfidnie skupić uwagę na faktach ważnych, ale nielicznych. Niech się Polacy cieszą, że wygrali pod Grunwaldem i Oliwą. Niech świętują te rocznice jak najhuczniej. Huczne obchody Grunwaldu zepchną w cień inne rocznice. Paradoksalnie z punktu widzenia wroga warto też podsycać pamięć martyrologii. Niech Polacy pamiętają, że Niemcy zapędzili ich dziadków do obozów koncentracyjnych i wytruli gazem. Niech rozpamiętują klęskę września 1939 roku, niech mają świadomość, że byli pięć lat pod niemieckim butem. I niech czytają o tym, że powstanie warszawskie było totalną katastrofą. To ich nauczy pokory. Z punktu widzenia Rosji korzystne są uroczyste obchody mordu

w Katyniu. Rosjanie nas za to przeprosili; jeśli zajdzie taka konieczność, przeproszą jeszcze dziesięć razy. Te przeprosiny mogą być nawet zupełnie szczerze. Ale znowu — skupienie uwagi na Katyniu odwraca uwagę od faktu, że kilka razy solidnie im „wklepaliśmy”. Uroczystości katyńskie przyćmią pamięć bohater-skiej obrony Grodna.

Najkorzystniejsza więc dla przeciwników Polski świadomość Polaków to taka, która wypełniona jest pamięcią martyrologii i poczuciem winy.

Stanisław Piskor

prozaik, eseista

1. Podtrzymania żywotności tezy o powtarzaniu przez Polskę faz rozwojowych Zachodu, co eliminuje refleksje o własnej tożsamości Europy Środkowej, a tym samym ustawia nas w pozycji niesamodzielnego ucznia i stanowi podstawę protekcyjnej arogancji.

2. Podtrzymania wizji Europy Środkowej jako ułożonej na linii Wschód–Zachód, co umożliwia przemilczenie wpływu Południa (tradycji śródziemnomorskiej) na Północ, a tym samym i dorobku epoki renesansu wyprzedzającego niekiedy stan świadomości Zachodu (na przykład Ostroróg, Modrzewski, Kopernik) oraz zjawiska polskiej tolerancji w wielonarodowym państwie na tle rzezi hugenotów i innych wojen religijnych na Zachodzie.

3. Przemilczenia unii lubelskiej jako prekursora początkowej fazy powstania Unii Europejskiej.

4. Przemilczenia zjawiska okcydentalizacji szlachty ruskiej jako powodu utraty szans na sformowanie własnych struktur państwowych, a tym samym i partnerskiego udziału w Rzeczypospolitej trojga narodów, co umożliwia lansowanie wizji Polaków jako kolonizatorów i oprawców mniejszości oraz zacieśnienie tragiczne konsekwencje wyboru rosyjskiego protektoratu przez przywódców kozackich (likwidacja Kozaczyzny przez carat).

5. Podtrzymania jednostronnie zafałszowanej interpretacji baroku jako agresywnej formacji, z jednoczesnym przemilczeniem przyczyn powstania soboru

trydenckiego po barbarzyńskim najeździe na Rzym (*Sacco di Roma*) zdemoralizowanych wojsk Karola V, z ostatecznym skutkiem podporządkowania religii władzy cesarskiej (1555), co utorowało drogę do absolutyzmu, zrównując pod tym względem ustrojowe rozwiązania protestantyzmu z carskim samodzierżawiem.

6. Podtrzymania wolteriańskiej fałszywki o polskim fanatyzmie religijnym konfederatów barskich, którzy w obronie niepodległości odwrócili carski pretekst do interwencji wojskowej „w obronie innowierców”, a także pruskiej arogancji z jej tezą o „oswajaniu polskich Irokezów z cywilizacją europejską”, w sytuacji, kiedy po dwudziestu latach w kraju „polskich Irokezów” powstała pierwsza konstytucja, a „oświeconego” władcę Prus naziści umieścili na plakietce jako jednego ze swoich patronów, obok Hitlera.

7. Przemilczenia zbrodni w Wandei jako skutku antyreligijnej presji oświeceniowych salonów, która to zbrodnia — zdaniem Sołżenicyna — utorowała drogę do totalitarnych ludobójstw w XX wieku.

8. Przemilczenia znaczenia więzi religijnej wynikającej z polskiego, ekstrawertycznego katolicyzmu jako środka skutecznej obrony przed wynarodowieniem w okresie zaborów.

9. Podtrzymywania obronnych mitów z okresu zaborów („przedmurze”, mesjanizm) — anachronicznych po odzyskaniu niepodległości, co skutecznie blokuje refleksję nad polsnością z jej twórczym potencjałem, wyprowadzonym ze specyficznych doświadczeń przede wszystkim epoki polskiego renesansu i baroku.

10. Agresywnego podtrzymywania mitu o „polskim antysemityzmie” w celu pomniejszenia własnych zbrodni (Niemcy), odwrócenia uwagi od aktywnej kolaboracji z hitleryzmem (Francja) oraz bierności wobec tragedii Żydów (Stany Zjednoczone, kraje Beneluksu).

Jan Skoczyński

polonista, filozof

Pytanie rzeczywiście jest „przewrotne”, by nie powiedzieć — perwersyjne, choć to na jedno wychodzi. Jego intencją jest sprowokowanie wielu „osób mających wpływ na opinię publiczną [...] do przemyśleń tego ważnego problemu” oraz nadzieja „podwyższenia świadomości, jak działać w sposób najbardziej korzystny dla rzeczywistych interesów Polski i Polaków”. Trudno wyrokować, czy to się uda — wszak w obecnej sytuacji naszego kraju mało kto myśli, większość czuje, to znaczy kieruje się emocjami — głównie negatywnymi.

Nie sądzę, aby tych, którzy wpływają na opinię publiczną, było wielu; jest to raptem jedna, może kilka osób (plus rzesza akolitów), które zdominowały dyskurs polityczny, narzucając narrację z upodobaniem przyjmowaną przez naszych przeciwników — na Wschodzie i na Zachodzie. Istotą tej narracji jest wyjątkowość Polski i Polaków zbudowana na cierpieniu i ofierze — z jednej strony, a z drugiej — na poczuciu misji we współczesnym świecie, który odszedł od zasad chrześcijańskich i zmierza ku cywilizacyjnej katastrofie. Naszym zadaniem jest więc „rechryścianizacja Europy” i pokazanie, że mimo półwiecza komunizmu udało się nam przechować wartości, które — nieskażone? — powinien przejąć świat i na ich podstawie kształtować porządek międzynarodowy.

Pomijając polityczną anachroniczność takiej narracji tudzież jej pretensjonalność, trzeba ją lokować w obszarze utopii retrospektywnych. Te, choć niekiedy grają jakąś rolę, zwykle ustępują miejsca utopiom prospektywnym, które są

odpowiedzią na obecny stan rzeczy, na przykład zanieczyszczenie środowiska, efekt cieplarniany, migracje ludzi. Polska utopia odwołuje się do „narodowej tożsamości” zbudowanej na płytkim, instytucjonalnym katolicyzmie warstwy szlacheckiej, przejętym przez społeczeństwo o zdecydowanie chłopskich korzeniach. Współczesny polski mesjanizm, który ma być „rewolucją z ducha”, będzie się więc zderzał z rosyjskim czy chińskim, które przywiązują wagę do siły fizycznej, wyrażającej się przez armię czy gospodarkę.

Wielonarodowa niegdyś Rzeczpospolita, w której możliwy był *gente Polonus, natione Rutenus, Germanus etc.*, ustąpiła miejsca tworowi monoetnicznemu, pozbawionemu połowy terytorium, a w wyniku jednej z najkrwawszych wojen znacznie przesuniętemu ze Wschodu na Zachód. Od jej wybuchu minęło kilkadziesiąt lat i wydawało się, że światowy porządek — kształtowany najpierw przez ideologię zimnej wojny, a następnie przez wydajne gospodarczo liberalne demokracje zachodnie — będzie nadal podstawą ładu politycznego. Tak się jednak nie dzieje: odbudowa mocarstwowej polityki Rosji, wzrost gospodarczej potęgi Chin i Indii, niezdolność Ameryki do odgrywania roli światowego żandarma, a przede wszystkim kryzys Unii Europejskiej powodują, że to, co z natury jest labilne, ale jakoś trwa, staje się niestabilne. My zaś — jak Anglicy — przyczyniając się do rozbicia Unii, dostarczamy przeciwnikom pomysłów i środków rozprawienia się z nami, kiedy przyjdzie okazja.

Zagrożeniem dla porządku politycznego, nie tylko w Europie, jest populizm mający zarówno obiektywne, jak i subiektywne przyczyny. W Polsce zyskał on status „rewolucji godnościowej”, którą udało się wmówić sporej części populacji. Kategorie moralne tudzież religijne o wymiarze ponadczasowym i ponadustrojowym w rękach polityków stały się skutecznym orężem — nie tylko przejęcia władzy, ale i demontażu ładu konstytucyjnego. Budowano go mozolnie przez dekady po 1989 roku, po czym w ciągu lat czterech została po nim tylko forma, wszak jego treść jest zupełnie nowa... W światowej wojnie populizmów nasz okazuje się rachityczny i wątły, ponieważ znowu odwołuje się do „tradycyjnych wartości”, których uosobieniem ma być Kościół — skompromitowany moralnie i kompromitujący się politycznie. Mówienie, że „poza Kościołem jest nihilizm”, to nie tylko intelektualne nadużycie, ale i szyderstwo z przynajmniej połowy populacji naszego kraju, co znowu jest na rękę naszym przeciwnikom. W kontekście tej wypowiedzi najważniejszej osoby w państwie, która od lat instrumentalizuje nie tylko Kościół jako instytucję, ale i wiarę Polaków, ta ostatnia przestaje mieć charakter religijny, stając się powoli ideologią albo doktryną pozwalającą osiągać bieżące cele polityczne. Jest to sprzeczne z eschatologiczną misją Kościoła. Polska religijność zaczyna się upodabniać do chińskiego komunizmu — powoli staje się atrapą albo fasadą, za którą dokonują się procesy niemające nic wspólnego z religią.

W „Rzeczpospolitej” ukazał się kiedyś niewielki tekst Stefana Bratkowskiego, w którym autor relacjonował spotkanie ministra spraw zagranicznych

Jewgienija Primakowa z najwyższym aktywem partyjnym ZSRR. Tematem spotkania była „sprawa polska”, czyli kłopoty, jakie Związek Radziecki ma z naszym krajem. Prominentny polityk miał sugerować zastosowanie wobec Polski „wariantu politycznego”, nie „siłowego” — Polaków trzeba uspokoić, zneutralizować, przez człowieka albo ludzi Kościoła. Wszystko wskazuje, że tak właśnie się dzieje...

W związku z tym tytułowe pytanie wydaje się bezzasadne. Przeciwnicy Polski dobrze wiedzą, jaka „świadomość historyczna Polaków” jest im potrzebna, wiedzą też, jak ją kreować. W tym kontekście „nadzieja podwyższenia świadomości, jak działać w sposób najbardziej korzystny” dla naszych interesów, wydaje się płonna.

Jerzy Surdykowski

publicysta

Prosta odpowiedź brzmi: głupiej! Świadomość głupia jest gorsza niż brak świadomości jakiegokolwiek, co w ostatnich dziesięcioleciach zaczyna powoli dominować, zwłaszcza w młodszych pokoleniach. Pokolenia starsze nie musiały się historii uczyć: ona przyszła do nich nieproszona i okrutna, nierzadko mordercza. Przyszła przez wojny, odzyskiwanie i utratę niepodległości, nienawistne okupacje, zmiany granic, przymusową indoktrynację. Jedynym ocaleniem była sceptyczna bierność: wszystkie wizje historii to zmyłka, każda ideologia to fałszywka, każda władza chce nam zawrócić w głowie tylko po to, aby przerobić nas na własną modłę i tym niegodziwiej wykorzystać. To był podkład, na jakim rozgościła się dzisiejsza pustka świadomości historycznej tych pokoleń, którym burzliwa historia środkowoeuropejska nie pozostawiła krwawych śladów na plecach.

Okres PRL-u był siłą rzeczy czasem powolnego leczenia wojennej traumy. Starsi mieli nadzieję, że baty sprawione im przez erupcję dziejowych szaleństw należą już do przeszłości, więc nie kwapili się do włączania młodych w świat ich nieszczęścia. Młodzi i tak nie mieli na to ochoty. Wszyscy wiedzieli, że opowieść ówczesnej władzy to „mowa trawa”, obojętnie, czy na pierwszomajowej akademii, w szkole, czy w gazecie. Wszyscy — nawet przymuszeni do propagowania tej nowomowy nauczyciele, redaktorzy, tak jak większość partyjnych aparatczyków. Dla wszystkich ratunkiem była ta sceptyczna bierność (bo nie bierny opór), pozwalająca odbębnić to, co nakazane, a prywatnie „wiedzieć swoje” i „jakoś żyć”

w tym ustroju. Aczkolwiek okres PRL-u to nie samo kłamstwo, bywały w polskiej historiografii i ożywcze wiatry. Dzisiejsze oficjalne uwielbienie dla powstania warszawskiego przytłoczyło i skazało na zapomnienie dorobek londyńskich historyków emigracyjnych krytycznych wobec tego zrywu. Wspomnieć dziś choćby poglądy takiego Ciechanowskiego, to jakby w czasach późnego Gierka (gdy nie było już milicyjnych represji, lecz tylko nacisk dominującej ideologii) mówić o wstrzymaniu przez Stalina sowieckiej ofensywy na prawym brzegu Wisły.

Dlatego upadek komunizmu w historycznym 1989 roku sprzyjał jeszcze szerszemu rozlaniu się tej świadomościowej pustki. Żaden z kolejnych i szybko zmieniających się rządów wolnej Polski nie widział potrzeby jej kształtowania, nie miał koncepcji wychowania obywatelskiego i nie pojmował, że Polakowi potrzebny jest nie tylko udział w dochodzie narodowym netto, ale jakieś zakorzenienie w narodowej wspólnotcie wspomagane mądrym patriotyzmem. A jeśli nawet miał i pojmował, to były ważniejsze sprawy, jak choćby wydobycie Polski z cywilizacyjnej i gospodarczej zapaści, co się akurat nie najgorzej udało.

Dziś sytuacja jest trochę inna. Nie tylko dlatego, że rządząca partia, Prawo i Sprawiedliwość, usiłuje — choć nieporadnie — formować świadomość głupią. Ale zwłaszcza dlatego, że odeszły pokolenia pamiętające okropności wojny, że przechodzi powoli na emeryturę pokolenie pamiętające PRL i jego żałosne próby kształtowania „nowego człowieka”. Trauma wojny i utraconej niepodległości odchodzi wraz z nimi. Pokolenia wstępujące są już inne: wojna jawi się im coraz częściej nie jako nieszczęście, lecz jako męska przygoda. Niepodległość i demokracja są dla nich oczywistością, której nie trzeba strzec. Tym bardziej mądrej uwagi wymagałaby ich edukacja. W tej pustce, jaką jest wciąż świadomość historyczna Polaków, poniewierają się więc tylko strzępy: gdzieś daleko Sobieski, prawie tak samo odległy i niezrozumiały Piłsudski, okropni Rosjanie i niepojęci Niemcy, bo nie wiadomo: czy równi im w okrucieństwie, czy dzisiejsi przyjaciele? Oczywiście jest Jan Paweł II, ale prawie nie ma „Solidarności”, a już piękna tradycja demokratyczna Rzeczypospolitej szlacheckiej to bajęda z innej planety. Komunizm nastał, bo najechali nas Ruscy, a nie dlatego, że zrozpaczone biedą ludzkie rzesze zawierzyły fałszywej ideologii i przez to nałożyły sobie na kark zbrodnicze jarzmo. Nie wiadomo, skąd wzięli się Żydzi, pewnie ze sto lat temu przyjechali ze swojego Izraela w roli kolejnego zaborcy, ale nie należy ich drażnić, bo mają pieniądze i rządzą Ameryką. Po tym bezkresie bzdur pałętają się jacyś sędziwi powstańcy i, a jakże — jeszcze od nich ważniejsi — żołnierze wyklęci, tylko bez prób zrozumienia ich uwikłań i dziejowej tragedii.

Dlatego tak łatwo jest dziś kształtować świadomość głupią. Tym ona różni się od mądrej, że nie usiłuje niczego zrozumieć i krytycznie osądzić, ma chwalić to, co do chwalenia jej podano, śpiewać nakazane pieśni, a za patriotyzm mieć wznoszenie okrzyków, obwieszanie się narodowymi symbolami i uczęszczanie na strzelnicę. Świadomość głupią próbował kształtować też PRL, ale, po pierwsze,

wszyscy wiedzieli, że ta władza przyjechała na sowieckich czołgach, a po drugie, w tamtym czasie młode pokolenia były uodpornione na oficjalną propagandę, a z racji wciąż obecnej wojennej traumy niechętnie tradycyjnemu patriotyzmowi. Dzisiejsza władza jednak nie przyjechała skądkolwiek, lecz wygrała wolne wybory, a wojenna trauma zanikła. Dość zobaczyć któryś z modnych Marszów Niepodległości albo zastanowić się nad renesansem ideologii ONR-owskiej.

Czy możliwa jest świadomość mądra? Na pewno tak, ale jej kształtowanie jest o wiele trudniejsze, bo musi być to świadomość krytyczna. Świadomość głupia uznaje Polskę za kraj lepszy od innych, a polski naród za doskonalszy. Podobnie błędzili sarmaccy poeci, kaznodzieje i dziejopisowie w XVII i XVIII wieku; ich wzlot i upadek powinny dziś służyć za lekcję. Kochając ojczyznę jak matkę, musimy pamiętać, że w realnym życiu nie wystawiamy matek w konkursach piękności, nie uważamy ich za lepsze, silniejsze i wyżej stojące od innych kobiet. Kochamy je tylko dlatego, że są nasze. Polski naród dokonywał rzeczy wielkich, ale potrafił też popełniać czyny haniebne. Polskie państwo wznosiło się wysoko, ale spadało czasem w miejsca, o których wolelibyśmy zapomnieć. Niestety, tylko ten, kto posiadał taką wiedzę, kto potrafi ocenić i zrozumieć te wzloty i upadki, jest patriotą mądrym i rozumnym. Jego świadomość historyczna nie musi obejmować wszystkich dat, bitew i imion władców, ale musi być uczciwa i rzetelna w myśleniu. Dlatego tak trudno ją ukształtować. Jest tu zarzut zwłaszcza pod adresem polskiej szkoły: czy sprzyja krytycznemu myśleniu, czy tylko wkuwaniu wiedzy dającej się przetłumaczyć na testowe punkty?

Nie formułuję wszak zarzutu pod adresem modnej ostatnio „polityki historycznej”. Ignoruję ją w całości, skoro bowiem tylko polityka wkracza do historii, natychmiast opuszcza ją prawda.

Olaf Swolkień

socjolog, historyk

To pytanie podstępne, przecież ustalenie, kto jest przeciwnikiem — wrogiem, to, zdaniem klasyka, istota polityczności.

Odpowiedzieć na nie można co najmniej z dwóch perspektyw: psychologicznej i geopolitycznej, które jednak w wielu momentach się przenikają i wzajemnie warunkują.

Biorąc pod uwagę tę pierwszą, można sobie niemal zawsze życzyć, by nasz przeciwnik nie rozumiał swojej historii, tak jak osoba z problemami psychicznymi nie rozumie swojej biografii („niemal”, gdyż czasem fanatyzm i absurdałna teoria lub wiara mogą być źródłem siły, a przecież chcemy, aby nasz przeciwnik był słaby). Konsekwencją tego będzie niezrozumienie współczesności, a więc marnowanie sił i energii na działania błędne, na walkę z prawami biologii, fizyki czy geopolityki. Polska ma ciekawą, w pewnym sensie wyjątkową, historię. Podstawowa debata na temat jej dziejów toczona od XIX wieku zawsze dążyła do udzielenia odpowiedzi na pytanie: kto jest winien jej dziejowych nieszczęść, których kulminacją były zabory? Gdybym był wrogiem Polski, chciałbym, żeby, po pierwsze, uważała, że są to obcy, i po drugie, by nie umiała ich zidentyfikować. Inaczej mówiąc, życzyłbym sobie, żeby Polska jako przeciwnik nie wiedziała, kto w historii był jej najbardziej zaciekłym wrogiem zewnętrznym i nie umiała zdefiniować własnych słabości. Wolałbym, aby Polacy nie wiedzieli, że niepodległość

praktycznie bez walki utracili na kilkadziesiąt lat przed rozbiorami, i żeby nie wiedzieli, kto najbardziej na tym skorzystał.

Kolejny ważny punkt narodowej debaty odnosi się do sensu działań mających Polskę wyzwolić, a nawet zbawić ją i jeszcze świat przy okazji. Jako przeciwnik Polski chciałym, żeby Polacy gloryfikowali tych, których działania prowadziły do klęsk, pogorszenia jej losu, a z perspektywy upływającego czasu okazały się bezsensowne, nieodpowiedzialne czy nawet zbrodnicze. Chciałym, żeby Polacy czcili dowódców i przywódców, którzy jak wszyscy na ziemi mieli dobre intencje, ale którym nic nie wychodziło poza doprowadzeniem do kolejnej hekatombi, katastrofy, „moralnego zwycięstwa” wraz z polityczną i militarną klęską. Chciałym, żeby ceniono w historii Polski poczciwych durniów i cwanych liderów, działających tak, by odpowiadać na zapotrzebowanie emocjonalne młodzieży, kobiet w żałobie, elektoratu czy opinii publicznej, bohaterów dokonujących głośnych cudów i cichych świństw lub zbrodni. Chciałym, żeby lekceważono tych, którzy umieli trafnie ocenić sytuację, rzetelnie pracować i konsekwentnie działać, nawet gdy nikt ich nie chciał słuchać ani nie próbował zrozumieć.

Chciałym, żeby Polacy nie umieli zrozumieć wyniku II wojny światowej i tego, że w rezultacie otrzymali coś, co szybko (praktycznie po około dziesięciu latach) przeminęło — tyrańskie rządy, ale i coś, co może trwać znacznie dłużej — świetne granice wraz z etniczną jednorodnością. Chciałym, żeby nie pamiętali o Jałcie, Teheranie i Poczdamie i nadal uważali Anglosasów za swoich odwiecznych przyjaciół i naturalnych sojuszników, a o Niemcach na obecnym etapie po prostu nie myśleli, na przykład czytając lokalną prasę. Chciałym, aby po latach, gdy tyrania po śmierci tyrana dawno minęła, a lokalni władcy oprócz kultywowania narzuconych przez ideologię oczywistych nonsensów dokonali także wielu cywilizacyjnie potrzebnych działań, Polacy coraz bardziej zaciekle z pamięcią o tych działaniach walczyli i kwestionowali nie tylko sens budowania na przykład tysiąca szkół na tysiąclecie, likwidacji analfabetyzmu czy uprzemysłowienia, ale pośrednio również swój największy sukces, jakim były nowe granice.

Chciałym, żeby zmagając się na co dzień z barbarzyństwem i niesprawiedliwością turbokapitalizmu, walczyli z komuną, socjalizmem i neomarksizmem, żeby wykonując posłusznie polecenia amerykańskiej (i nie tylko) ambasador, walczyli z rosyjskim zagrożeniem, gdyż w ten sposób okazaliby się godnymi następcami tych, którzy w XVIII wieku jakiegokolwiek próby reform państwa podejrzewali o atak na wolność i niezawisłość.

Chciałym również, aby Polacy myśleli, że tysiąc lat temu ich państwo powstało jak *deus ex machina* dzięki aktowi chrztu, że przedtem ani potem nie było innych tradycji czy źródeł duchowości, bo taka świadomość, samopozbawienie się alternatywnych korzeni i źródeł, jest dla wrogów Polski w dzisiejszych czasach, gdy Kościół katolicki przeżywa kryzys, szczególnie cenna. Chciałym, aby posiadając centralne położenie na przyszłościowych szlakach handlowych

i cywilizacyjnych, kultywowali choćby pod inną nazwą ideę przedmurza Zachodu wobec barbarzyńskiego Wschodu, aby nigdy nie pamiętali, że dla Zachodu zawsze byli i będą ubogim krewnym o dziwnych manierach i wątpliwym pochodzeniu, i żeby nie zauważali, że hegemonia Zachodu ma się ku końcowi.

Chciałbym także, aby świadomość — nieświadomość historyczna Polaków nie ograniczała się do dziejów własnych, chciałbym, aby Polacy nic nie wiedzieli o otaczającym ich świecie, o tym, że oprócz głodu na Ukrainie był na przykład głód w Irlandii, że oprócz Sybiru i łagrów były obozy koncentracyjne na południu Afryki i ludobójstwa w koloniach, a męczenników na miarę księdza Popiełuszki jest w Ameryce Łacińskiej wielu. Chciałbym, żeby Polska, niebędąca mocarstwem, kompromitowała się moralnie, przyklaskując współczesnym zbrodniom i w ten sposób nie zyskiwała sobie poparcia szlachetnych jednostek czy opinii publicznej, które miała w XIX wieku, ale żeby była postrzegana w świecie nie tylko jako słaba czy śmieszna, lecz także jako podła.

Jednocześnie chciałbym, żeby historia i spory historyczne odgrywały w Polsce ogromną rolę, taką jak w życiu jednostek o trudnym życiorysie odgrywa rozpamiętywanie dzieciństwa, zaborczej matki czy ojca pijaka. Żeby Polacy lekceważyli problemy sprawnego działania instytucji, zdrowia, ekologii, edukacji, zagospodarowania przestrzennego czy polityki transportowej, a pochłaniały ich bez reszty kłótnie o nazwę ulicy, miejsce pochówku czy pomnik. Aby Polacy wyżywali się w drażnieniu i wyszydzeniu innych Polaków mających różne poglądy na historię, aby prowadzili na te tematy wieloletnie spory sądowe i wprowadzali do Kodeksu karnego coraz to nowe przepisy ograniczające swobodę dyskusji i wypowiedzi. Aby ich wyobraźnię i emocje kształtowały tytuły tabloidów, aby nigdy nie przeczytali poważnej książki, a nawet dłuższego artykułu. Aby czytali, a przede wszystkim oglądali, tylko to, co znają, i tak trwali w osobnych przegródkach, aby ich umysły były zamknięte, a nieświadome siebie emocje kipiały pod czerepami rubasznymi. No niechby jeszcze mieli nieco poczucia winy za czyny wielkie i szlachetne, których też dokonywali, a myślę, że jako przeciwnik Polski mógłbym śmiało myśleć o jej użyciu do celów dla niej szkodliwych, a polskiego narodu, cytując na zakończenie innego, przez rodaków mało znanego klasyka: „znicestwieniu”.

Jerzy Targalski

historyk, politolog

Patrząc z punktu widzenia państw i sił politycznych, które nie chciałyby mieć żadnego konkurenta w naszym kraju ani żadnego oporu ze strony Polski w prowadzeniu polityki zgodnej z interesami własnymi, Polacy powinni być społeczeństwem bez jakiegokolwiek świadomości historycznej. A jeżeli już mają mieć jakąś świadomość historyczną, to najlepiej postpeerelowską. W zasadzie dla przeciwników Polski najlepszą świadomością historyczną Polaków jest ta, którą reprezentuje „Gazeta Wyborcza”. To idealne rozwiązanie. Ogólnie uważam, że Polacy stanowią w Polsce mniejszość, bo większość społeczeństwa to Polacy bez przynależności narodowej. Kiedyś Josip Broz Tito wprowadził w Jugosławii kategorię „muzułmanie bez przynależności narodowej”. Chodziło o grupę ludzi, których łączyło wyznanie i którzy nie mieli odrębnej tożsamości narodowej. Tak samo większość ludzi mieszkających w Polsce to są Polacy w sensie geograficznym i językowym, ale bez przynależności narodowej, jakkolwiek paradoksalnie by to nie brzmiało. To ludzie bez świadomości historycznej, którzy nie mają żadnej przeszłości, żyją wyłącznie w teraźniejszości, nie mają żadnego wspólnego systemu wartości ani żadnych wspólnych symboli, po jakich mogliby się rozpoznawać, z wyjątkiem symboli współczesnej popkultury i bełkotliwej mieszaniny haseł. Chodzi mi zaś o pewne odniesienia historyczne, wartości, które tworzą wspólnotę, naród. Nie ma znaczenia to, że mieszkam w Warszawie, a, powiedzmy, jakaś kobieta w Suwałkach — oboje odwołujemy się do pewnych wspólnych

symboli, przeszłości, tożsamości i dlatego stanowimy naród. Otóż większość ludzi w Polsce nie ma wspólnej tożsamości, co więcej, nie ma żadnej tożsamości — urodzili się w 1989 roku, nic ich nie łączy poza miejscem zamieszkania i językiem, zresztą dość prymitywnym, jakim się posługują. Z punktu widzenia przeciwnika Polski należałoby obecny stan rzeczy utrzymać i pogłębić.

Aby ten stan rzeczy zmienić, trzeba przede wszystkim sprawić, by większość mieszkańców geograficznej Polski poczuła się Polakami, ale nie Polakami w związku z miejscem zamieszkania czy językiem, ale z konkretną tożsamością. Tak by naród polski, który obecnie liczy, moim zdaniem, około 30 procent mieszkańców, objął ich większość. Nasi przeciwnicy chcą, byśmy nie mieli żadnej świadomości historycznej, by na tę *tabula rasa* narzucić ich własną świadomość historyczną, dzięki czemu będziemy realizować ich interesy. Mogą tego dokonać nie w walce z inną świadomością, tylko tam, gdzie jej w ogóle nie ma. Dlatego tak ważne jest dla przeciwników bądź konkurentów Polski, by Polacy przyjmowali to, co propaguje „Gazeta Wyborcza”.

Jarosław Zadencki

filozof, myśliciel polityczny

Zanim postaram się odpowiedzieć na tytułowe pytanie, pragnę poczynić dwie uwagi, właściwie dosyć trywialne, ale żyjemy w takich czasach, że lepiej na wszelki wypadek te zastrzeżenia czy refleksje odnotować.

Po pierwsze więc, wolność badań historycznych musi być bezwarunkowa. Nie może być tak, że wyniki badań historycznych są kryminalizowane. Podobnie publicystyka historyczna musi być dziedziną, w której swoboda myśli winna być nadrzędną zasadą. Jeśli ktoś uważa, że konkluzje historyczne oponenta są błędne, powinien on zawsze mieć możliwość merytorycznej krytyki tych stwierdzeń. Gdy państwo penalizuje pewne poglądy historyczne, pojawia się podejrzenie, że państwo to nie tylko wykazuje tendencje totalitarne, sprzeczne z duchem wolności europejskiej, ale też że państwo to coś przed obywatelami ukrywa, a być może świadomie kłamie i oszukuje. Nie trzeba dodawać, że państwo takie nie ma jakiegokolwiek prawa (oprócz prawa przemocy) do oczekiwania lojalności ze strony ludu.

Po drugie zaś, należy potraktować poważnie starą maksymę Machiavellego, że fałszerzy historii należy karać równie surowo jak fałszerzy pieniędzy. Lecz trzeba przyznać, że w dzisiejszych czasach praktykowanie tej maksymy jest dosyć trudne (czyż prywatnych banków emitujących pieniądź dłużny nie nazwałby autor *Księcia* fałszerzami pieniędzy?). Mimo wielu trudności należy jednak tępić takie formy zakłamywania historii, jak fałszowanie dokumentów, niszczenie ich,

powoływanie się na niepotwierdzone pogłoski i plotki, zakazy badań koniecznych do każdej obiektywnej procedury sądowej itp. Ponieważ historia jest bronią, należy się więc z nią bardzo ostrożnie obchodzić.

Pytanie „Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski?” to przede wszystkim pytanie o socjotechnikę. A więc pytanie o to, czy można tak zaprogramować świadomość zbiorową populacji, aby populacja ta sama i nie będąc tego świadoma, działała na własną szkodę. Rozumie się, jak mawiał redaktor Giedroyc, takie techniki istnieją. Jedną z nich to tzw. technika altruistycznej kary. Można ją zilustrować następującym przykładem: przez zmasowany atak medialny przekonuje się obywateli państwa na przykład europejskiego o niegodziwości ich przodków choćby w epoce kolonialnej. Wynikiem tej operacji jest zgoda narodów Europy na zasiedlanie jej przez ludy kolorowe. Napływ ten powoduje dekompozycję narodów gospodarzy, chaos ludów i anarchię czy właściwie mówiąc: anarcho-tyranię. Altruizm w stosunku do innych prowadzi zatem do ukarania swoich.

Kim są przeciwnicy Polski i jakiej świadomości historycznej Polaków życzyliby sobie? W okresie swojej historii Polska i Polacy mieli pewnie wielu nieprzyjaciół, z którymi toczono wojny czy konkurowano o wpływy. Ale różne konstelacje polityczne czy geopolityczne mogą ulec zmianie i dawni nieprzyjaciele mogą stać się przyjaciółmi — i na odwrót. Wyobrażam sobie więc, że przeciwnikami Polski i Polaków są dzisiaj ci, którzy Polsce i Polakom po prostu źle życzą i starają się działać na szkodę kraju. Im Polska jest słabsza i nikczemniejsza w oczach świata, ale również w oczach własnego narodu, tym większe święcą triumfy przeciwnicy naszego kraju.

Narody, podobnie jak ludzie, potrzebują do przeżycia pewnego poziomu serotoniny. Ludzie o niskim poziomie serotoniny, ludzie o niskim poczuciu własnej wartości często ocierają się o różnego rodzaju destrukcyjne patologie. Polska upokorzona jest krajem chorym, prawie że żebraczym. Polska pewna siebie i dumna z własnego dziedzictwa jest krajem tryskającym zdrowiem i pełnym optymizmu.

Każdy naród ma swoje wzloty i upadki. Żaden też nie jest bez grzechu. Polacy nie są tu wyjątkiem. Co więcej, może jesteśmy jednym z tych nieszczęśliwych krajów, które doświadczyły w swojej historii więcej upadków niż wzlotów. Bardzo być może. Ale wzloty były, i to nie były jakie. Bez pamięci o nich obniża nam się natychmiast poziom naszej narodowej serotoniny. A to grozi destrukcyjną patologią.

Czasami można odnieść wrażenie, że przeciwnicy Polski pragną, aby świadomość historyczna Polaków prowadziła do, nazwijmy to tak, samopogardy (Jedwabne, pogrom kielecki...), a więc do poczucia braku własnej wartości. Zamiast dzielnych rycerzy Jana III Sobieskiego broniących Europy przed inwazją muzułmańską czy obrońców Europy w Bitwie Warszawskiej 1920 roku przed krwiożerczym bolszewizmem mamy w dzisiejszej historycznej narracji meneli

mordujących niewinnych. I czy historyczny naród, przekonany o tym, że składa się z meneli mordujących niewinnych, może przetrwać, pogardzając samym sobą? Pytanie chyba retoryczne.

Był czas, że u nas pisano historie ku pokrzepieniu serc. Ten czas już minął i dobrze, że minął. Historia ma nas czegoś uczyć, a nie tylko pokrzepiać. Nie należy bać się ciemniejszych stron naszej historii. Z nich również wiele można się nauczyć. Święci nie byliśmy i nie jesteśmy. Ale nie byliśmy też i nie jesteśmy nikczemnikami, wampirami czy pasożytami. Jesteśmy dumnym narodem europejskim, znającym swoje wady, ale i przekonanym o własnej wartości. Zgoda, kiedyś Niemcy mówili o nas *Polnische Wirtschaft* (polska gospodarka), a Szwedzi *Polsk riksdag* (polski sejm), i były to synonimy anarchii, bałaganu, wodolejstwa. Ale czy my nie możemy z podniesioną głową odpowiedzieć na takie *dictum* naszym europejskim braciom: „Pamiętajcie o wiktorii wiedeńskiej, Bitwie Warszawskiej, Katyniu i ruchu oporu przeciwko marksistowskiemu niewolnictwu pod nazwą «Solidarność»”? I to wszystko pod jakże polskim zawołaniem: „Za wolność waszą i naszą”.

Miałem okazję wysłuchać wystąpienia młodego szwedzkiego narodowca Gustava Kasselstranda. Przemówienie swoje, dotyczące inwazji ludów Trzeciego Świata na Szwecję i olbrzymich problemów, z jakimi się ten kraj z tego powodu boryka, zakończył parafrazą naszego hymnu: „Jeszcze Szwecja nie zginęła, póki my żyjemy!”. Czy to nie wspaniałe, że jesteśmy my i nasza historia inspiracją dla tych dzielnych młodych Europejczyków?

Okazuje się więc, że nie dla wszystkich jesteśmy tylko żądnymi krwi menelami. Mamy też przyjaciół.



III

***Co my, polscy obywatele,
możemy zrobić dla pojednania
narodowego i zbudowania
zgody społecznej?***

Józef Baran

poeta

Nie widzę możliwości porozumienia się między: z jednej strony rzecznikami i ideologami patriotyzmu martyrologicznego (kult żołnierzy wyklętych, odkopywanie czaszek i piszczele i stawianie ich na ołtarzu ojczyzny, apoteoza powstania warszawskiego, odgrzewanie Katynia, Smoleńska itd.) a z drugiej — rzecznikami i ideologami obłudnej poprawności polityczno-europejskiej, czyli, jak to nazywa pewien profesor logik: kompradorami z mentalnością kamerdynerów i lokai. Brojlerowy wychów abstrakcyjnych Europejczyków „*sine matre, sine patre, sine genealogie*”, a co za tym idzie — marionetek bez tożsamości rodzinnej i ojczyźnianej, jest nie do pogodzenia z moją koncepcją człowieka. Ale nie rozumiem też, dlaczego mamy wystawiać pomniki żołnierzom wyklętym i tym, którzy machali szabelkami, a nie ludziom dobrej roboty: racjonalizatorom, odkrywcom, wynalazcom, społecznikom... Jeśli tylko ci, którzy bohatercko machali szabelkami i ginęli w beznadziejnej walce, mają być dla narodu wzorem, to oznacza, że wszyscy, którzy zaakceptowali porządek pojałtański i nie popełnili zbiorowego samobójstwa (czyli i my, żyjący kiedyś w PRL, a nie w lasach PRL), są „sprzedawczykami”.

Niestety, zgoda między antagonistycznymi stronami jest niemożliwa także dlatego — a może przede wszystkim dlatego — że jedni i drudzy w polityce mają jak zawsze na widoku pieniądze, zaszczyty, apanaże, walkę o zdobycie władzy i w tym potrafią się tak zapamiętać, że zapominają o dobru społecznym

i obywatelach, którym mają służyć. Kiedy oglądam TVN, boli mnie jadowita satysfakcja komentatorów z tego, że jesteśmy „ksenofobami, rasistami, antysemitami, narodowcami-faszystami” i że znowu tu i tam znaleziono na to dowody. Z czego tu się cieszyć?! Kiedy oglądam „dziennik rządowy”, razi zgrzebna, często łopatologiczna narracja na poziomie szkoły podstawowej, pokazywanie defilad, czołgów, prężenie przez ministra dość wiotkich mięśni.

Jestem człowiekiem sztuki. Poetą. Znowu w schizofrenicznym polskim świecie nie widzę miejsca dla sztuki, dla poziomu, jakości, lecz obserwuję ideologiczną naparzanę i przepychanę, obojętne, czy dotyczącą filmu *Smoleńsk*, czy książki z gruntu tendencyjnie antypolskiej bądź antytradycyjnej (nagrodzonej na przykład Nike). Liczą się tylko względy ideologiczne. Mimo wszystko wiem jedno, że mam pisać po prostu dobre wiersze dla ludzi wrażliwych z wyobraźnią i bez względu na podziały polityczne...

Dwubiegunowy układ jest dla mnie jak przykrótka kołderka, spod której wystają nogi albo skrzydła.

To zresztą nic nowego ta schizofrenia. Parędziesiąt lat temu napisałem wiersz *Tańcowały dwa Polaki* i jest on nadal aktualny. Musimy być zawsze mądrzejsi od samych siebie (czyli jedni Polacy od drugich Polaków) i musimy z siebie — na siebie — nawzajem zrzucić winę i wtedy czujemy się okej i komfortowo:

TAŃCOWAŁY DWA POLAKI

Dwa Polaki w jednym tańcowały
Jeden Polak duży drugi mały
Jak po niebie duży zacznie krążyć
To na ziemi mały nie nadąży
Szumnie górnio i sarmacko duży hulał
Milczkiem boczkim z słomą w butach mały kulał
Tańcowały w rytmie sprzecznych muzyk
Psując wzajem szyki mały z dużym
Bez spoczynku i opamiętania
Nie do pary ni do zrymowania
Tańcowały od sasa do lasa
Dołem-górą na zdartych obcasach
Duży Polak nadmuchany romantycznie
Bliźnich chciałby zbawiać ustawicznie
Mały schował się za czarne okulary
Krok za kroczkiem przeliczając na dolary
Na odsiebkę i na ksiebkę tańcowały
Ręce z stawów sobie powyszarpowały

Chodzi Polak z miną pokwaśnią
Bo co zrobi to za dużo lub za mało
Oto taniec narodowy naszej głowy
Wściekła polka od wiek wieków wciąż ta sama
Słowa sobie czyni sobie i muzyka sobie sama
Oj dyrydy hopsa hopsa danaż moja dana

Ryszard Bocian

prawnik

Zgodę narodową najlepiej zacząć budować wokół kwestii, co do których istnieje już konsensus. I na dodatek jeśli jest poważne domniemanie, że konsensus ten nie zniknie pod wpływem zmieniających się okoliczności. I taką kwestią wydaje się sprawa banderowskiego ludobójstwa. Uchwała w tej sprawie przyjęta została w sejmie bez sprzeciwu. I nie jest możliwe, żeby Ukraina odstąpiła od negacjonistycznego stanowiska w tej sprawie. Tak jak Turcja nie może przyznać się do ludobójstwa Ormian, tak i Ukraina nie może przyznać się do ludobójstwa Polaków. Oba te państwa korzystają do dzisiaj z owoców swoich zbrodni. Zasiedlają wszak terytoria zrabowane swoim ofiarom.

Pozytywne i konstruktywne działanie w tej kwestii można by zogniskować na początek wokół walki o następny krok — o ustawę w sprawie ludobójstwa banderowskiego.

Tomasz Cukiernik

publicysta

By myśleć o zbudowaniu zgody społecznej, najpierw trzeba włąbić się w przyczynę konfliktu. Wszystko wskazuje na to, że to nie Polacy kłócą się sami ze sobą, tylko wąskie grupy polityków, które — należy przypuszczać — nie są samodzielne, a raczej są elementem gry służb i obcych państw w naszym kraju. Z dużym prawdopodobieństwem to służby specjalne innych państw tak ingerują w sytuację wewnętrzną w Polsce, aby podsycać konflikty. Dokładnie tak, jak to było u schyłku I Rzeczypospolitej pod koniec XVIII wieku.

Już w latach pięćdziesiątych XX wieku brytyjska armia walcząca z powstaniem Mau Mau w Kenii *de facto* kontrolowała działania obu stron konfliktu. Na podobnej zasadzie działały Stany Zjednoczone w Afganistanie czy wywołano konflikt w Syrii w 2011 roku. Jak pisze F. William Engdahl w książce *Nieświęta wojna. Grzech pierworodny Ameryki**, celem metody „gang/kontra-gang” jest „podzielenie ludności poprzez konflikty i stworzenie pretekstu dla podjęcia «operacji wsparcia pokoju» przez zewnętrzne siły wojskowe”. Czy z taką sytuacją nie mamy do czynienia i w Polsce?

To by wiele wyjaśniało. Bo to, że w krajach tzw. zachodniej demokracji (nie wspominając o państwach spoza tego kręgu) wybory i kandydaci są sterowani, a państwami z tylnego siedzenia rządzą służby specjalne, jest raczej pewnikiem.

* Przeł. M. Kotowski, Wektory, Wrocław 2015.

Liczą się działania zakulisowe, a nie demokratyczna zasłona dymna w postaci „wolnych” wyborów.

Sytuacja polityczna w Polsce jest tym bardziej kuriozalna, że różnice obu głównych partii (PiS i PO) w pryncypialnych kwestiach są w zasadzie kosmetyczne: obie są za pozostaniem w Unii europejskiej, obie podnoszą podatki, obie zwiększają zadłużenie publiczne, obie regulacjami i kontrolami utrudniają prowadzenie działalności gospodarczej, obie nie reformują upadającego państwowego systemu emerytalnego czy państwowej służby zdrowia, obie zwiększają biurokrację i skuteczniają nepotyzm. W związku z tym zacietrzewienie zwolenników obu sił politycznych może się wydać co najmniej dziwne, dopóki nie zdamy sobie sprawy, że chodzi o całkiem co innego.

Walczące kręgi polityczne mają te same interesy. Przyssane do państwowego koryta, ciągną gigantyczne pieniądze podatników. Taki jest też cel istnienia coraz bardziej rozdętych wydatków publicznych, które z racjonalnością dawno nie mają nic wspólnego. W ramach tej walki wszystkie chwytły są dozwolone, nie mają znaczenia programy wyborcze, a jedynie słupki sondażowe i pogrążenie przeciwnika. I to te grupy polityczne rozgrzewają konflikt, próbując wciągnąć w wir walki po swojej stronie jak najwięcej osób. Ale nie za bardzo im to wychodzi. Episkopat apeluje o „angażowanie się w dzieło społecznego pojednania”, „łagodzenie emocji” i współpracę ponad podziałami. Niestety, trudno będzie osiągnąć zgodę narodową, bo nie taki jest cel ingerencji sił zewnętrznych w polskie sprawy. Dla przypomnienia: około pięciuset Polaków, z których część jest politykami czy dziennikarzami, donosiło NRD-owskiej Stasi. Haki na tych ludzi nadal są ukryte w Berlinie. To oczywiste, że szpiegów na innych kierunkach było znacznie więcej...

Żeby się temu przeciwstawić, trzeba działać na polu uświadamiania ludzi na temat rzeczywistej przyczyny konfliktu polsko-polskiego. Chodzi o to, by Polacy przestali brać udział w grze mocarstw jako pożyteczni idioci, jednocześnie tymi działaniami szkodząc samym sobie. Sytuacja jest tym bardziej skomplikowana, że zdecydowana większość opowiada się po jednej ze stron tylko ze względów koniunkturalnych. Jednocześnie należy umacniać poczucie patriotyzmu, a przede wszystkim wzmacniać gospodarkę kraju, by w dalszym horyzoncie czasowym to polskie władze miały większy wpływ na politykę sąsiadów niż odwrotnie. Ale nie będzie to możliwe bez gruntownej reformy państwa, polegającej na radykalnych obniżkach podatków, deregulacji gospodarki i głębokim zredukowaniu biurokratycznego narośla, które tłamsi rozwój Polski.

Kazimierz Dadak

ekonomista

Kilka uwag o tym, jak Amerykanie rozwiązują spory polityczne. W Stanach Zjednoczonych spory polityczne rozwiązują się same — to jest oczywiście żart, ale jest w nim żdźbło prawdy.

Kultura białej amerykańskiej elity jest głęboko osadzona w kupieckiej mentalności — prezydent Calvin Coolidge powiedział: „The chief business of the American people is business” (w wolnym tłumaczeniu: „Naczelnym interesem Amerykanów jest robienie interesów”). Do robienia interesów konieczny jest kontrahent, co więcej, zawarcie umowy handlowej wymaga ustępstw, bo rzadko się zdarza, że pierwsza oferta zostaje przyjęta. Zatem naturalną postawą Amerykanów jest poszukiwanie partnera do robienia interesów i gotowość do kompromisu. Ponadto w świecie interesów bywa i tak, że ktoś, z kim dziś ostro konkurujemy, jutro może okazać się cennym sprzymierzeńcem, stąd też w Stanach Zjednoczonych spory na ogół nie mają charakteru walki na śmierć i życie.

Wbrew opinii uformowanej przez amerykańskie kino (westerny) — w Stanach Zjednoczonych raczej unika się sporów i walki. Tutaj, jeśli tylko jest to możliwe, potencjalnym przeciwnikom schodzi się z drogi, uważając, że ten, kto dziś stwarza mi jakieś kłopoty, zapewne kiedyś znajdzie się w trudnym położeniu i wówczas wezmę odwet, nawet jeśli to miałyby się odbyć w tak „niewinnej” formie, jaką jest odmowa pomocy.

Ta postawa wynika właśnie z merkantylnej tradycji. Tradycja ta jest dziś zawarta w wielu podręcznikach strategii biznesowej w formie podstawowej zasady robienia interesów — za wszelką cenę unikaj czołowego starcia! Albowiem nawet jeśli wygrasz, to możesz odnieść ciężkie obrażenia i nie mieć wystarczających sił, by stawić czoła kolejnym wyzwaniom, a te na pewno się pojawią.

W dawnych czasach interesy robiło się „na słowo”, ale dziś ta tradycja praktycznie wygasła i konieczna jest porada prawna. Na każdym kroku zasięga się opinii prawnika i z tego powodu w Stanach Zjednoczonych mamy do czynienia z niesłuchaniem wysokim udziałem osób o takim wykształceniu w ogólnej liczbie ludności czynnej zawodowo. Fakt ten, oprócz skutków ujemnych (ogromne koszty dla biznesu), ma tę zaletę, że poziom wiedzy prawniczej jest bardzo wysoki. Nawet jeśli ktoś nie kończy studiów prawniczych, to na jakimś etapie swojego życia prawdopodobnie wykazał zainteresowanie tą dziedziną i czy to w szkole średniej, czy na studiach (college) zapisał się na kurs z zakresu podstaw amerykańskiego systemu politycznego i prawnego. Obywatel, który przebrnął przez taki kurs, jest dobrze zaznajomiony z zasadą trójpodziału władzy, a zatem pomysł, że władza wykonawcza miałaby decydować, które orzeczenie sądu zostało podjęte zgodnie z prawem, a które nie, dla takiej osoby brzmi, mówiąc nadzwyczaj ogólnie, bardzo osobliwie. Ogólnie spory o charakterze konstytucyjnym są rozstrzygane przez Sąd Najwyższy, jego orzeczenia zaś są ostateczne i niepodważalne.

Wysoki poziom wiedzy prawniczej przekłada się na niską tolerancję sytuacji łamania prawa. Oczywiście nie oznacza to, że w amerykańskiej polityce nie mamy do czynienia z przestępstwami i korupcją. Niemniej gdy takie sytuacje staną się powszechnie znane — a jednym z zadań FBI jest sprawdzanie polityków w tym zakresie — nawet najpotężniejsi ponoszą konsekwencje. Świadczy o tym nie tylko los całej plejady polityków „z najwyższej półki”, którzy w wyniku śledztwa FBI i późniejszych procesów sądowych skończyli w więzieniu, ale też fakt rezygnacji Richarda Nixona z prezydentury.

Kraje anglosaskie tradycyjnie ciążą ku systemowi dwupartyjnemu. Z tego powodu partie bardziej przypominają luźne federacje niż zwarte formacje wojskowe. Siłą rzeczy w takich okolicznościach zdolność do kompromisu i budowania szerokiej koalicji stanowi warunek *sine qua non* sukcesu w walkach wewnątrzpartyjnych. To samo odnosi się do walki o władzę w kraju, ponieważ większość wyborców nie należy do konkretnej partii i zmienia preferencje w zależności od sytuacji, stąd przeciągnięcie ich na swoją stronę jest konieczne do zwycięstwa. Doskonałymi przykładami polityków zdolnych do budowy wielkich nowych koalicji i odnoszenia ogromnych sukcesów politycznych są Franklin Delano Roosevelt i Ronald Reagan.

Odwrotny przykład to Donald Trump. Podczas prawyborów obraził on niemal wszystkich czołowych polityków partii republikańskiej i skutek był taki, że gdy rywalizował z Hillary Clinton, niewielu przywódców partii republikańskiej

wspomagało jego wysiłki. W praktyce był sam, wspierali go tylko szeregowi członkowie partii. Inaczej mówiąc, establishment powiedział mu: „Nie chciałeś z nami współpracować, to teraz radź sobie sam, zobaczymy, jak ci pójdzie”. Miliarder poradził sobie sam, ale niewielu miliarderów bierze czynny udział w polityce.

Mentalność kupiecka ma także to do siebie, że według niej liczy się głównie sukces, wymierny sukces, materialny sukces — imponderabilia nie są tutaj w cenie. Aby osiągnąć sukces, niezbędne jest skuteczne, przemyślane działanie. To podejście jest również ugruntowane przez wychowanie religijne. Ameryka jest krajem protestanckim, o tyle ciekawym, że religia jest tu nadal żywa, odsetek ludzi chodzących do jakiegoś kościoła jest bardzo wysoki. Jednym z naczelnych haseł Marcina Lutera było *sola scriptura* (tylko Pismo Święte) i w Stanach Zjednoczonych jest ono traktowane poważnie — Biblia jest tu nie tylko czytana, ale też wręcz uczy się jej na pamięć. Zatem większość ludzi, nawet jeśli dziś nie identyfikuje się z chrześcijaństwem, w młodości czytało Pismo Święte i ceni sobie rozwagę i roztropność, ponieważ doskonale pamięta na przykład taki urywek:

Bo któż z was, chcąc zbudować wieżę, nie usiądzie wpierw i nie oblicza wydatków, czy ma na wykończenie? Inaczej, gdyby założył fundament, a nie zdołałby wykończyć, wszyscy, patrząc na to, zaczęliby drwić z niego: „Ten człowiek zaczął budować, a nie zdołał wykończyć”. Albo który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestoma tysiącami nadciąga przeciw niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju (Łk 14, 28–32).

Dla dziesiątków milionów Amerykanów Biblia to istotny drogowskaz, stąd ich naturalnym odruchem jest siąść przy stole i negocjować.

Politycy, którzy nie stosują się do tej zasady, są często eliminowani przez własne partie. Dobitym tego przykładem jest Newt Gingrich, współautor wielkiego sukcesu partii republikańskiej w wyborach do Kongresu w 1994 roku. Dzięki jego manifestowi („Kontrakt z Ameryką”) po kilkudziesięciu latach bycia w opozycji republikanie zdołali osiągnąć większość w Kongresie. Gingrich, jako Speaker of the House (odpowiednik marszałka sejmu), zdołał przeprowadzić wiele istotnych reform, ale w kilku kluczowych sprawach przeliczył siły swojej partii i poniósł porażki (w wyborach 1998 roku republikanie zamiast zwiększyć przewagę w Kongresie, stracili kilka mandatów, ponieważ wyborców odstręczyła od nich twarda taktyka przyjęta przez Gingricha — nie zgodził się on na zwiększenie długu państwa i tym samym spowodował zawieszenie działalności instytucji federalnych na okres trzech tygodni, ale przede wszystkim chodziło o nieudaną próbę usunięcia prezydenta Clintona z urzędu w 1998 roku).

Zresztą konieczności negocjacji i ustępstw uczy Amerykanów ich własna historia. W połowie XIX wieku nie zdołali oni wypracować kompromisu w zakresie podziału władzy między rządem federalnym i rządami stanowymi. Południowe stany chciały większej niezależności, Północ zaś ściślejszej unii. Te tarcia doprowadziły do wojny secesyjnej, czteroletnich niesłychanie brutalnych zmagających, w których zginęło więcej amerykańskich żołnierzy niż we wszystkich pozostałych wojnach razem wziętych. Południe zostało spustoszone i zapłaciło ogromną cenę za chęć odłączenia się od Północy. Niemniej sto lat od tamtych tragicznych zmagających Południe zaczęło przejmować rządy w całym państwie, jego przedstawiciele byli wybierani na prezydenta (Lyndon B. Johnson, Jimmy Carter, Bill Clinton i George W. Bush). Dla południowców płynie z tego oczywisty wniosek, że lepiej było wówczas zawrzeć kompromis i uniknąć katastrofy.

Czy z powyższych uwag płyną jakieś wnioski dla Polski? Owszem, optymistyczny jest taki, że wraz z rozwojem gospodarki rynkowej nabierzemy więcej nawyków typowych dla społeczeństw o dłuższych niż nasza tradycjach kupieckich. Pesymistyczny jest taki, że jest to proces przebiegający powoli — Południe potrzebowało kilku pokoleń, aby pogodzić się z klęską, zapomnieć o ciągłotach secesyjnych, zasypać przedziały rasowe i zacząć brać udział w życiu politycznym całego kraju (choć nadal jest tu wiele do zrobienia).

Oczywiście podstawową sprawą jest edukacja społeczeństwa. W Stanach Zjednoczonych nad wyraz istotną rolę odgrywają uniwersytety. Jest ich ogromna liczba, wiele z nich należy do światowej czołówki i trudno jest przecenić ich znaczenie dla rozwoju i umacniania praworządności i demokracji. Większość najlepszych to instytucje „prywatne” (są to instytucje o statusie organizacji dobra publicznego, ale dla odróżnienia od uczelni stanowych zwane są prywatnymi), stąd opinie stamtąd pochodzące uważa się za zbliżone do obiektywnych. Polska ma tu ogromne zaległości i nic nie wskazuje na to, byśmy mieli szybko odrobić dzielący nas dystans.

Warto też podkreślić rolę innych elementów sektora pozarządowego, wielką liczbę instytucji dobra publicznego (trusty mózgow, instytuty naukowe itp.), które przyczyniają się do upowszechniania i umacniania wiedzy na tematy polityczne. Należy więc wyrazić uznanie dla Fundacji im. Zygmunta Starego i jej aktywności, i jednocześnie można wyrazić żal, że w Polsce nie ma większej liczby tego typu inicjatyw. Ogromną przeszkodę stanowi tu rodzimy system podatkowy, który w nikłym stopniu promuje rozwój instytucji dobra publicznego. Na przykład w Stanach Zjednoczonych każdy obywatel w danym roku może przekazać połowę swojego dochodu na cele dobroczynne i takie darowizny są w pełni odpisywane od dochodu podlegającego opodatkowaniu.

Społeczeństwo obywatelskie jest dużo lepiej rozwinięte w Stanach Zjednoczonych niż w Polsce. Świadczą o tym wydarzenia z pierwszych dwóch dekad XXI wieku. Po krachu w 2008 roku miliony Amerykanów uznało, że polityczne

elity nie reprezentują ich interesów, ale są w kieszeni wielkiego biznesu. Jest to szczególnie widoczne na prawicy, gdzie zrodził się wielki ruch zwany „Tea Party”. W wyniku tej ogromnej oddolnej inicjatywy ze stołkami pożegnało się wielu polityków republikańskich, a w prezydenckich prawyborach w 2016 roku wygrał Donald Trump, który został później prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Ogólnie rzecz biorąc, amerykańskie tradycje i mentalność tego społeczeństwa, w połączeniu z istniejącymi mechanizmami pozwalającymi na jego szeroko rozwiniętą samoorganizację, tworzą naturalną barierę dla rodzenia się ostrych sporów politycznych. Jeśli w Stanach Zjednoczonych zdarzają się poważne spory, to mają one bardziej cechy paraliżu (nie podejmuje się żadnych decyzji, mimo że konieczność reformy, na przykład systemu podatkowego, jest powszechnie dostrzegana) niż jawnej morderczej walki. Mamy tu zatem do czynienia z samoistnym mechanizmem prewencyjnym, prewencja zaś to najmniej kosztowny sposób rozwiązywania sporów.

Można zaryzykować stwierdzenie, że w Polsce miernikiem patriotyzmu rządzących winien być ich stosunek do sektora pozarządowego (oraz rodzimego biznesu). Jak do tej pory wśród kolejnych ekip rządowych trudno jest dopatrzeć się jakiegś troski o ułatwienie powstania mechanizmów wzmagających samoorganizację społeczeństwa. Tylko społeczeństwo zdolne do podejmowania oddolnych inicjatyw jest władne wywierać nacisk na partie polityczne, aby szybko i sprawnie kończyły spory przynoszące szkodę całemu krajowi.

Lata 1980–1981 wykazały, że polskie społeczeństwo jest zdolne do podjęcia największych wyzwań. Sęk w tym, że w warunkach niepodległego, demokratycznego państwa konieczne jest uruchomienie mechanizmów, które pozwoliłyby na samoorganizację i ponowne wyzwolenie się energii drzemiącej w Polakach, a ta wobec niesprzyjających okoliczności w kraju znajduje swoje ujście w emigracji.

Marta Dziedzicka- -Wasylewska

biochemik

Zdecydowanie uważam, że poziom nienawiści i pogardy wykreowany jest przez media. Sama nie oglądam już telewizji, a gdy zdarza mi się okazjonalnie zobaczyć to i owo, przekonuję się, że „przemysł pogardy” funkcjonuje w całej pełni, chociaż zaczęło się to dawno — konkretnie w 2005 roku, kiedy Lech Kaczyński został prezydentem, a PiS wygrało wybory parlamentarne. Jest to fakt, który można udowodnić, bez względu na opcję polityczną, jakiej się kibicuje.

Agresja, jaka od tej pory nastąpiła w mediach, była bezprecedensowa. Nigdy wcześniej — mimo wielu przecież fundamentalnych różnic światopoglądowych choćby między środowiskiem SLD i szeroko pojętymi środowiskami posolidarnościowymi — nie posuwano się do takich inwektyw, agresji, mieszania z błotem wszystkich, którzy ośmielali się mieć inne zdanie niż czołowe w kraju media.

Właścicielom tych mediów, a także naszym sąsiadom (co jest często tożsame) jest na rękę, abyśmy „skakali sobie do oczu”, dlatego jest to silnie kreowane i ciągle bardzo profesjonalnie wzmacniane, a my się temu poddajemy, osłabiając nasz kraj (kraj przecież wspaniały, a przede wszystkim własny — nie mamy niczego innego...). W zasadzie nie jest to nic nowego — od zaborów dzieje się podobnie...

Pisał już Słowacki:

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą;
A teraz jesteś służebnicą cudzą*.

Sukcesywnie umniejszając znaczenie polskości, patriotyzmu, poczucia dumy narodowej — odbiera się nam tożsamość i łatwiej wtedy manipulować społeczeństwem. Udało się nawet „zakopać pod ziemię” wielkość Jana Pawła II i wszystkie jego nauki, kierowane przecież nie tylko do osób głęboko wierzących, bo wartościowe dla każdego człowieka, który poważnie traktuje swoje życie.

To jest moja diagnoza. Dlatego uważam, że należy promować zawsze i wszędzie: krytyczną analizę rzeczywistości, sprawdzanie faktów i źródeł informacji, niepoddawanie się manipulacji, myślenie samodzielne, spokojną merytoryczną dyskusję, a zwłaszcza życzliwość dla drugiego człowieka.

Możemy to robić w naszych małych środowiskach, nie uginając się pod presją ogólnie obowiązujących trendów i wątpliwych autorytetów. Z własnego doświadczenia wiem, że to działa. Krótko mówiąc: nie bądźmy „pawiem narodów i papugą”...

* *Grób Agamemnona.*

Wiesław Hołdys

reżyser teatralny

Pomyśleć nad językiem, którego używamy. Dramat języka, jakim się na co dzień posługujemy, jest dramatem człowieka i społeczności. Coraz bardziej język traci swoją podstawową funkcję komunikacyjną, zmieniając się w zbiór wyzwick, zaklęć bądź przekopiowywanych z komputera, telewizora albo smartfona marnych i nic nieznaczących formuł.

Oto kilka propozycji:

1. Precz z przymiotnikami, niech żyją rzeczowniki i czasowniki, czyli — należy zrezygnować z wartościowania na rzecz opisywania. W kółko czytam, że coś jest „wyjątkowe” (jeśli wszystko jest „wyjątkowe”, to co jest „zwyczajne?”), „magiczne” (na przykład zupa), „cudowne” (na przykład bramka strzelona przez piłkarza). Kiedy słyszę, że ktoś jest „oburzony” albo „wkurwiony”, to mało mnie obchodzi stan emocjonalny tej osoby, a chciałbym wiedzieć — dlaczego jest „oburzony” albo „wkurwiony”.

2. Kiedy słyszę, że ktoś w dyskusji kogoś „zaorał”, „zmiążdżył”, a piłkarze „rozstrzelali” podczas meczu przeciwnika, to widzę w tych sformułowaniach agresję i pogardę dla partnera. Najobrzydliwszym zaś neologizmem jest słowo „wkurw”.

3. Wyeliminować zbędne anglicyzmy. Język polski jest bardzo bogaty, można za jego pomocą wyrazić i opisać wszystko, niepotrzebne są potworki w rodzaju „Stand-upowy Dzień Kobiet” (widziałem na własne oczy).

4. Rozpoczynanie zdania od „powiem tak...” pasuje do proroka lub przynajmniej prezydenta, a dodawanie co chwilę „tak naprawdę” powoduje, że nasza wypowiedź sprawia wrażenie czegoś fałszywego lub pozbawionego sensu, skoro co moment musimy podkreślać to, co jest w niej prawdziwe.

5. Nieużywanie słów „wszyscy” bądź „każdy” przy byle okazji w celu wzmocnienia ekspresji językowej. W niewielu wypadkach użycie tych słów może być bowiem uprawnione.

A tak w ogóle to postuluję ograniczenie kontaktowania się w Internecie do wymiany niezbędnych informacji, żeby zamiast tego spotkać się, wyłączyć smartfona, laptopa bądź telefon i nacieszyć się rozmową. Zwykłą ludzką rozmową.

Krzysztof Janicki

humorysta

Obserwując postawy różnych środowisk w teraźniejszości oraz wyciągając określone wnioski z naszej historii, to w tym względzie pewną szansę upatruję w sprowokowaniu jakiegoś obcego państwa do napaści na nasz kraj.

Dla zwiększenia prawdopodobieństwa pojednania dobrym posunięciem byłoby wypisanie się z Paktu Północnoatlantyckiego, abyśmy pozostali osamotnieni w walce z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, choć jest wysoce prawdopodobne, że ten sam skutek uzyskamy bez rezygnowania z udziału w NATO.

Oczywiście całkowitej pewności pojednania nie ma, niechybnie bowiem pozostanie spora liczba Polaków, którzy w swoim zacierzwewieniu gotowi są zjednoczyć się z wrogiem, byleby tylko postawić na swoim.

o. Wojciech Jędrzejewski

dominikanin

1. Zrób listę rzeczy, które cenisz i podobają ci się w obozie przeciwników.
2. Zrób drugą listę postaw, pomysłów, mentalności, z którą absolutnie się nie zgadzasz w obozie przeciwników. Spróbuj określić możliwie najbardziej życzyliwie intencje, jakimi się oni kierują w tych rzeczach. Nie musisz w te intencje wierzyć, ale nazwij je.
3. Stwórz trzecią listę — swoich krytycznych uwag pod adresem własnego obozu.

Używaj tych list w rozmowach z ludźmi z obozu przeciwnego:

1. Zaczynaj od pochwał dla obozu przeciwnego.
2. Powiedz o dobrych intencjach, które hipotetycznie jesteś w stanie wymyślić, choć nie wierzysz w ich realność.
3. Mów, nad jakimi postawami i pomysłami ubolewasz — patrząc na ludzi z własnego obozu.

Tadeusz Kensy

prawnik, działacz SKS i „Solidarności”

Niby wszystko, czego byśmy chcieli. Tylko my możemy to zrobić.

Czy jednak chcemy? Pogrążeni w postmodernistycznej dekonstrukcji i w behawioralnych manierach, wręcz szukamy szans na konflikty — tylko je potrafimy spostrzegać, rozumieć, w nich uczestniczyć, o nich opowiadać, nimi żyć. To jest silniejsze od nas!

Tak łatwo żyć z tym i w tym...

Inaczej nie potrafimy, przynajmniej w świecie realnym. Przez te dekady po 1989 roku nikt nas tego „inaczej” nie uczył. Czasem próbował papież, ale gdy wbrew jego słowom poszliśmy mimo wszystko na wojnę, umiał tylko bezradnie płakać.

Teraz już nawet nie wiadomo, czy uczyć się byśmy chcieli...

Gdyby jednak tak, to musielibyśmy wszystko robić jawnie, przejrzystie, normalnie, w sposób zrozumiały dla wielu. Tak jak w karnawale pierwszej „Solidarności”. Musielibyśmy też przyjąć, że nie jesteśmy zdrowi, prężni i gotowi, lecz odwrotnie, że zaniemogliśmy. Bo jeśli jest dobrze jak nigdy, to po co cokolwiek zmieniać?

Żeby było normalnie — trzeba byłoby się najpierw zbadać, poddać diagnozie i zaufać zalecanej terapii, a potem jeszcze konsekwentnej rehabilitacji. Nie międlić w kółko bardzo pięknych lub całkiem niepięknych słów, nie robić „przy okazji”

doktoratów z socjologii, psychologii, politologii, geografii politycznej ani nawet z aksjologii. I — koniecznie! — zaprzestać nieustannego przeprowadzania testów na „patriotyczny patriotyzm”! Więcej wiary niż ofiary...

Nasza szansa w tym, że społeczne podziały, choć głębokie, są jeszcze świeże i często zwyczajnie głupie. Niestety lub stety, nie wszystkie.

BADANIE

Zacznijmy od zmierzenia społecznej temperatury i jej tętna. Nikt nie zrobiłby teraz tego lepiej niż profesor Barbara Kromolicka ze Szczecina. Wynik badania: wskaźnik zaufania społecznego wynosi obecnie około 5 procent. I wciąż spada.

Niemożliwe! Alarm! Zanikają symptomy życia społecznego? Przecież każdy widzi, że nie jesteśmy w ruinie?

Zróbmy pośpieszne konsylium, powtórzmy badanie, dodajmy nowe. Propozowany skład: Jan Woleński, Jerzy Wilkin, Michał Heller, Piotr Nowak, Ryszard Legutko, Jan Tokarski, Andrzej Przyłębski, Zbigniew Pełczyński, Paweł Stefan Załęski, Mateusz Matyszkowicz. Ktoś jeszcze? Może Jacek Bocheński?

Wynik narady jeszcze bardziej niepokojący. To już prawdziwa społeczna zapasć! Wprawdzie niedawna operacja się niby udała, ale pacjent umiera. Trzeba działać natychmiast i po kolei.

DIAGNOZA

Niech jej treść sformułuje Załęski:

Koncepcja społeczeństwa obywatelskiego wydaje się nie tylko pozbawiona precyzji i zdolności do metodologicznego zoperacjonalizowania, ale również silnie wyidealizowana i pozbawiona obiektywizmu. Można wręcz stwierdzić, że nie istnieje teoria społeczeństwa obywatelskiego, tylko sfera domniemań, zdroworoządkowych założeń oraz przede wszystkim odległych od rzeczywistości ideowych idealizacji. [...] Koncepcja społeczeństwa obywatelskiego została rozpropagowana, by obsesyjnie tłumić świadomość społeczeństwa politycznego. Ponowoczesny dyskurs o społeczeństwie obywatelskim stanowi „fałszywa świadomość”, informacyjny szum uniemożliwiający zrozumienie istoty polityczności. Dziś możemy być coraz bardziej świadomi, że koncepcja społeczeństwa obywatelskiego wraz ze wszystkimi jej wzruszająco niewinnymi i szczerymi idealizacjami, jakie wypowiadali zarówno teoretycy, jak i praktycy trzeciego sektora, zaczęła stanowić narzędzie ukrywające przed opinią publiczną właściwy charakter neoliberalnej polityki przekształcenia rzeczywistości społecznej [...], depolityzacji życia społecznego. To właśnie tę depolityzację należy łączyć z kryzysem demokracji, na który za lekarstwo paradoksalnie uważa się w oficjalnym dyskursie społeczeństwo obywatelskie.

W tym sensie możemy się uważać za ofiary neoliberalnego dyskursu o społeczeństwie obywatelskim*.

Mówiąc prościej: cierpimy na dziedziczną (po komunizmie) wewnętrzną niesuwerenność niepolitycznego społeczeństwa wobec (jak za PRL-u) wszechwładzy klasy politycznej. Nasze państwo „musi” składać się aż z trzech sektorów: pierwszy, publiczny, realnie rządzi i dzieli, ale za nic nie odpowiada (tyle tylko, że rządząca partia może przegrać wybory). Zadania społeczne ma wykonywać sektor trzeci, tzw. pozarządowy, czyli wszyscy, którzy uwierzą w to, że jako trzon „społeczeństwa obywatelskiego” są prawdziwą przyszłością. Te obydwa ma utrzymać sektor drugi — prywatny. Jest jeszcze jakby sektor, a raczej filar czwarty, zupełnie odrębny (tyle że nieformalny) — Kościół katolicki. Reszta społeczeństwa jest niezależna, więc nikomu na niej szczególnie nie zależy. Bo to przecież ze swojej winy. Żeby tylko na wybory chodzić chcieli...

LECZENIE

- pamiętać (za Józefem Szujskim), że fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki i (za Henrykiem Elzenbergiem) że piękność świata nie jest oparciem,
- przyjąć ze spokojem, że niepolityczne społeczeństwo obywatelskie samo nie może się zmienić w polityczne społeczeństwo cywilne, lecz może je okrojować jakoś—oświecona klasa polityczna, przez demokratyczną zmianę systemu politycznego, zmianę ustroju, mówiąc w dużym uproszczeniu — przez zmianę konstytucji. Na każdym więc kroku żądać takiej zmiany,
- unieść ciężar jedynej tradycji zdolnej dziś do pogodzenia Jurka Stępnia z Janem Sową, Janusza Śniadka z Jerzym Buzkiem, a Andrzeja Friszke z Justyną Błażejowską — rzeczywistego dorobku pierwszej „Solidarności”,
- czytać bez uprzedzeń oraz ze zrozumieniem pisma Carla Schmitta, by wiedzieć, że suweren wcale nie przemawia głosem przedstawicieli wyłonionych na podstawie demokratycznych, powszechnych lub lokalnych wyborów, choć jest w stanie odpowiadać na pytania zadawane w formach plebiscytowych,
- rozumieć treść swoich żądań: tak samo szanowania zasady trójpodziału władz, jak i likwidacji wciąż niereprezentatywnej dla całego społeczeństwa Rady Dialogu Społecznego oraz próżniaczego senatu, a powołania w ich miejsce Narodowej Izby Gospodarczej i Społecznej — organu, do którego swoich przedstawicieli delegowałyby: organizacje przedsiębiorców, związki zawodowe i im podobne, a nawet pracownicy niezrzeszeni, organizacje pozarządowe, organizacje świata nauki, stowarzyszenia samorządowe oraz Kościoły,
- wybić się na wybór prezydenta dla narodu, a nie dla jakiegokolwiek partii.

* P.S. Załęski, *Neoliberalizm i społeczeństwo obywatelskie*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Toruń 2012, s. 225–226.

Przy pilnym i skrupulatnym przestrzeganiu zaleceń poprawa powinna pojawić się po pewnym czasie.

REHABILITACJA

Tu dopiero, i jedyny raz, moglibyśmy zwrócić się po radę do zagranicznego specjalisty:

Historia filozofii, a szczególnie etyki, filozofii społecznej czy polityki ma chronić nas przed tym, byśmy nie dali się zbyt łatwo oczarować. Historycy idei mogą pomóc nam ocenić, jak dalece wartości urzeczywistniane w naszym obecnym życiu i aktualna refleksja nad tymi wartościami, odzwierciedlają serię wyborów dokonanych w różnych czasach między różnymi możliwymi światami. Ta świadomość może nam pomóc wyzwolić się z uścisku jakiegokolwiek hegemonicznego stanowiska wobec nich i możliwych sposobów ich interpretacji i rozumienia. Wyposażeni w takie narzędzia, możemy zrobić krok wstecz od odziedziczonych tradycji intelektualnych i zapytać w zupełnie nowym duchu, co właściwie powinniśmy o nich myśleć.

Nie chodzi o to, by wykorzystać przeszłość jako zbiór obcych wartości, które powinny zostać podsunięte niczego nieświadomej rzeczywistości. Jeśli studia nad historią idei mają być użyteczne w sposób, w jaki chcielibyśmy, by były użyteczne, musi istnieć głębszy poziom, na którym nasze obecne wartości i pozornie obce założenia naszych przodków do jakiegoś stopnia są podobne. Nie sugerujemy jednak, że historycy idei powinni zamienić się w moralistów. Nasz podziw zarezerwowany jest dla tych historyków, którzy świadomie trzymali się z dala zarówno od entuzjazmu, jak i od oburzenia, także wtedy, gdy zajmowali się zbrodniami, głupstwami, i niepowodzeniami ludzkości. Sugerujemy raczej, że powinni dostarczyć swoim czytelnikom informacji istotnych dla zrozumienia sądów o aktualnych wartościach i wierzeniach, potem zaś pozostawić ich, by to przeżuli. [...]

Sądzymy, że historycy idei mogą stworzyć coś, co zainteresuje nie tylko antykwariuszy. Wystarczy, że odkryją zaniedbane zazwyczaj bogactwo naszego dziedzictwa intelektualnego i wystawią je raz jeszcze na pokaz. [...] Obydwie strony zgodziły się, że jednym z podstawowych zadań państwa powinno być zabezpieczenie i respektowanie wolności jego obywateli. Jedna ze stron twierdzi, że wywiązuje się ono z tego zadania, jeśli zagwarantuje, że obywatele nie będą doświadczać niesprawiedliwych czy niepotrzebnych przeszkód w realizacji wybranych przez siebie celów. Druga strona zaś utrzymuje, że to nigdy nie wystarczy, bo państwo zawsze musi upewniać się, że obywatele nie popadają w stan możliwej do uniknięcia zależności od dobrej woli innych. Państwo ma obowiązek nie tylko wyzwolić obywateli od osobistego wyzysku i zależności, ale też zapobiegać arbitralnym zapędom swoich przedstawicieli,

przyobleczonych w ulotną władzę, w procesie nakładania norm, które rządzą naszym wspólnym życiem.

Jak pokazaliśmy, my, ludzie współczesnego Zachodu wybraliśmy pierwszy punkt widzenia, zupełnie zapoznając drugi, ku czemu były zresztą sprzyjające warunki. Jednak staraliśmy się pokazać, że można ciągle widzieć tę perspektywę jako efekt podjętego wyboru. Czy więc wybraliśmy słusznie? To już zostawiamy czytelnikom do przeżucia*.

* Q. Skinner, *Wolność przed liberalizmem*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Toruń 2013, s. 100–101.

Roman Kochnowski

politolog

Zimna wojna domowa — polska specjalność.

Nasilająca się po wyborach polemika między zwaśnionymi obozami politycznymi w Polsce skłoniła wielu obserwatorów sceny politycznej do sztamowego werdyktu — ot, kolejna odsłona „polskiego piekła”.

Sprawa się jednak komplikuje, gdy spojrzymy na bliższych i dalszych sąsiadów w Europie. Nadające ton życiu politycznemu świata zachodniego ugrupowania centrolewicowe (z naciskiem na drugi człon tego określenia) narzuciły pod hasłem „końca historii” własną wizję rzeczywistości zastanej i spodziewanej, dającej się sprowadzić do ballady Johna Lennona *Imagine*.

Tej sielankowej wizji nie zaburzały ani kolejne zamachy w Europie, ani utopijna idea wspólnej europejskiej waluty, która zdążyła gospodarczo zdemolować Grecję.

Reakcją na narastającą krytykę tej postawy były pogarda i mniej lub bardziej bezczelne wypowiedzi członków brukselskich elit. To właśnie skłoniło społeczeństwo brytyjskie do takiej a nie innej postawy w pamiętnym referendum.

Kolejne fale „uchodźców” oraz zamachy wraz z różnymi próbami zaklinalnia rzeczywistości tylko dolały oliwy do ognia.

Do tego należy dodać jeszcze jedno — neoliberalny model gospodarki nie tylko pogłębia podziały społeczne, ale premiuje on też — upraszczając sprawę — cwaniactwo czy nawet ordynarne oszustwo (*vide* niektóre „produkty” bankowe),

a ciężką, uczciwą pracę traktuje jako naiwność, okazując pogardę tym wszystkim, którzy nie zdołali się wybić na finansową niezależność.

Przyczyny zatem zaciętrzewienia i — nie ukrywajmy — chęci rewanżu nie są zjawiskiem wyłącznie polskim. Mają one wymiar globalny i wątpię, by bez ustania ich przyczyn sytuacja mogła ulec zmianie. Także w Polsce.

Hanna Kowalska-Stus

kulturoznawca

Uważam, że nasze społeczeństwo nie jest skonfliktowane. Problem konfliktu jest sztuczny, wywołany przez system partokratyczny, który się nim żywi. Te rzekome konflikty stanowią też pożywkę dla mediów.

Wystarczy przeczytać komentarze zamieszczone pod tekstami na portalach internetowych. Polacy racjonalnie potrafią ocenić polską politykę wewnętrzną i zagraniczną, dużo wiedzą o polityce międzynarodowej, powołują się na zagraniczne źródła. Potrafią też rozpoznać fasadowe oblicze tak zwanej demokracji, Unii Europejskiej, Rady Bezpieczeństwa ONZ i NATO. Reprezentują oparty na wiedzy stosunek do Stanów Zjednoczonych, Rosji i Ukrainy. Zdają sobie doskonale sprawę z nowego politycznego uwikłania Polski po 1990 roku, a niska frekwencja wyborcza świadczy o tym, że nie widzą możliwości wpłynięcia na kierunek polityki. Około 20 procent wierzy w zmiany i ci głosują na nowe ugrupowania.

Podsumowując, wypada dodać, że zasadność niepokoju o skonfliktowanie społeczeństwa polskiego jest równie uprawniona w odniesieniu do społeczeństwa francuskiego, angielskiego, niemieckiego, amerykańskiego itd. Kryzys przeżywają obecny system zwany niesłusznie demokracją, globalizacja i geopolityczna jednobiegunowość. Polskie społeczeństwo, niestety, nie ma tu żadnych prerogatyw, a władza polityczna w większości świata (poza nielicznymi wyjątkami) jest marionetkowa.

Marcin Masny

publicysta

Pojednanie narodowe zdarza się, lecz tylko z rzadka, w sytuacjach wspólnego zagrożenia, chociaż sytuacje takie znacznie skuteczniej wywołują wojnę wszystkich ze wszystkimi, jak w latach 1939–1945. Wspólnota narodu opiera się na nieuświadomionych podobieństwach, zwłaszcza w wychowaniu, oraz na sztucznych mitach — z natury fałszywych — które władza polityczna stosuje jako spoiwo. Mity te ponadto podlegają w Polsce groteskowej zmienności. Mam swoje lata i indoktrynowano mnie już generałem Walterem, „Solidarnością”, desperatami wyklętymi, całym złem świata wcielonym przez Wielkiego Szejtana w Waszyngtonie, a potem w Moskwie. Hejt na szczęście powszechniejszy jest w przestrzeni medialnej, zwłaszcza w Internecie, niż w powszednim życiu większości Polaków. Większym kłopotem jest indywidualistyczne wychowanie, niedostatek wysiłków socjalizujących, sprzyjających współpracy. Brak choćby staroświeckiej próby sprawnej ewakuacji szkoły. Polak rozpycha się samodzielnie wśród innych Polaków i nie liczy na wartość dodaną współpracy, bo tej współpracy od bliźnich się nie spodziewa. Narody można uszeregować wedle tej zdolności do współdziałania i nasz naród bliższy jest na pewno Boliwijczykom niż Niemcom czy nawet Amerykanom. Sprzyja temu jedynactwo, singielstwo, mizantropia jednostek. Jedyne, co świadomi tego niedołęstwa mogą uczynić, to z miłością do własnej ojczyzny nie obrażać się, tylko udowadniać przykładem, że można żyć inaczej i wcale nie musi to się kończyć klęską. Przy odrobinie sprytu i fartu.

Krzysztof Mazur

politolog, filozof

W kwestii wojny polsko-polskiej powiedziano już bardzo dużo. Słusznie zwracano uwagę na aspekty godnościowe, gdyż jest to bez wątpienia spór o uznanie, na aspekty historyczne, gdyż jest on pochodną sporu o przebieg i skutki transformacji, wreszcie na wymiar medialny, gdyż spór ten napędza odejście od mediów informacyjnych na rzecz mediów tożsamościowych. W tym krótkim szkicu chciałbym jednak zająć się zupełnie innym wątkiem, rzadko w tym kontekście przywoływanym, a którego znaczenie dla temperatury sporu politycznego w Polsce jest ogromne. Chodzi o rozwój nowych technologii.

Po pierwsze, rozwój nowych technologii oznacza zwiększenie atomizacji społecznej. Coraz więcej badań socjologicznych dowodzi, że media społecznościowe są społecznościowymi tylko z nazwy. Relacje międzyludzkie zapośredniczone przez technologię wyraźnie je bowiem zubażają, prowadzą do erozji zaufania, promują raczej kulturę narcystyczną niż kulturę solidarności. Zmienia się również charakter samej komunikacji. Słowo pisane, oderwane od kontekstu gestu, wyrazu twarzy czy tembru głosu, utrudnia zrozumienie autentycznych intencji nadawcy. W takich warunkach dużo łatwiej dochodzi do dehumanizacji rozmówcy, czego przejawem są fale hejtu dominujące w rozmowach internautów. Zatomizowana i zdehumanizowana przestrzeń dialogu napędza tym samym emocje polityczne.

Po drugie, rozwój nowych technologii, zamiast otwierać na opinię innych, tak naprawdę zamyka nas w świecie naszych przekonań. Teoretycy plastycznie nazwali to mechanizmem bańki filtrującej, czyli takim działaniem algorytmów internetowych, by dopuszczać do nas wyłącznie informacje zbieżne z naszymi preferencjami. W efekcie jesteśmy zamknięci w bańce własnych opinii, a wszelkie odmienne punkty widzenia zostają od nas odcięte. Człowiek żyjący w tak homogenicznym świecie, gdy przyjdzie mu się skonfrontować z radykalnie odmienną opinią, nie ma naturalnie wyuczonych narzędzi prowadzenia szczerego dialogu i rzetelnej analizy faktów. Oddaje się wówczas dyktatowi emocji, zamykając się w plemienu myślących podobnie do siebie.

Po trzecie, rozwój nowych technologii prowadzi do przebudźcowania naszego mózgu, który codziennie atakowany jest tysiącami informacji. Równoległe grając w grę komputerową, słuchając muzyki, śledząc strumień informacji na naszym wallu oraz prowadząc kilkanaście rozmów ze znajomymi, tworzymy sobie świat wiecznego szumu informacyjnego. Nasz umysł ma jednak ograniczone zdolności absorpcji danych, przez co coraz trudniej przychodzi mu ogarnąć całą złożoność otaczającego nas świata. Stąd też zawrotna popularność w ostatnim czasie terminu „postprawda”. W świecie szumu informacyjnego obiektywne fakty odgrywają coraz mniejszą rolę, a opinię publiczną kształtuje się za pomocą emocji. W takich warunkach stajemy się łatwym celem działań wszelkich spin doktorów nakręcających nasze emocje polityczne.

Co więc jako obywatele możemy zrobić dla pojednania narodowego? W świetle powyższych uwag jednym z naszych celów powinno być znalezienie odtrutki na negatywne aspekty działania nowych technologii. Powinniśmy budować przestrzeń realnego dialogu społecznego, gdzie przy jednym stole spotkają się ludzie o różnych poglądach i interesach, by szukać tego, co ich łączy. Tylko patrząc sobie w twarz, możemy przekroczyć dzielące nas poglądy.

Edward E. Nowak

menedżer, inżynier, działacz społeczny

W Polsce nie mamy tradycji budowania swojego bytu społecznego opartego na zgodzie społeczeństwa, na porozumieniu, konsensusie, pojednaniu, umowie i tym podobnych formułach. Owszem, były zawierane federacje i konfederacje, porozumienia, ba! — nawet unie. Najczęściej miały jednak charakter stosunkowo wąski, zwykle polityczny. Nie stały się częścią naszej tradycji narodowej, polskiej tożsamości.

Jest taka anegdota, która mówi, że gdy spotykają się Polacy, aby coś ustalić, to wchodzi entuzjastycznie ze wspólnym zdaniem, schlebiając sobie nawzajem, a wychodzą pokłóceni, każdy ze zdaniem odrębnym. Amerykanie spotykają się każdy ze swoim punktem widzenia, aby po pewnym czasie wyjść ze spotkania z uzgodnionym kompromisowym stanowiskiem.

Coś jest w tej anegdocie.

Mam wrażenie, że w czasach nam współczesnych zaczęło się coś zmieniać. Wielką w tym zasługą ruchu „Solidarność”. Wyzwolił on w naszym społeczeństwie nie tylko chęć walki o poprawę bytu materialnego, walki o pełną niepodległość, ale także potrzebę podmiotowości.

Tak bardzo chcieliśmy poczuć się obywatelami.

Solidarność została oparta na dwóch wielkich porozumieniach: sierpniowych oraz okrągłego stołu. Jakkolwiek krytycznie by ich nie oceniać, cokolwiek nie leżało gdzieś w intencjach, te dwa porozumienia były wynikiem świadomego

procesu, zrozumienia konieczności ich zawarcia do uchronienia substancji społecznej, narodowej. Chyba zdaliśmy sobie sprawę, że bez ich zawarcia możemy zginąć jako naród, jako ludzie. Nie było to łatwe.

Trzeba było usiąść do stołu, do rozmów, negocjacji, słuchać i być słuchanym przez stronę, od której dzieliło nas właściwie wszystko, głównie zaś wartości i cele! Zapewne ogląd drugiej strony był podobny. Jak to było trudne, wkrótce pokazał grudzień 1981 roku i wprowadzenie przez władzę stanu wojennego. Represje, więzienia, a nawet śmierć, drastycznie pogłębiły podziały społeczne — wydawało się, że nieodwracalnie. Perspektywa była praktycznie jedna: jednoznacznie pokonać przeciwnika. A mimo to doszło do ugody wokół okrągłego stołu, która była znacznie trudniejsza niż porozumienie z sierpnia 1980 roku. Teraz do rozmów nie przystępowali jacyś anonimowi w gruncie rzeczy przedstawiciele władzy i robotników — ale bardzo konkretni prześladowcy i ich ofiary. Mimo to udało się. Czwartego czerwca 1989 roku rozpoczęło się w Polsce budowanie kraju wolności, demokracji, niepodległości. Jak tę wolność zagospodarowaliśmy, niech każdy oceni według własnych kryteriów.

Sam uważam, że Polska i my, Polacy, dobrze spożytkowaliśmy miniony czas. Polska stała się państwem bezpiecznym, wyszły od nas wojska Związku Radzieckiego, wstąpiliśmy do NATO. Nasz kraj zmienił się gruntownie w sensie gospodarczym. Dzisiaj poziom przeciętny naszego życia to dwie trzecie średniego poziomu w Unii Europejskiej, do której wstąpiliśmy w 2004 roku. Wzrost dobrobytu Polaków jest widoczny wszędzie, chociaż nie każdy ocenia ten miniony czas jednakowo, niektórzy oceniają go krytycznie. Rozwój Polski był możliwy dzięki gotowości polskiego społeczeństwa, różnych osób, w różny sposób, ale jednak — na głębokie zmiany i dzięki akceptacji tych zmian. Z czasem narastała wszakże aktywność polityczna osób budujących swój projekt polityczny oparty na negacji dotychczasowych porozumień. Tak się stało, że te ugrupowania zyskały wystarczające poparcie, które umożliwiło im zdobycie przewagi we władzy ustawodawczej i wykonawczej.

Doszło do ostrej atomizacji społeczeństwa. Podziały przebiegają nawet przez rodziny. Obserwujemy brutalizację życia społecznego, mnożą się coraz groźniejsze akty wzajemnej nienawiści, a nawet fizycznej przemocy.

W tej sytuacji wyzwaniem chwili staje się podjęcie działań powstrzymujących narastanie wzajemnej nienawiści i podziałów, tam gdzie możemy mieć na to wpływ, w naszym kraju.

Uważam, że wciąż jest dostatecznie dużo ludzi, a nawet organizacji, zdających sobie sprawę z sytuacji oraz jej następstw. Jest prawdopodobnie wciąż niemało współobywateli gotowych uznać za nadrzędne podjęcie starań o zgodę społeczną i przedkładających ją ponad swoje racje.

Takich sił musimy upatrywać w samych sobie, we wspólnocie, w społeczeństwie ludzi, którzy rozumieją dobro nadrzędne społeczeństwa jako całości,

narodu. Istotnym warunkiem jest, aby nie miało to charakteru religijnego, ideologicznego lub politycznego.

Ktoś jednak konkretny musi zapoczątkować działania w kierunku poszukiwania zgody społecznej. W Polsce są organizacje, które zapewne są przekonane o takiej potrzebie, nie są jednak dostatecznie znane, uznane, nie zrzeszają dostatecznie dużej liczby ludzi, aby ich inicjatywa mogła spotkać się z szerszym oddźwiękiem.

Powstanie takiego forum dialogu, bo o to w tej chwili nade wszystko chodzi, byłoby według mnie możliwe, ale tylko wówczas, gdyby zostało autentycznie wsparte przez ważnych uczestników życia społecznego z kraju i z zagranicy. W pierwszym rządzie mam na myśli Kościół — zarówno hierarchiczny, jak i powszechny. To nie musi być poparcie jednoznaczne i bezwarunkowe, ale powinno być jasną deklaracją potrzeby poszukiwania zgody społecznej. W niedawnej historii Kościół wsparł porozumienia społeczne, a szczególnie rozmowy okrągłego stołu, dzięki czemu doszło do zmian ustrojowych w Polsce. Dłaczegoż nie stać by było Kościoła znowu na podobną rolę wspierającą? Jan Paweł II wspierał „Solidarność” i porozumienie narodowe, nowy papież zapewne także pobłogosławiłby takiej myśli. Drugim filarem, na którym można by oprzeć powstawanie takiego forum zgody społecznej, są polskie elity intelektualne. Mam tutaj na myśli głównie przedstawicieli nauki polskiej, Polską Akademię Nauk i Polską Akademię Umiejętności, jak również organizacje krajowe związków twórczych, które mogłyby zgłosić swój akces do takiego forum. Trzecim filarem powinny stać się samorządy terytorialne czy też ich reprezentacje.

Jako czwarty filar wsparcia widziałbym organizacje międzynarodowe o popolitycznym charakterze, takie jak na przykład Rada Europy, do której obywateli należy ochrona praw człowieka i przestrzeganie zasad demokracji (nie mylić z Radą Europejską). Do takiego forum mogliby zgłaszać akces także poszczególni obywatele (wolontariusze) oraz organizacje uznające za cel nadrzędny zgodę społeczną w Polsce.

Wsparcie partii, w tym rządzącej, instytucji państwa byłoby okolicznością nader pożądaną dla powodzenia przedstawionej tutaj misji: działania na rzecz zgody społecznej. To wsparcie mogłoby się wyrażać nie tylko werbalnie, ale i przez udostępnienie środków finansowych, materialnych dla tego przedsięwzięcia.

Zdaję sobie sprawę z tego, że przedstawiona tutaj koncepcja jest idealistyczna i zakłada dobrą wolę wielu stron, ludzi, a nawet wykorzystanie znacznych środków materialnych. Być może nie uda się pozyskać do jej realizacji tych struktur, jakie tutaj proponuję, lecz można — na początek — rozpocząć od budowania takiej ZGODY SPOŁECZNEJ pośród tych organizacji i ludzi, którzy uznają, że warto podjąć ten trud. Zamiast spierać się, czy to jest możliwe, jak to robić, kto powinien to realizować, jak zacząć, czy się uda, spróbujmy zebrać tych, którzy gotowi są zawrzeć dobrowolną zgodę społeczną i dalej pracujemy nad jej kształtem.

ks. Wit Pasierbek SJ

jezuita

1. *Explicatio terminorum*

Pojednanie i szukanie zgody zakładają *implicite* konflikt między stronami. Stąd wydaje się konieczne, by rozpocząć dywagacje na ten temat od wyjaśnienia pojęć, zgodnie z dobrą scholastyczną zasadą *explicatio terminorum*. Okazuje się, że szczególnie w dzisiejszym wielce zrelatywizowanym świecie poznawczym nie rozumiemy podstawowych pojęć w ten sam sposób, co doprowadza do niemożności przyjęcia pojęć prawdziwych i aksjomatycznych, czyli tego, na czym buduje się jakikolwiek ład społeczny. Często bowiem po obustronnym wyjaśnieniu rozumienia pojęć znika problem sporu.

2. *In varietate unitas*

Współczesny ruch ekumeniczny zmierzający do poszukiwań jedności w rozbitym chrześcijaństwie zakłada tak zwaną jedność w różnorodności (*in varietate unitas*), która polega na tym, że strony prowadzą dialog na bazie dążenia do jedności w poszanowaniu różnorodności. Jednakże założeniem *a priori* jest to, że fundament i istota wiary — prawdy wiary muszą być dla wszystkich takie same i tak samo rozumiane. Z kolei ich forma — czyli sposób przeżywania, inkulturacji — może być różna.

3. Budowanie pojednania narodowego na prawdzie historycznej i moralnej, z uwzględnieniem spuścizny narodowej

Wcześniej poczynione założenia prowadzą do meritum sprawy, a mianowicie nie tyle „co powinniśmy robić, by osiągnąć zgodę narodową”, a raczej „na podstawie czego należy prowadzić narodowy dialog”. Prawdziwy dialog dążący do pojednania narodowego winien być oparty na historycznej i moralnej prawdzie, poszanowaniu obyczajów i tego wszystkiego, co niesie ze sobą spuścizna narodowa w ciągu dziesięciu wieków. Dlatego nie można się spierać o fakty historyczne, o prawo naturalne, o spuściznę chrześcijańską i narodową etc. Fundament narodowy musi być wspólny i niepodważalny, a forma interpretacji może być czynnikiem ubogacającym tę spuściznę. Celem tego dialogu winno być dobro wspólne, narodowe, a nie partykularne.

Takie też treści winny być propagowane na wszystkich szczeblach edukacji, w mediach, kościołach i polityce.

Walery Pisarek

językoznawca

Długo się zbierałem do udzielenia odpowiedzi na to pytanie, acz moje milczenie nie było objawem obojętności czy lekceważenia problemu. Moje milczenie znaczyło to samo, co milczenie studenta na egzaminie po usłyszeniu pytania, na które nie potrafi odpowiedzieć. Nie wiem. Student może jeszcze się ratować odpowiedziami typu: „Nie mogę sobie przypomnieć”, „Wyleciało mi z pamięci, ale mam na końcu języka”. Rodzaj pytania odbierał mi wszakże możliwość skorzystania z takiego wybiegu. Po prostu NIE WIEM.

Oczywiście nie tylko ja zdaję sobie sprawę z tego, że skutecznym sposobem na pojednanie społeczne jest zagrożenie naszego bytu. Im straszniejsze, tym skuteczniejsze. Kiedy jednak sobie to uświadamiam, dochodzę do wniosku, że lepiej się kłóćmy, skacząc sobie do oczu, niż gdybyśmy mieli takiego prawdziwego zagrożenia doświadczyć.

Czy w takim razie mędrzec może tylko przyjąć postawę „niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję”? Niekoniecznie, podpowiada św. Franciszek.

Skąd św. Franciszek? Otóż parę lat temu od mojego sąsiada z Bystrej Podhalańskiej dostałem znaleziony przez niego na strychu *Żywot świętego ojca Franciszka z Assyżu, patriarchy trzech zakonów, z Kroniki braci mniejszych kapucynów wyjęty*. Rzecz, drukowana w Warszawie w 1863 roku, zawiera teksty siedemnastowieczne, a sądząc po języku, może niekiedy i starsze. Jeden z nich przedstawia

dziewięć cnót św. Franciszka, z których piąta zasadza się na tym, że nie należy źle mówić o bliźnich.

Kiedy człowiek cnotliwy usłyszy słowa szkalujące jakiegoś człowieka, powinien — zdaniem autora żywota św. Franciszka — wtrącić: „Jeszcześmy nie obaczyli końca, kiedy dobry może się zepsować, a niezbożny naprawić; a gdy słyszał, iż o kim co źle mówiono, tedy albo go wymawiał [tzn. tłumaczył], albo też pokazywał po sobie, iż tego nierad słuchał, i tak zawierał gębę obmówcy, że [ten] musiał o czym innym mówić”.

Czy to na pewno dobra recepta na dzisiejsze swary? Tylko nielicznym się spodoba, ale spróbować warto.

Mikołaj Pisarski

działacz organizacji wolnorynkowych

Thomas Jefferson, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, w liście kierowanym do swojego przyjaciela napisał, że „różnicy w poglądach na politykę, religię czy filozofię nigdy nie uznawał za powód wystarczający do zerwania przyjaźni”. Wydaje się, że ojcowie założyciele polskiego, spolaryzowanego ładu politycznego przyjęli sobie za motto zupełnie przeciwną zasadę. Konsekwencją są nieustanne próby dzielenia rodzin, przyjaciół, współpracowników i grup sąsiedzkich według klucza „jedynie słusznych” poglądów politycznych.

Na pierwszy rzut oka takie podejście wydaje się naturalne. W końcu, jak ustami jednej z bohaterek swojej epickiej powieści *Inne pieśni** mówi Jacek Dukaj: „Tylko niewolników, szaleńców i samobójców nie obchodzi polityka — im wszystko jedno, jak żyją”. Wydaje się, że sytuacja trawiącego Polskę konfliktu wskazuje na coś przeciwnego. To właśnie przyzwolenie na to, by opinie i poglądy kilku politycznych plemion walczących o kontrolę nad Polską miały tak przełożony wpływ na nasze życie, jest podstawowym zagrożeniem dla zgody społecznej i to właśnie od zdecydowanego oporu wobec tego stanu rzeczy powinniśmy zacząć jej odbudowę.

W naszych wysiłkach już na starcie dysponujemy ogromną przewagą, która powinna stać się dla nas źródłem niegasnącego optymizmu. Jej źródłem jest

* Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008.

jedna z najważniejszych cech odróżniających nas od zwierząt: zdolność do dostrzeżenia i zrozumienia, że poza logiką konfliktu dysponujemy alternatywnym sposobem pomnażania bogactwa i budowy dobrobytu. Tym sposobem, będącym jedynym trwałym fundamentem jakiegokolwiek porozumienia, jest dobrowolna współpraca między jednostkami budującymi nasze społeczeństwo, wyrażająca się w milionach zawieranych każdego dnia transakcji i interakcji.

Dążąc do odbudowy zgody społecznej, musimy nasze działania skupić przede wszystkim właśnie w tym obszarze, nie tylko broniąc go przed zakusami klasy politycznej, ale także aktywnie budując sprzyjające mu instytucje i wartości — szacunek do własności prywatnej, rządów prawa i wolności jednostki — będące fundamentem naszej cywilizacji.

Stanisław Remuszko

dziennikarz

Hitlerowskich Niemców (najeźdźców, okupantów, ludobójców, morderców) na ogół trzeba było zabić, radzieckich wyzwolicieli na ogół już tylko przeczekać (zachowując, ile się da, z Substancji), a dziś politycznych konkurentów należy zwyczajnie pokonać przy urnach. Tymczasem czysta żywa nienawiść, wzajemnie demonstrowana (zwłaszcza w Internecie, ale też na ulicach i w rozmowach prywatnych) przez środowiska szczególnie aktywnych zwolenników głównych partii, osiągnęła poziom prawdziwie wojenny, a już na pewno zimnowojenny, bo ten znam z dziecięcej autopsji. Jako obywatel jestem przerażony tą wzajemną wrogością (nienawiścią, złością, gniewem), bo nawet jeśli te postawy publicznie wyraża mały odsetek rodaków — to emocje tak gwałtowne muszą źle oddziaływać na wszystkich czytelników, widzów i słuchaczy, więc także na spokojną normalną większość ludzi, w końcu na całe społeczeństwo i państwo, czyli na moją ukochaną Polskę...

Z patriotycznym smutkiem stwierdzam, że powyższy blogowy wpis pochodzi z czerwca 2010 roku*, lecz od tamtego czasu tylko się pogorszyło. Mamy dziś prawdziwą zimną wojnę domową. Boję się o Rzeczpospolitą: *res* — ‘rzecz’ (dobro, własność), *publica* — ‘publiczna’ (społeczna, wspólna).

Ale jak zmienić świadomość milionów jednostek, czyli społeczeństwa?

* <http://www.remuszko.pl/blog.php/?p=98>.

Zauważmy, po pierwsze, że tego nie da się zrobić ani planowo, ani szybko. Takie zmiany mentalne mają charakter samoistny i ciągną się latami — podobnie jak procesy, które doprowadziły ideowego ducha Polaków do obecnego stanu. Owszem, działalność polityków i mediów jest na bieżąco oceniana przez pryzmat osobistej wiedzy i doświadczenia każdego z nas, lecz na skutki tej konfrontacji (często podświadome) trzeba czekać.

Zauważmy, po drugie, że część „polskich obywateli” nie chce „pojednania narodowego i zbudowania zgody społecznej”, a podziały wydają mi się nie do przewyciężenia.

Czy możemy coś zrobić w tym stanie rzeczy? Wiele się nie da (na ogół nie jesteśmy politykami ani dziennikarzami), lecz można „zmniejszać napięcia” i „przyspieszać procesy”. W tym celu trzeba przede wszystkim rozmawiać — niechby zapalczywie, ale bez wrogości i nienawiści. Spotykać się twarzą w twarz i rozmawiać. Rozmawiać, rozmawiać i rozmawiać, to bezcenna wartość sama w sobie! Bronić swojej prawdy, jeśli jest oparta na weryfikowalnych faktach, nazwiskach, datach, liczbach, dokumentach i logice. Umieć zmienić zdanie pod wpływem argumentów. Wytrwale stosować starożytną maksymę *Plus ratio quam vis*. Nie znam lepszej odpowiedzi.

Wojciech Stanisławski

historyk, publicysta

Niech już najprędzej pierwsze bomby spadną.

Czesław Miłosz, *Miasto wiwatowało*

Programowy pesymizm zawsze wydawał mi się czymś teatralnym i niepoważnym: te wszystkie kiry kieszonkowych kasandr deklarujących „brak złudzeń”, jeśli idzie o Polskę, Unię, upadek Stanów, upadek Zachodu, upadek nowożytnej koncepcji człowieka, odradzanie się potęgi Rosji, Chin i Trzeciego Świata *in corpore* — toż to kostiumy, których miejsce jest na balu przebierańców drugiego roku politologii, ale ich właściciele z niepojętych powodów postanowili w nich robić kariery. Jestem więc mocno zakłopotany, samemu uderzając w podobne tony — a jednak w obecnej sytuacji („habitusie”, jak napisałby pewnie Bartłomiej Sienkiewicz, by dać czytelnikom do zrozumienia, że przeczytał Bourdieu) nie widzę niemal żadnych szans na trwałe zbudowanie zgody społecznej o naprawdę szerokich podstawach.

Nie ma na to szans, w moim przekonaniu, przede wszystkim dlatego, że ten spór zawiera w sobie *in nuce* wiele dawnych, często w ogóle niewyartykułowanych, linii podziału i fundamentalnych konfliktów ideowych. Wielu szeregowych uczestników obecnych polemik sądzi pewnie, że spiera się o personalia nowej ekipy, skalę zwolnień starej, szydzi z kiksów jednego lub drugiego

polskiego prezydenta. Tymczasem nieuświadomiane rozbieżności poglądów dotyczą interpretacji dorobku i zwrotów dziejów Polski nie tylko, co oczywiste, po 1989 roku, lecz co najmniej po 1945 roku. Mówisz „Lis” — a myślisz, okazuje się, o łowach w *Panu Tadeuszu* i modernizacyjnym pamflecie Jana Sowy. W cieniu sporów o obsadę stanowisk spikerów radiowych toczą się niewymówione spory deontologiczne, etyczne, metafizyczne: to prawdziwa *culture war*, którą napędzić może wszystko, od opublikowanego w gazecie dowcipu rysunkowego po kazanie — i gdzie nie sposób wyobrazić sobie kompromisu.

Wyobraźmy sobie jednak, w trybie eksperymentu myślowego, powstanie swego rodzaju „komisji pojednania”, do której zgodzą się wejść zarówno zagońcycy, jak i potentaci medialni, by wypracować reguły kruchej zgody. Powiedzmy, że udało się wypracować straszliwie wyjąławiający debatę publiczną „katalog tematów zakazanych”. Takie sytuacje zdarzały się przed pół wiekiem, przynajmniej w wyidealizowanych romansach politycznych: grono wydawców głównych gazet zgadza się nie ujawniać faktu kompromitującego następcę tronu. Ale dlaczego zakaz taki miałby uszanować legion blogerów, których nadzieją jest *publicity*?

Historia podsuwa nam liczne przykłady konfliktów nie tyle może zakończonych pojednaniem, ile zwietrzałych, zamkniętych w kawernie swojej epoki (jak bratobójcza rywalizacja „Białych” i „Czerwonych”), choć potencjalnie zjadliwych (jak napięcie Północ — Południe, odżywające przy okazji różnych podziałów w Stanach Zjednoczonych). Konflikty te przesunęły się na drugi plan w chwili, gdy do głosu dochodziły nowe wyzwania i zagrożenia. Strach pomyśleć — stąd mój pesymizm — jak poważne musiałyby to być zagrożenia, by pozwoliły nam przybliżyć się do stanu zgody społecznej.

Jerzy Surdykowski

publicysta

Zbożne apele nie pomogą. Wezwania do wyrozumiałej tolerancji okażą się daremne. Odmienić sytuację mogłyby tylko fakty, ale zmierzające w kierunku przeciwnym niż dotychczas. Apetyt na zawłaszczanie państwa miały już formacje rządzące od lat dziewięćdziesiątych XX wieku, ale mitygowało je może poczucie przyzwoitości, a może tylko opozycja i opinia publiczna. Mocno poszedł w tym kierunku PiS w latach 2005–2007, kontynuowała w swoją stronę Platforma, choć kamuflowała się demokratyczną frazeologią i „ciepłą wodą w kranie”. Jej największe grzechy to trzymanie w garści mediów publicznych, nieodbudowanie zniszczonej przez poprzedników Służby Cywilnej, a w końcu usiłowanie zdominowania na nadchodzące lata Trybunału Konstytucyjnego. Zwycięski PiS nie miał żadnych hamulców. Dość wymienił zupełnie już bezczelną walkę z trybunałem, czystkę w mediach publicznych przemianowanych na „narodowe”, ostateczne pogrzebanie apolitycznej Służby Cywilnej, podporządkowanie prokuratury rządowi i usiłowanie pójścia w tym kierunku w sądownictwie.

Łatwo też dociec, co uczyni opozycja, gdy przejmie władzę: odpłaci pięknym za nadobne. Będzie „czyścić do samej ziemi”, aby nikt nie przeszkadzał w rządzeniu przez kolejnych parę lat. O ile rządzący nie wpadną na zbawienny dla nich pomysł pójścia w ślady autorów sławetnej „konstytucji majowej” z 1935 roku. Będzie to jednak kres demokracji jakiegokolwiek.

Demokracja nie polega na tym, że raz na cztery lat gniewny motłoch „wycina” nienawistną mu władzę. Nie polega na tym, że „suweren” po wyborach może robić, co zechce. Polega nade wszystko na ochronie praw mniejszości, która po następnym głosowaniu zapewne stanie się większością. Ale tego w dzisiejszej Polsce nikt nie rozumie. Dlatego jestem pesymistą. Po okresie rozkwitu przychodzi regres. Demokracja będzie się degenerować, wraz z nią gospodarka. Pogłębi się izolacja Polski, a naród podzieli się na wrogie plemiona idące do boju pod swoimi totemami.

Jerzy Vetulani

psychofarmakolog, neurobiolog, biochemik

Są w Polsce duże grupy kompletnie nieprzepuszczalne, jeśli chodzi o jakiegokolwiek argumenty. Pytanie brzmi: czy do takich grup należy się zwracać, skoro próby skazane są na niepowodzenie? Wydaje się, że należy skoncentrować się na jednostkach jeszcze nieprzekonanych.

Są grupy, na które może zadziałać argumentacja, nazwijmy to, chrześcijańska — i tu pojawia się wielka odpowiedzialność kleru. Przykładem jest Portugalia, kraj katolicki; tam duchowieństwo dostrzegło korzystne strony depenalizacji narkotyków. W Polsce kapłani uważają ruchy dążące do liberalnej reformy polityki narkotykowej za źródło wszelkiego zła, a próbę podjęcia dyskusji na ten temat — za promocję „narkomanii”. Jaka będzie postawa kleru, taka będzie postawa wiernych. Oddolna kościelna walka z używkami — przysięgi antyalkoholowe, akcja „sierpień miesiącem trzeźwości” — świetnie działa. Jako niewierzący potwierdzam pozytywne możliwości, jakie stoją przed duszpasterzami. Z drugiej strony wydaje mi się bardzo niedobra postawa zakładająca, że stosowanie rozmaitych substancji psychotropowych jest grzechem, a osoby cierpiące na zespoły uzależnieniowe są potępieńcami, którzy sami sobie zgotowali ten los i powinni być usunięci poza nawias społeczeństwa. Chorym trzeba współczuć i pomagać, a nie wywyższać się we wzajemnych kontaktach.

Znak wydał nasze rozmowy z księdzem Grzegorzem Strzelczykiem — rozmowy niewierzącego neurobiologa z wierzącym oczywiście teologiem. Książka

budująca, nikt nikogo nie przekonuje, ale rezultatem jest wspólne poszukiwanie prawdy i zgoda, która powinna być udziałem całego społeczeństwa: dostrzeżenie ludzi w oponentach.

Zacznąć należy od podstaw — od budowania postaw sympatii i empatii we własnym środowisku od najwcześniejszych chwil życia aż po uniwersytet trzeciego wieku. Z pewnością dobrym podejściem do problemu byłoby rozwijanie u uczniów szkół podstawowych i liceów inteligencji emocjonalnej. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że w wielkich korporacjach dużo się płaci za szkolenia z tego zakresu, gdyż uczą one na przykład, jak budować lojalność grupy. Empatię, otwarcie na drugiego człowieka można wzbudzać już na poziomie przedszkolnym. Prowadzone na Uniwersytecie w Maladze badania zachowań młodzieży, która takie szkolenia przeszła, wskazują na bardzo pozytywne rezultaty: wyższe wyniki w nauce, lepsze zintegrowanie grupy, mniejsze zainteresowanie alkoholem i narkotykami.

Uczy się przede wszystkim rozumienia stanów emocjonalnych własnych i drugiej osoby oraz wysyłanych sygnałów — umiejętność rozpoznawania komunikatów wydaje się tu kluczowa w skali zarówno pojedynczej relacji, jak i całego społeczeństwa. Tu podam przykład: jedyny narkotyk, którego użycie zostało skutecznie ograniczone bez uciekania się do kryminalizacji, to nikotyna. Dlaczego? Bo udało się właśnie trafić do inteligencji emocjonalnej obywateli i uświadomić palaczom tytoniu, że jest to złe, szkodliwe, również dla drugiej osoby. Wykorzystuje się fakt, że większość ludzi nie chce krzywdzić innych (jeżeli nie ma z tego zysku). Kampanie oparte na budowie inteligencji emocjonalnej wymagają ciężkiej pracy, ale mogą przynieść zadziwiająco pozytywne skutki.

Sugerowałbym więc rozpoczęcie pracy u podstaw od najmłodszych lat. Doskonałą metodą jest na przykład harcerstwo — doktryna, która spodoba się młodzieży, a to choćby ze względu na brak hipokryzji. Młodzież jest bardzo wyczulona na fałsz; pewne postawy wycofania, frustracji i agresji, przyjmowane w późniejszych latach, biorą się właśnie z rozczarowań wieku dorastania. Wielka tu jest oczywiście odpowiedzialność nauczycieli i wychowawców — od współczesnych kadr edukacyjnych, niestety, wymaga się „robienia wyników”, a nie szkolenia młodych członków społeczeństwa.

Rozmawiałem na ten temat z psychologami z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zagadnienie rozwoju inteligencji emocjonalnej jest stale omawiane i są już na świecie próby implementacji takiego przedmiotu w szkołach. Na przykład w Holandii, gdzie każde dziecko idzie do szkoły w dniu czwartych urodzin (!), w wielu placówkach nowicjusz dostaje swojego tutora-opiekuna, również ucznia (drugoklasistę), który ma za zadanie się nim zajmować. Tworzy to relację z dwóch stron. Ważne jest, że u opiekuna rozwija się poczucie odpowiedzialności i dumy, co ma później przełożenie w dorosłym życiu na umiejętność współpracy. W ogóle należy prowadzić wśród uczniów zajęcia, które akcentują nie konkurencję, a kooperację;

do takich należą na przykład teatry szkolne. Proszę jednocześnie porównać bajki dawne, a współczesne. Dzieci obecnie wręcz uczą się przemocy; tego, że pomoc popłaca. Dawniej tego nie było, chyba że walczyć należało z okrutnym złem (i upiec Babę Jagę, zanim ona upiecze Jasia i Małgosię). Ale i we współczesnej literaturze dziecięcej są przykłady pozytywne, jak *Harry Potter*, który pokazuje przykłady współpracy, jednoczenia się w walce ze złem i wzajemnej pomocy. To dobra rzecz, bo człowiek z natury jest altruistyczny; pomijając psychopatów — pomoc, współpraca, dawanie prezentów i wysyłanie życzeń sprawia przyjemność. Starajmy się to akcentować.

Co jednak z pokoleniami obecnie tworzącymi społeczeństwo? Uważam, że konieczne jest tu dokładnie to samo: społecznikowska praca u podstaw, jednoczenie ludzi pod wspólnymi nie sztyldami, a wydarzeniami, aktywnością. Dlaczego? Ludzie boją się ideologii i obowiązku przyjęcia postaw, a tego wymagają obie strony sporu. Postawy społeczne przyjdą same, ale społeczeństwo najpierw musi poczuć się pewne siebie, zintegrowane. Jak to zrobić? Wzbudzać entuzjazm, współdziałanie, poczucie wspólnoty, przez różne akcje — WOŚP, kwesty, uniwersytet trzeciego wieku, do tego imprezy masowe, pikniki naukowe, noce muzeów itd. Również budowanie dumy narodowej, tej bez złych emocji, potrafi łączyć. Uczmy ludzi, że Polska jest wspaniałym krajem, ale inne kraje są również wspaniałe i żaden nie zasługuje na pogardę. Jesteśmy równi wśród różnych, musimy się szanować i współpracować.

Nie jest to oczywiście sprawa, którą rozwiąże się w ciągu jednego pokolenia. Jesteśmy jednak w stanie podjąć się tego działania już teraz. Neutralizując ideologię, a akcentując otwarcie na drugiego człowieka, będziemy w stanie budować lepsze, zdrowsze, szczęśliwsze społeczeństwo.

Jan Woleński

filozof

Nie ma nic złego w tym, że społeczeństwo jest wewnętrznie zróżnicowane pod względem poglądów politycznych czy światopoglądowych (pomijam zróżnicowanie ekonomiczne). Co więcej, taki stan rzeczy jest wręcz niezbędny dla, by tak rzec, zdrowia społecznego. Jest przy tym oczywiste, że uzgodnienie wykluczających się postaw, na przykład ateizmu i teizmu, jest niemożliwe. Nie znaczy to wszakże, że jedni i drudzy muszą pozostawać w konflikcie wymagającym jakiegoś pojednania, ponieważ znakomicie mogą współistnieć.

Postawione pytanie coś zakłada, mianowicie, że konflikt w Polsce jest tak silny, że zagraża zgodzie społecznej i wymaga pojednania narodowego. Nie jestem pewien, czy jest tak rzeczywiście. W rzeczy samej, nie ma diagnozy stanu społeczeństwa polskiego ani też stosownych analiz porównawczych, na przykład z krajami podobnymi do Polski. Nie bardzo też wiadomo, co miałyby posłużyć za wskaźniki w tych materiałach. Zakres mowy nienawiści? Zachowania się polityków? Nie wiadomo.

To, co uważam za groźne dla przyszłości Polski, to kryzys społeczeństwa obywatelskiego. To, czy ono istnieje, zależy mniej od zwykłych ludzi, bardziej zaś od działań władzy, edukacji, systemu prawa itd. O ile zwykli obywatele mogą się wzajemnie różnić, władza funkcjonująca w ładzie demokratycznym winna dbać o to, aby różnice nie przeradzały się w konflikty, zwłaszcza dotyczące wrażliwych problemów moralnych. Jeśli na przykład powiada się, że partia

rządząca i opozycja winny zrezygnować z wojny na górze i pojednać się w imię dobra wspólnego, to trzeba pamiętać, że jeśli poglądy wykluczają się, nie mogą być zarazem prawdziwe, ale mogą być zarazem fałszywe. I zwykle są tymi drugimi. A to oznacza, że kompromis musi polegać na ustępstwach po obu stronach. Tego jednak w Polsce nie widać, zwłaszcza po stronie formacji rządzącej, mającej większe możliwości i obowiązki. Mimo wszystko politykę nieinterwencji liberałów uważam za mniej szkodliwą od nader zideologizowanej opcji polskiej prawicy.

IV

Jak się wzbogacić mogą Polska i Polacy?

Stanisław Bielań

politolog

Temat jest interesującą prowokacją intelektualną. Można się do niego odnieść całkiem praktycznie i z entuzjazmem, bo któż z nas nie chciałby być bogaty, zdrowy i szczęśliwy. Można także spojrzeć erudycyjnie i refleksyjnie z pozycji doktryn politycznych i ekonomicznych, zastanowić się, co decyduje o bogaceniu się ludzi i jakie są tego konsekwencje.

Przypomina się zawołanie dziewiętnastowiecznego myśliciela i ministra burżuazyjnej Francji François Guizota: „Bogaćcie się przez pracę i oszczędzanie!”. Niestety, często bywało tak w historii, że bogactwo nie miało nic wspólnego ani z pracą, ani z oszczędzaniem. Było wynikiem rozmaitych patologii i wynaturzeń, od grabieży cudzego mienia poczynając, przez wyzysk, rentę i dziedziczenie, na korupcji i cwaniactwie kończąc. W dawnej Rzeczypospolitej na bogactwo szlachty i duchowieństwa harowali chłopci pańszczyźniani, których status społeczny miał charakter niewolniczy. Bogactwo służyło zaspokajaniu egoistycznych potrzeb wąskiej grupy społecznej, wyrażających się w sybarytyzmie, rozrzutności i marnotrawstwie. Podobnie jest w epoce kapitalizmu, w której „ziemia obiecana” wcale nie była i nie jest szansą bogacenia się dla wszystkich. Patologie współczesnego kapitalizmu nie wymagają komentarzy, bo napisano na ten temat wyjątkowo dużo. Pęd do bogacenia się kosztem zasobów naturalnych planety dobitnie pokazuje, że człowiek jest istotą pazerną, a egoizm wąskiej grupy bierze górę nad zdrowym rozsądkiem i moralnością, nie mówiąc o sprawiedliwości.

Zróznicowanie społeczeństw na tle redystrybucji dóbr jest stare jak świat. Warto więc mieć na uwadze to, że niezależnie od panującego systemu społeczno-ekonomicznego zawsze będzie istnieć podział na tych, którzy koncentrują w swoim ręku *gros* bogactwa, i na całą resztę, która na to bogactwo pracuje. Nawet największe demokracje świata, w tym Stany Zjednoczone, nie uniknęły zjawiska oligarchizacji, czyli koncentracji bogactwa i władzy nad całą resztą społeczeństwa w rękach stosunkowo niewielkiego odsetka obywateli. (Nie bez powodu Stany Zjednoczone nazywane są „bogatym krajem biednych ludzi”. Z danych amerykańskiej Rezerwy Federalnej wynika, że najbogatsze 10 procent Amerykanów jest w posiadaniu aż 89 procent wszystkich akcji należących do gospodarstw domowych). Problem sprowadza się do tego, aby utrzymywać system społeczno-gospodarczy we względnej równowadze, za co odpowiadają władze o różnym stopniu legitymizacji społecznej — od „liberalnej” demokracji po uzurpację i dyktaturę.

Stosunek do bogacenia się zależy od etosu społecznego, warunkowanego charakterem gospodarki, tradycjami kulturowymi, motywacjami religijnymi i doktryną rządzących. Podstawowa różnica w zachodnim kręgu cywilizacyjnym w odniesieniu do bogacenia się polegała na tym, że w Europie Zachodniej zwyciężył mieszczański model życia typu produkcyjnego, oparty na oszczędności, wyrzeczeniach, a nawet ascezie i bezinteresowności (etos kupiecki). W Europie Środkowej, w tym w Polsce, stosunki zależności feudalnych przetrwały aż do lat czterdziestych XX wieku. Mimo przemian cywilizacyjnych szlachecki etos przenikał do modelu życia współczesnego Polaka. Warstwa ziemiańska znikła wprawdzie z życia społecznego w drugiej połowie XX wieku, ale nostalgia za tym „dworkowym”, „konsumpcyjnym” i „pasożytniczym” sposobem życia powraca po wielu latach w różnych, nieraz paradoksalnych, formach. Publiczne i ostentacyjne demonstrowanie bogactwa oraz towarzyszące temu wynoszenie się nad innych przypomina najgorsze cechy, pokazane kiedyś przez amerykańskiego ekonomistę i socjologa Thorsteina Veblena w jego *Teorii klasy próżniaczej*. Gdyby żył w dzisiejszych czasach, to mimo że wiele rzeczy przewidział, byłby zaskoczony ekscesami finansowego i politycznego establishmentu w różnych krajach.

Na tle krótko zarysowanych determinizmów i paradoksów uważam, że Polska i Polacy zasługują na to, aby żyć w dostatku i dobrobycie, co niekoniecznie oznacza bogactwo. Powiedziałbym, że chodzi raczej o coraz wyższy poziom możliwości i komfortu warunków życiowych. Ten szczęśliwy dobrostan jest warunkowany przede wszystkim organizacją państwa, aby mądrze kierowało redystrybucją bogactwa społecznego. Chodzi o takie ułożenie relacji między gospodarką, sektorem finansów i władzy oraz społeczeństwem, aby wszyscy byli beneficjentami podziału zysków, aby społeczeństwo, traktowane podmiotowo, mogło kontrolować działania państwa w tym zakresie. Ono zaś ma stać na straży reguł, pozwalających moderować rozwój gospodarczy w pożądanym i akceptowanym przez

demokratyczną większość kierunku. Jeśli górę bierze sektor finansowy, tak jak to się dzieje w Stanach Zjednoczonych, państwo staje się narzędziem w osiągnięciu jego celów, nieraz dalekich od potrzeb bytowych obywateli.

Polakom potrzeba zatem mądrego państwa i racjonalnych elit rządzących (kreowanych głównie przez partie polityczne), które odwróciłyby „amerykanizację” jako wzór godny naśladowania i postawiłyby na doktrynę państwa i gospodarki jako dobra wspólnego, dbającego o równomierny wzrost poziomu życia i stopniowego bogacenia się obywateli. Procesy te nie idą jednak w parze z roztropnością ani racjonalnością wyborów. Trzeba ogromnego wielopokoleniowego wysiłku edukacyjnego, aby takie wzory i nawyki zaszczepić w szerokich kręgach społecznych. Można przecież być bogatym, a głupim. Można dzięki bogactwu osiągnąć najwyższy status społeczny, jak kiedyś magnateria w Rzeczypospolitej, ale kierować się prywatą i egoizmem, doprowadzając do katastrofy najważniejsze dobro publiczne, jakim jest państwo. Można bogacić się za wszelką cenę, zapominając o wspólnocie. Czy zatem bogacenie się i bogactwo są celem samym w sobie, czy też powinny stać się środkiem do innych celów? Wydaje się, że odpowiedź jest oczywista, ale praktyka różne ma oblicza.

Mądre rządy formułują doktryny państwowe, które powinny godzić to, co indywidualne, z tym, co wspólnotowe; to, co materialne, z tym, co duchowe. W Polsce zarówno feudalnej, jak i kapitalistycznej warstwy najbogatsze tkwiły i tkwią, niestety, w zdecydowanym egoizmie. Nie chcę tu charakteryzować eksperymentu Polski Ludowej, bo mogłoby się okazać, że ówczesna doktryna państwowa po raz pierwszy w dziejach wskazywała na konieczność równomiernego i w miarę sprawiedliwego rozproszenia bogactwa społecznego. Można wiele ówczesnych rozwiązań krytykować z dzisiejszej perspektywy, ale nad wieloma warto się też poważnie zastanowić. Czy awans społeczny ludzi wywodzących się z dołów społecznych nie był przypadkiem sposobem na wyrównanie głębokich różnic na tle bogactwa i biedy? Nie uniknięto wtedy wielu błędów systemowych, tłumiąc i reglamentując ludzką innowacyjność i przedsiębiorczość, ale stworzono pewne podstawy dobrostanu, opartego na tworzeniu majątku narodowego zapewniającego dostęp do pracy i opieki socjalnej. Obecnie coraz więcej ludzi z różnych branż przyznaje, że państwo nie może ich zostawiać samym sobie.

Dobrobyt nie polega jedynie na zapewnieniu dostatku materialnego wybranym grupom, którym się powiodło. Bogacenie się oznacza stałe podnoszenie poziomu życia, który wymaga nie tylko wytężonej pracy, ale także gwarancji prawnych ze strony państwa, że dobra nabyte (w tym własność prywatna) nie zostaną zagrożone, a nawet zagrabione. Nie bez znaczenia jest legalne i uczciwe dochodzenie do bogactwa, lecz i społeczna kontrola jego użytkowania. Może to zabrzmieć naiwnie, ale ogałacanie planety dla celów prywatnych korporacji z takich dóbr, jak czyste powietrze czy dostęp do wody pitnej, powodujące ocieplenie klimatu czy zatrucie środowiska, nie mówiąc o rozbójniczej gospodarce

przestrzennej, wymaga „wielkiego przebudzenia” społeczeństw, aby wyrzucić zdecydowany wpływ na rządzących w pożądanym kierunku z punktu widzenia racji istnienia ludzkiego gatunku i całego ziemskiego globu.

Kto jednak doprowadzi do tego, aby stworzyć w Polsce odpowiednie instytucje „włączające”, umożliwiające społeczeństwu wyrażanie woli, ale i powoływanie skutecznych rządów, odpowiedzialnych przed obywatelami za realizację decyzji władczych? Muszą zaistnieć instytucje „inkluzywne”, przeznaczone dla wszystkich, tworzące pole gry z regułami jednakowymi dla uczestników, zapewniające „pluralistyczne rozłożenie władzy”, a zarazem zabezpieczające innowacyjny wzrost gospodarczy. Wydaje się, że niezależnie od demokratycznych przemian ustrojowych i budowy gospodarki kapitalistycznej ciągle przeważają instytucje „ekskluzywne”, odgradzające się od ogółu, „wyzyskujące”, w sferze tak gospodarczej, jak i politycznej. Warto w związku z tym przeczytać, co piszą na ten temat Daron Acemoğlu i James Robinson w książce *Dlaczego narody przegrywają. Źródła władzy, pomyślności i ubóstwa*.

Obecnie wiele państw, w tym Polska, znajduje się w polu sił amerykańskiego sektora finansowego. Jego demontaż jest praktycznie niewykonalny, przynajmniej w przewidywalnej perspektywie. Dlatego bogacenie się Polski i Polaków będzie na długi czas funkcją wzlotów i dramatów, jakie gospodarce światowej zafunduje fałszywie rozumiany kapitalizm państwowy, daleki od konkurencji wolnorynkowej. Z tym wiązać się rozmaite kryzysy i regresy. Dlatego tak ważne jest edukowanie ludzi w kierunku racjonalnego gospodarowania, oszczędzania, dyscypliny i kompetencji. Także możliwości dojrzenia alternatyw i obrony własnej specyfiki rozwojowej. Pilnie potrzebna jest spójna doktryna państwowa, oparta na szerokim konsensusie politycznym, która wyznaczy cele wzrostu i zrównoważonego rozwoju, bez wynaturzeń militarystycznych czy zaniedbań cywilizacyjnych (regres nauki i oświaty). Z doktryny tej winna wynikać wizja Polski, w której siła pieniądza nie zepchnie zupełnie na margines siły ideałów: nowoczesności i poszanowania dla tradycji, uznania integracyjnej wspólnoty z mądrą obroną własnej tożsamości, tolerancji i współodczuwania, wewnątrzsterowności i autonomii decyzyjnej.

Stan debaty publicznej i jakość rządzenia nie napawają w tych sprawach optymizmem. Wydaje się, że psychika i świadomość narodowa nie są przygotowane na to, aby zrozumieć, że zagrożeniem dla rozwoju jest przede wszystkim bezwzględna rywalizacja między Stanami Zjednoczonymi, Chinami, Unią Europejską, Japonią, Rosją, Indiami i innymi „wschodzącymi” potęgami. Sztuka wykorzystania tej rywalizacji do własnych celów i korzyści pozostaje na razie poza realizacyjnym zasięgiem ekip rządzących Polską.

Jacek Breczko

filozof, historyk idei

BALCEROWICZ MUSI WRÓCIĆ

Nie jestem specjalistą w dziedzinie ekonomii ani tym bardziej natchnionym twórcą cudownych recept na bogactwo narodowe. Odpowiadając na pytanie „Jak się wzbogacić mogą Polska i Polacy?”, chętnie odwołałbym się zatem do rozwiązań sprawdzonych. Spróbuję — co najwyżej — dodać kilka „autorskich uwag” i korekt związanych z polską specyfiką. Jak wyglądają te „rozwiązania sprawdzone”? Wydaje się, że historia gospodarcza dostarcza mnóstwo ewidentnych i empirycznych przykładów. Wymieńmy kilka (pierwsze, które przyszły mi do głowy w układzie chronologicznym): katastrofalna w skutkach i przyczyniająca się do upadku Rzymu ekonomiczna reforma Dioklecjana, wprowadzająca sztywne ceny. Przegrana Francji z Anglią w XVIII wieku, mająca w tle odmienne systemy polityczne i ekonomiczne (francuski system centralistyczny, protekcyjnistyczny i merkantylistyczny *versus* pluralistyczny i liberalny angielski). Wiek XIX szedł przeważnie „tropem angielskim”. Wiek XX — po katastrofie I wojny światowej — powrócił do rozwiązań antyliberalnych i centralistycznych, dostarczając wielu empirycznych przykładów. Wymieńmy niektóre: bogate i liberalne RFN *versus* ubogie NRD; bogata i liberalna Korea Południowa *versus* pogrążona w nędzy totalitarna Korea Północna; dynamicznie rozwijający się

liberalny Tajwan *versus* biedne komunistyczne Chiny (do czasu liberalnych reform Deng Xiaopinga)*.

Ekonomia bywa — nie bez podstaw — nazywana ekonomią polityczną. A zatem warto zwrócić uwagę na polityczne zaplecze (a po części fundament) działalności gospodarczej. Carl Schmitt — „prawnik Hitlera”, a po wojnie wpływowy filozof polityki — twierdził, że liberalna demokracja, szczególnie doktryna podziału władz, nie jest efektywna w zabezpieczeniu wolności jednostki i nie to jest jej celem. Jest ona — po prostu — sposobem na wskazanie wroga, czyli jest ideologicznym i propagandowym narzędziem walki z tak zwanym autorytaryzmem, absolutyzmem, despotyzmem. Uważam, że Schmitt się myli. Trójpodział, a właściwie czwórpodział, władz (dodajmy władzę niezależnych mediów) jest czymś realnie oddziałującym i — śmiem twierdzić — wręcz fundamentalnym nie tylko dla wolności jednostki, ale też dla bogactwa narodów w długim okresie (tyrani bowiem potrafią sypnąć groszem, lecz ten deszcz krótko pada).

Początki sporu między zwolennikami centralizacji i podziału władz można dostrzec już u Arystotelesa, który z niechęcią odnosił się do platońskiego — skrajnie centralistycznego — projektu. Można zaryzykować tezę, że u podstaw centralizmu mamy dziecięcą wiarę w dobrego, mądrego ojca, a u podstaw doktryny podziału władz dojrzałą — opartą na życiowym doświadczeniu — nieufność wobec ludzi, a szczególnie ludzi władzy, najbardziej zaś ludzi o niekontrolowanej władzy (to znaczy odpowiadających tylko przed Bogiem i Historią). Wysublimowanym przejawem tej podejrzliwości jest filozoficzna antropologia postrzegająca człowieka jako istotę egoistyczną. W tym pierwszym modelu mamy wiarę w dobrego ojczulka-cara otoczonego, co najwyżej, złymi doradcami; może on być również genialnym strategiem i wielkim wodzem (niczym jakiś Cezar Napoleon Piłsudski), ale — nade wszystko — jest ojcem miłującym lud. W istocie jest to — jak to bywa z dziecięcą wiarą — piękna bajka. W tym drugim modelu (u Arystotelesa będzie to — w formie zarodkowej — politea) mamy przekonanie, że władza „wodzi na pokuszenie” i deprawuje, a im większa władza, tym bardziej wodzi na pokuszenie i deprawuje. Zaczynamy od pięknych deklaracji o „roztropnej trosce o dobro ogółu”, która zamienia się w nieroztropną troskę, a następnie w troskę głównie o dobro własne, czyli o utrzymanie władzy. Dobry ojciec zamienia się — siłą mechanizmów niezależnych do pewnego stopnia od jego woli — w tyrała.

Jak temu zapobiec? Otóż sposób jest prosty niczym mechanizm ewolucji. Należy podzielić władze i tak to „ukonstituować” (zapisać w konstytucji), aby władze wzajem się kontrolowały. Innymi słowy, aby elity — decyzyjne, wykonawcze, sądownicze i informacyjne — odpowiednio pogrupowane, patrzyły sobie

* Krótka uwaga na marginesie: obecna potęga Chin wydaje mi się przeszacowana, bo nie są one atrakcyjne kulturowo, a innowacje techniczne są kopiowane z Zachodu. Ta hybryda politycznej władzy komunistów z wolnym rynkiem nie jest zbyt płodna w dziedzinie „ducha”, co jest — jak sądzić — na dłuższą metę kluczowe.

wzajem na ręce, a przy okazji konkurowały i doskonaliły się w tym patrzaniu, aby wzrok ich był coraz ostrzejszy i bardziej przenikliwy.

Co się jednak dzieje, kiedy ten podział władzy zanika? Otóż jeśli rząd zdominuje parlament, dyskusje parlamentarne stają się fikcją. To premier stanowi prawo wygodne dla siebie, co prowadzi do szybkiej i krótkowzrocznej legislacji (łatanie bieżących dziur), czyli do niestabilności prawa. A niestabilność prawa uderza z wielką destrukcyjną siłą w gospodarkę (co się zazwyczaj ujawnia nie od razu, ale po jakimś czasie). Oto pierwszy przyczynek do czegoś, co można by określić jako „synergię negatywną”. Idźmy dalej. Niezależność władzy sądowniczej od rządu również jest czymś fundamentalnym. Bez tego zakaz uwięzienia poddanego bez zgody sądu, zapisany w *Magna Charta Libertatum*, byłby fikcją (król po prostu rozkazywałby sędziemu, aby uwięził poddanego). Krótko mówiąc, jeśli rząd podporządkuje sobie wymiar sprawiedliwości, staje się sędzią we własnej sprawie. Wszelkie zatem pozwy przeciwko rządowi i państwu, również te dotyczące kwestii własnościowych i gospodarczych, kończą się źle dla pozywających. To z kolei skłania do powstrzymywania się od działalności gospodarczej oraz studzi zapał inwestycyjny. Oto drugi przyczynek do „synergii negatywnej”. Jeśli — idźmy dalej — rząd podporządkuje sobie władzę medialną, na miejsce faktów i dociekania prawdy wkracza propaganda, która zazwyczaj jest „propagandą sukcesu” (działań i kondycji własnej) oraz „propagandą mizერი” (działań i kondycji przeciwników, wrogów i „obcych”). W ten sposób powstaje rzeczywistość fikcyjna, w którą zaczynają wierzyć nie tylko ogłupiani obywatele — zamieniający się stopniowo w poddanych, ale też rządzący. Fikcja zaś jest słabą podstawą podejmowania trafnych decyzji (choć niekiedy z fałszu wynika prawda). Niezależne media pełnią również funkcję „zdrowotną”, niczym ośrodki bólu w organizmie; tropią bowiem różne błędy i nadużycia władzy. Inicjują więc działania naprawcze i zapobiegawcze. Ale te impulsy bólowe („demaskacje”) są szczególnie nieprzyjemne dla władzy, dlatego autokraci uważają niezależne media za kulę u nogi. Co więcej, zależne media — uprawiające propagandę sukcesu — potrzebują ewidentnych przykładów tego sukcesu, zachęcają zatem rządzących do obiecywania i realizacji różnych spektakularnych wielkich inwestycji, które mogą zdobyć poklask społeczny. Mogą to być tysiące tanich mieszkań, wielkie lotniska, wielkie statki, wspaniałe elektryczne samochody, odbudowa pałaców i zamków. Inwestycje te zaś — realizowane czy tylko projektowane — obciążają budżet, co staje się kolejnym przyczynkiem do „synergii negatywnej”.

Likwidując podział władzy — dążąc do centralizacji, konsolidacji i wzmocnienia władzy wykonawczej — rządzący pragną zapewnić sobie tak naprawdę nie większą efektywność rządzenia dla dobra ogółu, ale długie panowanie. System liberalnej demokracji powoduje, że władzę raz zdobytą trzeba będzie wkrótce — w perspektywie kilku lat — oddać. System demokracji fasadowej (czy też — innymi słowy — „demokracji ludowej” lub „nieoliberalnej”) pozwala perspektywę

rządzenia wydłużyć do dekad, czyli w istocie pozwala mniemać, że władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. To z kolei stanowi zachętę — zwalniając hamulce — do nadużywania władzy: do działań na granicy prawa, a nawet poza tą granicą. I oto nagle — gdy „uzbiera się miarka” — rządzący uświadamiają sobie, że władzy raz zdobytej nie mogą oddać nigdy, że władzę trzeba utrzymać za wszelką cenę. Na przykład za cenę licznych transferów socjalnych, które oficjalnie mają cele egalitarne i prospołeczne, ale w istocie mają zapewnić sukces wyborczy (dopóki są jeszcze wybory). *Panem et circenses* wraca w nowej odsłonie i prowadzi do „nadprodukcji” pieniądza, co skutkuje inflacją. Walcząc zaś ze skutkami inflacji — zabiegając o sympatię wyborców, której władza nie może stracić — wprowadza rozliczne „działania osłonowe”, które przyspieszają inflację, rozkręcając swoistą spiralę.

Tak czy inaczej, w obozie władzy postawionym przed nieliberalną alternatywą „być albo nie być” dominuje myślenie krótkoterminowe; nie budowa republiki, obliczona na dekady (a może nawet, jak w czasach rzymskich, na stulecia) solidnego trwania w fundamencie oraz zrównoważonego wzrostu na wyższych piętrach, lecz na doraźne akcje związane z bieżącymi zagrożeniami, nakierowane na wyniki sondażowe. Przypomina to byle jak ułożone palenisko, które ledwie się żarzy, ale próbuje się je rozpałić, dorzucając słomy i polewając benzyną.

To z kolei — myślenie krótkoterminowe i interwencyjne — zaczyna w coraz większym stopniu naruszać równowagę makroekonomiczną*. Wyborcy wszak nie myślą w kategoriach długookresowej równowagi makroekonomicznej, ale tego, co mają dzisiaj w kieszeni. Naruszenie równowagi makroekonomicznej zaś — niczym homeostazy w organizmie czy ekosystemie — prowadzi do chaosu i przewlekłej choroby. Oto najważniejszy być może przyczynek do „synergii negatywnej”. Jak ta choroba się nazywa? Imię jej — stagflacja (inflacja połączona z recesją).

Mam wrażenie, że wszystko, co napisałem wyżej, to oczywiście oczywistości. Ale banały też czasem warto powtarzać. Powyższy opis był w znacznej mierze abstrakcyjny i ponadhistoryczny, ale — jak się zapewne czytelnicy

* Czymże jest „równowaga makroekonomiczna”? Oddajmy głos specjalście: „Jarosław JANECKI [...] zastosował do mierzenia równowagi <pięciokąt stabilizacji makroekonomicznej> (model stosowany wcześniej przez profesora Grzegorza KOŁODKO). <Pięciokąt> w prosty sposób pokazuje, jak wygląda sytuacja z inflacją, wzrostem PKB, stanem finansów publicznych, saldem na rachunku bieżącym i bezrobociem. Ujawnia relacje pomiędzy tymi wielkościami, bo ważne jest przecież, żeby gospodarka rosła, ale nie kosztem inflacji czy też wysokiego bezrobocia. W 2015 roku nie tylko wszystkie wskaźniki makroekonomiczne się poprawiały i były najlepsze w historii, ale np. pomimo deflacji gospodarka dość szybko i stabilnie rosła. Wchodziła właśnie w najsilniejszy i najzdrowszy cykl koniunkturalny w swej historii”. Jacek Ramotowski, *Gospodarka traci równowagę. Co jest tego powodem?*, 7.05.2022, <https://biznes.interia.pl/gospodarka/news-gospodarka-traci-rownowage-co-jest-tego-powodem,nId,6007003> (dostęp: 1.09.2022).

domyślają — inspirowany obecną sytuacją ekonomiczną, polityczną (a nawet, by tak rzec, „aksjologiczną”) w Polsce. Jestem gotów bronić tezy, że rządzący naszym krajem po 2015 roku robili wszystko jak trzeba, tylko dokładnie na odwrót. Będzie to — miejmy nadzieję — przewodnik na następne dekady i pokolenia, jak rządzić nie należy. Właściwie każda ważna decyzja rządzących miała wektor przeciwny do tego, który bym postulował. Nawet słynne 500 plus — które zostało zaakceptowane, siłą rzeczy, nawet przez opozycję — wydaje mi się prymitywnym i nieefektywnym sposobem redystrybucji dóbr i walki z obszarami ubóstwa, nie mówiąc już o impulsie proprokreacyjnym. Wyżej wymienione przyczynki do „synergii negatywnej” to tylko niektóre wektory o zwrocie przeciwnym do — według mnie — słusznego.

Co wszelako mam na myśli, posługując się tym terminem? Synergia — jak wiadomo — to współdziałanie różnych czynników, którego to współdziałania efekt jest większy niż suma tych poszczególnych czynników. Te czynniki czy działania, wzajem się wzmacniają: nie tyle się sumują, ile „iloczynują”. „Synergia pozytywna” przyczynia się do przyśpieszenia wzrostu, ekspansji, eksplozji, negentropii, a „synergia negatywna” — do przyśpieszenia upadku, zmarnienia, implozji, entropii. Przykładem „synergii negatywnej” — w historii Polski — były rządy saskie zakończone pierwszym rozbiorem. Ujmując zaś rzecz szerzej: był to proces, który został zainicjowany przez powstanie Chmielnickiego, a skończył się skurczeniem terytorium państwa — mającego milion kilometrów kwadratowych — do zera.

Wymieńmy zatem raz jeszcze hasłowo te przyczynki do „synergii negatywnej”: niestabilność prawa, zmniejszanie się inwestycji prywatnych, wielkie inwestycje państwowe obciążające budżet, gigantyczne transfery socjalne obciążające budżet (co prowadzi do wielkiego deficytu budżetowego, który jest ukrywany w ramach swoistej „kreatywnej księgowości”), dodruk i psucie pieniądza (efekt zależności banku centralnego od rządu) oraz — jako skutek — inflacja, zakłócenie równowagi makroekonomicznej, a na horyzoncie stagflacja. To — rzecz jasna — tylko wybrane przyczynki. Były też przyczynki zewnętrzne, niezależne od decyzji i działań rządzących, takie jak epidemia COVID-19 oraz wojna na Ukrainie*.

Wbrew „propagandzie sukcesu” jest źle, a nawet bardzo źle, ale nie bez nadziejnie. Zaczynamy obsuwać się po „negatywno-synergicznej” równi pochyłej, ale proces ten można wyhamować i odwrócić. Niezbędne są jednak trafne decyzje zarówno rządzących, jak i wyborców. Choć nie obejdzie się bez potu i łez,

* Inna sprawa, jak rządzący sobie z tą epidemią radzili. Odpowiedź wymaga pogłębionych badań porównawczych. Rzut oka na statystyki wskazuje jednak, że w tym wypadku rządzący zasłużyli — co najwyżej — na ocenę mierną. Jeśli zaś chodzi o wojnę na Ukrainie, reakcja rządzących wydawała się zdumiewająco trafna i „adekwatna”.

to — miejmy nadzieję — obejdzie się bez krwi. Na miejsce „jedz, pij i popuszczaj pasa” będzie musiało wkroczyć — na etapie zdrowienia — „pracuj i zaciskaj pasa” albo — jeśli ktoś woli — *ora et labora*.

Mamy, jako nacja, wyrzeźbione — w długim procesie historycznym — pewne wady i zalety. Warto wziąć je pod uwagę, projektując polski wariant społeczeństwa dobrobytu.

Zacznę od wady.

W dawnej Polsce sojusz króla i średniej szlachty (za późnych Jagiellonów) przeciwko rodom magnackim został osłabiony, a następnie zlikwidowany w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności biologicznych, historycznych i ustrojowych. Dynastia Jagiellonów wymarła, a ich szwedzcy dalecy potomkowie, czyli Wazowie, okazali się — ujmując rzecz w wielkim skrócie — nieroztropni i nieskuteczni. Rzeczpospolita szlachecka zamieniła się w Rzeczpospolitą magnacką. To zaś doprowadziło do klientelizmu. Średnia, a szczególnie biedna szlachta trzymała się „klamki magnata” i z nim wiązała nadzieje na karierę i lepsze życie. Rodziło to powiązania quasi-mafijne i wszechobecny nepotyzm. Kiedy patron rósł w siłę, rosła w siłę jego „klientela”, kiedy słabł i popadał w tarapaty, władzę i dochody tracili jego akolici. Model klientelski i nepotyczny głęboko wniknął w polską mentalność i kulturę. Odtwarza się więc w różnych okolicznościach ustrojowych i historycznych (różne koterie w czasach rządów sanacyjnych, różne koterie w PZPR). W polityce o typie klienckim mniej chodzi o program, dobro ogółu, rację stanu, zasady i wartości, a bardziej o zdobywanie wpływów i promowanie „swoich”, z kolei ci akolici odwzajemniają się bezkrytyczną wiernością wobec patrona. To wyjątkowo destrukcyjny i ogłupiający (uderzający w podmiotowość i samodzielne myślenie) typ stosunków społecznych i politycznych. Ostatnio — jak się wydaje — ponownie się odrodził i bujnie — niczym chwast — się rozplenił. Sprzyja temu własność państwa i związane z tym posady — na przykład w spółkach Skarbu Państwa — przynoszące pokaźne dochody przy minimum pracy; dodać do tego należy dobrze płatne etaty w administracji państwowej. Kto się trzyma klamki „magnata rosnącego w siłę”, może liczyć — on i jego rodzina — na liczne synekury.

Wypada w tym miejscu wypowiedzieć jeszcze jedną banalną uwagę: własność państwowa jest zazwyczaj nie tylko gorzej zarządzana niż prywatna (ta ostatnia pozbawiona jest bowiem parasola ochronnego „Skarbu Państwa”), ale jest też źródłem nepotyzmu i generatorem niejawnych układów i quasi-mafijnych zależności. Oto — innymi słowy — grunt, na którym wyrasta chwast klientelizmu. Jeśli chcemy zatem zlikwidować ten chwast, należy zlikwidować grunt, na którym wyrasta: ograniczyć więc własność państwową do koniecznego minimum lub — jeśli ktoś woli — do słusznego optimum. Ostatnio wszakże — podobnie

jak w końcowym okresie rządów sanacyjnych — wektor ma zwrot przeciwny: raczej nacjonalizacja, a nie prywatyzacja, jest promowana.

Innym ważnym sposobem walki z klientelizmem i nepotyzmem byłoby wprowadzenie apolitycznej — na wzór brytyjski — służby cywilnej. Próba taka została już podjęta, ale — w wyniku oporu materii społecznej skażonej klientelizmem — nie powiodła się. No cóż, wolno zasugerować, że do dwóch razy sztuka, może nawet do trzech. Próbować warto, bo to może zdecydować o bogactwie Polski i Polaków.

Odnotujmy na marginesie, że jednym z paradoksów najnowszej historii Polski jest fakt, że najbardziej żarliwy przeciwnik i tropiciel ukrytych układów (zwanych „pajęczynami”) stał się twórcą gigantycznego i — w znacznej mierze — jawnego układu.

Tak czy inaczej, prywatyzacja oraz odpartyjnienie administracji państwowej powinny powrócić i zmniejszyć — w ten sposób — zakres „partyjnych łupów” związanych ze zdobyciem władzy. Jeśli bowiem władzę zdobywają ludzie pozbawieni większych talentów (przywiązani jedynie do klamki magnata, „mierni, ale wierni”), to pojawia się pokusa, aby — powtórzmy — władzy raz zdobytej nie oddać nigdy, co uszkadza fundamenty liberalnej demokracji, uderzając w podział władz, skutkując — w dłuższej perspektywie — zapaścią gospodarczą i mizérią narodową. Te sprawy należy widzieć w ich wzajemnym powiązaniu.

Mamy jednak też pewne narodowe zalety, które z kolei należy rozwijać i wykorzystywać. Szczególnie jedna — w kontekście ekonomicznym — wydaje mi się cenna. Otóż posiadamy coś, co można by określić jako „czujność wobec zmienności”, czyli umiejętność radzenia sobie w zmieniających się okolicznościach, elastyczność i zdolność improwizacji (co jest zapewne skutkiem naszej „burzliwej historii” i brania udziału w „igrzyskach bogów”). Cecha ta może — w zależności od okoliczności prawno-ustrojowych — zamienić się w cnotę, albo też w wadę. Idzie — rzecz jasna — o ten pierwszy wariant. W wypadku mętnych, zmiennych i nieracjonalnych reguł skutkiem tej cechy jest cwaniactwo i kombinowanie (tak było w PRL-u), a w wypadku jasnych, trwałych i racjonalnych reguł skutkiem tej cechy jest inwencyjność, twórczość i przedsiębiorczość. Ale czymże są te reguły? To przemyślane, spójne — a nade wszystko — jasne i stabilne prawo gospodarcze i podatkowe. „Polski geniusz” wydaje piękne i zdrowe owoce nie w mętnej, ale w klarownej wodzie.

Na początku powieści *Anna Karenina* pojawia się słynne stwierdzenie Lwa Tołstoja, że wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, a każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób. Szczęśliwa rodzina ma bowiem (łącznie) pewien zbiór cech, brak którejkolwiek powoduje, że rodzina staje się swoiście nieszczęśliwa. Wydaje się, że podobnie jest z bogactwem

narodowym. Kraje bogate, zamożne i szczęśliwe są do siebie podobne (to połączenie liberalnej demokracji i wolnego rynku, z pewną tylko — mniejszą lub większą — dawką odgórnej regulacji i redystrybucji dóbr). Jeśli brakuje jednego z tych składników, kraje stacają się — szybciej lub wolniej — w nędzę i nieszczęście.

Ktoś może mi zarzucić, że poglądy wyżej zaprezentowane to poglądy „ortodoksyjnego liberała”, który ma wolnorynkowe klapki na oczach. Być może to prawda, ale wolno zapytać, czy to są „klapki na oczach”, czy też może wyostrzające widzenie okulary. Rację chyba miał Leszek Kołakowski, który uważał, że jeśli odrzuca się wolny rynek, to popada się w dyktaturę, tyranie, a nawet totalitaryzm (tyrania, jak w Chinach, może współistnieć z wolnym rynkiem, lecz brak wolnego rynku nie może współistnieć z ustrojem, w którym uznawane są indywidualne wolności i autonomia jednostki). Muszę przyznać, że — podobnie jak Kołakowski — nie lubię doktryn polityczno-gospodarczych w ich czystej postaci; wolę pewne kombinacje, które elastycznie należy stosować do zmieniającej się sytuacji historycznej. Obecnie zaszufłakowałbym się jako socjalno-konserwatywny liberał, choć nie wykluczam, że w innych okolicznościach stałbym się socjalno-liberalnym konserwatystą, a nawet liberalno-konserwatywnym socjalistą. Wydaje mi się, że taki sposób rozumowania i wartościowania to dalekie echo — wspomnianej już — politei Arystotelesa.

Marcin Chmielowski

politolog, filozof

Kraj na wiecznym dorobku. To pierwsze skojarzenie, jakie przychodzi mi na myśl, kiedy odpowiadam na pytanie o to, jak się mogą wzbogacić Polska i Polacy. Przez nieustanne porównywanie się z bogatszym od nas Zachodem sami nie zauważyliśmy, że Polska, ogromnym wysiłkiem, ale jednak, bardzo się wzbogaciła od 1989 roku i z perspektywy krajów biednych jesteśmy już w innym miejscu niż kiedyś. Sama granica Zachodu też się przesunęła. Dla Ukraińców czy Białorusinów — to my już jesteśmy tą dostatnią, bezpieczną krainą, a jeszcze nie tak dawno nią nie byliśmy.

Chcemy być jednak jeszcze wyżej w rankingach bogactwa — i to bardzo dobrze, zamożność jest ważna. Nie występuje wszak w próżni, dlatego kiedy myślę o wzbogaceniu się Polski i Polaków, to nie widzę tylko większych sztab złota dźwiganych przez kolejnego, oby rozsądniejszego, prezesa Narodowego Banku Polskiego. Nie widzę też po prostu coraz wyższych zielonych słupków notowań, abstrakcyjnych symboli wzrostu. Coraz wyższych drapaczy chmur, coraz większych samochodów, kolejnego rzędu wielkości wyrażonego jakąś walutą. To wszystko to oczywiste znamiona bogactwa, ale również pośrednio jego rezultaty. Bo ten rodzaj dobrobytu, materialnego, pozostaje zawsze w ścisłym związku z bogaceniem się na innych polach. Inaczej mówiąc, Polacy nie mogą bogacić się tylko gospodarczo. Za każdą zarobioną złotówką muszą stać także inne zyski.

I każda zarobiona złotówka, oprócz zarabiania kolejnych, musi też odpowiadać za zarobki zupełnie innego typu.

Bo ekonomia, abstrakcyjna, ale ważna dziedzina tłumacząca nam, jak działa gospodarka, nie istnieje w próżni. Tak jak należy być przeciwnikiem imperializmu ekonomicznego w nauce, tak również trzeba być przeciwnikiem myślenia tylko o ekonomii z punktu widzenia bogacenia się. Wzbogacenie się materialne nie jest nigdy oderwane od innych rodzajów zysków. Kapitał to coś więcej niż tylko pieniądze. Są też inne kapitały — kulturowy, społeczny, listę zresztą pewnie mogliby uzupełniać dalej socjolodzy. Bogacenie się polega na zdobywaniu ich — i obracaniu nimi. Rzeczywistość to targowisko, na którym możemy się wymieniać różnymi dobrami, po różnych kursach, z różnymi ludźmi, ale to targowisko ma także swój wymiar społeczny i kulturowy, a nie tylko gospodarczy.

Wzbogacenie się nie polega więc na czysto ekonomicznym pomnażaniu dobrobytu. To jest niemożliwe. Wzbogacić się Polacy mogą tylko wtedy, kiedy skutecznie będą obracać różnorodnymi kapitałami, tymi namacalnymi i nienamacalnymi, kiedy będą pamiętać o tym, że zysk to nie tylko pieniądze, ale też inne wartości i że niektóre z nich są niepoliczalne. W wielkim kantorze świata można je jednak zamieniać również na twardą walutę. Pieniądze można zarabiać także dzięki temu, że skutecznie wykorzystuje się kapitał kulturowy. Im ma się ich więcej, tym bardziej można też pomóc, oczywiście dobrowolnie, swojej wspólnocie, wydzwignąć innych, dać im wędkę, a nawet rybę tym, którzy są za słabi, aby łowić. Zarabianie to naczynia połączone, ale i gra o sumie dodatkowo. Polska gospodarka oraz Polska jako całość muszą być takimi grami. Zysk jednego gracza musi być zarazem zyskiem dla innych.

To obracanie kapitałów nie może się wszak odbywać w ten sposób, że głównym graczem jest państwo. Im więcej wymian, tym lepiej, ale do tego potrzebne są decentralizacja, wolność jednostki — idąca w parze z odpowiedzialnością za rezultaty wymiany, a także niewiele, lecz jasnych reguł. Środki wymiany też powinny być trwałe. Postulat pieniądza, który jest czymś więcej niż papierkami i żetonami z orzełkiem (a w dobie szalejącej inflacji, niestety, mierzymy właśnie w tym niepoważnym kierunku), powinien się łączyć z postulatem dezinflacji i innych kapitałów. Inflacja stopni, tytułów, ogólnie wszelkich zinstytucjonalizowanych form kapitału kulturowego, powoduje, że znaczą one coraz mniej. I nie jest to postulat krytyczny wobec sformalizowanych tytułów do tego kapitału, a jedynie wezwanie do remanentu. Warto przejrzeć listę swoich autorytetów i zastanowić się, kto znalazł się na niej dlatego, że jest głośny, a kto dlatego, że ma coś do powiedzenia. To również będzie świetny sposób na audyt zdewaluowanej przestrzeni publicznej.

Polacy mogą wzbogacić się na wiele sposobów. Zarobić kapitał, a później spożytkować odsetki od niego, od każdego z tutaj wymienionych kapitałów, różnorodnie. I tak powinni to zrobić, stawiając na dywersyfikację, finansowanie

różnych pomysłów — byleby bez szkodenia przy tym innym. Libertarianizm zresztą podpowiada, co jest zakazane: nie wolno zawłaszczać cudzego mienia i nie wolno fizycznie krzywdzić innych. Tyle reguł wystarczy, jeśli będą konsekwentnie egzekwowane i wszyscy będą pod nie podlegać.

Polska może zaś wzbogacić się tylko na jeden sposób. Wtedy, kiedy będą bogacić się Polacy. Nie ma bowiem Polski bez Polaków, a jak już pokazała historia, w drugą stronę jest to możliwe. Polska jako kraj czy państwo nie istnieje bez ludzi, którzy podpisują się pod tą identyfikacją, mówią o sobie, że są Polkami i Polakami. Nie istnieje też bogata Polska bez bogatych Polaków. Biedni Polacy zawsze będą oznaczać biedną Polskę.

Kazimierz Dadak

ekonomista

O BOGACENIU SIĘ NARODÓW

Każde społeczeństwo bogaci się dzięki wytężonej pracy, szczególnie przedsiębiorców. W pewnych wypadkach warunki naturalne mogą stwarzać bardziej dogodną pozycję wyjściową, ale nawet największe bogactwa można zmarnować. Niestety, historia naszego kraju dostarcza tu ważkich materiałów do przemyśleń.

Polska osiągnęła średni poziom rozwoju i aby dokonać dalszych postępów, konieczne jest podjęcie poważnych wysiłków w celu podniesienia poziomu wiedzy. W XXI wieku postęp gospodarczy opiera się na nowych technologiach i nowych rozwiązaniach organizacyjnych. Oczywiście solidne podstawy — w postaci sprawnego systemu finansowego, ram prawnych zapewniających szybkie i sprawiedliwe rozstrzygnięcie sporów, systemu podatkowego zachęcającego do ponoszenia ryzyka i podejmowania pracy, wydajnej biurokracji i dobrze rozwiniętej szeroko pojętej infrastruktury — są nadal istotne, ale same w sobie nie wystarczają do pokonania pułapki średniego rozwoju.

W Polsce powszechnie panuje przekonanie, że z jednej strony państwo stanowi zawadę w bogaceniu się obywatela, a z drugiej — że obniżenie podatków jest najlepszym sposobem stymulacji rozwoju. Owszem, państwo, które powołuje do życia przedsiębiorstwo zajmujące się handlem detalicznym (Krajowa Grupa Spożywcza) czy zarządzaniem hotelami (Polski Holding Hotelowy), jawnie

wykracza poza zakres swoich kompetencji, ale to nie powinno nam przesłonić oczywistej prawdy, że w niektórych zakresach państwo czy — szerzej patrząc — sektor publiczny (państwo i instytucje pozarządowe wspierane przez podatnika na przykład za pośrednictwem ulg podatkowych), może i musi odgrywać niemałą rolę. Takimi dziedzinami są oświata, nauka i prace badawczo-rozwojowe (B+R).

Wysiłek w zakresie B+R jest niezbędny do osiągnięcia przez rodzime przedsiębiorstwa czołowej pozycji w danej branży. Firmy, które przodują, są w stanie osiągać wysokie zyski i oferować wysokie wynagrodzenie. Zatem pożytki z B+R daleko wykraczają poza korzyści przypadające właścicielom przedsiębiorstw. Niestety, polskie koncerny nie należą do najlepszych w swoich branżach i tu żadnego zaskoczenia być nie może. Polskie nakłady w zakresie B+R odbiegają od przeciętnej europejskiej, nie mówiąc o tych notowanych w krajach nadających ton w najbardziej zaawansowanych technologiach, na przykład w Korei Południowej.

Tabela 1 obrazuje ten stan rzeczy (wszystkie dane odnoszą się do 2019 roku, czyli sprzed pandemii). Wybrana próbka obejmuje kraje naszego regionu, a także kilka czołowych państw Unii Europejskiej i Koreę Południową — państwo, które zadziwia osiągnięciami na tym polu, a które jest nie tak bardzo odległe od Polski pod względem liczby ludności.

Tabela 1

	Wydatki B+R, sektor publiczny (% PKB)	Wydatki B+R, sektor prywatny (% PKB)	Patenty triadyczne	Patenty triadyczne (na 1 milion mieszkańców)
Świat	b.d.	b.d.	57 032,0	7,4
UE (27)	0,74	1,48	11 491,1	25,7
Austria	0,93	2,20	384,7	43,3
Czechy	0,74	1,19	58,0	5,4
Dania	1,10	1,84	323,7	55,7
Finlandia	0,96	1,84	272,2	49,3
Korea Południowa	0,91	3,72	2558,0	49,5
Polska	0,49	0,83	87,7	2,3
Szwecja	0,95	2,43	852,1	82,9
Węgry	0,36	1,11	48,6	5,0

Dane za 2019 rok. Źródło: Eurostat, OECD.

Rodzime nakłady na B+R należały do najniższych w Unii Europejskiej. Dane zawarte w tabeli 1 pokazują ponadto, że stare powiedzenie „pieniądz przyciąga pieniądz” ma tu zastosowanie. Stosunkowo wysokie wydatki sektora publicznego (państwo, uczelnie, instytucje naukowe dobra publicznego) są w stanie zmobilizować sektor prywatny do większego wysiłku. Często mamy tu do czynienia z partnerstwem publiczno-prywatnym, dzięki czemu z punktu widzenia biznesu ryzyko nieuchronnie związane z takimi pracami jest niższe niż w wypadku samodzielnej działalności.

Patenty triadyczne to wynalazki, które są jednocześnie uznane przez trzy najpotężniejsze regiony Zachodu: Stany Zjednoczone, Unię Europejską i Japonię. Takie patenty powszechnie uważa się za światowe osiągnięcia. Dane na ten temat zamieszczone w tabeli 1 wskazują na to, że Polskę dzieli przepaść od bardziej rozwiniętych państw. Nasi naukowcy nie są w stanie wypracować tylu wynalazków światowej rangi co ich koledzy z Austrii, Danii i Finlandii, nie mówiąc o Szwecji i Korei Południowej.

Co gorsza, w Polsce mamy do czynienia z bardzo niską wydajnością nakładów B+R. W przeliczeniu na milion mieszkańców nasze jednostki badawczo-naukowe odstają nie tylko od najlepszych w Europie, średniej dla Unii Europejskiej, ale nawet od średniej światowej. A przecież w tym ostatnim wypadku do średniej wliczane jest zaludnienie krajów, które z powodu ubóstwa nie prowadzą absolutnie żadnej działalności w tym zakresie. Co prawda nasi regionalni konkurenci (Czechy i Węgry) także osiągają wyniki poniżej przeciętnej europejskiej i światowej, ale na tle Polski prezentują się całkiem dobrze, bo mają ponaddwukrotnie wyższą liczbę patentów triadycznych na milion mieszkańców.

Przytoczone dane wskazują na występujące nad Wisłą rażące braki w organizacji B+R, oczywiście niedociągnięcia w zakresie dostarczania bodźców do skutecznej działalności na tej niwie, jak i daleko idący brak nadzoru nad skutecznością wydawanych pieniędzy podatnika. Na uwagę zasługuje tu przypadek Węgier, w których niższe nakłady sektora publicznego przekładają się na wyższe wydatki sektora prywatnego i znacznie lepsze efekty, jeśli chodzi o liczbę patentów w przeliczeniu na milion mieszkańców.

Trzeba zatem podkreślić, że samo zwiększenie wydatków niczego nie gwarantuje. Konieczne jest wcielenie w życie takich ram prawno-organizacyjnych, który zachęcą do prowadzenia skutecznej działalności na tym polu.

Nieco lepszy obraz uzyskujemy, patrząc na wysiłki w zakresie finansowania szkolnictwa wyższego. Nasz kraj wydawał na ten cel tyle, ile wynosi średnia dla Unii Europejskiej, ale już poniżej przeciętnej dla OECD (patrz tabela 2, dane z zakresu wydatków na szkolnictwo wyższe odnoszą się do 2018 roku).

Notowania naszych uczelni nie zapierają tchu w piersiach — najlepsze znajdują się dopiero w piątej setce w rankingu szanghajskim. Dla porównania Szwecja ma w pierwszej setce trzy uczelnie, Dania dwie, a Finlandia jedną. Także w związku

z tym można się zastanawiać nad efektywnością wydawanych pieniędzy podatnika, ponieważ najlepsza uczelnia czeska znajduje się w setce trzeciej. Ogółem jeśli chodzi o wysiłki w dziedzinach kluczowych dla naszego bogactwa i naszej przyszłości, B+R i szkolnictwa wyższego, to mamy duże luki nie tylko w zakresie finansowania, ale szczególnie pod względem ram prawnych i organizacyjnych.

Tabela 2

	Wydatki na szkolnictwo wyższe (% PKB)	Całkowite przychody państwa (% PKB)
OECD	1,43	b.d.
UE (27)	1,19	46,0
Austria	1,74	49,2
Czechy	1,19	41,4
Dania	1,72	53,6
Finlandia	1,53	52,3
Korea Południowa	1,57	34,8
Polska	1,20	41,0
Szwecja	1,56	49,7
Węgry	1,07	43,9

Dane za 2018 rok. Źródło: OECD, Eurostat.

W tabeli 2 zamieszczono także dane na temat obciążenia podatkowego. Wbrew powszechnej opinii na tle Unii Europejskiej ciężar podatkowy w Polsce nie rysuje się jako wysoki. Tu dochodzimy do podstawowej sprawy: rozmawiając o podatkach, nie można patrzeć tylko na jedną stronę równania (ile wynoszą), ale i na drugą, czyli na jakie cele podatki są pożytkowane i jaka jest jakość otrzymywanych od państwa usług. Albowiem podatki to nie jest jakaś „kara” za bycie obywatelem danego kraju, lecz „składka” mająca na celu pokrycie wydatków na dobra i usługi, których obywatel i mniejsze społeczności nie są w stanie same sobie dostarczyć, a które są niezbędne.

W naszych rozważaniach z braku miejsca skupiliśmy uwagę na drobnym, ale nadzwyczaj istotnym wycinku usług świadczonych przez państwo, czyli B+R i szkolnictwie wyższym. Niemniej z tych danych płynie wniosek, że wysokie podatki nie stanowią przeszkody w osiągnięciu bogactwa.

Na przykład Szwecja, kraj, w którym państwo „zżera” niemal 50 procent PKB, cieszy się bardzo wysoką stopą życiową i — co dla naszych rozważań nadzwyczaj istotne — jest w stanie utrzymać na swoim obszarze bardzo konkurencyjne przedsiębiorstwa i sprzyja powstawaniu nowych. W tym państwie swoją siedzibę ma tak zaawansowana technologicznie firma jak Ericsson. Podobna sytuacja panuje w sąsiedniej Finlandii, gdzie mieści się siedziba Nokii. Ani jedno, ani drugie przedsiębiorstwo nie wyraziło najmniejszej chęci przeniesienia się do Stanów Zjednoczonych, gdy prezydent Trump wysunął taką ideę. Koniecznie trzeba podkreślić, że rynki wewnętrzne Szwecji i Finlandii są malutkie w porównaniu z rynkiem amerykańskim, co samo w sobie stanowi ważki argument na rzecz przenosin za ocean. A jednak pomysł spalił na panewce! Podobnie o przenosinach do jakichś rajów podatkowych nie myślą Electrolux, Volvo czy IKEA. Bo w rajach podatkowych jest pod dostatkiem oligarchów i bogatych emerytów, ale jak na lekarstwo — świetnie wykształconych i energicznych menedżerów i pracowników.

Tu właśnie leży sedno sprawy — sprawność wydatków państwa. Szwecja dochody z podatków wydaje efektywnie. W kraju tym mamy do czynienia z instytucjami B+R na najwyższym światowym poziomie. Imponuje również szkolnictwo wyższe, łącznie ze szkołami biznesu. A poziom i zakres usług, które władze świadczą obywatelowi, są zgodne z jego oczekiwaniami. Dlatego Szwecja jest krajem, z którego niechętnie się emigruje, a który jednocześnie stanowi magnes dla zdolnych i przedsiębiorczych imigrantów. To właśnie do Szwecji przybyli rodzice Sebastiana Siemiątkowskiego. Właśnie tam zdobył on wykształcenie (w znakomitej uczelni Stockholm School of Economics) i tam założył firmę Klarna. Nie inaczej mają się sprawy z Finlandią, Austrią i Danią.

Na drugim biegunie w przedstawionej przez nas próbcie jest Korea Południowa. Jej system gospodarczy jest dużo bardziej zbliżony do amerykańskiego — wolnorynkowy. Zakres usług, które dostarcza państwo, jest dużo niższy od tych występujących w typowym kraju europejskim, na przykład brak jest tam powszechnego zasiłku dla bezrobotnych. Stąd podatki są dużo niższe niż w Europie. Niemniej wydatki sektora publicznego na interesujące nas programy są wysokie i ich wyniki są imponujące.

O tym, czy w Polsce należałoby wcielić w życie model skandynawski, czy koreański, będą musieli zdecydować najbardziej zainteresowani, czyli obywatele. Celem niniejszego szkicu było jedynie przedstawienie różnych możliwości, albowiem prowadzona w naszym kraju polityka gospodarcza — szczególnie w zakresie wydatków państwa (czyli podatnika) na B+R i szkolnictwo wyższe — gwarantuje dalsze trwanie stanu obecnego, a to oznacza powolne tempo wzrostu gospodarczego i tym samym ograniczone możliwości bogacenia się obywatela.

Aleksander Galos

prawnik korporacyjny

Ten płyn to przyszłe bogactwo kraju, to dobrobyt i pomyślność dla jego mieszkańców, to nowe źródło zarobków dla biednego ludu i nowa gałąź przemysłu, która obfite zrodzi owoce.

PRZYPOWIEŚĆ O TALENTACH

Słowa zacytowane powyżej zostały wypowiedziane w połowie XIX wieku przez Ignacego Łukasiewicza, polskiego farmaceutę i chemika. Czuć w nich fascynację, entuzjazm i moc. Kogo dzisiaj w Polsce stać na taką odwagę? Kto dzisiaj miałby podstawę tak optymistycznego przekazu? Istotnie, te słowa okazały się prorocze. Wyprodukowany przez Łukasiewicza destylat zapoczątkował bogactwo, pomyślność i źródło zarobku dla biednego ludu, ale akurat nie tego, który Łukasiewicz miał pewnie na myśli, i nie temu krajowi zrodził największe owoce, którego pan Ignacy czuł się obywatelem i wielkim patriotą.

Dzisiaj o dostęp do surowca dla tego destylatu, ropę, toczą się wojny, a w kontrolę nad źródłami zaangażowane są dyplomacje i armie wszystkich supermocarstw. Spółki zarządzające jego wydobyciem, przetwarzaniem i dystrybucją produktów wyznaczają politykę rządów i całym regionom świata.

Odkrycie Łukasiewicza to zarazem przykład jednej z największych, a może największa w historii, niewykorzystanych okazji do wzbogacenia się, jakie

Opatrzność podsunęła Polsce i Polakom. Czy tę szansę można było spożytkować lepiej? Znajdziemy dziesięć powodów, dla których to nie mogło skończyć się sukcesem na skalę krajów arabskich, zakaukaskich, Rosji czy Ameryki Północnej, z czego pierwszy jest taki, że w Polsce... nie doszukaliśmy się porównywalnych złóż ropy. Ale czy tylko dlatego? Przecież w 1850 roku, nawet będąc pod zaborem, wyprzedzaliśmy każdego z późniejszych beneficjentów boomu naftowego pod względem rozwoju czy kompetencji. Co zatem sprawiło, że dokonania Łukasiewicza nie przełożyły się w Polsce na sukces wykraczający poza granice ówczesnej i obecnej Polski?

Trzydzieści lat po odkryciach Łukasiewicza, 5 kwietnia 1883 roku, dwaj chemicy z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Karol Olszewski i Zygmunt Wróblewski, po raz pierwszy w historii dokonali skroplenia tlenu, a kilka dni potem uzyskali ciekły azot. Dzisiaj skraplanie gazów jest działaniem rutynowym i w czasie wojny z Rosją po jej ataku na Ukrainę umożliwiało transport LNG z odległych krajów do Europy, w tym do Polski, łamiąc monopol Gazpromu.

Na tym nie koniec. W 1893 roku, zaledwie dziesięć lat po dokonaniach krakowskich chemików, krakowski „Czas” donosił o ciekawym wydarzeniu na paryskiej Sorbonie: „Panna Maria Skłodowska złożyła egzamin na wszechniczy paryskiej z niezwykłym powodzeniem. [...] Do egzaminu stanęło 66 kandydatów i jedna kandydatka, stopień naukowy przyznano 19 osobom, w tej liczbie panna Skłodowska była pierwsza na liście. Fakultet zwrócił jej pieniądze, wniesione za prawo zdawania i koszt egzaminów”. Po kolejnych osiemnastu latach, w 1911 roku, niegdysiejsza panna Maria, a wówczas już *madame* Maria Skłodowska-Curie, jako pierwsza kobieta otrzymała Nagrodę Nobla dzięki odkryciu polonu i radu oraz za zbadanie metalicznego radu, a więc z... chemii. Bo jakżeby inaczej. Warto dodać, że zaledwie osiem lat wcześniej była współlaureatką Nagrody Nobla wraz z mężem Piotrem Curie i Antoine’em Henrim Becquerellem za prace nad promieniotwórczością.

I tym razem nie ma potrzeby wymieniania późniejszych praktycznych zastosowań tych odkryć na skalę przemysłową. Nie ma też potrzeby wskazywania, że i tym razem ani Polska, ani Polacy, ani polskie firmy nie byli i nie są głównymi beneficjentami korzyści finansowych wynikających z ich zastosowania.

Jakby na przekór temu, do wybitnego grona polskich uczonych niebawem doszła cała plejada kolejnych chemików, również mających realne szanse na Nobla. Wspomnieć więc trzeba profesora Jana Czochralskiego, genialnego wynalazcę stosowanej do dzisiaj metody otrzymywania monokryształów krzemu, będącej podstawą procesu produkcji układów scalonych. Czy jednak w tym przemyśle i w biznesie z nim związanym mamy jakieś spektakularne osiągnięcia przemysłowe? Następna postać to profesor Wojciech Świątosławski, który jako polityk był, niestety, zwolennikiem niechlubnego getta ławkowego, ale jako naukowiec był ponoć aż sześciokrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie chemii — tak

przed wojną, jak i w czasach najtwardszego komunizmu w Polsce lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. Czy w końcu profesor Mieczysław Mąkosza, autor ponad trzystu publikacji naukowych, kilkudziesięciu patentów i doktor *honoris causa* wielu uczelni, w tym zagranicznych.

Wydawałoby się zatem, że mając tak poważne atuty, Polacy powinni mieć znacznie większy udział w komercjalizacji osiągnięć nauk chemicznych. Większość podanych wyżej odkryć dotyczy jednak trudnych dla Polski okresów jej historii. Najpierw zabory, potem zbyt krótkie dwudziestolecie i znowu popadnięcie w jarzmo obcej dominacji w czasie komunizmu. Tym by można tłumaczyć, dlaczego Polacy nie rozwinęli w kraju firm i przedsiębiorstw działających na skalę międzynarodową, takich jak BASF, SOLVAY, du Pont, BAYER, HENKEL czy Imperial Chemical Industries. Gdyby wszak sukces gospodarczy zależał tylko od wolności politycznej, to po 1989 roku należałoby się spodziewać wręcz eksplozji pomysłów, dokonań czy przemysłowych zastosowań „duszonej” wcześniej nauki.

I rzeczywiście, w opublikowanym w 2015 roku, zatem ćwierć wieku po odzyskaniu niepodległości, wywiadzie z profesorem Bogusławem Buszewskim, ówczesnym prezesem Polskiego Towarzystwa Chemicznego, padają na początku napawające optymizmem słowa: „Polska chemia postrzegana jest jako najlepiej sklasyfikowana dyscyplina naukowa ze wszystkich dyscyplin uprawianych w naszym kraju. Zajmuje 9–11 miejsce na świecie, w zależności od rankingu. Nasi chemicy są dobrze wykształconymi naukowcami w sensie nauk podstawowych, realizującymi interdyscyplinarne tematy”. Czy to jednak przekłada się na nadzwyczajne osiągnięcia rodzimych spółek w globalnej konkurencji? Być może są jakieś punktowe osiągnięcia, a jeśli tak, to przynajmniej powszechnie niewiele o nich wiadomo.

Jako kraj także w innych niż chemia obszarach nie dorobiliśmy się marek i rozwiązań powszechnie znanych. Takimi zaś mogą się poszczycić o wiele mniej liczebne nacje. Wystarczy wspomnieć takie kraje jak Portugalia — około 10 milionów mieszkańców (twórca i właściciel Biedronki), Czechy — około 10 milionów (Škoda umiejętnie wykorzystująca synergii z niemieckim przemysłem motoryzacyjnym), Finlandia — około 5,5 miliona (i jej słynna Nokia), Irlandia — około 5,2 miliona (do niedawna kontrolowała jedną z większych grup finansowych w Polsce, bank BZ WBK zbyty do Santander) czy Słowenia — około 2,2 miliona (marki Krka czy Gorenje są znane w całej Europie). To nie są kraje o prostej historii. Część z nich przeszła koszmar komuny czy innych rewolucji społecznych, braku państwowości, izolacji politycznej i gospodarczej, a nawet zwyczajnej biedy graniczącej z głodem. Przykłady można mnożyć. Zatem tragedie historyczne nie powinny być jedynym usprawiedliwieniem.

Można było oczekiwać, że nadzieja będzie w nowych polskich dokonaniach po 1989 roku. Owszem, w tym czasie udało nam się wytworzyć kilka rodzimych grup właścicielskich o sporym lokalnym znaczeniu. Większość z nich jednak

zagospodarowuje rynek krajowy, przy czym, co znamienne, sporo z nich transferuje kapitał poza Polskę i działa już jako „obce” przedsiębiorstwa. Niewiele z nich buduje pozycję regionalną, europejską, nie mówiąc o światowej, choć zdarzają się pojedyncze przykłady, takie jak Maspex, w pewien sposób CD Project RED i kilka podobnych, a wcześniej InPost i Ingot. Ucieczka kapitału polskiego poza granice kraju lub oddawanie firm polskich w ręce zagranicznych funduszy (skutek ten sam, bo pieniądze zwykle nie zostają już w Polsce) mogą być ekonomicznie zrozumiałe, ale z perspektywy głównego pytania z pewnością nie działają na wzrost zamożności całej społeczności lokalnej.

W związku z tym można się przyjrzeć nowemu biznesowi, młodemu, innowacyjnemu, budowanemu na największym zasobie, jaki mamy — inteligencji, wykształceniu i przedsiębiorczości młodszego pokolenia (a więc znowu „droga Łukasiewicza, Olszewskiego czy Marii Skłodowskiej”). Kiedy spojrzymy na listę dwudziestu najbardziej obiecujących start-upów w 2021 roku*, to uderzające są dwie rzeczy. Pierwsza, to że większość z nich działa w sferze szeroko rozumianych rozwiązań opartych na Internecie, a tylko wyjątkowo w sferze wytwarzania dóbr ściśle materialnych, po drugie zaś, że kwoty, jakie są przeznaczane na ich rozwój, są stosunkowo niskie, bo najwyższe to kilkadziesiąt milionów złotych czy euro. W warunkach polskich są one znaczne, ale na tle kapitałów światowych kwoty te są w ogóle pomijalne. Stąd domniemanie, że wcześniej czy później większość z nich, jeśli wciąż będą obiecujące, znajdzie właścicieli poza krajem, co oznacza, że twórcy zaliczą spore przychody (patrz wspomniany InPost), ale kluczowa wartość dodana będzie już generowana gdzie indziej.

Przy tej okazji warto wspomnieć, że mimo głośnych zapowiedzi wciąż nie widać zainteresowania wspieraniem takich projektów przez rząd i kapitał polityczny. Na takie zaś narodowe wsparcie z pewnością zasługuje niejeden z nich, jak choćby rozwój przełomowej technologii ogniw fotowoltaicznych z perowskitów, czyli z minerałów, które można stosować w postaci elastycznej, cienkiej jak folia warstwy w dowolnym kolorze, praktycznie wszędzie: na ścianach, oknach, kadłubach samolotów, karoseriach samochodów, ubraniach czy telefonach, opracowanej przez Olgę Malinkiewicz. Ten brak zainteresowania polityków jest znamieny. Charakterystyczne jest to, że żadna ze stron sporu politycznego nie podnosi już postulatów dotyczących wsparcia dla prywatnego biznesu, stworzenia dla niego warunków konkurencyjności itd. Praktycznie wszyscy liderzy polityczni koncentrują się co najwyżej na kontroli nad przemysłem państwowym, a przede wszystkim na sposobie wydawania pieniędzy, kupowaniu poparcia, a nie na tworzeniu warunków ich pomnażania. Poza działaniami fiskalnymi i rozdawniczymi, przez co coraz bardziej ograniczają przedsiębiorczość czy zniechęcają do niej...

* Zob. <https://mycompanypolska.pl/artukul/ranking-25-najlepszych-polskich-startupow-edycja-2021/7521> [dostęp: 17.07.2022].

Osobną kwestią, już w mniejszym stopniu polityczną, a bardziej społeczną, jest zauważalny brak sukcesji w drugim pokoleniu założycieli firm prywatnych. Wiele przedsiębiorstw powstałych na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, których właściciele w pierwszym pokoleniu doszli do znakomych rezultatów, z czasem albo wygasza swoją działalność, albo oddaje ją w inne ręce, nie zawsze już umiejące kontynuować jej rozwój. Nie zbudowaliśmy etosu kontynuacji prowadzenia biznesu w drugim czy trzecim pokoleniu. Ten zaś był fundamentem największych dzisiaj gospodarek Zachodu.

Na to wszystko nakładają się inne jeszcze negatywne zjawiska społeczne, takie jak drenaż talentów przez zachodnie uniwersytety i przedsiębiorstwa, coraz dotkliwszy brak wykwalifikowanej kadry w kraju, która mogłaby wspierać rozwój i inwestycje, a to ona decydowała niegdyś o naszej przewadze nad innymi państwami*, brak pracowników nawet podstawowego i średniego szczebla, zmiany kulturowe w postaci ciągłej zmiany i braku przywiązania do miejsca pracy i wiele innych, nieznanych wcześniej faktów, utrudniających planowanie i skalowanie biznesu.

Można powiedzieć, że te zjawiska i zmiany dotyczą wszystkich, nie tylko Polski. Ale że Polska to kraj wciąż na dorobku, bez istotnych zasobów w postaci tzw. starych pieniędzy, jest znacznie bardziej narażona na ich skutki niż gospodarki i przedsiębiorstwa wielu innych państw. Te zaś nieodmiennie wykorzystują każdą sytuację kryzysu do dalszej ekspansji gospodarczej, bo w takich warunkach, gdy „Cash is the King”, czyli gdy gotówka dyktuje warunki transakcji, najłatwiej jest zdobyć wcześniej trudno osiągalne pozycje.

I tu dochodzimy do odpowiedzi na tytułowe pytanie „Jak się wzbogacić mogą Polska i Polacy?”. Najprostsza, trywialna wersja tej odpowiedzi jest powszechnie znana i brzmi tak: „Wytrwałością i pracą ludzie się bogacą”. Chyba że mówimy o kraju, gdzie tym wysiłkom stanie na drodze zwykła ciemnota rządzących, marnowanie szans i talentów, a w końcu brak szacunku dla wysiłku przeszłych pokoleń. Często zapominamy, że wolność kraju ani nie legitymizuje, ani nie usprawiedliwia braku wyobraźni, nie mówiąc o głupocie.

Przemysł chemiczny, wspomniany na wstępie, to tylko jeden z przykładów marnowania zasobów, braku współpracy i wyobraźni liderów. W Polsce wciąż rodzą się talenty na miarę Łukasiewicza, Marii Skłodowskiej czy pary Olaszewski i Wróblewski. Znamy z przeszłości wielu innych wybitnych wynalazców i innowatorów w innych branżach: w motoryzacji, w IT, w przemyśle lotniczym... Są tacy i dzisiaj. Ich talenty to dary od Boga. Ale choćby nie wiadomo jak był On szczodry, to gdy w ludzkich głowach braknie wyobraźni, zostaniemy

* Menedżer jednej z globalnych firm konsultingowych opowiadał, że o ulokowaniu w latach dziewięćdziesiątych XX wieku regionalnej centrali ich biznesu w Polsce zadecydowało to, że matematyka była przedmiotem obowiązkowym na maturze. To niejedyny taki przykład.

społeczeństwem wiecznie sfrustrowanych wynalazców, lepiej realizującym swoje indywidualne zdolności i aspiracje za granicą niż w kraju, z korzyścią dla innych nacji niż nasza. Tam i owszem, Polacy z pewnością się wzbogacą, ale Polska jako kraj już niekoniecznie. Dlatego wbrew populistycznym zapędom większości polityków trzeba o biznes rodzinny dbać. Nie tylko o ten kontrolowany przez państwo. Wbrew wszystkiemu budować warunki jego rozwoju.

Zacząć trzeba od podstaw, od pragmatycznego podejścia do kształcenia nowych pokoleń i zarządzania nauką. Obok pomników postawionych naszym narodowym bohaterom i męczennikom ciała i ducha, nie burząc ich, budujemy centra nauki i postępu technicznego, twórzmy modę na wiedzę i rozwój. Zamiast promowania w mediach publicznych prymitywizmu i celebrytów chełpiących się arogancją, twórzmy modę na ludzi myślących, wspierajmy koła wynalazców i start-upowców, dbajmy o utalentowanych i chętnych do pracy twórczej, a przede wszystkim uczciwie wynagradzajmy talenty, by płaca budżetowego pracownika nauki, nauczyciela, wynalazcy, prekursora nie była synonimem utraty godności, jak to nieraz bywa. Lecz w pierwszej kolejności zatrzymujmy najlepszych z nich w kraju. Nie dościgniemy najbogatszych, ale możemy się z nimi zrównać potencjałem rozwojowym.

Jeśli rozsądek zwycięży i nasza polityka kształcenia dzieci i młodzieży, nauka kompetencji społecznych, współpracy i zarządzania talentami wejdzie na właściwe tory, to dla Polski i Polaków staną się one źródłem rozwoju i bogactwa. Przywołując klasyka: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Po ponad czterystu latach, od kiedy pierwszy raz sformułowano tę myśl w akcie fundacyjnym Akademii Zamojskiej, nie straciła ona na aktualności. Proste?

Kamil Rafał Gancarz

finansista, przedsiębiorca

Aby odpowiedzieć na tak postawione pytanie, trzeba najpierw ustalić, czym jest i czym będzie bogata Polska. Bo o ile bogactwo Polaków jest zdecydowanie bardziej uchwytnym konceptem, dotyczącym zamożności, stanu posiadania czy też pewnych cech składników majątkowych rodaków, o których to elementach powiem później, to czymże jest właściwie bogata Polska?

W mojej opinii bogata Polska oznacza kraj, którego obywatele (co nie wyklucza też rezydentów innych narodowości) są przede wszystkim osobami majątkowymi, tj. posiadającymi odpowiednią liczbę składników majątkowych pozwalających zapewnić im i ich rodzinom swobodne i bezpieczne finansowo życie, gdzie aktywność zawodowa i społeczna naszych rodaków może być nakierowana na budowanie wartości dla innych: dla pracodawcy, dla klientów, dla lokalnej i krajowej społeczności. To kraj, gdzie aktywność ta nie musi być nastawiona *stricte* na wymiar tylko finansowy prowadzonej działalności gospodarczej czy pracy zawodowej. To miejsce, gdzie obywatele nie muszą walczyć o swoje przetrwanie i o przetrwanie swoich rodzin ani mierzyć się z aparatem państwowym, walcząc o poszanowanie swojego majątku albo wręcz niekiedy o godne życie. To państwo, gdzie wpływy podatkowe są roztropnie alokowane, zwiększając komfort, bezpieczeństwo, jakość życia poszczególnych lokalnych społeczności, jak i całego narodu.

Myślę, że większość polskich podatników (szczególnie tych zamożniejszych) nie ma poczucia partycypacji i dumy z budowania lokalnego krajobrazu,

infrastruktury i całokształtu ich otoczenia, które daje im samym, a także innym rodakom, lepszy standard życia. Raczej czują oni, że płacone podatki są nazbyt bliskie swojej formalnej definicji, czyli są obowiązkowym świadczeniem pieniężnym pobieranym przez związek publicznoprawny (państwo) bez konkretnego, bezpośredniego świadczenia wzajemnego.

Nie twierdzę, że należy domagać się bezpośrednich świadczeń wzajemnych, ale w coraz bardziej zglobalizowanym i połączonym za pomocą technologii informacyjnych świecie państwo staje się powoli „swoistym” dostawcą usług dla obywateli i jego rezydentów. Usługi te są i będą oceniane przez pryzmat jakości, dostępności i bezpieczeństwa, które zapewniają i gwarantują. Za te „usługi” pobierane jest wynagrodzenie w postaci podatków i różnej maści opłat publicznoprawnych.

Jeżeli Polska ma być bogatym i dostatnim krajem, musi stać się najlepszą „firmą”, którą każdy chciałby wybrać jako dostawcę tak poważnych świadczeń, jakimi są bezpieczeństwo osobiste i narodowe, ład społeczny, a także infrastruktura, która zapewnia jednostkom możliwość i potencjał do bogacenia się.

Kiedy mówimy o byciu najlepszym „przedsiębiorstwem”, nie możemy zapominać o tym, że usługodawca pobiera za realizowane przez siebie świadczenia odpowiednie wynagrodzenie. W wypadku państwa wynagrodzeniem tym są podatki i inne opłaty publicznoprawne.

Zadajmy sobie teraz pytanie, czy płacone podatki, składki na ubezpieczenia społeczne oraz inne opłaty zapewniają nam, Polakom, adekwatną jakość usług, które oferuje nam nasz kraj, i czy czujemy, że publiczne pieniądze są prawidłowo alokowane.

Brak zdecydowanej, jednoznacznej odpowiedzi twierdzącej nie buduje fundamentu zaufania do aparatu państwowego i jego urzędników. Brak tego zaufania przekłada się na brak poczucia wspólnoty i poszanowania narodowej, a także lokalnej własności.

Myślę, że w wypadku lokalnych społeczności oczekiwania dotyczące prawidłowego alokowania środków finansowych w budżetach miast czy gmin są zdecydowanie silniejsze niż na poziomie budżetu centralnego. Sposób finansowania budżetów samorządowych jest jednak zbyt zależny od władzy centralnej, co znów przekłada się na brak powiązania poniesionych kosztów podatkowych z tym, czego możemy jako Polacy doświadczyć w zamian w naszej lokalnej społeczności.

Jak więc dojść do poczucia wspólnoty i dbania o dobro wspólne Polaków?

Odpowiedź na to pytanie, o dziwo, w mojej opinii nie jest aż tak skomplikowana, lecz raczej czasochłonna.

Najpierw musimy bowiem zadbać o bogactwo Polaków, o ich osobisty stan posiadania, który doprowadzi do wysycenia się podstawowych, lecz i tych bardziej wyszukanych potrzeb i uwolni potencjał intelektualny oraz potencjał do

działania, tak że obywatel już nie będzie musiał walczyć o dobro swoje, swojej rodziny, czasem nawet o przetrwanie, a będzie mógł się zastanowić, co może zrobić dla swojej lokalnej społeczności. Co może zrobić dla idei, która jest dla niego ważna, dla celów społecznych, jakie są bliskie sercu tego konkretnego bogatego Polaka, dla swojej ojczyzny, dla Polski, dla innych rodaków.

Powinniśmy mieć świadomość, że pieniądze nie rozwiążą od razu każdego problemu. Wyczerpanie nadmienionych potrzeb nie nastąpi natychmiastowo — czasem trzeba będzie poczekać dopiero na kolejne pokolenie ludzi wychowanych w dobrobycie, ale także wychowanych do bycia sukcesorem majątku, do wzięcia odpowiedzialności za ten majątek, do kontynuowania pracy nad jego wzrostem przez całe swoje życie zawodowe i społeczne, no i do powołania nowego pokolenia do kontynuowania i chronienia spuścizny rodzinnej. W takiej atmosferze będą formować się nowe elity, które naturalnie — nienaglone już koniecznością pędu do szybkiego wzbogacenia się — będą mogły troszczyć się również o otaczającą je lokalną społeczność i dobro ojczyzny i narodu.

Skoro ustaliliśmy, że potrzebujemy bogatych Polaków, w tym także takich, którzy budują i utrzymują majątek na pokolenia, dochodzimy teraz do rzeczy znacznie trudniejszej: jak mianowicie mają się wzbogacić Polacy?

Po pierwsze, bogactwo wyrasta w tych miejscach, gdzie istnieje fundamentalne poszanowanie własności prywatnej. By przejść do budowy majątku jednostki czy rodziny, należy zacząć od uwarunkowań systemowych.

Zamożne społeczeństwa, posiadające duże majątki, powstają w krajach, gdzie własność prywatna jest prawnie chronioną wartością. Przepisy zabezpieczają własność posiadacza poszczególnych klas aktywów i chronią ją przed bezprawnym zaborem ze strony zarówno przestępców, jak i urzędników. W zamożnych społeczeństwach istnieje również swoista ciągłość i stabilność prawa, która umożliwia inwestorom i przedsiębiorcom podejmowanie ryzyka rynkowego bez konieczności uwzględniania prawdopodobnej nagłej zmiany „zasad gry” przez regulatorów bądź ustawodawcę. Krajami takimi są na przykład Szwajcaria, Księstwo Liechtensteinu, a także Stany Zjednoczone Ameryki, które może w XXI wieku czasem zbyt daleko odchodzą od swoich fundamentalnych wartości, ale to właśnie na tych wartościach zbudowano tam dobrobyt.

Wracając do naszej sytuacji: niestabilność prawa i brak jego ciągłości, niejasne, niestabilne normy w systemie sądowniczym, podatkowym oraz w miejscach, w których zapadają inne istotne dla biznesu i budowania kapitału decyzje urzędnicze, znacznie zwiększają ryzyka inwestycyjne.

Poszanowanie własności prywatnej to nie tylko stabilność prawa, ale też silna jej ochrona przez to prawo. Jeśli w Polsce istnieją prawne konstrukcje takie jak konfiskata rozszerzona, system automatycznego blokowania rachunków bankowych przedsiębiorcy na 72 godziny, z możliwością jego przedłużenia do trzech miesięcy, działania zabezpieczające urzędów skarbowych w toczących się,

a niezakończonych skutecznie postępowaniach karno-skarbowych i tym podobne narzędzia, nie możemy mówić o posiadaniu prawnej ochrony majątku.

Co więcej, nie wystarczy systemowa ochrona aktywów Polaków, potrzebny jest jeszcze etos budowania majątku, odnalezienia wartości w tym, że ktoś się bogaci i że prędzej czy później środki finansowe tej zamożnej osoby trafią także częściowo do społeczeństwa — czy to w postaci zatrudnienia, konsumowania lokalnych produktów i usług, czy w formie bezpośredniej działalności charytatywnej lub społecznej. Brak szacunku do osób majątnych bądź bogacących się na dostarczaniu wartości innym bierze się z naleciałości poprzedniego systemu, kiedy to środki finansowe gromadzono przez kradzież dóbr wspólnych lub od przedsiębiorcy państwowego, obchodząc system, „kombinując” albo kolaborując z aparatem partyjnym czy nawet bezpieczeństwa.

Takie postawy i skojarzenia musimy bardzo stanowczo odrzucić i się z nich „leczyć”; należy zrozumieć, że w momencie, gdy dysponujemy swobodą gospodarczą (oczywiście reglamentowaną przepisami prawa), to zysk ekonomiczny przedsiębiorcy czy pracownika bierze się z tego, że te podmioty dostarczają wartość innym uczestnikom rynku. Zakładam tutaj oczywiście warunek, że wymiana była dobrowolna.

Skoro pieniądze zarabia się, dostarczając wartość, to przedsiębiorca i pracownik naturalnie powinni dbać o dostarczanie możliwie najwyższej jakości za daną cenę.

Zmiana etosu i budowa szacunku wobec osób majątnych, które dorobiły się uczciwie, rozwiązując problemy swoich klientów, jest jednym z warunków potrzebnych do osiągnięcia celu postawionego przed niniejszą debatą. Nie jest to warunek jedyny.

Długofalowa budowa majątku wymaga planu, kompetencji, a tym samym świadomego ustawicznego działania w określonym kierunku, w ramach którego zestaw podejmowanych decyzji jest nakierowany na budowę majątku w długiej perspektywie. Przez długą perspektywę rozumiem nie kilka lat w przód, ale okres co najmniej do statystycznie oczekiwanego końca życia człowieka. Niemniej preferowany horyzont myślenia o majątku powinien stanowczo wykraczać poza jedno pokolenie. I teraz pytanie: ile osób myśli o tym, co stanie się z ich majątkiem, już nie tylko osobistym, ale właśnie majątkiem rodzinnym, za pięćset lat?

Może to zabrzmieć dość egzotycznie, ale badania przeprowadzone przez ekonomistów Guglielma Baronego oraz Saura Mocettiego z Banku Włoch w 2011 roku we Florencji pokazały, że najbogatsze rodziny w tym mieście są potomkami najbogatszych rodzin z 1427 roku. Dane te mogą szokować, ale zauważmy, że aby dziedziczenie i utrzymanie majątku w rodzinie przez tak długi czas było możliwe, rodziny muszą świadomie go budować, rozwijać, uczyć się zarządzać majątkiem i w sposób zorganizowany i nieprzerwany przekazywać elementarz tej wiedzy swoim dzieciom i wnukom.

W takim razie: jak można rozpocząć ten proces? Jak Polak może stać się tym pierwszym pokoleniem, które zbuduje ród utrzymujący majątek przez wieki?

Pierwsza zasada jest taka, że prowadzony przez naszego rodaka biznes powinien być nastawiony przede wszystkim na wzrost wartości przedsiębiorstwa, a nie tylko na maksymalizację zysku, który następnie jest wypłacany właścicielowi i akcjonariuszom. Niestety, zorientowanie głównie na końcowy zysk netto, bez uwzględniania świadomego budowania wartości firmy — powiększania wartości aktywów w sposób stały i powtarzalny, jest dość standardową praktyką w Polsce. Ale czyż nie to jest celem firmy? Właśnie wzrost wartości przedsiębiorstwa, a tym samym wzrost majątku właścicieli?

Chęć maksymalizacji zysku, a następnie jego wypłacenie z przedsiębiorstwa, powiększa pulę finansową właścicieli, która następnie bardzo często jest konsumowana albo niedbale inwestowana poza przedsiębiorstwem, gdyż „nikt nie ma czasu zajmować się inwestowaniem, gdy zajmuje się firmą i zarabianiem pieniędzy”. Tyle że zdecydowanie łatwiej jest zarobić pieniądze, niż je utrzymać.

Tym samym dochodzimy do zasady drugiej, która mówi, że generowane pożytki z pracy zawodowej lub prowadzonej działalności gospodarczej (jeżeli nie są reinwestowane w budowę jej wartości) powinny być inwestowane w aktywa zapewniające dodatkowy, powiedzielibyśmy: pasywny, dochód (czyli niezależny od pracy zawodowej, a zależny od zainwestowanego kapitału). Zysk z takich aktywów może być generowany przez aprecjację kapitału albo rentę, czyli odsetki z inwestycji. Oczywiście najlepiej, gdy pochodzi z tych dwóch źródeł. Przykładem takiej inwestycji są na przykład spółki dywidendowe albo wynajmowane przez inwestora nieruchomości.

Przejdźmy teraz do zasady numer trzy, która dotyczy swoistej nienaruszalności kapitału. Kluczowe jest tutaj, aby kapitał alokowany w celu realizacji długoterminowego planu budowy majątku nigdy nie zmieniał swojego przeznaczenia i nie był wykorzystywany na konsumpcję. Mogłoby się wydawać, że zasada ta poniekąd ogranicza wolność właściciela majątku, ale w istocie to właśnie ona buduje jego wolność finansową. Kapitał w odpowiedni sposób alokowany generuje wzrost wartości lub odsetki czy dywidendy, które mogą w części finansować koszty życia właściciela i jego rodziny. Mogą finansować nawet cały oczekiwany styl życia, oczywiście pod warunkiem, że generowane zyski z kapitału będą dwukrotnie wyższe niż całkowite koszty utrzymania rodziny. Dlaczego poruszam tutaj zasadę wydawania tylko 50 procent (po uwzględnieniu kosztów podatkowych) wyniku finansowego z inwestycji? Trudno sobie wyobrazić długoterminowe budowanie bogactwa bez systematycznego powiększania naszego majątku, który powinien rosnąć zdecydowanie szybciej niż spadek siły nabywczej pieniądza, a także zwiększać możliwości inwestycyjne i te związane z działalnością społeczną.

No i zasada czwarta — jeśli pragniemy budować międzypokoleniowe majątki, kluczowe są i będą dzieci. To rzecz oczywista, że bez spadkobiercy nie

będzie majątku w następnym pokoleniu, ale nie chodzi mi tylko o samo posiadanie dzieci, ale ich świadomą edukację i przygotowanie do stania się dziedzicem budowanego w pierwszym pokoleniu tak ciężką pracą stanu posiadania. Świadoma edukacja wymaga przyzwyczajania dzieci do tematów finansowych, do wdrażania ich w świat inwestycji, mechanizmów działania systemu monetarnego, rynków kapitałowych, nieruchomości, zasad prowadzenia biznesu, w tym zasad przywództwa i zarządzania zasobami ludzkimi. Dzieci od wczesnych lat powinny stać się partnerami w dyskusji, powinny być przyzwyczajane do udziału w procesach decyzyjnych dotyczących budowy i rozwoju majątku, powinny też poznać zasady i odnaleźć wartość w pracy zawodowej lub społecznej, która pozwoli im zawsze posiadać cel i motywację do życia i działania, nawet wtedy, kiedy od pracy tej nie będzie zależał ich dobrobyt finansowy, ale może zależeć ich sens życia.

Podsumowując, potrzebujemy Polaków, którzy chcą stworzyć międzypokoleniowe majątki, zrozumieć i zbudować głębokie poszanowanie własności prywatnej, i osób, które uczciwie wypracowały swój kapitał. Domagajmy się również norm prawnych, które zabezpieczą tę własność i zapewnią bezpieczeństwo tym, którzy i tak podejmują ogromne ryzyko i trud, budując lepszą przyszłość dla siebie, swoich rodzin, klientów, społeczności, a także ojczyzny. W ten sposób wzbogacą się Polska i Polacy.

Cezary Kaźmierczak

prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców

Rzecz, która przeszkadza najbardziej polskiej gospodarce, jest brak kapitału związany z wieloletnim komunizmem w Polsce i pewną przerwą w ciągłości rozwoju, bo nawet w czasie zaborów gospodarka rozwijała się w miarę normalnie — do całkowitego zerwania ciągłości doszło za komunistów. Kapitałowo nie jesteśmy w stanie konkurować. Mamy mniejszy fundusz na badania i rozwój niż wiele korporacji na świecie, więc nie jesteśmy w stanie tutaj stworzyć jakiejś przewagi konkurencyjnej. Drugi powód to kwestia wielkości Polski jako kraju, bo nie jesteśmy ani mali, ani duzi. Mali są zmuszeni do ekspansji gdzieś za granicą, duzi mają to we krwi, a my — wobec rozlicznych barier prowadzenia międzynarodowego biznesu — możemy sobie równie dobrze poradzić na miejscu, gdyż Polska jest na tyle dużym krajem, że można tutaj działać. Trzecią barierą jest kwestia *know-how*. Nasi konkurenci z krajów OECD mogli się doskonalić w zdobywaniu doświadczenia przez wiele lat, gdy my mieliśmy tę przerwę w ciągłości. To są rzeczy, które musimy po prostu nadrobić.

Jeżeli chodzi o kapitał, to jest to kwestia czasu. Wielkości Polski nie zmienimy, choć rząd powinien dążyć do tego, żebyśmy mieli więcej obywateli, bo to też ma duże znaczenie. Tutaj dobrym przykładem jest Hiszpania, która w latach sześćdziesiątych XX wieku miała tyle samo mieszkańców co my, czyli około 30 milionów, ale dzięki aktywnej polityce demograficznej jej populacja liczy już 50 milionów, gdy tymczasem nasza — niespełna 40 milionów. Polska powinna

wdrożyć agresywną politykę demograficzną, z jednej strony polegającą na kontrolowanej imigracji z kierunków, które się sprawdziły, czyli z Ukrainy, Białorusi i Wietnamu, ale w mniejszym stopniu też z innych regionów, z drugiej zaś starając się przekonać Polki, żeby chciały rodzić drugie dziecko — to przyniesie rezultaty za dwadzieścia lat.

Inna kwestia to system podatkowy, a właściwie zbiór wzajemnie wykluczających się przepisów, uderzających głównie w polski sektor małych i średnich przedsiębiorców. To im jest najtrudniej się w nim rozeznać, co hamuje ich rozwój, gdyż dla większych korporacji nie stanowi problemu zatrudnić parę dodatkowych osób i oddelegować je do tego zadania.

Jeśli zaś chodzi o administrację, to jest coraz lepiej. Po 1989 roku następuje — być może niektórzy uważają, że zbyt wolna — stopniowa desowietyzacja jej nawyków. Te sowieckie przyzwyczajenia jeszcze gdzieś przetrwały w niektórych miastach powiatowych, ale w dużych już się ich nie obserwuje.

Należałoby też ograniczyć implementację, a w zasadzie rozszerzanie różnego rodzaju ustawodawstwa europejskiego według metody „Unia Europejska plus zero”. Bo to nie jest tak, że w Unii Europejskiej nie można mieć prawa zdroworozsądkowego, skoro kilka państw europejskich jest w pierwszej dziesiątce najbardziej wolnych gospodarczo krajów.

Źródło sukcesów Niemiec czy Stanów Zjednoczonych tkwi w wolnorynkowej gospodarce, zdrowym rozsądku i konkurencji. W momencie, gdy te kraje budowały fundamenty swojej potęgi gospodarczej, nie miały jeszcze takiego ustawodawstwa, jakie mają dzisiaj i jakie próbuje się w Polsce wprowadzić. Były to gospodarki wolne, po prostu wolnorynkowe. Dziś tak już nie jest, ale pozycja Stanów Zjednoczonych wciąż bije z tych źródeł dawnej potęgi. Japonia to jest trochę inny model, zastosowany również z powodzeniem w Korei, ale to dotyczy ich kultury, charakteru narodowego. Przede wszystkim ludzie są tam pracowici, dużo bardziej niż Amerykanie, i chętniej się podporządkowują. Tam stworzono wielkie ugrupowania przemysłowe: czebole w Korei i keiretsu w Japonii, dość mocno wspierane przez państwo. One tworzyły innowacje, tworzyły produkty, miały dużo pieniędzy na rozwój i badania — na tym megapoziomie ciągnęły całą resztę biznesu. Japończycy zawsze dbali o konkurencję, starali się unikać monopolu, które są wyniszczające dla gospodarki. To wszystko obrastało małym i średnim biznesem i spowodowało tak wielki sukces. Jeszcze w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku produkty japońskie były postrzegane mniej więcej tak jak później wietnamskie — jako tanie i niskiej jakości, po czym wdrożono tam mechanizmy i procedury, które wywindowały je na szczyty jakości na świecie.

Cechy, które pomagają Polakom, to na pewno fakt, że polscy przedsiębiorcy mają motywację i chęci — to jest ich główna przewaga nad konkurentami z OECD. Mają bardzo dużą inteligencję operacyjną, pewną zwinność, zdolność do zmian, potrafią szybko wdrażać innowacje, szybko przystosowywać się

do nowych warunków na rynku i — to jest na pewno nasza największa przewaga. Plus pracownicy, bo w Polsce jeszcze ludziom chce się pracować — a to nie jest w dzisiejszym świecie zjawisko powszechne — i są w miarę wykształceni. W Polsce jest przede wszystkim duży rynek wewnętrzny, czterdziestomilionowy. Znajdujemy się na szlakach komunikacyjnych. Położenie, które politycznie jest przekleństwem, gospodarczo już niekoniecznie da się tak określić. Mamy zasoby ludzkie, czyli pracowników, którzy chcą pracować, a dzisiaj to jest całkowita odwrotność tego, co widzieliśmy w filmie *Ziemia obiecana*, gdzie ludzie ciągnęli ze wsi do fabryk; dzisiaj fabryki ciągną za ludźmi — gdzie są ludzie, tam są fabryki. Dużo pomogłaby zmiana systemu podatkowego i różnych regulacji. I to jest najprostsza droga do uzyskania przewagi konkurencyjnej nad innymi krajami, z tego względu, że jest to kwestia decyzji politycznej, nie trzeba do tego jakichś wielkich pieniędzy. Sprawa zupełnie bezkosztowa. Wystarczy zrobić dobry system podatkowy i dobre regulacje gospodarcze. Wtedy, po pierwsze — lokalne biznesy zaczną się rozwijać, a po drugie — zaczną tu przyjeżdżać z całego świata, żeby w tych dobrych, przyjaznych, stabilnych i prostych warunkach prowadzić działalność. Pozostaje jeszcze wspomniana kwestia demograficzna, bo pod względem kapitału i technologii *know-how* konkurentom prędko nie dorównamy — znów odzywa się tutaj brak ciągłości rozwoju. Trzeba grać na polu, na którym możemy osiągnąć realne przewagi konkurencyjne.

Czesław Nowak

ekonomista

Odpowiedź na zadane pytanie można według mnie zredukować do dwóch punktów:

1) najlepiej tak jak inne państwa, którym się powiodło, i żeby nic nie opowiadać o „specyfice”, lub

2) zgodnie ze starym polskim przysłowiem: oszczędnością i pracą...

Ta druga opcja ma jednak tę słabą stronę, że znamy ją od setek lat i niewiele z tego dla nas jako społeczeństwa wynika, zatem możliwość jej zastosowania akurat w naszej generacji jest mało prawdopodobna. Mamy przecież od pokoleń te same przywary narodowe — dążenie do przywilejów dla wybranych grup, skłonność do korupcji na różnych poziomach, w tym do najgorszej, czyli kosztem państwa i społeczeństwa, brak polityków, którzy byliby zdolni do przekonania wyborców, że bogactwo narodów wynika z pracy, czyli że nie ma czegoś takiego jak obiad za darmo, że pieniądze, które rząd „daje”, to pieniądze podatników itd. Dla obywatela Stanów Zjednoczonych zawłaszczenie pieniędzy podatników (*taxpayers money*) jest niemal synonimem zdrady narodowej.

Jak się więc mogą społeczeństwa i państwa wzbogacić?

Zacznę od wskazania, jak się nie mogą wzbogacić — ani Polacy, ani inne postsocjalistyczne narody. Podróżując, szczególnie po przemianach rozpoczętych w 1989 roku, po wielu państwach, od skrajnie biednych po bogate, a także obserwując proces transformacji ekonomicznej i społecznej głównie w tych krajach,

które wcześniej były państwami gospodarki centralnie planowanej, doszedłem do wniosku, że warunkiem niewystarczającym, lecz koniecznym, aby osiągnąć sukces, było i jest zreformowanie, a często zbudowanie prawie od nowa, nie tylko teoretycznego, ale i efektywnego wymiaru sprawiedliwości. Od sądów powszechnych (kluczowe), przez sądy administracyjne, wojskowe, po Sąd Najwyższy. Politycy byłych państw tzw. socjalistycznych, mimo zmian w zasadach funkcjonowania gospodarki, zachowali bowiem przekonanie, że demokracja niekontrolowana jest zbyt blisko anarchii, by można było ryzykować, a przecież oni wiedzą lepiej, co jest dobre dla narodu. Zwłaszcza że opozycja nie ma racji i jest według nich niedojrzała, nieodpowiedzialna i stanowi dowód działania wrogich, zewnętrznych sił. Po podporządkowaniu rządzącym wymiaru sprawiedliwości już niedaleko do prawdziwej katastrofy i typowych problemów wielu państw byłego bloku Związku Radzieckiego, czyli korupcji w formie zawłaszczania państwa. Tej samej, chociaż już nie takiej samej, która wykończyła I Rzeczpospolitą i wbrew wielu opiniom miała się dobrze także w II Rzeczypospolitej. Obecnie zagraża nam nadal, chociaż już w zmodernizowanej wersji. *Notabene* w latach międzywojennych korupcja także stanowiła duży problem, czemu sprzyjała „wyższa biurokracja”, która: „Stała się potrzebną — i jak potrzebną! — jedynej rządzącej partii...”. Traciło wówczas państwo i tracili wszyscy „pozbawieni «pleców», «koneksji», «stosunków», «kontaktów» (jakże znamienne dla naszych czasów jest bogactwo synonimów słowa «protekcja»)” — pisał Ksawery Pruszyński*.

Do zwalczania korupcji, a szczególnie jej współcześnie najgroźniejszej formy, czyli zawłaszczania państwa, nie wystarcza tylko przejrzystość, której tak brakuje, co Transparency International, czyli międzynarodowa organizacja pozarządowa zwalczająca korupcję, uważa za początek zła. Zawłaszczanie państwa wynika z uzasadnionego poczucia bezkarności rządzących, spowodowanego uległością sądownictwa i jego uzależnieniem od władzy wykonawczej. Nawet tej wybranej demokratycznie. Sama przejrzystość wówczas nie wystarcza.

Kolejnym problemem jest nadużywanie cenionych symboli i idei do przykrywania własnej nieudolności we wprowadzaniu trudnych ekonomicznie, ale koniecznych przemian, przy jednoczesnej minimalizacji kosztów społecznych. Odzyskanie wolności, zdobycie niezależności danego państwa od państwa hegemonu, nie zatrzymało przecież działania podstawowych praw ekonomicznych, w tym prawa podaży i popytu. Nadal źródłem bogactwa narodów pozostaje praca, a nie rozdawanie kolejnym grupom i instytucjom przywilejów. Patriotyczne bądź religijne słownictwo czy patroni tylko utrudniają potencjalną krytykę, ale nie przykrywają na dłuższą metę problemów będących konsekwencją ekonomicznie szkodliwych decyzji. Zastanawiałem się nieraz, o co chodzi z tymi nazwami. Polski Ład, Polski Holding Spożywczy, Bank Polski itd. W Polsce imię Jana Pawła II nosi prawie 1300 szkół, ze 40 szpitali itd. A co, jeśli któraś z tych placówek przestanie działać

* K. Pruszyński, *Kto nami rządzi?*, „Polityka”, nr 10, 25 kwietnia 1938 roku.

prawkłowo? Czy ludzie zatwierdzający takie nazwy nie obawiali się, że w razie problemów, niepowodzenia, niewłaściwego zarządzania zaszkodzą wizerunkowi Polski lub świętych? Czy to nie jest po prostu zabezpieczenie przed ewentualną krytyką? A co będzie, jeśli Polski Holding Spożywczy nie spowoduje wzrostu udziału rolników w cenie detalicznej, a patronat świętego nie zapobiegnie konieczności zamknięcia szkoły? Pamiętajmy o tym, bo to przecież w Krakowie Stwórca upomniał Jana Stykę: „Ty mnie nie maluj na kolanach. Ty mnie maluj dobrze”.

OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ...

a. Oszczędnością

Norwegowie to społeczeństwo o chłopskiej mentalności. Panami byli często Duńczycy lub Szwedzi, czyli okupanci. U nas panami, właścicielami ziemskimi, byli Polacy. Ale byli to Polacy, którzy uważali się za oddzielny, lepszy „naród szlachecki”, i zaliczenie ich do tego samego narodu co chłopi przez wieki wywołało ich i gniew i zdziwienie. „Zastaw się, a postaw się” było w Polsce zrozumiałe i powszechnie stosowane. Społecznie podejrzane i naganne przez wieki były oszczędne przyjęcia czy zamknięcie bram przed kolejnym pustoszącym spiżarnie kuligiem. Po tym polsko-norweskim porównaniu nic więc dziwnego, że to Norwegowie utworzyli po znalezieniu i rozpoczęciu eksploatacji dużych zasobów złóż ropy naftowej Norweski Państwowy Fundusz Emerytalny. Już w 1972 roku, czyli zaledwie rok po rozpoczęciu wydobywania, parlament przyjął jednomyślnie (!) „Dekalog naftowy”, czyli podstawę prawną założenia funduszu. Norwegia swoją polityką oszczędności dała budujący przykład, że klęska surowcowa (paradoks bogactwa) to nie konieczność, ale tylko możliwa zasadzka losu.

Przejeżdżałem niedawno przez Karlino. Kto jeszcze pamięta, że w grudniu 1980 roku trysnął tam gejzer ropy naftowej. Już mieliśmy być drugim Kuwejtem, a pieniądze z wydobywania miały posłużyć od razu do budowy powszechnego dobrobytu, w tym podniesienia emerytur itp. Szyb z powodów ekonomicznych zamknięto w 1983 roku. Uniknęliśmy paradoksu bogactwa.

b. I pracą

Społeczeństwo się starzeje — w Polsce i w całej Europie. Coraz więcej ludzi jest więc w wieku poprodukcyjnym, a coraz mniej w produkcyjnym. Oprócz wieku problem ten pogłębia także emigracja — i zarobkowa, i polityczna, i ta z innych powodów, na przykład stylu życia. W maju 2004 roku do Unii Europejskiej przystąpiło dziesięć nowych państw, w tym osiem posocjalistycznych. Było to łącznie około 75 milionów ludzi, z czego ponad połowa to Polacy. Migration Watch UK opublikowało w 2013 roku dane, z których wynikało, że w latach 2004–2013 imigrację zarobkową w Wielkiej Brytanii stanowili w 82 procentach ludzie młodzi (18–34 lata). Co to oznaczało dla Polski, Łotwy, Litwy...? Złudne zadowolenie rządzących ze spadku bezrobocia.

O wiele więcej o sytuacji na rynku pracy w Polsce i innych państwach regionu mówił jednak wskaźnik zatrudnienia osób w wieku 20–64 lat. W 2009 roku wynosił on zaledwie: w Polsce 62,6 procent, na Węgrzech 62,5 procent, na Litwie 67 procent, na Łotwie 66,3 procent. W tym samym roku wskaźnik ten (zatrudnienia osób w wieku 20–64 lat) wynosił w Niemczech 73,2 procent, w Austrii 73,4 procent i we wspomnianej, bogatej już wówczas Norwegii 80,6 procent. To także wtedy bogaci byli coraz bogatsi, a biedni nadal biedni lub bogacili się znacznie poniżej swoich możliwości.

Jednym z kluczowych haseł wyborów do parlamentu w Polsce w 2015 i w 2019 roku był wiek emerytalny. Należy wyraźnie podkreślić, że demokratycznie wybrana władza zatrzymała próbę podniesienia wieku emerytalnego. Warto jednak dodać, że już wówczas poziom zatrudnienia osób będących jeszcze w wieku produkcyjnym, a więc 55–64 lat, wyglądał w Polsce źle na tle innych państw. Zatrudnienie w tej grupie wynosiło w 2015 roku średnio w Unii Europejskiej 51,4 procent, a w 2019 roku — 58,6 procent, podczas gdy w Polsce osiągnęło poziom odpowiednio 43,4 procent i 49,0 procent, co daje mniej niż połowę populacji w tym wieku.

Większość komentarzy o złośliwym ZUS-ie i zwolennikach stopniowego podnoszenia wieku emerytalnego opierała się na konstrukcji godnej naszych czasów i naszego miejsca na mapie Europy. Była to znana już w starożytności forma *argumentum ad absurdum* — „No pewnie, najlepiej, aby Polak pracował aż do śmierci”. Tylko że jest to rozumowanie *reductio ad falsum*, czego nawet nie trzeba tłumaczyć.

Wracając więc do głównego pytania i problemu: jak się wzbogacić? Może na przykład pracując, także w wieku 55–64 lat? Oczywiście, że nie będzie dotyczyło to wszystkich, ale warto osiągnąć taki wskaźnik zatrudnienia w tej grupie wiekowej, jak na przykład Finowie (59,1 i 65,9 procent odpowiednio w 2015 i 2019 roku) lub chociaż nasi sąsiedzi: Czesi (55,5 i 66,7 procent), Niemcy (65,2 i 71,6 procent) czy Litwini (60,4 i 68,4 procent).

Podsumowując — jak mogą się wzbogacić państwa, szczególnie te po okresie gospodarki centralnie planowanej? Co im/nam może pomóc?

1. Skuteczne przeciwdziałanie korupcji, przede wszystkim jej groźnej formie, jaką jest zawłaszczanie państwa.
2. Zwiększanie poziomu zatrudnienia.

Wskaźnik zatrudnienia jest tu bardziej miarodajny niż stopa bezrobocia. Bezrobocie może być niewielkie, co wcale nie oznacza, że możemy być spokojni o rozwój ekonomiczny państwa, szczególnie przy starzejącym się społeczeństwie i dalszej emigracji młodych ludzi.

Reszta to konsekwencje tych dwóch punktów. Ale gdybym miał zredukować nasze priorytety do minimum, zostawiam pierwszy.

Krzysztof Pawłowski

fizyk, przedsiębiorca

Całe dorosłe życie starałem się myśleć o przyszłości, nie tylko swojej, ale także mojej ojczyzny. Nie ukrywam, że Polska była i pozostaje moją miłością. Najprostszym kluczem zrozumienia mojego życia pozostaje myśl o Polsce, jej niepodległości, przyszłości, dobrobycie. W latach siedemdziesiątych XX wieku nie przypuszczałem, że za mojego życia dojdzie do odzyskania przez Polskę niepodległości, ale już podczas naszej „insurekcji” solidarnościowej uwierzyłem, że może i ja doczekam wolnej Polski, i starałem się na miarę moich możliwości na rzecz tego działać i pracować. Na początku lat osiemdziesiątych XX wieku zostałem prezesem sądeckiego Klubu Inteligencji Katolickiej i pragnąłem, żeby Niepodległej doczekało przynajmniej pokolenie mojej córki. Historia jednak przyśpieszyła i tak się złożyło, że miałem zaszczyt być wybrany w 1989 roku do senatu — praca w I i II kadencji senatu to było niesamowite spełnienie wielu moich marzeń. Polska była w 1989 roku bardzo biedna, więc w ciągu kilku dekad Polska i Polacy dokonali wielkiego skoku (porównując tylko średnie wynagrodzenie podawane przez ZUS: w 1995 roku — 702 zł, a w 2021 roku — 5662 zł, a więc ośmiokrotny wzrost). Pytanie tylko, czy wykorzystaliśmy wszystkie szanse, przed którymi staliśmy. Moim zdaniem, nie, jesteśmy wprawdzie znacznie bogatsi, ale wciąż od krajów „starej Europy” jeszcze sporo nas dzieli. Polskie rządy mają teraz znacznie większe możliwości niż rządy z lat dziewięćdziesiątych XX wieku, bo budżet państwa jest znacznie wyższy, tylko pozostaje problem, czy jest właściwie wykorzystywany.

Uważam, że Polska wpadła w „pułapkę średniego rozwoju” i że bez stonowczych zmian w polskiej polityce z niej nie wyjdziemy. Dane Banku Światowego wskazują, że ze 101 państw, które w 1960 roku były zaliczane do grupy państw o średnich dochodach, w 2008 roku tylko dziesięć państw awansowało do grupy państw wysoko rozwiniętych. W tej dziesiątce były Japonia, Korea Południowa, Tajwan, Singapur, Hongkong. Te kraje miały znacznie łatwiejsze warunki budowy własnej gospodarki i przeskoczenia pułapki, choćby dlatego, że mogły stosować cła ochronne chroniące tworzące się własne przedsiębiorstwa. Obecnie mamy znacznie trudniejsze warunki rozwoju, ale to oznacza, że powinniśmy zastosować takie „narzędzia rozwoju”, jakie są możliwe w tych warunkach, to znaczy możliwe do zastosowania w Unii Europejskiej. Swobodę działania w Unii mamy w obszarze edukacji, szkolnictwa wyższego i nauki. Uważam, że właściwie wykorzystując te obszary, w ciągu kilkudziesięciu lat Polska powinna ze „światowego tortu zamożności” wykroić wyraźnie większy kawałek dla siebie niż do tej pory. Proste sposoby zwiększenia bogactwa Polski i Polaków już są za mało efektywne, konieczne jest sięgnięcie do sposobów niezwykłych, bardzo trudnych, ale możliwych do zrealizowania. Potrzebne jest powszechne przyjęcie przez polskie społeczeństwo i polskich polityków do wiadomości, że musimy, i jeszcze raz powtórzę: musimy podjąć się zadań i celów, które na pierwszy rzut oka wydają się niemożliwe do osiągnięcia. Tak się w naszej historii złożyło, że często bohaterami zostawali przywódcy powstań, żołnierze, zwykli ludzie, którzy przegrywali, a ja uważam, że nadszedł wreszcie czas, aby w przyszłości honorować bohaterów pracy pozytywnej, projektów wygranych dla bogactwa i wielkości Polski.

Moim zdaniem, zabranie się do projektowania zmian wymaga spełnienia kluczowego warunku — powszechnie zaakceptowanej „Umowy Społecznej” („Paktu Społecznego”). Wiem, że większość czytających ten tekst uzna mnie za szaleńca, gdyż dekady wolnej Polski po 1989 roku to był okres, tak jak na to demokracja pozwala, wypełniony walką polityczną ugrupowań, coraz bardziej zajadłą, ograniczającą myślenie długoterminowe i pozwalającą na wyznaczanie celów działania tylko w perspektywie najbliższych wyborów. Taki najbardziej znany „Pakt Społeczny” (*Programme for National Recover*, PNR) został zawarty w 1987 roku w Irlandii i w latach dziewięćdziesiątych XX wieku doprowadził Irlandię do standardów europejskich. Marzę o tym, żeby wreszcie doszło do powszechnego zrozumienia w Polsce, że niezbędne jest opracowanie wspólnej, zaprojektowanej na kilkadziesiąt lat, „Umowy Społecznej”, która zawierałaby precyzyjne określenie celów, dróg dojścia, przy wyjęciu obszarów zawartych w umowie z walki politycznej toczonej przez partie. Wiem, że negatywne zmiany demograficzne, a dodatkowo emigracja z Polski po 2004 roku około dwóch milionów młodych Polaków powodują, że Polska po latach obowiązywania „Paktu Społecznego” będzie wyraźnie mniej liczna, ale wciąż będzie Polską. Według mnie inicjatorem tworzenia tego paktu powinien być Prezydent RP, a potrzebne

byłoby wsparcie tak szerokie, jak to tylko możliwe — Kościołów, związków zawodowych, organizacji pracodawców i wielu organizacji społecznych.

Według mnie ta umowa powinna zawierać:

1. Wypracowane od nowa i wdrożone przez cały system edukacji narodowej metody rozwijające w dzieciach od najpóźniej piątego roku życia twórcze myślenie, kreatywność i przedsiębiorczość. Badania wskazują jednoznacznie, że najbardziej kreatywne są małe dzieci, a nasz system szkolnictwa tę kreatywność ogranicza albo wręcz niszczy. Moje doświadczenia z pracy nad programem „Diament” dowodzą, że największym problemem jest znalezienie wystarczającej liczby nauczycieli gotowych do całkowitej, wręcz rewolucyjnej zmiany sposobu uczenia i wymuszenie na władzach i instytucjach edukacji przygotowania gruntu pod jej wdrożenie. Wprowadzenie tej zmiany w ciągu kilkudziesięciu lat zmieniłoby Polskę! Niezbędne są oczywiście głębokie reformy w całym systemie edukacji i szkolnictwa wyższego, między innymi likwidacja uczelni pedagogicznych, a nauczycielami powinni zostawać absolwenci stosownych kierunków tematycznych, którzy po studiach magisterskich zdobywaliby kwalifikacje nauczycielskie na dwuletnich specjalistycznych studiach podyplomowych. Pierwszym krokiem w tę stronę była wypracowana w Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności, a realizowana wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim, Podyplomowa Szkoła Edukacji.

2. Wprowadzenie do systemu edukacji na wszystkich poziomach, zarówno dla uczniów, jak dla studentów, systemu pracy zespołowej w uczeniu się, rozwiązywaniu zadań czy opracowywaniu projektów. W Polsce mamy ogromny problem z bardzo niskim zaufaniem społecznym i uważam, że wprowadzenie zasady pracy w grupie od dziecka może wyraźnie podwyższyć poziom tego zaufania.

3. Niezwykle ważny dla przyszłości Polski jest system stypendialny dla kilku tysięcy najzdolniejszych absolwentów studiów magisterskich lub studiów doktoranckich polskich uczelni, otrzymujących wysokie stypendia, nazwane przeze mnie „stypendiami wsparcia”, przez pięć lat pod warunkiem podjęcia pracy w polskich uniwersytetach lub instytutach naukowych przez okres następnych pięciu lat. Doświadczenia wielu lat wskazują na stałą emigrację z Polski nie tylko młodych lekarzy, ale i najbardziej uzdolnionych młodych naukowców, którzy podejmują po studiach, a czasami po doktoracie, pracę w czołowych uniwersytetach i instytutach naukowych świata, i tych Polaków niemal zawsze Polska bezpowrotnie traci. Pisałem już o tym i sugerowałem jako próbę zatrzymania młodych naukowców w polskich uniwersytetach przyznawanie co roku przez odpowiednią, neutralną komisję specjalnych „stypendiów wsparcia”, których wysokość miesięczna miała wynosić wówczas 4000 zł przez pięć lat, później zaś, ze względu na wzrost kosztów życia, co najmniej 6000 zł. Te pieniądze poświęcone powinny być według mojego pomysłu na utrzymanie przez stypendystę rodziny lub jej założenie i powinny ograniczyć w ten sposób emigrację najzdolniejszych Polaków. Wprowadzono już w Polsce wspomniały pomysł „Diamentowego Grantu”,

ale to są pieniądze na szybką realizację własnych projektów badawczych dla tylko stu studentów rocznie. Jak łatwo policzyć, takie stypendia wsparcia kosztowałyby rocznie nasz budżet 360 milionów zł dla pięciu kohort tysiącosobowych — dużo, ale to mniej niż 0,1 procent dochodów budżetu w 2021 roku, a efekty pracy najzdolniejszych Polaków w polskiej gospodarce i nauce szybko przełożyłyby się na znacznie wyższe kwoty.

4. Utworzenie w Polsce (wreszcie!) kilku prawdziwych uniwersytetów badawczych z przyznanym przez rząd kapitałem żelaznym w wysokości na przykład pięciu rocznych budżetów Uniwersytetu Warszawskiego. Taki uniwersytet nie prowadziłby studiów niestacjonarnych, a liczba studentów na studiach stacjonarnych pierwszego stopnia byłaby ograniczona. Uniwersytet miałby kilka lat na dostosowanie się do nowych reguł, a co roku powinien przyjmować do pracy najlepszych naukowców z innych uczelni. Wiem dobrze, że taka zmiana spowodowałaby ogromne protesty na pozostałych uczelniach, ale docelowe rezultaty pracy takich placówek i koncentracja w nich najwybitniejszych polskich uczonych powinna przynieść wyraźnie lepsze wyniki, zarówno na polu kształcenia (przywrócenie kształcenia na zasadzie mistrz — uczeń i włączenie studentów magisterskich studiów stacjonarnych do prowadzonych badań), jak i w pracy naukowej. Wprowadzenie uniwersytetów badawczych w sposób oczywisty wymagałoby zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym, a zmiany systemowe powinny dotyczyć wszystkich uczelni, także tych monotematycznych.

5. Wyraźny rozwój sektora B+R — badań i rozwoju, bez którego dalszy rozwój polskiej gospodarki nie jest możliwy. Niegdyś próbowałem wyprzedzić czas i stworzyć w Nowym Sączu Park Naukowo-Technologiczny „Brainville”. Niestety, brak właściwych środków i błędy w zarządzaniu doprowadziły do jego zamknięcia, ale nadal uważam, że za wszelką cenę Polska musi rozwijać sektor B+R, i to z obu stron — od strony państwowej, jak i przedsiębiorstw prywatnych. Kiedyś odwiedziłem park naukowo-technologiczny na jednej z największych polskich uczelni — zwiedzałem piękne nowe budynki, ale w środku niemal puste. Sam nie wiem, jak zachęcić, a może zmusić naukowców do współpracy z przedsiębiorcami — przecież bez doskonałego systemu na wzór Doliny Krzemowej w Kalifornii Polska nie uzyska szans rozwojowych w obszarze wysokich technologii, a tam znajdują się największe pieniądze i tam jest ten wymarzony przeze mnie kawałek „tortu” światowego. Trzeba przyznać, że system państwowego wsparcia B+R jest już w Polsce rozwijany, na przykład przez działania Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, a dla naukowców — Narodowe Centrum Nauki, powstają Centra Rozwoju Technologii, Centra Transferu Technologii, inkubatory, ale Polska w tym obszarze niezmiennie wlecze się na samym końcu rozwiniętych państw.

To nie jest lista zamknięta, mądrzy i patrzący w przyszłość Polacy będą dopisywać kolejne sprawy, ale najważniejsze to rozpocząć prace nad „PAKTEM SPOŁECZNYM” — a ja chciałbym doczekać tego momentu.

W moim głosie czytelnik najmniej dostrzeże propozycji dotyczących gospodarki, choć nie dlatego, że uważam ją za nieistotną, bo przecież bez rozwoju gospodarki nie podniesiemy średniego poziomu PKB na mieszkańca, tak żeby dogonić państwa „starej Unii”. Chciałem jednak zwrócić uwagę na czynniki, które, moim zdaniem, często są niedostrzegane, a są bardzo ważne i bez pracy nad nimi nie wyskoczmy z tej przeklętej „pułapki średniego rozwoju”.

Andrzej Pilipiuk

pisarz, publicysta

ŹRÓDŁA BOGACTWA

Powstawanie bogactwa jest właściwie prostym procesem. Przede wszystkim musi zachodzić zjawisko akumulacji kapitału — pracujący człowiek musi być w stanie odłożyć część zarobionych środków. Powinien mieć też warunki, by je w miarę bezpiecznie zainwestować — samodzielnie, z krewnymi lub do spółki z innymi obywatelami. Zadaniem władzy jest zapewnienie warunków inwestycji przez: niskie opodatkowanie, stabilny system podatkowy, w miarę niezmiennie przepisy prawa oraz ochronę własności prywatnej. Fortuny buduje się dekadami i pokoleniami — decyzje władz nie powinny zakłócać procesu dziedziczenia. Wielki kapitał rodzi wielkie patologie, akcjonariat powoduje utratę kontroli nad działaniami kadry menedżerskiej. Podstawą gospodarki powinny być chronione i promowane przez państwo firmy rodzinne. Resztę wystarczy pozostawić ludziom.

Władza może ułatwiać te procesy na przykład przez emisję stabilnej, odpornej na inflację waluty, chroniąc kurs przed atakami, wyprzedając pod inwestycje grunty z zasobów państwowych, rozbudowując infrastrukturę drogową i energetyczną — ale głównym zadaniem państwa jest: nie przeszkadzać.

Przeanalizuję na przykładach trzy aspekty negatywnych działań państwa: inflację, zmiany przepisów i zmiany systemu podatkowego.

I. O tym, jak niszczycielska może być inflacja, poucza nas przykład znanego pisarza Zbigniewa Nienackiego. W latach osiemdziesiątych XX wieku wydano mu tzw. białą serię — jedenastotomowy cykl popularnych i lubianych książek o przygodach Pana Samochodzika. Nakłady poszczególnych tomów przekraczały ćwierć miliona egzemplarzy. Pisarz zarobił kilka milionów złotych i wpłacił je do banku. Fortunę pożarła inflacja przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku. Nienacki, choć ostrzegany przez znajomych, do końca ufał, że państwo zadba o te środki i podnosząc oprocentowanie, zabezpieczy jego pieniądze. W ciągu kilku lat z milionera stał się praktycznie bankrutem.

Patrzac szerzej: Nienacki miał ogromne zaufanie do systemu bankowego PRL. Odkładanie pieniędzy w banku było czymś naturalnym i oczywistym dla wielu wcześniejszych pokoleń. Utrata wartości lokat bankowych następowała w warunkach wojny lub upadku państw gwarantujących lokaty w danej walucie. Lokaty Polaków w bankach carskich — przepadły. Lokaty z czasów II Rzeczypospolitej po wojnie wypłacono częściowo — przeliczając je po skandalicznym kursie na nowe pieniądze. Nienacki po prostu nie przewidział hiperinflacji i bankructwa PRL.

Mimo upływu kilku dekad od 1989 roku sytuacja jest nadal skrajnie patologiczna — oprocentowanie lokat nie równoważy inflacji, a zarazem oprocentowanie kredytów dramatycznie rośnie. Zwyczaj odkładania uciulanych pieniędzy w banku należy dziś do przeszłości. Wprowadzony przez Marka Belkę niemożliwy i nieetyczny podatek od zysków z lokat bankowych dodatkowo sprawia, że jest to całkowicie nieopłacalne.

II. Wchodząc w dorosłość w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku, byłem zdeterminowany, żeby zdobyć wykształcenie, dobrą pracę i stan zasobności materialnej. Na swojej drodze ku tym celom dwukrotnie poważnie ucierpiałem wskutek działań aparatu państwowego.

Uderzenie pierwsze nastąpiło, gdy kończyłem studiować archeologię. Był to dobry okres na związanie się z tą dziedziną nauki. W kraju prowadzono ogromną liczbę inwestycji. Wiele z nich wymagało obligatoryjnego wykonania badań wykopaliskowych lub nadzorów archeologicznych podczas budowy. Powstawały prywatne firmy świadczące takie usługi komercyjnie. Dla studentów zbliżających się do magisterki rysowały się bardzo interesujące perspektywy. Dobrze płatny zawód związany z nabytymi kwalifikacjami, własny biznes pozwalający wykorzystać zdobyte wykształcenie... Niestety, nieoczekiwanie zmieniono przepisy — w celu uzyskania prawa samodzielnego wykonywania zawodu wprowadzono wymóg odbycia 48 miesięcy praktyk. Ponieważ archeologia jest ściśle związana z cyklem pór roku, a w polu pracuje się od czerwca do września — absolwenci stanęli wobec warunków zaporowych: przed pracą dla siebie i u siebie musieliby odrobić pańszczyznę i dwanaście lat pracować u kogoś lub w instytucjach dysponujących uprawnieniami. Szansa prysła — a starzy wyjadacze pozbyli się konkurencji. Zdobyć tytułu magistra archeologii poświęciłem sześć

lat życia. Jedna decyzja urzędnicza przekreśliła cały ten wysiłek. Gdybym mógł przewidzieć taki rozwój wydarzeń, zainwestowałbym ten czas zupełnie inaczej.

Nie jestem wyjątkiem — brak prawa wykonywania zawodu przez absolwentów oraz mnożenie dodatkowych warunków i przekształcanie zawodów w quasi-korporacje staje się plagą.

III. Drugie zderzenie z rzeczywistością zafundował mi rząd Donalda Tuska, wprowadzając podatek VAT na książki. W tym okresie od przeszło dekady publikowałem zbiory opowiadań i powieści — średnio dwie książki rocznie. Właściwie książka jako dobro na swój sposób luksusowe jest towarem bardzo wrażliwym na wszelkie kryzysy i zawirowania gospodarcze. Wprowadzenie nowych obciążeń nastąpiło w najgorszym możliwym momencie. Dodatkowe opodatkowanie spowodowało wzrost ceny książek, znacznie też wydłużyło okres rozliczeń księgarń z wydawnictwami, a wydawnictw z autorami. Wzrost cen — zwłaszcza w warunkach zarysowującego się kryzysu i rosnącego bezrobocia — spowodował w ciągu kilku miesięcy dramatyczny spadek sprzedaży, w moim wypadku o jakieś 30 procent. Rozwijająca się sprzedaż internetowa tylko częściowo powstrzymała trend spadkowy. Spadek dochodów z tytułu podatku CIT branży (wydawnictwa, drukarnie, hurtownie, księgarnie) wielokrotnie przewyższył kwoty pozyskiwane z VAT.

Poza stratami gospodarczymi nastąpiły straty w sferze kultury. Wydawnictwa ograniczyły publikacje książek debiutantów, postawiono na „pewniaki” — książki uznanych autorów. Sytuacja autorów początkujących stała się bardzo trudna. Skalę katastrofy obrazują liczby: w latach 2007–2015 znikło około 50 procent polskich księgarń.

W moim wypadku nakłady sprzedane nowości na poziomie z 2012 roku udało się ponownie uzyskać dopiero w 2019 roku. Mniej więcej w ciągu sześciu lat po wejściu podatku VAT wydałem kolejne dwanaście książek, podwajając opublikowany dorobek. To podwojenie dorobku pozwoliło mi zaledwie odzyskać to, co miałem wcześniej. Zamiast budować coraz lepszą pozycję na rynku, przez kilka lat zajmowałem się rozpaczliwym odrabianiem strat.

Ergo: nieoczekiwane zmiany przepisów czasem budują na drodze człowieka mur nie do przeskoczenia, a czasem niszczą to, co mozolnie, przez lata budował.

Dlaczego dobrze mieć bogate społeczeństwo? W razie katastrof tak naturalnych, jak i dziejowych z reguły obserwujemy spory bezwład organizacyjny agend państwowych — korpus urzędniczy czasem idzie w rozsypkę, czasem wręcz przeciwnie: na różne sposoby próbuje przeszkadzać ludziom, którzy rwą się do działania... Niekiedy władza zdaje się nie dostrzegać katastrofy i nadal wymusza wiele zbędnych czynności biurokratycznych. Pożar, powódź, wojna, epidemia, nagły kryzys pokazują zdolność społeczeństwa do samoorganizacji. Społeczność bogata i zasobna materialnie jest w stanie łatwiej sprostać różnym wyzwaniom.

W chwili wybuchu wojny na Ukrainie do Polski napłynęła kilkumilionowa rzesza uchodźców. Polacy wsparli uciekinierów odzieżą, żywnością, artykułami dla dzieci, często zaferowali gościnę w swoich domach. Było to możliwe dzięki temu, że społeczeństwo miało czym się podzielić oraz posiadało zasoby finansowe, których część mogło przeznaczyć na ten cel. Działania władz centralnych i samorządów były często wtórne i spóźnione w stosunku do spontanicznej reakcji zwykłych ludzi.

Spółeczeństwo zasobne materialnie jest odporne na kryzysy zewnętrzne, a do tego posiada większą odporność na patologie. Bieda nie tylko niszczy więzi rodzinne i społeczne, ale także przez bezpośrednie obniżenie jakości życia przyczynia się do rozwoju chorób związanych ze złym odżywianiem, pracą w nadmiernym wymiarze, wykonywaną w stresie i szkodliwych warunkach, z nałogami.

Olaf Swolkiń

socjolog, historyk

Tak więc dobra subiektywne, np. szlachetny charakter, tęgi umysł, szczęśliwy temperament, pogoda ducha oraz dobrze zbudowane, w pełni zdrowe ciało, czyli w ogóle mens sana in corpore sano są dla naszego szczęścia rzeczą najważniejszą i z tego powodu powinniśmy dbać znacznie bardziej o ich rozwój i zachowanie niż o posiadanie innych dóbr i zewnętrznych objawów czci.

Artur Schopenhauer* (O tym, czym się jest)

W życiu najważniejsze są rzeczy najprostsze, ale najprostsze rzeczy są w życiu bardzo trudne.

Carl Philipp Gottlieb von Clausewitz

Parafraza:

Na wojnie wszystko jest bardzo proste, ale nawet najprostsze rzeczy są na wojnie bardzo trudne.

* A. Schopenhauer, *Aforyzmy o mądrości życia*, przeł., wstępem i przypisami opatrzył J. Gawarewicz, Czytelnik, Warszawa 1990.

Zadałem kiedyś nieco podobne pytanie na portalu społecznościowym, a dokładnie: „Dlaczego Szwajcarzy są bogaci?”. Odpowiedzi, jakie otrzymałem od polskich znajomych, sprowadzały się w zasadzie do jednego: „Są bogaci, bo są żli”. Potem padały oczywiście oskarżenia o paserstwo, współpracę z Hitlerem, brak empatii wobec cierpień innych narodów, szczęśliwy zbieg okoliczności historycznych i korzystne położenie geograficzne. Żadna, dosłownie żadna z zapytanych osób nie dopatrywała się przyczyny ich bogactwa w cechach charakteru poszczególnych Szwajcarów czy też w mądrej polityce prowadzonej przez szwajcarskie elity w różnych obszarach życia społecznego i na arenie międzynarodowej. Niewiele mi te odpowiedzi powiedziały o Szwajcarach, ale więcej o Polakach i o przyczynach tego, że jako kraj i jako obywatele na ogół bogaci nie jesteśmy.

Te dwie drogi do bogactwa: indywidualną, biorącą się z indywidualnego kapitału ludzkiego, a mówiąc prościej — z cnót i nawyków poszczególnych obywateli, oraz zbiorową, wynikającą z mądrej polityki wewnętrznej i zagranicznej, omówię osobno, aczkolwiek należy pamiętać, że nie są one rozłączne i trudno wyobrazić sobie bogatych obywateli, którzy kreowaliby elity temu bogactwu szkodzące, jak i odpowiedzialne elity prowadzące politykę powodującą biedę mieszkańców danego kraju, choć to ostatnie jest bardziej możliwe w świetle na przykład wypowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego w restauracji Sowa i Przyjaciele czy znanych z historii rządów fanatyków i sekciarzy. Nie jest więc słuszne, a przeciwnie, jest głęboko fałszywe powszechne w polskim społeczeństwie przekonanie, że jesteśmy pełnym cnót społeczeństwem rządzonym przez złych ludzi (zdraycy, nie-Polacy, obcy, ciemniacy, sprzedawczyki, Żydzi — to tylko najpopularniejsze z długiego katalogu określeń, jakimi lud określa w Polsce władzę), ani odwrotnie — że to władza chce i wie jak lud uszczęśliwić, ale ten ciągle niczym narowista kobyła wierzga, omija słuszne regulacje, nie rozumie przemysłanych posunięć i dobrodziejstw, jakie planują dla niego światłe elity. Prawdą, jaka wynika z tych określeń, jest jedynie to, że jak pisał Witkacy: „Polak drugim Polakiem zawsze po cichu pogardzowuje”.

Bogactwo indywidualne i wspólne najłatwiej osiągnąć przez jego odziedziczenie, lecz większość Polaków i sama Polska nie są w tym szczęśliwym położeniu, jesteśmy krajem i społeczeństwem na dorobku w porównaniu z krajami i społeczeństwami, do których poziomu zamożności aspirujemy. Należy przy tym zaznaczyć, że w realnym świecie, który bardziej przypomina dżunglę niż szkółkę niedzielną, również zachowanie odziedziczonego bogactwa nie zawsze jest łatwe. Można też na tym świecie bogactwo zdobyć na wiele sposobów sprzecznych z zasadami uczciwości, przyzwoitości czy podstaw etyki, a także przez podboje i rabunek innych narodów, państw, imperiów. Te sposoby też pomijam, choć musimy mieć świadomość, że wiele państw, które dzisiaj uważamy za bogate,

przynajmniej po części taką drogą do swoich bogactw dochodziło. Kanonierki, lotniskowce, piechota morska czy „ekonomiści od brudnej roboty” to tylko niektóre z narzędzi takiego bogacenia się. Dodatkowo możemy się pocieszyć, że na takie zdobycze nie mamy po prostu środków.

Odpowiedzi, jakich udzielono mi na pytanie o przyczyny bogactwa Szwajcarów, wskazują pierwszą cechę, jakiej Polakom brakuje, a która sprzyja bogaceniu się — jest nią wiedza. W tym wypadku mam na myśli wiedzę o Szwajcarach i Szwajcarii, jak również szerszą i głębszą wiedzę o świecie i życiu.

Pierwszą drogą do bogactwa jest właściwe kształcenie charakteru i edukacja. Szwajcaria kładzie na to ogromny nacisk: edukacja jest tam jednym z centralnych punktów debaty publicznej, a prestiż i zarobki szwajcarskiego nauczyciela plasują się w światowych rankingach na najwyższych pozycjach, to samo dotyczy poziomu czytelnictwa, tłumaczeń obcej literatury, poziomu uniwersytetów i uczelni technicznych. W Szwajcarii prowadzona była na przykład bardzo ożywiona debata nad skutkami nadmiernej cyfryzacji procesu edukacji i nadal wielką wagę przykładła się tam do opanowania takich umiejętności jak krytyczne czytanie ze zrozumieniem długich tekstów, umiejętności praktyczne czy średnie szkolnictwo zawodowe. Istnieją liczne aktywne stowarzyszenia rodziców i nauczycieli, które współuczestniczą w publicznej debacie nad zagadnieniami edukacji, z kolei w Polsce problemem jest często wyłonienie trzyosobowego klasowego komitetu rodzicielskiego.

Innym narodem, którego członkowie cieszą się przysłowiowym bogactwem od wieków i który również od wieków przykładła ogromną wagę do bardzo szeroko pojętego kształcenia od najmłodszych lat, są Żydzi. Dzisiaj kojarzymy ich często z bogatymi bankierami, jednak z przekazów z Polski międzywojennej możemy się dowiedzieć, że byli często nie tylko znakomitymi adwokatami, lekarzami czy literatami, ale również bardzo ubogimi, lecz niezwykle pracowitymi rzemieślnikami czy drobnymi kupcami.

Po 1989 roku również w Polsce liczba studentów radykalnie wzrosła. Jednak w żadnym wypadku nie przełożyło się to na jakość, wręcz przeciwnie, nawet na uczelniach cieszących się renomą w czasach realnego socjalizmu poziom nauczania się obniżył. Jedną z wielkich i głośnych reform doprowadziła także do degradacji szkolnictwa na poziomie średnim, ciągle próbowano obniżać wymagania lub w ogóle usuwać konieczność opanowania matematyki, czyli przedmiotu, w którym najtrudniej jest zafałszować realnie osiągnięte wyniki. Dała w tym wypadku o sobie znać inna cecha Polaków, która przewija się od dawna w diagnozach zarówno naszych wrogów, jak i rodzimych obserwatorów — zamiłowanie do działań fikcyjnych. Pisał o tym w drugiej połowie XVIII wieku w liście do Katarzyny Wielkiej ambasador Stackelberg; pisał — porównując skromne lotnisko w międzywojennym litewskim Kownie, ale obsługujące dużą liczbę samolotów,

z po bizantyjsku rozbudowanym, lecz pustym jego odpowiednikiem w Wilnie — Józef Mackiewicz; znamy identyczne przykłady z Radomia i wielu innych miast III Rzeczypospolitej. Życie ponad stan, brak rozwagi w dysponowaniu środkami jest cechą nie tylko rywalizujących o popularność lokalnych dygnitarzy, ale cechą powszechną w polskim społeczeństwie. Bezsensowne wydatki na tandetne, nietrwałe i szpetne, a często zbędne przedmioty pochłaniają spory odsetek budżetów domowych. Jest bardzo charakterystyczne, że w polskim społeczeństwie w czasie rosnącej inflacji i pozostającymi za nią daleko w tyle stopami procentowymi popularne jest użalanie się nad losem żyjących na kredyt, a nie nad utratą oszczędności przez ludzi oszczędnych i zapobiegliwych. Dodatkowym aspektem tego problemu jest lekkomyślność cechująca wielu kredytobiorców, nieczytających umów, lekceważących ryzyko zmiennych stóp procentowych czy kredytów w obcych walutach. Kiedyś w ogrodach hodowaliśmy warzywa i owoce na własny użytek, dzisiaj grillujemy na trawnikach otoczonych tujami. Działanie według zasady „postaw się, a zastaw się”, niechęć do życia skromnego i oszczędnego jest częścią szerszego syndromu zwanego w psychologii niechęcią do działania z odroczonej gratyfikacją, a to podstawowy element osiągnięcia życiowego sukcesu. Brak takiej umiejętności oznacza w języku tradycyjnych pojęć słabość woli i niewyrobienie charakteru. Polska edukacja powierzona kobietom w domu i w szkole oraz dodatkowo katolickim księżom musi mieć w takim rezultacie swój udział, choć zaznaczyć trzeba, że tacy kapłani jak ksiądz Pirożyński na kształcenie charakteru kładli duży nacisk, jednak wątpię, czy katecheci w obecnej szkole znają choćby jego nazwisko.

Bogactwo czy bezpieczeństwo finansowe jest też w dużym stopniu pochodną dobrze ułożonych innych dziedzin życia, przede wszystkim życia rodzinnego czy dbałości o zdrowie. Ogromne sumy marnowane w sporach rozwodowych i towarzysząca im atmosfera bezpardonowej walki to tylko niektóre z przykładów. Trudno też wyobrazić sobie społeczeństwo składające się z ludzi bogatych i schorowanych, szczególnie biorąc pod uwagę charakter współczesnej medycyny. A jednak przekonanie, że najlepszą gwarancją zdrowia jest przekazywanie dużej części naszych podatków na wykonywanie coraz droższych badań i wymagających coraz kosztowniejszego sprzętu procedur medycznych, jest szeroko rozpowszechnione. Spora część odpowiedzialności za taki stan rzeczy spoczywa na rządzie i wpływającym nań silnym lobby farmaceutycznym, które promuje taki stan świadomości, licząc na płynące stąd zyski. Bardzo znamienne jest tutaj zafałszowanie słowa „profilaktyka”, które kiedyś oznaczało zdrowy tryb życia i zapobieganie chorobom, dzisiaj zaś wykonywanie jak największej liczby często zbędnych, a nawet szkodliwych dla zdrowia badań i kreowanie zjawiska przeddiagnozowania o bardzo szerokich i groźnych dla zdrowia oraz innych dziedzin życia konsekwencjach. Wiele osób wydaje się wierzyć, że gdyby robić im co

tydzień badanie tomografem, a raz na miesiąc rezonans, to będą bezpieczni i nie dopadnie ich żadna choroba.

Następnym po charakterze i edukacji piętrem budowania bogactwa jest kapitał społeczny, a przede wszystkim zaufanie w relacjach międzyludzkich, które zawsze były, a dzisiaj są jeszcze ważniejszym elementem tworzenia zasobności. Często w medialnych narzekaniach brak wzajemnego zaufania traktuje się jako cechę samorodną Polaków, podczas gdy w rzeczywistości jest ona pochodną indywidualnych braków w innych dziedzinach. Jeżeli raz zostaniemy potraktowani nieuczciwie, lekceważąco, to w kolejnych relacjach jesteśmy już ostrożniejsi, bardziej nieufni, trudniej nam o współpracę nastawioną na wspólny sukces, a nie walkę z członkami rywalizującej koterii w urzędzie czy biznesie. Znam sytuację, gdy lokalni rolnicy postanowili ratować małą ubojnię, umawiając się, że tylko do niej oddadzą zwierzęta. Jednak bardzo szybko okazało się, że część z nich uległa pokusie minimalnie wyższej ceny oferowanej przez filię dużego koncernu i po cichu tam zawoziła inwentarz. W rezultacie ubojnia upadła, a koncern został monopolistą i ceny obniżył. Dopiero z takich doświadczeń rodzi się nieufność i przekonanie, że nic się nie da wspólnie zrobić. Brak uczciwości i rzetelności we wzajemnych relacjach, a nie brak zaufania, jest pierwotnym problemem. Dodałbym także nieumiejętność komunikowania się, otwartego, ale kulturalnego wyrażania swoich potrzeb czy interesów, no i niezdolność do życia w sytuacji konfliktu czy rywalizacji, ale nie pozwalając, by przekształciły się w wojnę na śmierć i życie.

Słabe i niewiele warte faktyczne wykształcenie oraz słabe charaktery indywidualne przekładają się na słabe wybory personalne w polityce. Kandydaci na stanowiska burmistrzów, radnych, a potem posłów i ministrów wygrywają nie wtedy, gdy są skromni i rzeczowi, lecz gdy umiejętnie grają na kompleksach, urojeniach czy fobiach (dobrze widziany jest też szeroki gest w wydawaniu publicznego grosza. Zilustruję go anegdotycznym, ale znamionym dla stylu, jaki dominuje w lokalnej i wojewódzkiej polityce, przykładem dialogu z obrad Małopolskiego Sejmiku Wojewódzkiego: „A może byśmy zamiast jeździć na kurso-konferencję dla radnych do Zakopanego, zorganizowali ją na miejscu, można by zaoszczędzić kilkadziesiąt tysięcy? — Panie kolego, przy takim budżecie!”. I tak szastanie środkami publicznymi jawi się jako przedłużenie indywidualnych nawyków i zyskuje społeczny poklask). Trudno jest w Polsce wygrać wybory, będąc skromnym, rzeczowym i obiecując zmniejszenie długu czy likwidację deficytu, a mało kto rozumie, że pożyczone pieniądze trzeba spłacać z odsetkami i jeszcze zapłacić prowizje. Prezydenci polskich miast jeżdżą limuzynami z kierowcami, prezydenci miast szwajcarskich za punkt honoru uważają korzystanie z transportu publicznego, za który czują się odpowiedzialni, i to przynosi im polityczne uznanie, a budżetom gminnym i kieszeniom poszczególnych obywateli oszczędności.

Tak dochodzimy do polityki na szczeblu krajowym. Wybrani obdarzonego takimi cechami narodu przedstawiciele mają teraz zapewnić bogactwo nie tylko Polakom, ale i Polsce. Mając na uwadze wynurzenia Mateusza Morawieckiego o tym, że dla gospodarki najlepsza jest wojna lub choćby kryzys, promowane przez WEF (World Economic Forum — Światowe Forum Ekonomiczne w Davos) hasło: „Nie będziesz niczego posiadał, ale będziesz szczęśliwy”, niezwykle trudno jest odpowiedzieć na zadane pytanie, jako że wiele tradycyjnych prawd dotyczących bogactwa staje się przedmiotem nawet nie wątpliwości, ale ataku. Jak udzielać rad, jak przy tak istotnym przewartościowaniu starych zasad planować tradycyjne bogacenie się, gdy jego dotychczasowe rozumienie jest kwestionowane? Załóżmy jednak, że trzymamy się tradycyjnego państwa narodowego jako podmiotu we w miarę tradycyjnym świecie, które to państwo stara się stworzyć swoim obywatelom warunki bogacenia się w idealnie rozumianym modelu, w którym różnice nie są zbyt duże, ale wystarczające dla motywacji do lepszej pracy, a wszyscy żyją na poziomie uznanym kulturowo za przyzwoity i niezmuśzający do rezygnacji z poczucia godności. Z drugiej strony pomijanie pewnych tendencji czy konieczności o skali globalnej też byłoby brakiem realizmu.

Tak jak w gospodarstwie domowym trzeba najpierw zatroszczyć się o dom, tak samo w kraju trzeba prowadzić taką politykę, aby Polacy w miarę łatwo i tanio mogli dorobić się przyzwoitego mieszkania czy domu. Tymczasem obserwujemy zjawisko pogłębiającego się rozwarstwienia w tej dziedzinie, polegającego na tym, że mieszkania i kolejne domy budowane są jako sposób zabezpieczenia swoich oszczędności przed inflacją, co sprawia, że stają się coraz droższe, a zarobki ludzi na dorobku nie są w stanie nadgonić rosnących cen. Mieszkania dla młodych małżeństw, mieszkania plus, wszystkie te szlachetnie brzmiące programy nie zostały zrealizowane mimo dobrych intencji ich projektodawców. Interesy lokalnych sił, deweloperów miały, jak się okazało, większą siłę przebicia, a może bezwładu, niż szlachetne zamiary państwa.

Ogromne znaczenie ma tu katastrofa polskiej urbanistyki i planowania przestrzennego, jaka dokonała się za sprawą wielokrotnego ministra i wicepremiera odpowiedzialnego za tę dziedzinę w latach dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia i na początku naszego wieku — Marka Pola. Raport Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania Polskiej Akademii Nauk szacuje, że z powodu wadliwej lub nieistniejącej w prawdziwym tego słowa znaczeniu polityki przestrzennej polski podatnik traci co roku 84 miliardy złotych. To koszty zbędnej infrastruktury, niepotrzebnej zajętości terenu, rozlewania się miast, utraty czasu i paliwa na dojazdy i wiele, wiele innych. W tej dziedzinie przez ostatnie dekady powtarzaliśmy wszystkie błędy Zachodu, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, o czym ostrzegały w latach dziewięćdziesiątych XX wieku jedynie słabe organizacje ekologiczne i stowarzyszenia obywatelskie. Jednak polscy politycy byli głusi na te raporty — nie chcieli się uczyć, poprzestawali

na powierzchownym oglądzie sytuacji, ulegali lobbingsowi i szli z prądem opinii publicznej urabianej przez komercyjne media. Do dzisiaj tych błędów nie naprawiono, choć chaotyczne zmiany przepisów, próby łatania luk i korygowania błędów bezustannie trwają. Lecz rola planistów i urbanistów została radykalnie osłabiona na rzecz deweloperów i wpływowych architektów. Popularność małych i często źle zaprojektowanych mieszkań na postkomunistycznych osiedlach wynika nie tylko z ich przystępnej ceny i niskich kosztów utrzymania, ale także z atrakcyjności przestrzeni i infrastruktury społecznej.

Kolejnym przykładem polityki infrastrukturalnej, która doprowadziła do masy zbędnych wydatków indywidualnych, lokalnych i krajowych, jest polityka transportowa. Biedni Polacy mają już dawno więcej samochodów na głowę niż bogaci Szwajcarzy, Niemcy, Holendrzy i wszystkie bogate kraje Europy z wyjątkiem Włoch. Mieszkańcy dotkniętych największym bezrobociem gmin w latach dziewięćdziesiątych XX wieku mieli ich więcej niż mieszkańcy Zurychu. W dużym stopniu wynika to wszakże z likwidacji transportu publicznego, przez co poza wielkimi miastami w wielu rejonach kraju możliwość korzystania z niego nie istnieje. Słynna była w latach dziewięćdziesiątych XX wieku suwalska gmina Dubienniki, gdzie zanotowano czterdziestoprocentowe bezrobocie i prawie 420 samochodów na tysiąc gospodarstw domowych, mniej więcej tyle co w bardzo bogatej Danii. Z drugiej strony Szwajcarzy potrafili w referendum przegłosować, że tranzyt towarów zostanie przeniesiony z tirów na kolej i wpisać nawet do Konstytucji zasady finansowania tej operacji. W Polsce na początku tak zwanej transformacji zdołano przekonać ludzi, że posiadanie samochodu jest oznaką wyższego statusu, a ponieważ siły były mniejsze niż możliwości i ambicje, oznaczało to sprowadzenie milionów starych modeli zanieczyszczających środowisko i stanowiących problem jako odpad. O ile porównanie w tej dziedzinie ze Szwajcarią znowu może budzić opór na zasadzie: „Szwajcarzy mogą sobie na to pozwolić, bo są bogaci”, o tyle porównanie stanu kolei i transportu zbiorowego w Czechach i w Polsce pokazuje, że tak jak w każdej innej dziedzinie, tak i tu w skali kraju dominuje u nas działanie na pokaz, uleganie modom, lekceważenie i zaniebdywanie tego, co się posiada, na rzecz nowości z mitycznego Zachodu. Czy nieposiadający samochodu, ale mogący wszędzie szybko, tanio i wygodnie dojechać Szwajcar lub Czech jest biedniejszy od Polaka, wydającego spory odsetek swoich dochodów na benzynę, samochód i jego utrzymanie? Czy kolejowy dygnitarz mówiący z pogardą: „Nie róbmy tu Czech” (chodziło o to, żeby pociągi jeździły często w systemie taktowym, w odróżnieniu od wielkich i rzadko chodzących pociągów polskich) działa, opierając się na wiedzy i chęci zrobienia czegoś dla polskiego pasażera i podatnika? Nie, działa na podstawie własnych emocji i kompleksów, silnej potrzeby puszenia się. Powiedzenie „Nie róbmy tu Czech” stało się zresztą na kolei tematem popularnych memów za sprawą grupy młodych entuzjastów, którzy próbowali coś w tej instytucji zmienić. I tu anegdota:

spotkanie przygranicznych kolejarzy i samorządowców w okolicach Harrachova. Z Polski przyjeżdża drogami samochodami ubrana uroczyście delegacja, a czeski wojewoda przybywa na nartach biegowych i pyta, co trzeba załatwić. Inną cechą, jaką możemy obserwować na czeskich i szwajcarskich kolejach, jest dbałość o to, co już jest, stałe konserwowanie, udoskonalanie przez drobne, lecz przemyślane zmiany, zaś w Polsce czekamy beczynn timer, aż coś ulegnie całkowitej degradacji, by potem nakładem wielkich środków budować wszystko od nowa. Cierpi na tym nie tylko kasa, ale i jakość życia.

Gdyby naprawiono te błędy, wtedy należałoby pomyśleć o tym, że mieszkania w naszej strefie klimatycznej mimo korzystnych w tym względzie zmian klimatu należy ogrzać, a coraz częściej latem ochłodzić. W tym miejscu bardzo silnie zahaczamy o polską politykę energetyczną, a więc i zagraniczną. Z jednej strony nasze członkostwo i słaba pozycja w Unii Europejskiej doprowadziły do tego, że Polacy są zmuszeni do rezygnacji z najtańszego środka ogrzewania domów, jakim jest węgiel albo drewno, z drugiej nie możemy importować taniego i dobrego jakościowo węgla ze względu na politykę, jaką Polska prowadzi wobec Rosji — w tym wypadku jest to wynikiem naszej podległości głównie wobec Stanów Zjednoczonych i polityki anglosaskiej, świetnie wykorzystującej polskie fobie i kompleksy. Podobnie polityka zagraniczna odbija się na polskich kieszeniach jeśli chodzi o gaz i energię elektryczną. Bez jej zmiany w tej dziedzinie, a w konsekwencji w każdej innej — energia jest konieczna także w przemyśle, budownictwie i w rolnictwie — będziemy biedniejsi. Polityka przemysłowa zawsze musi wychodzić od rozwiązania problemu energii, tak było również w Polsce międzywojennej przy budowie Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Kolejnym po mieszkaniu, transporcie, ogrzewaniu podstawowym wydatkiem jest żywność. W powszechnej w Polsce opinii bogaci, a nawet średnio zamożni ludzie, powinni na jedzenie wydawać stosunkowo mały odsetek dochodów. W moim przekonaniu nie jest to słuszne. Warto inwestować w siebie. Wydatki w sklepie ekologicznym na zdrową żywność skutkują lepszym zdrowiem, a w rezultacie zwracają się finansowo w postaci mniejszych kosztów leczenia, na dłuższą zaś metę taka postawa, jak się okazuje, łączy przyjemne z pożytecznym, i tu właśnie wracamy do potrzeby umiejętności działania z odłożoną gratyfikacją. Przyrządzanie smacznych posiłków z produktów dobrej jakości to ważny element życia, także społecznego. Czas spędzany na przeglądaniu Internetu czy oglądaniu seriali, gdyby został poświęcony na gotowanie, przyniósłby nie tylko oszczędności, ale także wiele innych daleko idących pożytków.

Jedzenie to oczywiście rolnictwo, w mniejszym stopniu ogrodnictwo, a nawet łowiectwo czy leśnictwo. W tej dziedzinie rząd polski mimo wygłaszanych na krajowy użytek haseł o „zdrowej polskiej żywności” również okazał brak woli przeciwstawienia się szkodliwym trendom narzucanym przez Unię Europejską, a przede wszystkim przez wielkie agrokorporacje lobbujące w brukselskich

gabinetach. Po 1989 roku straciliśmy z grubsza około połowy małych i średnich gospodarstw (ich liczba spadła z dwóch milionów do miliona). Polska wieś wy-
ludnia się, znikają nie tylko małe gospodarstwa, ale i cała niezbędna infrastruktura. Szczególnie widać to w obrocie nasionami, całkowicie zdominowanym przez
agrokorporacje, które bez trudu wymusiły na polskich władzach, a zatem i na rol-
nikach, zakaz sprzedaży i dzielenia się nasionami. Całe mnóstwo przepisów sani-
tarnych sprawia, że drobni rolnicy nie są też w stanie prowadzić hodowli. „Nowe,
lepsze” odmiany roślin i zwierząt są przy tym coraz mniej odporne na choroby
i uzależnione od produktów agrochemii i Big Farmy. Polska przoduje w ilości an-
tybiotyków zużywanych na kilogram wyprodukowanego mięsa, a epidemia no-
wotworów u Polaków postępuje w galopującym tempie, choć paski telewizyjnych
wiadomości nie informują o liczbie codziennych zachorowań i zgonów. Znajomy
rolnik ekologiczny opowiadał, że we wsi zostało ich trzech. Dwóch potentatów,
stale uzależnionych od kredytów i agrobiznesu, i on — mający gorszy samochód,
mniej ziemi, ale niezadłużony i niezależny. Kto z nich jest bogatszy? — to kolejne
pytanie. Być może rosnące gwałtownie ceny gazu, a zatem i nawozów sztucznych,
sprawia, że część rolników przeczuci się na produkcję lepszej jakości, jednak aby
ta tendencja mogła się utrwalić, konieczna byłaby stanowcza polityka państwa
ułatwiająca obronę przed megakorporacjami, które coraz więcej inwestują w pro-
dukcję sztucznego jedzenia. Zmiany dotyczące sprzedaży bezpośredniej pokazują,
że trudno na to liczyć. Zaostrzono przepisy sanitarne, których zachowanie sprawa-
wia, że produkcja i sprzedaż przetworów we własnym gospodarstwie jest obar-
czona biurokratycznymi kontrolami i mało opłacalna. I tu przed oczami staje mi
scena, kiedy to amerykański aktywista przekonywał polskich rolników do nie-
używania szkodliwych pestycydów i herbicydów, na co tradycyjna, jeszcze odzia-
na w chusty, polska rolniczka zachnęła się z oburzeniem: „A to by się ja narobiła!”.

Los polskiego przemysłu przetwórczego jest słabo znany, mało kto zdaje
sobie sprawę, że swojsko brzmiące marki to jedynie etykiety używane przez za-
granicznych już właścicieli. O tym, że nie mamy żadnej liczącej się sieci sprzedaży
wielko- czy choćby średniopowierzchniowej, wiemy, ale nikomu to nie przeszkadza,
podobnie jak fakt, że podatki, jakie tego rodzaju podmioty zagraniczne płacą
w Polsce, są na ogół symboliczne. Kilka polskich firm, które próbowały konkurować
z nimi jakością, upadło, a zdecydowały o tym zarówno podatki, których polscy
właściciele w odróżnieniu od zachodnich nie mogli omijać, jak i przekonanie
konsumentów, że jedzenie ma być tanie.

W gospodarce w skali kraju, tak samo jak w wypadku pojedynczych osób,
bogactwo łączy się także z umiejętnością wykonywania czegoś, co jest trudne
i mało kto potrafi dostarczyć produkt czy usługę podobnie dobrej jakości za kon-
kurencyjną cenę. Hekatomba, jaka dotknęła polski przemysł, którego w wyni-
ku transformacji około jednej trzeciej zlikwidowano, to prawdopodobnie jedna
z największych katastrof i afer na skalę krajową. Znów stało się to na skutek tych

samych czynników, które sprawiają, że wielu Polaków mieszka w niedogrzanych mieszkaniach, a pewnie będzie w nich jeszcze zimniej. Polityka zagraniczna, w której z jednej strony na skutek wąskich horyzontów i niskiego morale poddał się presji państw zachodnich, które nie chciały taniej i stosunkowo niezłej jakości konkurencji, a z drugiej ulegliśmy zadawnionej czy „odwiecznej” fobii wobec Wschodu, znów dała o sobie znać. Mało kto zwrócił uwagę, że to szwajcarska firma budowała na dnie Bałtyku gazociąg NS2, a przy okazji dowiedział się, że Szwajcarzy są także potentatami w budowie wysokiej jakości maszyn i silników.

Odpowiadając na zadane pytanie, warto też popatrzeć na to zagadnienie z perspektywy historycznej. Przemysł na ziemiach polskich rozwijał się najlepiej w zaborze rosyjskim, brutalna rusyfikacja po powstaniu styczniowym, jak się okazało, miała nań mniejszy wpływ niż wcześniejsze zniesienie barier celnych z Rosją. Co ciekawe, w powszechnej opinii fakt ten jest ignorowany i moje prywatne sondaże znów wskazują, że większość respondentów zażarcie broni sprzecznej z faktami tezy, że centrum przemysłowym były zabór pruski i zakłady Cegielskiego. Kolejny okres, w którym historia się powtórzyła, to czasy PRL, czyli w pewnym stopniu analogiczne pod względem geopolitycznym. Z kolei zabór pruski właśnie mimo stosunkowo słabego uprzemysłowienia poza sektorem przetwórczym i związanym z rolnictwem miał bogatych, bo gospodarnych obywateli. Kiedy w 1918 roku odzyskaliśmy niepodległość, wyróżniał się rzeczywistym brakiem analfabetyzmu, a także silnym społeczeństwem obywatelskim umiejącym się stowarzyszać, skutecznie działać we wspólnym interesie. Edukacja i kapitał społeczny okazały się remedium na brak innych możliwości zarabiania. W obu tych zaborach Polacy mieli utrudniony dostęp do karier urzędniczych. W zaborze rosyjskim byli elitą w wolnych zawodach, a także w wojsku; w zaborze pruskim okazali się dobrymi kupcami, organizatorami, średniej wielkości przedsiębiorcami i rolnikami. W Galicji kariera urzędnicza była możliwa i popularna, podobnie jak galicyjska bieda. Galicyjski etos urzędniczy był często krytykowany przez Polaków z innych zaborów w dwudziestoleciu międzywojennym. Miałem kiedyś okazję rozmawiać z Angielką, która porównywała odpowiedzi urzędników na pytanie ekologicznego rolnika, jak rozpocząć sprzedaż przetworów z własnego gospodarstwa ekologicznego. Odpowiedź urzędu brytyjskiego zajmowała dwie strony i punkt po punkcie zwyczajnym językiem opisywała kolejne czynności, jakie zainteresowany powinien wykonać. Odpowiedź polska była wielostronicowym wyciągiem z równie wielu niejasnych przepisów, które zainteresowany powinien sam sobie wyjaśnić i przełożyć na normalny język.

Roman Dmowski napisał, że Niemcy zawsze starają się osłabić Rosję i mieć z nią dobre stosunki. To zdanie wydaje się banalne w swojej oczywistości i trudno uwierzyć, że ktoś w polityce zagranicznej może nie działać w myśl tej zasady. Jednak polska polityka zagraniczna wydaje się w tej konkurencji wyjątkiem, celem samoistnym pozostają złe stosunki z Rosją i osłabianie własnego kraju

oraz zubożanie obywateli, byleby tylko naszego wschodniego sąsiada podrażnić. Bez zmiany tego aksjomatu zostaniemy peryferiami Zachodu — polem gry Niemiec, Stanów Zjednoczonych i w coraz większym stopniu ponadnarodowych korporacji, dążących świadomie lub siłą bezwładu postępu technologicznego do państwa światowego, które, jak słusznie sugeruje amerykański myśliciel John J. Mearsheimer, wcale nie musi być liberalną demokracją, ale prawdopodobnie stanie się swego rodzaju technotyrianią. Gdybyż udało się Polakom połączyć niemiecką gospodarność Wielkopolan ze wschodnimi, pełnymi zasobów i możliwości przestrzennymi, to nasze możliwości bogacenia się jako kraju przedstawiałyby się o wiele lepiej. Inaczej miejsce Polski z jej słabo wykształconymi i nierozumiejącymi świata obywatelami, brakiem własnych patriotycznych elit o szerokich horyzontach, może być podobne do klasy przeznaczonych do wykonywania nieskomplikowanych czynności półkretynów beta plus z powieści Aldousa Huxleya, ale być może większość z nich będzie dzięki nowym gadżetom szczęśliwa, a tradycyjnie rozumiane bogactwo straci na znaczeniu.

Zakładając jednak optymistycznie, że jakimś cudem Polska zaczęłaby się bogacić i wybijać na suwerenność, wtedy pamiętać należy o jeszcze jednym czynniku, jaki na świecie jest konieczny, by bogactwo zdobyć, a na pewno utrzymać. Jest nim siła. Nie na darmo Szwajcarzy słyną ze swojej powszechnej służby wojskowej, a w każdy weekend szwajcarskie pociągi zapełniają się niekoniernie młodymi umundurowanymi obywatelami jadącymi z bronią na ćwiczenia, każdy z nich przechowuje w domu karabin, niezbędne dla przetrwania ataku zapasy, a pod szwajcarskimi miastami są świetnie zaopatrzone schrony dla ogółu mieszkańców.

Odpowiedź na pytanie, jak widać, przerodziła się w dużym stopniu w katalog wad i katastrof, jakie dotknęły Polskę. W moim przekonaniu ich zdefiniowanie jest koniecznym punktem wyjścia realizacji jakiegokolwiek programu reform, które powinny przede wszystkim koncentrować się na szeroko pojętej edukacji. W pewnym stopniu jesteśmy dzisiaj w sytuacji podobnej do I Rzeczypospolitej z XVIII wieku, w której o polityce zagranicznej i wewnętrznej decydowali obcy ambasadorowie i kosmopolityczna, do cna skorumpowana magnacka elita, a ogół społeczeństwa politycznego nie zdawał sobie sprawy z sytuacji kraju i realiów geopolityki. Ratunku usiłowano szukać także wtedy w edukacji przyszłej elity. Choć w polityce okazała się ona *summa summarum* nieskuteczna i niepodległość utraciliśmy, to jednak trudno wyobrazić sobie dzisiaj inną drogę, być może zresztą problem ten dotyczy całego Zachodu, który pod wieloma względami przypomina upadające Cesarstwo Rzymskie. Pewną różnicę stanowią możliwości technologiczne, ale biorąc pod uwagę stan moralno-intelektualny zachodniego społeczeństwa, trudno się spodziewać, że uczyni ono z nich dobry użytek. Być może nieco zapóźniony status Polski mógłby się w takiej sytuacji okazać atutem, tak jak poziom nieco już ucywilizowanych, ale mniej zdegenerowanych

Germanów wobec zepsucia Rzymian i najazdu Hunów. Na razie wszakże polskie elity pchają nas do roli państwa frontowego i wielonarodowego, w której zamiast o bogactwo, być może będziemy się musieli bardziej troszczyć o ratowanie zdrowia i życia. Jednak nawet w tak tragicznej sytuacji aktualny pozostaje następujący fragment Ewangelii:

Nie troszczcie się więc zbyt i nie mówcie: co będziemy jeść? co będziemy pić? czym będziemy się przyodziewać? Bo o to wszystko poganie zabiegają. Przecież Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Starajcie się naprzód o królestwo <Boga> i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane (Mt 6, 31-33).

Michał Twardosz

fundraiser, menedżer

Dyskusja na temat drogi Polski i Polaków do wzbogacenia się nie gości zbyt często w mediach, zwłaszcza tych, które zbiorczo określić możemy mianem mainstreamowych. Choć pogłębiony namysł nad systemem gospodarczym, polityką fiskalną czy rozpalającą niektórych Polaków aż do czerwoności redystrybucją dóbr wydaje się absolutną koniecznością, gdyż bez niego my wszyscy — jako społeczeństwo — skazani jesteśmy na rolę biernych widzów, o których życiowym szczęściu zdecydują inni, w dodatku ponad naszymi głowami. Niestety, każda próba wydzwignięcia tego tematu z czeluści społecznej obojętności, niewiedzy i braku zainteresowania skazana jest na porażkę. Obowiązujący od początku przemian ustrojowych paradygmat liberalny, z perspektywy szczerych liberałów i libertarian daleki wszak od zacnych — tylko w ich ocenie — ideałów, mimo upływu lat i głębokich zmian społecznych wciąż cieszy się niekwestionowaną pozycją jedynej akceptowanej wizji ułożenia relacji społeczno-gospodarczych. W konsekwencji jakakolwiek rozsądna debata społeczna jest skutecznie paraliżowana lub w najlepszym wypadku dotyczy wąskiego wycinka rzeczywistości, a przez to nie może znacznie zmienić panujących stosunków. Społeczeństwo trwające w letargu zadowala się pokazem dwóch równie ciekawych, co poznawczo bezużytecznych potyczek. Pierwsza to starcie sił obsta-ających za regresją podatkową, które dzielnie walczą z podatkowymi progresistami. Każda ze stron epickiego starcia posiada — w swoim mniemaniu — sprawdzony przepis na portfele pełne banknotów i ogólne bogactwo swoich rodaków. Druga

potyczka to obrona kapitalizmu przed złowrogą nawałą socjalizmu. Tu jednak należy poczynić pewne wyjaśnienie. Kapitalizmem, czyli największym osiągnięciem ludzkości, jest obecny system, a socjalizmem każda próba wprowadzenia nawet najmniejszej zmiany. Ustanowienie niedzieli dniem wolnym od handlu w sklepach wielkopowierzchniowych jest więc zamachem na wolność jednostki i niemal przedśmiankiem pełnego komunizmu. Jak nietrudno się domyślić, oba starcia skutecznie gospodarują serca i umysły nie tylko osób zaangażowanych lub wrażliwych społecznie, ale także ekspertów. W konsekwencji przestrzeni na metaanalizy prezentujące holistyczne spojrzenie jest niewiele. Warto więc podkreślić, że gwałtowne i głębokie zmiany na arenie międzynarodowej poniekąd wymuszają natychmiastowe poszukiwanie nowych rozwiązań. Tocząca się dyskusja, nawet jeśli zakończy się natychmiastowymi zmianami prawnymi i wprowadzeniem powszechnie akceptowanych ustaw dotyczących polityki energetycznej, płacy minimalnej, podatku VAT lub wymogów formalnych spoczywających na jednoosobowej działalności gospodarczej, w żaden sposób nie zmieni długości drogi, którą muszą pokonać Polska i Polacy, zanim się wzbogacą. Błogosławiony ksiądz Adolf Kolping, współczesny Karolowi Marksowi, którego być może spotkał w trakcie jednego z wielu niedzielnych spacerów nieopodal katedry w Kolonii, a z całą pewnością którego idee energicznie zwalczał słowem i czynem — i to, co ciekawe, pracując niecały kilometr od redakcji radykalnej „Gazety Reńskiej” współprowadzonej przez Marksa — pisał, że: „Chrześcijaństwo istnieje nie tylko dla Kościoła i przytułków dla chorych, lecz dla całego życia. Nie ma ani jednego punktu, dziedziny czy relacji życiowej, która nie powinna kierować się zasadami chrześcijańskimi”. Tym samym na tytułowe pytanie należy poszukiwać odpowiedzi nie w modnych koncepcjach Thomasa Piketty’ego czy Ludwiga Erharda, lecz w encyklikach papieża Leona XIII i Benedykta XVI. Od dawna wiemy, że katolicka nauka społeczna, swoisty drogowskaz także dla decydentów politycznych, choć ci często o tym nie pamiętają, pomaga rozeznawać, czy dana idea, zbiór pomysłów, a w końcu doktryna stawia w centrum zainteresowania człowieka i jego dobro. Podążając za myślą Kolpinga, można dostrzec, że to nie system jest najważniejszy, co więcej, ma jedynie charakter wtórny. Uparte dążenie do zachowania liberalnej ortodoksji lub przeciwnie — do wprowadzenia socjalistycznych rozwiązań, może zmienić wiele, ale z całą pewnością nic, co byłoby korzystne dla Polski i Polaków. Droga do wzbogacenia się prowadzi głównie przez wzmacnianie mechanizmów solidarności, o której w ogłoszonej w 2009 roku encyklice *Caritas in veritate* papież Benedykt XVI pisze: „solidarność oznacza przede wszystkim, że wszyscy czują się odpowiedzialni za wszystkich, dlatego nie może ponosić jej jedynie państwo”. Rozchwiany system gospodarczy i trzeszczący porządek polityczny co prawda wprowadziły do codziennego słownika milionów Polaków nowe określenia, uwrażliwiły ich na tematy ekonomiczne i gospodarcze, lecz tylko zdecydowany krok naprzód, porzucenie gotowych rozwiązań wypracowanych przez inne narody i odważne poszukiwanie własnej drogi — wszystko to skróci drogę do bogactwa, rozumianego nie wyłącznie materialnie, ale również kulturowo i społecznie.

Łukasz Warzecha

dziennikarz, publicysta

Na tytułowe pytanie można odpowiedzieć bardzo krótko, stosując metodę *a contrario*: będzie to możliwe, jeśli polskie państwo zacznie działać odwrotnie niż w ostatnich latach. Dopełnieniem tej odpowiedzi mogłoby być stwierdzenie, że należy Polakom dać po prostu więcej wolności i sprawić, żeby państwo przestało się wtrącać w ich życie. A to właśnie jest kierunek odwrotny do obecnego. Rozwińmy te tezy.

Polska i Polacy po 1989 roku wzbogacili się niebywale — a przynajmniej bogacili się do pewnego momentu. W 1991 roku nasz roczny PKB na głowę był najniższy w dziejach III Rzeczypospolitej, niższy niż rok wcześniej, i wynosił 4744 dolary. W 2019 roku był rekordowo wysoki po okresie 28 lat nieustającego wzrostu i wyniósł 14 987 dolarów. W 2020 roku — uwaga — spadł i wyniósł 14 588 dolarów. Tego prognoza załamania nie powinniśmy lekceważyć. Warto też popatrzeć na tempo wzrostu PKB, które charakteryzują okresowe fluktuacje, ale które spadać zaczęło jeszcze w 2019 roku, przed pandemią, kiedy to zaliczyło spektakularne nurkowanie, kwartalnie lądując nawet poniżej zera.

O źródłach naszego sukcesu można by napisać nie jedną, ale kilka książek — i to z różnych punktów widzenia, sprzecznych i spierających się ze sobą. Przedstawię tutaj własną bardzo skrótową, hasłową wręcz diagnozę.

Po pierwsze — z różnych powodów Polska zmierza niestety, stałym kursem, począwszy od początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, od największej do

stopniowo coraz bardziej ograniczonej wolności gospodarczej; tu za punkt wyjścia powinniśmy uznać uchwaloną jeszcze u schyłku PRL ustawę Mieczysława Wilczka, bez żadnych wątpliwości architekta polskich przemian gospodarczych w stopniu wcale nie mniejszym niż Leszek Balcerowicz nieco później. A może nawet większym. Gdyby wolność gospodarcza wprowadzona ustawą Wilczka to było sto, dziś byłibyśmy na poziomie najwyżej pięćdziesięciu albo poniżej.

Paradoksalnie, ten antyliberalny kurs jest odwrotnością wzrostu naszej zamożności, która mogłaby rosnąć znacznie prędej, gdyby był inny. Kolejnym paradoksem jest, że najdalej idąca liberalizacja nastąpiła w okresie rządów postkomunistów, a więc w latach 2001–2005, największe zaś w historii III Rzeczypospolitej bezprecedensowe ograniczenie wolności gospodarczej dokonuje się po 2015 roku, czyli w okresie rządów ugrupowania nazywającego się prawicą.

Po drugie — nasze sukcesy nie są skutkiem działania państwa, ale zostały osiągnięte mimo jego interwencji. Dla przedsiębiorczych Polaków państwo było zawsze raczej wrogiem niż sojusznikiem. Tak było w PRL, a krótki okres wolności na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku to było o wiele za mało, żeby to przekonanie zmienić. Dlatego dzisiaj państwo nadal postrzegane jest przez wielu jako przeciwnik, z którym trzeba nauczyć się walczyć, a nie jako sprzymierzeniec, nie tylko w sferze gospodarczej.

Po trzecie — nie wszyscy na sukcesie skorzystali, z różnych przyczyn, także całkowicie obiektywnych, a to z czasem pozwoliło obecnie rządzącym zbudować skuteczną narrację przeciwstawiającą „Polskę solidarną” „Polsce liberalnej”. Przy czym „Polska solidarna” jest przedstawiana jako nieponosząca żadnej winy za swoją sytuację, uciemniona, szlachetna i patriotyczna; „Polska liberalna” — jako sprzyjająca obcym siłom, kombinatorska, uwikłana w wątpliwe układy. Do worka z napisem „Polska liberalna” wrzucono zarówno większość przedsiębiorców, jak i wolnych zawodów czy przedstawicieli tworzącej się w bólach klasy średniej, a więc prawie wszystkich tych, którzy w III Rzeczypospolitej zdołali odnieść względny sukces.

Odtwarzam tutaj uproszczony schemat, ale taka jest przecież natura tak zwanych narracji — to właśnie spłaszczony przekaz, bo tylko takie są w stanie kształtować świadomość społeczną na większą skalę.

Po czwarte — obecna władza uznaje przedsiębiorców za zło konieczne, przede wszystkim za źródło przychodów budżetowych. To na nich nakładane są największe obciążenia, to oni są najbardziej skrępowani przepisami, to ich traktuje się z największą bezwzględnością. To skutek nałożenia się na siebie kilku czynników, począwszy od populistycznego wyczucia oczekiwań elektoratu, po osobiste fobie czy ignorancję przywódcy obozu rządzącego w sprawach gospodarczych.

To krótkie podsumowanie sytuacji pozwala wskazać, co trzeba zmienić, żeby Polska mogła zacząć jak najszybciej wydobywać się z problemów, w jakich

nieuchronnie się pogrąża — wraz z dużą częścią zachodniego świata, ale jednak w tempie szybszym ze względu na współwystępowanie wielu endemicznych, a bardzo niesprzyjających okoliczności.

Ale zanim powie się cokolwiek o konkretnych rozwiązaniach, ważne jest przyjęcie odmiennej aksjologicznej podstawy od dziś obowiązującej: założenia — opartego nie na czczych domniemaniach, lecz na doświadczeniu ostatnich co najmniej dwustu lat zachodniego świata — że większa wolność gospodarcza jest korzystna dla wszystkich, a nie dla wybranej grupy uprzywilejowanych. To założenie wymaga przy tym rezygnacji z niektórych nowomodnych dogmatów, którymi atakuje się nie tylko klasyczny liberalizm, ale także w ogóle klasyczną ekonomię, reklamując w zamian coś nazywanego pokrętnie „nową ekonomią”, w której rzekomo nie obowiązują tradycyjne reguły i możliwe jest na przykład zadłużanie się w nieskończoność.

Jeden z takich dogmatów to przekonanie, że nierówności są złe same w sobie — a nie wyłącznie wówczas, gdy prowadzą do widocznych złych skutków — więc trzeba z nimi walczyć systemowo w każdej sytuacji i za wszelką cenę. Inny całkowicie fałszywy dogmat, bardzo widoczny w Polsce, to twierdzenie, że państwo jest efektywniejszym, a na pewno „sprawiedliwszym” podmiotem w relacjach gospodarczych niż prywatne firmy. Realizacja tego dogmatu prowadzi do sytuacji takich jak w wypadku powołania Polskiej Grupy Spożywczej, która będąc własnością Skarbu Państwa, jednocześnie będzie konkurować z podmiotami prywatnymi na rynku przez to samo państwo regulowanym. Jest to po prostu akt nieuczciwej konkurencji.

Co zatem robić? Nie miejsce tutaj na konkretne i drobiazgowo zalecenia dotyczące na przykład konstrukcji systemu podatkowego — choć wiele takich można by wymienić, jak skończenie z absurdem opodatkowania wynagrodzeń wypłacanych przez państwo. Ważniejsze nawet niż zmniejszanie obciążeń są trzy kwestie.

Po pierwsze — radykalne uproszczenie mechanizmów prawnych i fiskalnych, przede wszystkim przepisów podatkowych. Drastycznymi przykładami ich koszmarnego skomplikowania i niskiej jakości są przepisy ustawy o VAT oraz przepisy Polskiego Ładu. Przedsiębiorcy muszą spędzać mnóstwo czasu i wydawać pieniądze na wypełnianie formalności zamiast na obmyślanie najlepszych sposobów prowadzenia biznesu.

Po drugie — likwidacja jak największej liczby barier biurokratycznych dla prowadzenia działalności. Te dwie kwestie bywają wskazywane przez przedsiębiorców częściej jako poważne problemy niż sama wysokość podatków.

Po trzecie — zdecydowane ograniczenie ekspansji państwa w gospodarce. Udział państwowych firm w PKB to w Polsce nawet do 30 procent, podczas gdy w Unii Europejskiej to średnio zaledwie 10 procent. Znów widać tu znaczną zmianę na niekorzyść po 2015 roku. Ma to doniosłe skutki. O jednym była już

mowa: w niektórych dziedzinach państwo jest uczestnikiem pozornie rynkowej gry i zarazem ustala jej reguły. Inny, rzadziej dostrzegany, ma ogromne konsekwencje: to uzależnienie rosnącej grupy pracowników od państwa, a więc od jego polityki, czyli także od konkretnej siły politycznej.

Motywacja powiększania państwowego sektora jest, niestety, również właśnie taka. W ten sposób politycy budują lojalność coraz większych grup wyborców, których stabilizacja życiowa zaczyna zależeć nie od kompetencji, zdolności, doświadczenia zawodowego czy pomysłowości, ale od wypełniania politycznych poleceń w sektorze państwowym, który właśnie do celów politycznych jest chętnie wykorzystywany. To psucie społeczeństwa i psucie gospodarki.

Są też warunki dodatkowe. Pierwszy to potraktowanie wreszcie serio zasady, którą trzeba było zapisać w ustawie Prawo przedsiębiorców (art. 8), choć jest to przecież jedna z podstawowych reguł prawnych w każdym zachodnim porządku prawnym od czasów rzymskich i w ogóle nie powinna być nigdzie zapisywana, bo nie powinno to być konieczne: co nie jest zakazane, jest dozwolone. Drugi to rezygnacja z podsycania irracjonalnego i przede wszystkim z gruntu nieprawdziwego podziału na „Polskę solidarną” i „Polskę liberalną”.

Nie jestem jednak optymistą. Choć w moim przekonaniu paradygmat, na jakim opierają się rządzący po 2015 roku, jest wyjątkowo niekorzystny dla budowania osobistej pomyślności, trudno dzisiaj wyobrazić sobie wyraźny zwrot w polskiej polityce gospodarczej nawet przy zmianie władzy. Różnice są bowiem niewielkie: to kwestia rozłożenia akcentów, ograniczeń w jednym miejscu, aby w innym zaplanować jeszcze większą ekspansję fiskalną, rewizji niektórych programów tam, gdzie należałoby je po prostu skasować. Takie podejście wynika z oczekiwań elektoratu, a ten jest w przeważającej części coraz silniej roszczeniowy.

Niestety, czasu prosperity nie wykorzystano na budowanie rezerw na gorszy okres, choćby przez dążenie do zrównoważenia budżetu (prawdziwego, nie propagandowego). Walka o poparcie polityczne w czasie bardzo szybkiego pogarszania się warunków ekonomicznych polega na licytowaniu się na hojność w wydawaniu publicznych pieniędzy. W ten zaś sposób nie tylko nie da się zbudować pomyślności obywateli, ale nawet nie da się złagodzić kryzysu. Wręcz przeciwnie — nawet się go pogłębi.

Artur Wroński

przedsiębiorca, historyk

Jeżdżę do domku letniskowego przez dwie okolice. Jedna to Świątyniki, a po drugiej stronie Kalwaria. To są ośrodki, które kwitną nie na złodziejstwie, nie z kradzieży prywatyzacyjnych czy z parcelacji tego wielkiego majątku peerelowskiego, ani nie z pracy gasterbeiterskiej. Ci ludzie zbudowali imponującą strukturę na swojej tradycji. Świątyniki produkują okucia do stolarki budowlanej i jakoś obroniły się przed Chinami. Ta ich nisza okazała się ciekawa, bo to trochę wymaga większej żyłki technologicznej. W Świątynikach ta produkcja rzemieślnicza istnieje od XIX wieku. To była wieś, która należała do katedry wawelskiej, więc pewnie tam jej mieszkańcy nauczyli się robić jakieś zamki, okucia i takie rzeczy. W XIX wieku produkowali te swoje kłódki i potem jeden gość jeździł z nimi po całych Austro-Węgrzech; docierali do Triestu, na Węgry, wszędzie — taki obwoźny handel. Komuna to jakoś upaństwowiła, ale nie zniszczyła, tylko rozwinęła, bo na miejscu zbudowano szkołę. I ci ludzie dziś produkują, oprócz okuć budowlanych, klamek, zamków — narzędzia. Myślę, że tam są setki milionerów. Tamci ludzie wyrosli na tym, co umieli, i to coś imponującego.

I to samo w Kalwarii, po drugiej stronie. Tam produkowano meble kalwaryjskie, paskudne zresztą, takie solidne, ciężkie, mieszcząskie. Komuna też tego jakoś nie zarżnęła, częściowo upaństwowiła, a dziś to kwitnie. Czyli: to są ludzie, którzy zostali w Polsce, potrafili się przebić przez niekorzystne warunki zewnętrzne. To wszystko jest oparte na systemie rodzinnym, to znaczy, że jak

się komu trafiła żona, która mogła być księgową, to nią zostawała, inny złapał zięcia, który został w zawodzie ślusarskim itd., itd. Czy oni mają przyszłość? Czy oni mają dzieci? Czy te dzieci nie są zdegenerowane już zupełnie, jak wszystko? Tego nie wiem. Ale widzę, że na razie im się dobrze wiedzie, bardzo dobrze, że coś zbudowali. Tam są takie fajne małe fabryczki, połączone z domem. Widocznie ta korupcja lokalna, gminna, jest łatwiejsza do przejścia. To są optymistyczne rzeczy, które widzę. Polska ogólnie nie jest krajem przyjaznym dla przedsiębiorców, ale takich przyjaznych krajów w Euro-Ameryce, w sferze atlantyckiej, już nie ma. Rozwój socjalizmu, całe to szaleństwo, liczba pasożytów urzędniczych wszelkiego szczebla po prostu przyrasta wszędzie. Ale ci ludzie w Świątnikach i Kalwarii jakoś dają radę — i to jest piękne. Będzie tam pewnie paru jakichś złodziejowatych, a kilkunastu będzie na pewno chłopów w drugim, trzecim pokoleniu wybitnych, którzy robią cuda.

Jesteśmy opóźnieni, ale komuna zakonserwowała ludzi ze zdolnością do pracy, ludzi, którzy nie są zdemoralizowani. Zachód stworzył kulturę komfortu. Komfort i wygoda w połączeniu z socjalizmem ogólnym doprowadzają do lenistwa. Wystarczy pogadać z dowolnym chłopakiem, który pracował na Wyspach. Jakie są zdolności do pracy Anglików? To nie istnieje, to są rzeczy dawno skończone. A u nas przez komunę, przez to opóźnienie, ludziom chce się jeszcze pracować. Czy to można jakoś ratować? To się na razie samo ratuje. Myślę, że Polska gminna to jest ta Polska, która rzeczywiście teraz produkuje, bogaci się. I to jest piękne, to jest ten optymistyczny model. Tyle że jest i tak na łasce elementu próżniaczego i nieodpowiedzialnego, szalonego, podłączonego do maszyny całej tej popkultury medialnej, szalonej, zwariowanej. Czy oni są w stanie się temu oprzeć?

Biogramy uczestników debat

Aleksy (Alosza) Awdiejew — polsko-rosyjski językoznawca, psycholog, muzyk, piosenkarz, twórca kabaretowy, aktor. Urodzony w Rosji, do Polski przybył w 1967 roku. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1975 roku związany z krakowską Piwnicą pod Baranami jako wykonawca romansów i dowcipnych piosenek rosyjskich, cygańskich i żydowskich. W latach 1975–1980 pianista zespołów jazzowych. Jego płyty oraz krajowe i zagraniczne koncerty cieszyły się dużą popularnością, przez co stał się znaczącą postacią polskiego show-biznesu. Wystąpił w kilku produkcjach filmowych.

Twórca koncepcji gramatyki komunikacyjnej. W latach 1974–2001 pracownik naukowy Instytutu Filologii Słowiańskiej UJ, wicedyrektor do spraw studenckich (1994–1998), kierownik Zakładu Języka Rosyjskiego (1996–2001). Od 1978 roku doktor, a od 2005 roku profesor nauk humanistycznych. W 1980 roku pracownik Trinity College w Dublinie. Od 2001 roku pracownik Instytutu Rosji i Europy Wschodniej UJ. Członek Polskiego Towarzystwa Językoznawczego.

Józef Baran — poeta, filolog, dziennikarz, podróżnik, piewca rodzinnego Borzęcina. Absolwent filologii polskiej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Jako poeta debiutował w 1969 roku na łamach „Życia Literackiego”, później jego wiersze publikowane były w prasie krajowej i polonijnej. W 1974 roku ukazał się jego pierwszy tom poetycki *Nasze najszczersze rozmowy*. Od 1975 roku aktywny jako dziennikarz, współpracował z „Dziennikiem Polskim” „Gazetą Krakowską”, „Sycyną”, „Wieściami”

i nowojorskim „Nowym Dziennikiem”. Lirykę Barana docenił Artur Sandauer, który uchodził za odkrywcę jego talentu. Przetłumaczono ją na kilkanaście języków (angielski, niemiecki, hiszpański, szwedzki, węgierski, galijski, hebrajski, arabski i większość języków słowiańskich), a w 1989 roku trafiła do szkolnych programów nauczania.

Stypendysta Svenska institutet w Sztokholmie i Fundacji Wspierania Niezależnej Nauki i Kultury Polskiej w Paryżu. W latach 1998–2002 wiceprezes krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W 2001 roku uczestnik XXI Światowego Kongresu Poetów w Sydney. Laureat licznych nagród literackich i wyróżnień (m.in. PEN West Club w Los Angeles). Jego wiersze stały się inspiracją dla twórców piosenek, są wykorzystywane jako teksty utworów artystycznych i popularnych.

Stanisław Bieliń — profesor nauk społecznych, doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie nauk o polityce, specjalność: stosunki międzynarodowe. Zaangażowany w Instytucie Stosunków Międzynarodowych Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1984–1987 i 2002–2008 zastępca dyrektora Instytutu, w latach 1993–1999 i 2008–2012 prodziekan Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Od 1999 do 2014 roku redaktor naczelny czasopisma „Stosunki Międzynarodowe / International Relations”. Jego zainteresowania naukowe obejmują politykę zagraniczną Rosji i politykę wschodnią Polski, zajmuje się także problemami tożsamości i procesami negocjacyjnymi w stosunkach międzynarodowych. Autor książek: *Tożsamość międzynarodowa Federacji Rosyjskiej* (2006), *Polityka w stosunkach międzynarodowych* (2010), *Negocjacje w stosunkach międzynarodowych* (2013), *Czas próby w stosunkach międzynarodowych. Miscellanea* (2017), *Turbulence in the Post-Cold War Era* (2021). Redaktor i współredaktor naukowy prac zbiorowych: *Polska w stosunkach międzynarodowych* (2007), *Polityka zagraniczna Rosji* (2008), *Rosja w okresie prezydentury Władimira Putina* (2008), *Stosunki Rosji z Unią Europejską / Otnoszenija Rossiji z Jewrosojuzom* (2009), *Rosja: refleksje o transformacji* (2010), *Polityka zagraniczna Polski po wstąpieniu do NATO i do Unii Europejskiej. Problemy tożsamości i adaptacji* (2010), *Wizerunki międzynarodowe Rosji* (2011), *Poland’s Foreign Policy in the 21st Century* (2011), *Geopolityka w stosunkach polsko-rosyjskich* (2012), *Rosja w procesach globalizacji* (2013), *Bariery modernizacji Rosji* (2014), *Teorie i podejścia badawcze w nauce o stosunkach międzynarodowych* (2015), *Rossijsko-polskie otnoszenija w zerkalce geopolityczeskich koncepcij* (2015), *Rosja: rozważania imperiologiczne* (2015), *Pamięć i polityka historyczna w stosunkach polsko-rosyjskich* (2016), *Rewolucja w myśli i praktyce politycznej* (2018), *Polityka wschodnia RP — między fatalizmem geopolitycznym a klątwą niemocy* (2019).

Ryszard Bocian — prawnik, nauczyciel, polityk. W 1956 roku założyciel marksistowskiego Rewolucyjnego Związku Młodzieży na Wydziale Lotniczym Politechniki Warszawskiej, zaangażowany w produkcję i kolportaż ulotek, w latach 1957–1958 przywódca opozycyjnej grupy młodzieżowej, w latach 1964–1981 członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wykładowca Akademii Medycznej w Krakowie (w latach 1972–1981 i 1990–1992). Od 1981 roku członek Konfederacji Polski Niepodległej. W tym samym roku organizował strajk w Akademii Medycznej i kopalni „Manifest Lipcowy”

w Jastrzębiu-Zdroju. W 1982 roku internowany, później szykanowany przez władze. W latach 1990–1998 radny Krakowa, później (1999–2005) miejski rzecznik konsumentów. Założyciel Związku Konfederatów Polski Niepodległej 1979–1989, prezes Związku do 2007 roku. Inicjator ścigania przez aparat państwowy działaczy komunistycznych odpowiedzialnych za represje wobec opozycji. Nagrodzony Medalem „Niezlomnym w Słowie” (2010) i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2015).

Jacek Breczko — filozof, historyk idei. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, pracownik naukowy Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. W kręgu jego zainteresowań badawczych znalazły się historia idei, filozofia religii i treści filozoficzne obecne w literaturze pięknej. Autor książek: *Zapiski poszukiwacza ryb łądowych, Dawno i prawda. Wprowadzenie w historiozofię Czesława Miłosza, Dwa tysiące sześćsetletni poród. Wstęp do filozofii, Poglądy historiozoficzne pisarzy z kręgu „Kultury” paryskiej. Przewyciężenia katastrofizmu, odrzucenie mesjanizmu, Cywilizacja na zakręcie. Szkice z historii filozofii i filozofii historii, O empatii, empatycznej cywilizacji i nowej duchowości (szkice etyczne z domieszką sceptyczną) oraz W poszukiwaniu lewego brzegu chrześcijaństwa (szkice z filozofii polskiej XX wieku).*

Krzysztof Budziakowski — działacz społeczny, przedsiębiorca, poeta, publicysta. W czasie studiów filozoficznych współzałożyciel Niezależnego Zrzeszenia Studentów UJ i Klubu Myśli Patriotycznej „Jagiellonia”. Twórca i organizator wydawnictw działających poza cenzurą w okresie PRL-u, w których opublikował kilkadziesiąt książek. Założyciel Kancelarii Obsługi Inwestycji i Biura Architektonicznego KB Projekt.

Autor wierszy i esejów, publikowanych na łamach „Arcanów”, „Rzeczpospolitej” i „Toposu” oraz w autorskich zbiorach *Choć nasze łodzie przeciekają... notatki lipnickie* i *My, polani i inne szkice*. Pomysłodawca i członek kapituły medalu „Niezlomnym w Słowie”. Kawaler Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski i innych odznaczeń państwowych. Założyciel i prezes Fundacji im. Zygmunta Starego, podejmującej liczne inicjatywy o charakterze patriotycznym i społecznym.

Krzysztof Bzdyl — ekonomista, związkowiec, polityk, działacz społeczny. Od lat sześćdziesiątych XX wieku zaangażowany w antykomunistyczną działalność polityczną. W grudniu 1970 roku w Krakowie wraz ze swoim młodszym bratem Adamem organizował manifestacje w związku z mordowaniem na Wybrzeżu ludności sprzeciwiającej się decyzjom komunistycznych władz. W październiku 1976 roku zorganizował strajk w swoim zakładzie pracy WSS „Społem” Oddział Gastronomii, za co został zwolniony dyscyplinarnie. Od 1979 roku działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, współpracownik Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie, współzałożyciel Ruchu Porozumienia Polskich Socjalistów i Konfederacji Polski Niepodległej. Członek Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Wielokrotnie zatrzymywany przez Służbę Bezpieczeństwa, więziony w latach 1980–1981 w Warszawie w więzieniu przy ul. Rakowieckiej za działalność niepodległościową w Konfederacji Polski Niepodległej, a według komunistycznych władz za próbę obalenia przemocą ustroju socjalistycznego. Członek władz Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania w 1981 roku. W stanie wojennym w grudniu 1981 roku organizator

strajku w MPK w Krakowie, za co został skazany przez Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego na trzy lata więzienia. Był więziony w latach 1981–1983 w więzieniach Nowy Wiśnicz, Montelupich w Krakowie, w Raciborzu, Strzelcach Opolskich, Kłodzku i Strzelinie. W latach 1984–2006 na emigracji w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Wydawca polonijnej „Wolnej Polski”, absolwent Stanford Brown College. W 1999 roku współzałożyciel Związku Konfederatów Polski Niepodległej 1979–1989, prezes Związku od 2010 do 2019 roku. Od 2019 roku sekretarz ZKPN. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

Marcin Chmielowski — politolog, doktor filozofii, absolwent podyplomowych studiów z zakresu bankowości centralnej i polityki pieniężnej. Wiceprezes Fundacji Wolności i Przedsiębiorczości, libertariańskiej instytucji zajmującej się promocją modelu społeczeństwa opartego na dobrowolności, a nie na przymusie, a także dyrektor Polskiego Stowarzyszenia Fundraisingu. Wiedzę teoretyczną pogłębiał podczas wizyt w Mises Institute i Austrian Economic Center, a praktyki uczył się od Lithuanian Free Market Institute, Grassroots Leadership Academy i Atlas Network. Autor lub współautor publikacji naukowych na temat myśli politycznej i kolektywnej inteligencji, twórca form dokumentalnych, popularyzator wiedzy na temat krakowskiej szkoły ekonomicznej, publicysta, komentator i podcaster.

Stanisław Chyczyński — filozof, poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, malarz. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako poeta debiutował w 1993 roku na łamach „Źródła”. W 1994 roku założył magazyn literacko-artystyczny „Nihil Novi”, wieloletni redaktor pisma. Oprócz zbiorów wierszy wydał tom szkiców literackich *Życie poza nawiasem*. Uhonorowany odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej. Zaangażowany w wiele inicjatyw promujących historię i tradycje Kalwarii Zebrzydowskiej.

Tomasz Cukiernik — z wykształcenia prawnik i ekonomista, z zawodu — publicysta i komentator gospodarczy oraz przedsiębiorca, a z zamiłowania — podróżnik. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego, ukończył też studia podyplomowe w Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Jest autorem książek: *Prawnicowa koncepcja państwa — doktryna i praktyka* (II wydanie pt. *Wolnorynkowa koncepcja państwa*), *Dziesięć lat w Unii. Bilans członkostwa, Socjalizm według Unii, Witajcie w cyrku, Na antypodach wolności, Michalkiewicz. Biografia* oraz współautorem 15 tomów podróżniczej serii „Przez Świat” i kilku innych publikacji książkowych. Współpracuje z periodykami: „Do Rzeczy”, „Najwyższy Czas!”, „Forum Polskiej Gospodarki” (serwis fpg24.pl), „Polonia Christiana” (serwis pch24.pl) i „Magna Polonia”.

Kazimierz Dadak — ekonomista ze specjalizacją w finansach, wykładowca amerykańskich i europejskich uniwersytetów, w latach 1999–2022 profesor Hollins University (z *tenure*), doktorat uzyskał w Fordham University w Nowym Jorku. Obszary jego zainteresowań naukowych to przemiany polityczno-ekonomiczne w Europie Środkowo-Wschodniej, integracja gospodarcza w Unii Europejskiej, historia gospodarcza Polski, finanse międzynarodowe, finanse przedsiębiorstw, zarządzanie strategiczne, inwestycje w instrumenty giełdowe i katolickie nauczanie społeczne. Autor i współautor

około 400 prac naukowych i popularnonaukowych w języku angielskim i polskim. Jego artykuły ukazały się m.in. w „Contemporary European History”, „Journal of Economic Issues”, „Panoeconomicus”, „Krakow International Studies”, „The Cato Journal”, „The Independent Review”, „The Wall Street Journal”, „Warsaw East European Review”, „Review of Business”, „Arcanach”, „Ethosie”, „Międzynarodowym Przeglądzie Politycznym”, „Wszystko co Najważniejsze”, „Kontakcie”, „Rzeczach Wspólnych”, „Nowej Konfederacji”, „Rzeczpospolitej”, „Wprost”, „Idziemy”, „Dzienniku Polskim”, „Dzienniku Bałtyckim”, „Kurierze Lubelskim”, „Kurierze Porannym”, „Głosie Szczecińskim”, „Gazecie Lubuskiej”, „Gazecie Polskiej”, „Polska Times”, „Gazecie Bankowej” i w „Gońcu Małopolskim”.

Działacz antykomunistycznej opozycji w latach 1977–1981, w latach 1980–1981 działacz NSZZ „Solidarność”. Znany z centroprawicowych poglądów, angażował się w inicjatywy mające na celu obronę dobrego imienia Polski w świecie i promujące tradycyjne wartości.

Jarosław Dobrzański — filozof, historyk, tłumacz, przedsiębiorca, publicysta. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego i amerykańskiego University of Notre Dame. Specjalista w dziedzinie historii idei i historii Rosji. Publicysta „Polityki Polskiej”, „Tędy” i innych nielegalnych pism. Później związany z periodykami „Dziś”, „Przegląd”, „Res Publica” i „Zdanie”. Od 1998 roku menedżer w sektorze motoryzacyjnym i paliwowym.

Marta Dziejicka-Wasylewska — biochemiczka, neurofarmakolożka. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 2004 roku profesor zwyczajny nauk medycznych. W 2000 roku stworzyła Pracownię Farmakologii Biochemicznej w Zakładzie Farmakologii Instytutu Farmakologii Polskiej Akademii Nauk, którą kierowała w latach 2000–2019. Od 2006 roku pracownik Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii UJ, kierownik Zakładu Biochemii Fizycznej, w latach 2008–2016 prodziekan do spraw dydaktycznych. Opublikowała sto kilkadziesiąt prac doświadczalnych w renomowanych czasopismach naukowych. Od 2007 roku prezes Fundacji im. prof. Zygmunta Wasylewskiego. W 2019 roku laureatka przyznawanej przez Wydział Nauk Medycznych PAN Nagrody im. Jędrzeja Śniadeckiego.

Witold Gadowski — psycholog, pisarz, poeta, polityk. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowca Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Dziennikarz, dziennikarz śledczy i publicysta „Czasu Krakowskiego”, „Dziennika Polskiego”, „Gazety Polskiej”, „Niedzieli”, „Rzeczpospolitej”, „Sieci”, „Wprost” oraz pism polonijnych, aktywny w mediach elektronicznych. Wieloletni dziennikarz telewizji TVN, w latach dziewięćdziesiątych XX wieku korespondent wojenny na Bałkanach, później organizator pomocy humanitarnej dla ofiar wojny w Kosowie. W latach 2000–2002 dyrektor Wydziału Informacji Urzędu Miasta Krakowa i rzecznik prasowy prezydenta miasta. W 2010 roku dyrektor I Programu Telewizji Polskiej, dziennikarz TVP w latach 2016–2017. Autor programów w Radiu WNET i w I Programie Polskiego Radia. Popularność przyniosły mu reportaże śledcze, cykliczne programy telewizyjne i wywiady przeprowadzone z terrorystami. Autor filmów dokumentalnych i książek publicystycznych. Współreżyser pierwszego polskiego filmu dokumentalnego

o międzynarodowym handlu ludzkimi organami. Laureat nagrody Grand Press 2004, dwukrotny zdobywca nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w dziedzinie dziennikarstwa śledczego „Watergate”, laureat nagrody International Organization for Migration, zdobywca Grand Prix na III Przeglądzie Telewizyjnych Reportaży Śledczych i Interwencyjnych „Ukryta Kamera” w Łodzi oraz Grand Prix dla najlepszego filmu polskiego na międzynarodowym festiwalu Human Doc. Od 2017 roku wiceprezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Aleksander Galos — prawnik, bankowiec, przedsiębiorca, polityk. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 1987 roku sędzia, radca prawny od 1994 roku. W czasach studenckich członek Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie, współzałożyciel Niezależnego Zrzeszenia Studentów, uczestnik protestów z lat 1980–1981. W latach 1984–1992 pracownik naukowy UJ, wykładowca teorii i filozofii prawa. Dyrektor Gabinetu Szefa Urzędu Rady Ministrów (1992–1993), w latach 1994–2001 radca prawny i partner zarządzający Hogan & Hartson Sp. z o.o. oraz Kancelarii Prawnej Hogan & Hartson M. Jamka, A. Galos i Wspólnicy. Członek rad nadzorczych kolejno PKO BP S.A., Banku Zachodniego WBK S.A., Stalexport–Autostrady S.A. i ING Banku Śląskiego. Dyrektor Biura Prawnego i Regulacji PGE Polskiej Grupy Energetycznej, szef praktyki kancelarii Kochański i Partnerzy, mentor Fundacji Liderów Biznesu.

Kamil Gancarz — biotechnolog, finansista, przedsiębiorca, wynalazca. Absolwent Politechniki Łódzkiej (2007) i Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie (2019). Od 2010 roku właściciel i dyrektor zarządzający firmy Invest Management. Członek zarządu Blockchain Development Foundation (od 2017 roku), prezes zarządu firmy Bitfold (od 2021 roku).

Roman Graczyk — politolog, dziennikarz i publicysta. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach osiemdziesiątych XX wieku współpracował z nielegalnym „Bez Dekretu” i emigracyjnym „Kontaktem”. Od 1984 do 1991 roku dziennikarz „Tygodnika Powszechnego” (1988–1990 sekretarz redakcji). W latach 1991–1993 zastępca dyrektora Radia Kraków. W latach 1993–2005 publicysta „Gazety Wyborczej” (sekretarz krakowskiej redakcji pisma 1997–1998), z której odszedł z powodu sporu o lustrację. W latach 2007–2018 pracownik krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Jako niezależny publicysta obecny na łamach „Rzeczpospolitej” i w mediach elektronicznych (m.in. onet.pl). Autor publikacji poświęconych najnowszej historii Polski, ostatnio wydał książkę *Demiurg. Biografia Adama Michnika* (Zona Zero, Warszawa 2021).

Wiesław Hołdys — reżyser teatralny, scenarzysta, teatrolog, malarz, piewca Śląska Cieszyńskiego. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego i Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. Twórca kilkunastu autorskich przedstawień teatralnych, w tym wielu prezentowanych na festiwalach w kraju i za granicą. W latach 1990–1992 dyrektor naczelny i artystyczny Teatru im. Ludwika Solskiego w Tarnowie, później (1995–2000) jego etatowy reżyser, w latach 2001–2002 pełnił tę samą funkcję w Teatrze Powszechnym im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Od 1999 roku prezes i reżyser założonego przez siebie Stowarzyszenia Teatr Mumerus. Publicysta „Tramwaju Cieszyńskiego”. Prowadzi warsztaty teatralne, ze

scenografii, z fotografii i malarstwa. Laureat wielu prestiżowych nagród za działalność artystyczną.

Elżbieta Isakiewicz — polonistka, pisarka, poetka, dziennikarka, publicystka. Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, karierę dziennikarską rozpoczęła w studenckim tygodniku „ItD”. W 1981 roku uzyskała pierwszą nagrodę w konkursie literackim „Wobec własnego czasu”, dwa lata później otrzymała za swoje reportaże wyróżnienie zdelegalizowanego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a w 1987 roku tytuł Autorki Roku od czytelników pisma „Płomyk”. Dziennikarka „Tygodnika Solidarność”, później „Nowego Świata”. Współzałożycielka i zastępca redaktora naczelnego „Gazety Polskiej” (1993–2005), następnie publicystka i reportażystka „Newsweeka”, „Dużego Formatu” i „Tygodnika Powszechnego”, aktywna w mediach elektronicznych. Autorka czternastu książek, w tym historycznych (związanych zwłaszcza z tematyką polsko-żydowską). W 2000 roku Laureatka Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W 2011 zdobywczyni Nagrody Dziennikarskiej Unii Europejskiej w konkursie „Razem przeciwko dyskryminacji”. W 2020 roku wyróżniona w konkursie Instytutu Literatury.

Krzysztof Janicki — satyryk i humorysta. Od połowy lat osiemdziesiątych XX wieku związany z krakowską Piwnicą pod Baranami. Autor spektakli teatralnych oraz piosenek i monologów kabaretowych. Publikował teksty w krakowskim „Czasie” i „Dzienniku Polskim”. Prowadził rubryki w „Gazecie Krakowskiej” i „Przekroju”. Wchodził w skład redakcji satyrycznego miesięcznika „Garbus”. W 2004 roku pomysłodawca, współzałożyciel i redaktor naczelny czasopisma „Nowy Pompon” — wraz z redakcją w tym czasie współpracował z radiową Trójką, która emitowała wersje dźwiękowe pisma. Współautor tekstów i wykonawca w programie telewizyjnym Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny *MC²*. Autor purnonsensowej *Książki z papieru*.

o. Wojciech Jędrzejewski — duchowny katolicki, dominikanin, teolog, rekolekcjonista, katecheta, duszpasterz młodzieży i studentów. Członek Zakonu Kaznodziejskiego od 1988 roku, święcenia kapłańskie otrzymał w 1994 roku. Wykładowca katechetyki i teologii pastoralnej w Kolegium Dominikanów. Autor licznych książek o tematyce religijnej, modlitewników i ewangeliarzy, prezentujących nowatorsko prawdy wiary chrześcijańskiej oraz ujmujących duchowość w perspektywie psychologicznej. Współpracownik Radia Plus oraz internetowych telewizji Religia TV i Boska TV, publicysta związany z „Gazetą Wyborczą”, „Przewodnikiem Katolickim”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „W drodze”, „Więziami” i „Znakiem”. Pracownik Dominikańskiego Ośrodka Kaznodziejskiego. Prowadzi warsztaty biblijne i kaznodziejskie dla duchownych, świeckich i grup duszpasterskich.

Cezary Kaźmierczak — publicysta i przedsiębiorca. Od 1980 roku publicysta, redaktor, wydawca, drukarz i kolporter nielegalnych pism. W czasie stanu wojennego tymczasowo aresztowany, następnie internowany. Od 1983 roku jeden z liderów Siedleckiego Komitetu Oporu Społecznego, na emigracji w latach 1989–1995. W Stanach Zjednoczonych redaktor polonijnego „Dziennika Chicagowskiego”, następnie w kraju szef działu sprzedaży radia RMF FM, publicysta „Dziennika Gazety Prawnej”. Założyciel agencji

szkoleniowej MMT Management (1998), członek zarządu Centrum im. Adama Smitha (2005–2014). Współzałożyciel Związku Przedsiębiorców i Pracodawców i jego prezes od 2010 roku. Przewodniczący rady fundacji Warsaw Enterprise Institute. Kawaler Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyża Wolności i Solidarności.

Tadeusz Kensy — absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1977–1978 działacz i rzecznik krakowskiego SKS. Uczestnik przed-sierpniowej opozycji demokratycznej w PRL. Działacz pierwszej Solidarności, członek Komisji Krajowej. Redaktor „Sygnału” (1978), „Wsi Rzeszowskiej” (1980–1983), „Solidarności Związkowej” (1980) i „WRYJ-a” (1981). Po wprowadzeniu stanu wojennego więziony w Ostródzie, następnie w Iławie, Załężu, Piaskach i Nowym Łupkowie do 9 grudnia 1982 roku. Między 1977 a 1989 rokiem rozpracowywany przez SB: inwigilowany, podsłuchiwany, rewidowany i kilkanaście razy zatrzymywany. Po 1989 roku organizator podmiotów ekonomii społecznej współpracujących z US AID oraz PHARE, członek Polskiego Komitetu Współpracy z COPA — COGECA. Menedżer w Fundacji Spółdzielczości Wiejskiej (1991–1998), potem członek gremiów kierowniczych firm sektora prywatnego. Od 2020 roku emeryt. W latach 1990–1992 członek PSL „Solidarność”, 2007–2010 członek PiS. Wielokrotnie odznaczany i wyróżniany, m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2007) oraz Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości (2019).

Roman Kochnowski — politolog, historyk. Absolwent Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, doktor nauk politycznych od 1989 roku, w 2002 roku uzyskał habilitację. Od 2020 roku profesor tytularny. Wykładowca Uniwersytetu Śląskiego (1989–2007) i Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie (od 2007 roku). Do jego głównych zainteresowań badawczych należą dzieje Niemiec i Austrii w XIX i XX wieku. Autor książek poświęconych najnowszej historii Niemiec i Austrii, szczególnie ich dziejom militarnym.

Andrzej Lech Koszmider — elektronik, inżynier. Absolwent Politechniki Łódzkiej, doktor nauk technicznych od 1966 roku, profesor zwyczajny od 1991 roku. W latach 1979–1982 prezes Zarządu Okręgowego Akademickiego Związku Sportowego w Łodzi, współzałożyciel Klubu Żeglarskiego Politechniki Łódzkiej. Specjalista od spraw konstrukcji przekładników, mechanizmów przepięć, skomputeryzowanych systemów pomiarowych i metodyki pracy umysłowej. Opracował metody analizy właściwości kompatybilnościowych przekładników. Pracownik naukowy PŁ (od 1958 roku) i Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, kierownik katedry na Wydziale Elektrotechniki, Elektroniki, Informatyki i Automatyki PŁ, w latach 1993–1996 przewodniczący Senackiej Komisji Dydaktycznej PŁ, w latach 2009–2010 dziekan, a w latach 2010–2014 rektor AHE. Autor książki *Podstawy elektrotechniki i elektroniki*. Członek Łódzkiego Towarzystwa Naukowego i Społecznego Komitetu Pamięci Józefa Piłsudskiego.

Hanna Kowalska-Stus — kulturoznawca i literaturoznawca, filolog rosyjski, profesor nauk humanistycznych. Pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności. W latach 2002–2008 prodziekan do spraw studiów Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ, w latach 2008–2012 prorektor do spraw studiów WSZ w Oświęcimiu, od 2004 roku kierownik

katedry Kultury Bizantyńsko–Prawosławnej UJ. Autorka prac z dziejów kultury Rusi i Rosji. Członek Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego, Komisji Emigrantologii Słowian PAU i Sławiańskiego Miru, członek założyciel Disputationes Academiae UJ, przewodnicząca Komisji Kultury Słowian PAU.

Bronisław Łagowski — filozof, historyk idei, eseista, publicysta. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, doktoryzował się na Uniwersytecie Jagiellońskim, habilitację uzyskał w Polskiej Akademii Nauk. W kręgu jego zainteresowań badawczych znajdują się filozofia polityczna, filozofia prawa, filozofia historii, historia idei i dzieje myśli społecznej. W latach 1962–2000 pracownik naukowy UJ, zastępca dyrektora Instytutu Filozofii do spraw dydaktyki. Członek Komitetu Nauk Filozoficznych PAN. Pracownik naukowy krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego, kierownik Katedry Filozofii Społecznej w Instytucie Filozofii i Socjologii. Autor m.in. *Szkiców antyspołecznych*, uznanych w 1997 roku za Krakowską Książkę Miesiąca. Pisał artykuły naukowe, eseje i felietony w prasie fachowej i popularnej, współpracował z takimi piśmami jak „Europa. Tygodnik Idei”, „Gazeta Wyborcza”, „Kapitalista Powszechny”, „Krytyka Polityczna”, „Nowe Życie Gospodarcze”, „Polityka”, „Polityka Polska”, „Przegląd”, „Przegląd Polityczny”, „Przegląd Tygodniowy”, „Reports of Philosophy”, „Res Publica Nowa”, „Studia Filozoficzne”, „Twórczość”, „Tygodnik Powszechny”, „Universitas”, „Zdanie” i „Życie Gospodarcze”.

Marcin Masny — historyk, dziennikarz, publicysta.

Janusz Majcherek — filozof, socjolog, publicysta. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, później związany z krakowską Wyższą Szkołą Pedagogiczną, pracownik naukowy Instytutu Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego (do 2021 roku), zatrudniony w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. Doktor nauk humanistycznych od 1992 roku, habilitowany w 2005 roku, od 2018 roku profesor, specjalista w dziedzinie filozofii politycznej i społecznej oraz filozofii i socjologii kultury. Publicysta tygodników i gazet codziennych, m.in. „Tygodnika Powszechnego”, „Polityki”, „Newsweeka”, „Rzeczpospolitej”, „Gazety Wyborczej” oraz stacji telewizyjnych i radiowych. Laureat nagrody Grand Press w 1999 roku jako najlepszy publicysta roku oraz Nagrody Kisiela w 2003 roku. Autor książek naukowych, popularnonaukowych i publicystycznych, ostatnio opublikował *Źródła bogactwa i biedy ludzi oraz ich zbiorowości*.

Andrzej Mazur — poeta, redaktor, reżyser i aktor teatralny. Stażysta w Instytucie Aktora — Teatrze Laboratorium Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, Uniwersytecie Poszukiwań Teatru Narodów pod patronatem UNESCO i międzynarodowej grupie stażowej Zbigniewa Cynkutisa i Reny Mireckiej. W latach 1976–1978 reżyser i aktor parateatralnego zespołu Warsztat w Lublinie. Jako poeta debiutował w 1977 roku na łamach „Kamieny”. Od 2008 roku zaangażowany w projekt Poezja Sieciująca — Networking Poetry, w latach 2010–2016 redaktor naczelny internetowego czasopisma „Poetry & Paratheatre”. Pomysłodawca i prowadzący pierwszego na świecie wirtualnego festiwalu poezji Th’Republic of Poets.

Krzysztof Mazur — filozof, politolog, polityk. Specjalista od filozofii społecznej, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 2002 roku członek Klubu Jagiellońskiego oraz jego prezes w latach 2007–2012 i 2015–2018. W latach 2002–2009 koordynator projektów w Instytucie Tertio Millennio. Inicjator Akademii Nowoczesnego Patriotyzmu, współpracownik Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku, ekspert Centrum Analiz PKO Banku Polskiego. W latach 2019–2020 podsekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju. Członek Narodowego Centrum Badań i Rozwoju oraz Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej.

Stanisław Michalkiewicz — prawnik, pisarz, tłumacz, dziennikarz, publicysta, polityk. Absolwent lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1972 roku publikował na łamach legalnych i nielegalnych pism, m.in. „Dziennika Polskiego”, „Gazety Polskiej”, „Gospodarza”, „Kursu”, „Magna Polonia”, „Mojej Rodziny”, „Najwyższego CZASU!”, „Naszego Dziennika”, „Naszej Polski”, „Niezależnej Gazety Polskiej”, „Opcji na Prawo”, „Opinii”, „Powściągliwości i Pracy” oraz „Zielonego Sztandaru”, zyskując grono wiernych czytelników. Dodatkową popularność zapewniła mu stała obecność w mediach elektronicznych. W latach 1977–1980 współpracownik Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, od 1980 roku członek Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. W 1981 roku członek Komisji Koordynacyjnej Wydawnictw i Agencji Prasowych oraz współzałożyciel Klubów Służby Niepodległości. Zaangażowany w druk i kolportaż nielegalnych wydawnictw, internowany w 1982 roku. W 1987 roku współzałożyciel Unii Polityki Realnej, członek partii do 2009 roku, jej prezes (1997–1999) i wiceprezes (2004–2005), następnie współpracownik Wolności i Praworządności oraz Kongresu Nowej Prawicy. W latach 1991–1993 członek Trybunału Stanu, autor projektów nowej konstytucji i nowelizacji kodeksu karnego. Felietonista Radia Maryja, Telewizji Trwam (od 2003 roku) oraz I Programu Polskiego Radia (2006–2013). Autor licznych książek publicystycznych, laureat nagród literackich.

Maciej Mieziań — historyk sztuki, muzealnik, publicysta, piewca krakowskiej Nowej Huty. Współpracownik Radia Kraków i Telewizji Polskiej, twórca audycji i cyklicznych programów w TVP Kraków i TVP Historia. Publicysta „Czasu Krakowskiego”, „Focusa — Historii”, „Gazety Wyborczej”, „Głosu — Tygodnika Nowohuckiego”, „Przekroju” i „Tygodnika Powszechnego”. Przez kilka lat kustosz dworku Jana Matejki w Krzesławicach, pracownik Zespołu do spraw Powołania Muzeum Nowej Huty i HTS, pracownik nowohuckiego oddziału Muzeum Krakowa. Autor książek regionalnych i przewodników turystycznych po Krakowie i okolicach oraz po Kazimierzu Dolnym.

Marcin Niewalda — genealog, fotografik, muzyk, podróżnik, dziennikarz. Studiował pedagogikę chóralną na Akademii Muzycznej, zarządzanie kulturą w Profesjonalnej Szkole Biznesu oraz dziennikarstwo katolickie w podyplomowym studium przy UJ i PAT. W latach 1996–2005 twórca i dyrektor pierwszego w Polsce niepaństwowego Młodzieżowego Domu Kultury im. św. Jadwigi w Krakowie. Od 2000 roku twórca i redaktor naczelny portalu internetowego Genealogia Polaków (www.genealogia.okiem.pl) oraz prezes Fundacji Odtworzeniowej Dziedzictwa Narodowego. Popularyzator historii

życia codziennego dawnych Polaków. Autor książek *Metody manipulacji XXI w.*, *Święta – nieświęta. Oficjaliści prywatni i ich świat* oraz *Okiem sokalskiego lirnika*.

Czesław Nowak — ekonomista związany z krakowską Akademią Rolniczą, od 2008 roku z Uniwersytetem Rolniczym im. Hugona Kołłątaja. W 1992 roku obronił pracę habilitacyjną, profesor od 2004 roku. W centrum jego zainteresowań badawczych znajdują się gospodarka rolna i rynek pracy.

Edward Edmund Nowak — inżynier, spółdzielca, polityk. Absolwent krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Od 1980 roku członek Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, delegat Związku na zgromadzenie regionalne w Tarnowie i zjazd krajowy w Gdańsku, uczestnik strajków w krakowskiej Hucie im. Lenina, współtwórca Uniwersytetu Demokracji. Więziony w latach 1982–1983, później inwigilowany i szykanowany. W 1984 roku współtwórca Towarzystwa Pomocy Więzionym oraz Inicjatywy Obywatelskiej w Obronie Praw Człowieka przeciw Przemocy. W 1985 roku ponownie więziony przez dwa miesiące. W latach 1986–1988 kierownik zakładu w Przedsiębiorstwie Zagranicznym ARTCO. W 1989 roku współtwórca Krakowskiej Fundacji Społecznej, członek Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego. Prezydent Izby Przemysłowo-Handlowej w Krakowie w latach 1989–1994. W latach 1989–1991 poseł Obywatelskiego Komitetu Parlamentarnego, członek komisji sejmowych. Wiceprezydent Krakowa w latach 1990–1991. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu (1992–1993 i 1993–1995) oraz Ministerstwie Gospodarki (2000–2001). Przewodniczący rządowej komisji do spraw Kopalni Soli w Wieliczce, autor programów sektorowych w przemyśle chemicznym, farmaceutycznym i stoczniowym, opracowywał projekt ustawy o specjalnych strefach ekonomicznych. W latach 1995–2012 prezes, dyrektor i przewodniczący rad nadzorczych przedsiębiorstw państwowych, w 2006 roku członek zarządu Agencji Rozwoju Przemysłu. Od 2015 roku członek Komitetu Obrony Demokracji. Kawaler Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski i innych odznaczeń.

Tadeusz Nyczek — polonista, krytyk literacki, teatralny i plastyczny, pedagog. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego (1970). W latach 1986–2017 wykładowca na Wydziale Reżyserii krakowskiej PWST. Kierownik literacki kilku teatrów, od 2011 roku warszawskiego Ateneum. Od 1969 roku publikował swoje teksty na łamach prasy literackiej i kulturalnej, także popularnej. Współpracował m.in. ze „Studentem”, z „Echem Krakowa”, „Gazetą Wyborczą”, „Miesięcznikiem Literackim”, „Dialogiem”, „Pismem”, „Przeglądem Powszechnym”. Od 1979 roku publikuje monografie i zbiory szkiców poświęcone różnym zjawiskom teatralnym, literackim i malarskim. W latach 1982–1989 redaktor i publicysta nielegalnej „Arki”. W latach 1984–1993 wraz z Maciejem Szybistem prowadził krakowską galerię sztuki „Inny Świat”. Laureat nagród im. Barbary Sadowskiej i im. Kazimierza Wyki.

ks. Wit Pasierbek SJ (Akademia Ignatianum w Krakowie) — jezuita, filozof, teolog. Absolwent Wydziału Filozoficznego Towarzystwa Jezusowego w Krakowie, Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie i Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, doktor teologii. Wikariusz Generalny Bractwa „Fraternitas Jesu”. Dyrektor

Ignacjańskiego Forum Społecznego, redaktor naczelny czasopisma naukowego „Horyzonty Polityki”, członek redakcji czasopisma naukowego Sejmu RP „Myśl Polityczna”, współredaktor serii wydawniczej „Dyskurs Politologiczny”, razem z prof. B. Szlachetą redaktor serii wydawniczej „Słowniki Społeczne”, autor opracowań traktujących o moralnych uwikłaniach polityki i o charakterze władzy. Laureat indywidualnej nagrody Ministra MNiSW za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności organizacyjnej — nagroda I stopnia (2020). Jego zainteresowania obejmują teologię polityczną, historię idei, filozofię polityki oraz moralno-instytucjonalny charakter polityki.

Krzysztof Pawłowski — fizyk, przedsiębiorca, polityk. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, związany też z krakowską Akademią Górniczo-Hutniczą. Współzałożyciel Klubu Inteligencji Katolickiej w Nowym Sączu (1980), prezes nowosądeckiego KIK w latach 1980–1987. Kierownik laboratorium badawczego Sądeckich Zakładów Elektro-Węglowych „SZEW”. Senator (1989–1993), członek prezydium Krajowej Izby Gospodarczej (1993–1997), od 2007 roku członek rady nadzorczej Banku Pekao. Założyciel Sądecko-Podhalańskiej Szkoły Biznesu (1991), Wyższej Szkoły Biznesu — National Louis University w Nowym Sączu (1992) i Wyższej Szkoły Biznesu w Tarnowie (1996), rektor SPSB (1991–1992), WSB — NLU (1992–2007) i WSB (1996–2007), od 2008 roku prezydent WSB — NLU. Autor ponad czterdziestu prac naukowych, laureat licznych nagród i wyróżnień dla przedsiębiorców. Od 2006 roku honorowy obywatel Nowego Sącza.

Andrzej Pilipiuk — archeolog, pisarz, publicysta, kolekcjoner. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, jeden z najpopularniejszych współczesnych pisarzy polskich, autor przeszło 50 książek. Debiutował w 1996 roku na łamach „Fenixa” opowiadaniem fantastycznym *Hiena*. W swoich książkach i opowiadaniach często łączy tematykę fantastyczną i historyczną, wykorzystując swoją rozległą wiedzę humanistyczną. W 2002 roku laureat Nagrody im. Janusza A. Zajdla, wielokrotnie wyróżniany za swoją twórczość. Znany z prawicowych poglądów, związany przez pewien czas z Platformą Janusza Korwin-Mikkego i Unią Polityki Realnej. Krytyk degrengolady polskiej kultury i edukacji. W 2022 roku zwrócił przyznane mu wcześniej odznaczenia rosyjskie.

Walery Pisarek — językoznawca i prasoznawca, profesor nauk humanistycznych. Represjonowany w okresie stalinowskim za działalność opozycyjną, więziony w latach 1946–1947 i 1951–1955. Jego głównymi zainteresowaniami badawczymi były socjolingwistyka i psycholingwistyka masowego komunikowania. Twórca, teoretyk i metodolog interdyscyplinarnego prasoznawstwa. Autor licznych publikacji z zakresu językoznawstwa i komunikacji masowej. W latach 1969–2000 dyrektor Ośrodka Badań Prasoznawczych w Krakowie. Pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, od 1994 roku profesor zwyczajny. W latach 1990–2012 redaktor naczelny „Zeszytów Prasoznawczych”. Pomysłodawca Ogólnopolskiego Dyktanda, projektodawca ustawy o języku polskim. Laureat prestiżowych nagród, uznany autorytet w dziedzinie kultury języka, członek honorowy Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej i Towarzystwa Kultury Języka. Od 1996 roku członek Rady Języka Polskiego, w latach

1996–2000 jej pierwszy prezes, później honorowy przewodniczący. W latach 2006–2014 przewodniczący Komitetu Narodowego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk do spraw Europejskiej Federacji Narodowych Instytucji na rzecz Języka.

Mikołaj Pisarski — ekonomista, działacz społeczny, publicysta. Absolwent międzynarodowego programu zarządzania Atlas Leadership Academy w Stanach Zjednoczonych. Popularyzator myśli libertariańskiej i austriackiej szkoły ekonomii. Zaangażował się m.in. w projekt Lekcji Ekonomii dla Młodzieży. Działacz konserwatywno-liberalnego stowarzyszenia KoLiber, w latach 2016–2017 jego prezes. Od 2017 roku wiceprezes i szef marketingu spółki Clinical Trials Solutions. Od 2018 roku prezes fundacji Instytut Edukacji Ekonomicznej im. Ludwiga von Misesa.

Stanisław Piskor — pisarz, eseista. Absolwent historii sztuki na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktorat uzyskał na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Redaktor czasopism kulturalnych i programów kulturalnych Telewizji Polskiej. Jako eseista był współautorem kilkunastu publikacji zbiorowych, m.in. *Sporu o poezję* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977), a także autorem *O tożsamości polskiej* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988). Jako prozaik zadebiutował w 1980 roku powieścią *Ruchomy kraj*. Był przez dwie kadencje prezesem Oddziału Katowickiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (1990–1992 i 1995–1997), a następnie sekretarzem i wiceprezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (2000–2005). Jest członkiem PEN Clubu oraz Krakowskiego Oddziału SPP. Był współzałożycielem i sekretarzem Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Twórczych i Naukowych w Katowicach (1980–1981), delegatem na zjazd IV kadencji NSZZ „Solidarność”. Laureat nagród Funduszu Literackiego, Miesięcznika Literackiego, Nagrody im. Wincentego Rzymowskiego oraz Dorocznej Nagrody „Solidarności”. Za dorobek twórczy został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Stefan Płażek — prawnik, adwokat, publicysta. Doktor habilitowany nauk prawnych, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, adiunkt w Katedrze Prawa Samorządu Terytorialnego na Wydziale Prawa i Administracji. Prowadzi własną kancelarię adwokacką w Krakowie, okazjonalnie publikuje artykuły komentujące przepisy prawne dotyczące funkcjonowania samorządów.

Marek Przychodzeń — filozof, socjolog, przedsiębiorca. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktor nauk humanistycznych od 2010 roku. Koordynator kursów zdalnych w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera. Od 2011 roku prezes zarządu spółki doradztwa energetycznego EIDOS. Od 2014 roku wiceprzewodniczący krakowskiego Przymierza Przedsiębiorców. W 2015 roku otrzymał od Krajowej Izby Gospodarczej licencję Europejskiego Menedżera Energetyki.

Stanisław Remuszko — socjometra, dziennikarz, publicysta. Absolwent nauczycielskich studiów matematyczno-fizycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Dziennikarz „Zorzy”, „Słowa Powszechnego” i nielegalnych pism opozycyjnych. W latach

1989–1990 dziennikarz „Gazety Wyborczej”, po odejściu z redakcji jej zdecydowany krytyk (dalszą współpracę z pismem nazywał „niemoralną”). Publikował w „Czasie Krakowskim”, „Kurierze Polskim”, „Nowym Państwie”, „Tygodniku Solidarność” i innych pismach. Współpracownik Radia WAWA i polskiej redakcji Szwedzkiego Radia. Założyciel Stowarzyszenia na Rzecz Państwa Neutralnego Światopoglądowo „Neutrum”, Towarzystwa Amatorów Niektórej Twórczości Stanisława L., Towarzystwa Hobbitycznego i Towarzystwa Poczty Podziemnej, współzałożyciel Stowarzyszenia Spółdzielców Osiedla „Jary”. Autor książek publicystycznych.

Jan Skoczyński — polonista, historyk filozofii, badacz polskiej myśli filozoficznej i społecznej, szczególnie XIX i XX wieku, nauczyciel szkolny i akademicki, esei-sta i felietonista. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1981 roku doktor nauk humanistycznych, profesor zwyczajny od 2004 roku. Pracownik naukowy Instytutu Filozofii UJ, wicedyrektor do spraw dydaktycznych w latach 1993–1999, powołał pierwszy po wojnie Zakład Filozofii Polskiej. Współzałożyciel i pierwszy rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Sanoku (2001–2002). Członek Komisji Kultury Słowian PAU oraz Rady Naukowej pisma „Historyka”, były członek zarządu Ośrodka Myśli Politycznej w Krakowie. Współpracował z takimi pismami jak „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Więź”, „W drodze”, „Czas Krakowski”, „Nowe Państwo”, „Tygodnik Solidarność Małopolska”, „Tygodnik Sanocki”, „Korso Sanockie”. Felietonista portalu Studio Opinii.

Liliana Sonik (z domu Batko) — polonistka, dziennikarka, publicystka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Działaczka dominikańskiego Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka” w Krakowie, w 1977 roku współzałożycielka i rzeczniczka krakowskiego Studenckiego Komitetu Solidarności. W okresie stanu wojennego organizowała pomoc dla internowanych. W latach 1984–1996 na emigracji we Francji. Dziennikarka Radio France Internationale i Deutsche Welle, później publicystka „Dziennika Polskiego”, „Rzeczpospolitej” i „Tygodnika Powszechnego”. Sekretarz stowarzyszenia SOS Aide aux Malades Polonais, zajmującego się wsparciem finansowym i szkoleniowym dla polskich szpitali i personelu medycznego oraz pomocą medyczną dla Polaków przebywających za granicą. W 2007 roku dyrektor biura programowego Telewizji Polskiej. Członkini Stowarzyszenia Wolnego Słowa i Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Członkini zarządu Stowarzyszenia Maj '77, prezes Instytutu Dziedzictwa Narodowego. Odznaczona Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2006), Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości (2019) i innymi odznaczeniami.

Wojciech Stanisławski — historyk, publicysta, doktor nauk humanistycznych. Zajmuje się historią Związku Sowieckiego, Europy Środkowo-Wschodniej i Bałkanów. Szczególnie ciekawia go losy radzieckich intelektualistów i antykomunistycznej emigracji rosyjskiej. Kustoszu Muzeum Historii Polski, w latach 1997–2007 analityk Ośrodka Studiów Wschodnich. Jest stałym współpracownikiem „Teologii Politycznej”, felietony i recenzje publikuje również na łamach kwartalnika „Herito”, portalu „Nowa Konfederacja”, „Nowego Napisu”, „Nowych Książek” i tygodnika „Sieci”.

Jerzy Surdykowski — dziennikarz, publicysta, pisarz, dramaturg, scenarzysta, dyplomata. Absolwent i wieloletni pracownik Politechniki Gdańskiej, wykładowca dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dziennikarz i felietonista „Gazety Krakowskiej”, „Perspektyw”, „Rzeczpospolitej”, „Tygodnika Solidarność”, „Znaku”, „Życia Gospodarczego” i „Życia Literackiego”. W 1966 roku zadebiutował jako pisarz powieścią *Powracający z morza*. W kolejnych latach tworzył scenariusze filmowe i sztuki sceniczne, w tym *Horoskop*, zdjęty z afisza przez cenzurę w 1976 roku. W 1980 roku zaangażował się w strajk w Stoczni Gdańskiej, publikując teksty w biuletynie strajkowym. W tym samym roku wybrany wiceprezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, pełnił tę funkcję również po wprowadzeniu w 1981 roku stanu wojennego i delegalizacji SDP. W 1982 roku objęty zakazem pracy w państwowych mediach, zaangażował się w przygotowywanie nielegalnych wydawnictw. W latach 1990–1996 polski konsul generalny w Nowym Jorku, później ambasador w Tajlandii, akredytowany również w Birmie i na Filipinach. Autor licznych powieści i esejów. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (1994) i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011), laureat Nagrody im. Bolesława Prusa (1986), członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN Clubu.

Olaf Swolkień — absolwent kierunków socjologia i historia na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz studiów podyplomowych dla tłumaczy tekstów specjalistycznych UJ i studiów podyplomowych w dziedzinie zarządzania oświatą Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Stypendysta Environmental Law Institute i German Marshall Found w zakresie planowania przestrzennego i transportu. W latach 1996–2003 koordynator ogólnopolskiej Kampanii na Rzecz Ekologicznego Transportu „Tiry na Tory”. Prezes Federacji Zielonych — Grupa Krakowska, od 2004 roku członek zarządu Fundacji Instytut Spraw Obywatelskich. Uczestnik licznych akcji na rzecz ochrony przyrody i tradycyjnego polskiego rolnictwa. Autor książki *Nowy ustrój — te same wartości. Rzecz o tym dlaczego współczesny człowiek niszczy naturalne środowisko* oraz opracowania *Polityka transportowa*. Publicysta i felietonista — m.in. internetowego Tygodnika Spraw Obywatelskich. Działacz opozycji antykomunistycznej.

Jerzy Targalski — historyk, orientalista, politolog, tłumacz, publicysta. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, pracownik naukowy UW w latach 1980–1981, od 2001 roku wykładowca Studium Europy Wschodniej UW, doktor nauk humanistycznych od 2007 roku (doktorat obronił na Akademii Humanistycznej w Pułtusku). Od 1976 roku współpracownik Komitetu Obrony Robotników, później Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, od 1980 roku członek Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Redaktor i kolporter opozycyjnych pism. Poszukiwany w czasie stanu wojennego, brał udział w tworzeniu nielegalnej prasy, w której publikował jako Józef Darski. Członek Komitetu Wykonawczego nielegalnej Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość”. W latach 1984–1997 na emigracji we Francji. Współpracownik wielu liczących się pism polonijnych (m.in. paryskiej „Kultury”, z którą rozstał się w atmosferze konfliktu) oraz nielegalnej prasy krajowej. W latach 1987–1988 współpracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. W latach 1998–2000 dyrektor i naczelny redaktor PAI-Pressu, w latach 2000–2001 dyrektor PAI-Internetu. Od

2006 roku członek zarządu Polskiego Radia, wiceprezes, odwołany w 2009 roku. Autor i współautor książek historyczno-publicystycznych.

Michał Twardosz — absolwent stosunków międzynarodowych w Instytucie Politologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Wiceprezes zarządu Fundacji Projekt PL i Polskiego Stowarzyszenia Fundraisingu. Członek Polsko-Czeskiego Towarzystwa Naukowego i Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych. Uczestnik kursów amerykańskiego Columbia University, posiada Certificate for Essentials of Program Strategy and Evaluation wydany przez Stanford Center on Philanthropy and Civil Society. Zawodowo fundraiser, edukator i wolontariusz, który od wielu lat zaangażowany jest w rozwój trzeciego sektora w Polsce. Doradza i pomaga wielu organizacjom pozarządowym — współpracuje m.in. z Dziełem Kolpinga w Polsce oraz Ogólnopolskim Portalem DomyDziecka.org. Jest stałym współpracownikiem kilku miesięczników, na których łamach popularyzuje idee filantropii i fundraisingu. W przeszłości związany zawodowo z branżą wydawniczą i start-upem FaceUp. W czasie wolnym licencjonowany skoczek spadochronowy metodą *static line*.

Jerzy Vetulani — biochemik, neurobiolog, psychofarmakolog, profesor nauk biologicznych, popularyzator nauki, działacz społeczny i kulturalny. W latach 1954–1961 współtwórca i konferansjer krakowskiej Piwnicy pod Baranami. W 1956 roku zaangażowany w wiece studenckie, później członek Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. Wykładowca Polskiej Akademii Nauk, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Małopolskiej Szkoły Wyższej im. Józefa Dietla. Kierownik Zakładu Biochemii Mózgu (1976–2006), zastępca dyrektora do spraw naukowych (1994–2002) i wiceprzewodniczący Rady Naukowej PAN (2003–2017). W latach 70. XX wieku zasłynął z przełomowych dla światowej nauki badań nad mechanizmem działania leków antydepresyjnych. Wśród jego zainteresowań badawczych szczególną rolę odgrywały zaburzenia depresyjne i neurologiczne, uzależnienia i mechanizmy działania elektrowstrząsów. Należał do najbardziej cenionych polskich biomedyków i najczęściej cytowanych przedstawicieli polskiej nauki. Od 2008 roku związany z Centrum Kopernika, gdzie kierował zespołem badawczym Neuroscience. Autor kilkuset artykułów naukowych oraz kilku książek popularyzatorskich. Laureat licznych prestiżowych nagród, m.in. Międzynarodowej Nagrody Anna Monika, Nagrody Kopernikańskiej i Nagrody Popularyzator Nauki, kawaler Złotego Krzyża Zasługi i Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski. Mimo antyklerykalnych poglądów wyrażał szacunek względem dorobku Kościoła katolickiego i uznanie dla papieża Jana Pawła II oraz odcinał się zdecydowanie od „wojującego ateizmu”. Znany z lewicowych przekonań, deklarował publicznie poparcie dla Janusza Palikota, aborcji, środowisk LGBT, idei uczczenia żołnierzy radzieckich i zbliżenia polsko-rosyjskiego.

Łukasz Warzecha — dziennikarz i publicysta. Absolwent stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Warszawskim. Publikuje m.in. w tygodniku „Do Rzeczy”, „Rzeczpospolitej”, „Super Expressie”, na portalu Onet.pl oraz w magazynach „Brać Łowiecka”, „Strzał.pl”, na portalu Forum Polskiej Gospodarki, w internetowym Magazynie „Kontra” oraz w „Nowej Konfederacji”. Komentował lub komentuje politykę we wszystkich ważnych mediach. Prowadzi internetowe programy *Polska na serio*

oraz *Podwójny kontekst* (wspólnie z prof. Antonim Dudkiem). Od 2020 roku prowadzi także własny kanał publicystyczny na YouTube. W przeszłości prowadził programy *Z reflekssem* i *W tyle wizji* w TVP oraz *Szukając dziury w całym* i *Wrózenie z faktów* w Polskim Radiu 24. Współpracował również z Warsaw Enterprise Institute. Członek Ruchu Obywatelskiego Miłośników Broni.

Jan Woleński — filozof, logik, prawnik, epistemolog, publicysta, profesor nauk humanistycznych. W latach 60. XX wieku związany ze Stowarzyszeniem Ateistów i Wolnomyślicieli, od 2007 roku członek Komitetu Honorowego Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, Politechniki Wrocławskiej oraz Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i Institute International de Philosophie, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego. W kręgu jego zainteresowań badawczych znajdują się m.in. teoria prawdy i filozofia prawa. W latach 1980–1990 członek Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, szykanowany za działalność opozycyjną, co na pewien czas spowolniło jego karierę naukową. W 2007 roku współzałożyciel Ruchu na Rzecz Demokracji. Jeden z inicjatorów reaktywacji Żydowskiego Stowarzyszenia B'nai B'rith w Rzeczypospolitej Polskiej, jego wiceprezydent w latach 2007–2012. Autor kilkudziesięciu książek naukowych, publikowanych w kraju i za granicą, w tym nagradzanych *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska* i *Granie niewiary*. Laureat m.in. Nagrody im. Tadeusza Kotarbińskiego (1987), Societatis Scientiarum Varsoviensis Premium Triennale (1991), Nagrody Naukowej Miasta Krakowa (1996), Medalu Komisji Edukacji Narodowej (1997), Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski (2011) i Nagrody Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej (2013).

Artur Wroński — historyk, restaurator, przedsiębiorca, kolekcjoner. W 1980 roku współzałożyciel krakowskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów, później aktywny także w innych grupach opozycyjnych. W czasie stanu wojennego internowany. Od 1991 roku właściciel znanego w Krakowie baru sałatkowego „Chimera”. Wraz z żoną, malarką Kają Wierzbowską-Wrońską, organizuje w lokalu wernisaże, koncerty, spektakle i warsztaty artystyczne.

Jarosław Zadencki — filozof, politolog, pisarz, publicysta. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. W czasie studiów rzecznik Studenckiego Komitetu Solidarności, współzałożyciel i rzecznik prasowy Niezależnego Zrzeszenia Studentów UJ, współzałożyciel Klubu Myśli Patriotycznej „Jagiellonia”. Internowany w latach 1981–1982, w 1984 roku wyemigrował do Szwecji. Specjalista w dziedzinie filozofii politycznej i bioetyki. Autor artykułów i książek podejmujących problematykę społeczno-polityczną (*Wobec despotyzmu wolności*, *Lewiatan i jego wrogowie*. *Szkice postkonserwatywne*, *Ragnarök*. *W obliczu anarcho-tyranii i chaosu ludów*), publikował w takich pismach jak „Arcana”, „Arka”, „Czas Krakowski”, „Kultura”, „Multiethnica”, „Nowe Książki”, „Przegląd Polityczny”, „Reports of Philosophy”, „Res Publica”, „Scandinavian Journal of Laboratory Animal Science”, „Stańczyk” i „Znak”. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności, Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości.

Spis treści

Krzysztof Budziakowski: Pytania konieczne	3
---	---

I. Po co nam Polska?

Józef Baran	11
Stanisław Bieleń	15
Krzysztof Bzdyl	25
Marcin Chmielowski	27
Kazimierz Dadak	29
Jarosław Dobrzański	35
Marta Dziedzicka-Wasylewska	45
Witold Gadowski	49
Roman Graczyk	53
Elżbieta Isakiewicz	57
Krzysztof Janicki	59
Roman Kochnowski	65
Janusz A. Majcherek	67
Andrzej Mazur	71
Stanisław Michalkiewicz	75
Maciej Mieziań	79
Tadeusz Nyczek	83
Andrzej Pilipiuk	89

Stefan Płużek	93
Marek Przychodzeń	97
Liliana Sonik	101
Jerzy Surdykowski	105
Olaf Swolkień	109

II. Jakiej świadomości historycznej Polaków potrzebują przeciwnicy Polski?

Aleksy Awdiejew	115
Krzysztof Budziakowski	119
Stanisław Chyczyński	127
Kazimierz Dadak	133
Marta Dziedzicka-Wasylewska	145
Andrzej Lech Koszmider	147
Bronisław Łagowski	151
Marcin Masny	155
Marcin Niewalda	157
Andrzej Pilipiuk	163
Stanisław Piskor	167
Jan Skoczyński	169
Jerzy Surdykowski	173
Olaf Swolkień	177
Jerzy Targalski	181
Jarosław Zadencki	183

III. Co my, polscy obywatele, możemy zrobić dla pojednania narodowego i zbudowania zgody społecznej?

Józef Baran	189
Ryszard Bocian	193
Tomasz Cukiernik	195
Kazimierz Dadak	197
Marta Dziedzicka-Wasylewska	203

Wiesław Hołdys	205
Krzysztof Janicki	207
o. Wojciech Jędrzejewski	209
Tadeusz Kensy	211
Roman Kochnowski	217
Hanna Kowalska-Stus	219
Marcin Masny	221
Krzysztof Mazur	223
Edward E. Nowak	225
ks. Wit Pasierbek SJ	229
Walery Pisarek	231
Mikołaj Pisarski	233
Stanisław Remuszko	235
Wojciech Stanisławski	237
Jerzy Surdykowski	239
Jerzy Vetulani	241
Jan Woleński	245

IV. Jak się wzbogacić mogą Polska i Polacy?

Stanisław Bieliń	249
Jacek Breczko	253
Marcin Chmielowski	261
Kazimierz Dadak	265
Aleksander Galos	271
Kamil Rafał Gancarz	277
Cezary Kaźmierczak	283
Czesław Nowak	287
Krzysztof Pawłowski	291
Andrzej Pilipiuk	297
Olaf Swolkień	301
Michał Twardosz	313
Łukasz Warzecha	315
Artur Wroński	319
Biogramy uczestników debat	321

lencki Roman Kochnowski Aleksander Galos
rdys Michał Twardosz Tadeusz Kensy Wojci
ka Stefan Płażek Andrzej Lech Koszmider M
żbieta Isakiewicz Mikołaj Pisarski Jerzy Surd
Jacek Breczko Cezary Kaźmierczak Krzysz
Kazimierz Dadak Wojciech Jędrzejewski Bro
anicki Marcin Niewalda Marek Przychodzer
Stanisław Michalkiewicz Stanisław Piskor F
Krzysztof Mazur Marcin Chmielowski Wojc
n Skoczyński Krzysztof Pawłowski Stanisław
yski Wiesław Hołdys Jarosław Dobrzański Ka
Roman Graczyk Tomasz Cukiernik Aleksand
aw Chyczyński Marcin Masny Wit Pasierbek
Stanisław Bieleń Edward Nowak Wojciech St
ki Olaf Swolkień Jerzy Targalski Maciej Mie
wski Walery Pisarek Czesław Nowak Jerzy V
Liliana Sonik Bronisław Łagowski Stanisław
da Artur Wroński Wojciech Stanisławski To
Marta Dziedzicka – Wasylewska Tadeusz N
sny Hanna Kowa
owski Janusz Ma
n Woleński Alos
Stanisław Remus
ak Kamil Gancarz Krzysztof Bzdyl Krzyszto

ISBN 978-83-7928-943-1



9 788379 289431

Cena 34 zł (w tym 5% VAT)
ISBN 978-83-7928-943-1

Andrzej Pilipiuk
ef Baran Jarosław
v Witold Gadow
d Bocian Łukasz